# TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA CZYTELNIK

PAŹDZIERNIK 1946

ROK II ZESZYT 10

TWÓRCZOŚĆ

PAŹDZIERNIK

1946

# TREŚĆ ZESZYTU

THOMAS SEARNS ELIOT: JAŁOWA ZIEMIA / PRÓŻNI LUDZIE
STEFAN FLUKOWSKI: CHWILA KRÓLEWSKIEJ NIEMOCY
STANISŁAW PIĘTAK: M. PRZESZŁA ULICĄ / GWIAZDY /
STARE MIASTO W WARSZAWIE 1945
JAN BOLESŁAW OŻÓG: WYDUMAJCIE / WIOSENNA NOC /
DO ŚLUBU
STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI: ŻELAZNY WIERSZ /
WIERSZ O JEŻU
KORNEL FILIPOWICZ: KRAJOBRAZ, KTÓRY PRZEŻYŁ ŚMIERĆ
JERZY SAWICKI: PRZEMÓWIENIE KOŃCOWE PRZED
NAJWYŻSZYM TRYBUNAŁEM NARODOWYM
W SPRAWIE PRZECIWKO ARTUROWI GREISEROWI
KAROL IRZYKOWSKI: MATERIA POETICA
CZESŁAW MIŁOSZ: LIST PÓŁPRYWATNY O POEZJI
BOLESŁAW MICIŃSKI: ODPOWIEDŹ NA LIST FRANCESCA
OBYWATELA RZYMSKIEGO
KAZIMIERZ WYKA: „WĘDROWNY SZTUKMISTRZ"
SPRAWY I TROSKI: WSPOMNIENIA
SPRAWOZDANIA
NOTY

# TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

ROK II ZESZYT 10

PAŹDZIERNIK 1946

8 000 EGZEMPLARZY

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE
M — 13198

# JAŁOWA ZIEMIA

„Nam Sybillam quidam Cumis ego ipse oculis meis vidi in ampulla pendere, et cum illi pueri dicerent: Σιβυλλα τι θέλεις; respondebat illa: ἀποθανεῖν θέλω".

Dla Ezry Pound
il miglior fabbro

## I. GRZEBANIE UMARŁYCH

*Najokrutniejszy miesiąc to kwiecień. Wywodzi*
*Z martwej równiny zarośla bzu. Miesza*
*Pamięć i pożądanie, podnieca*
*Tępe korzenie sypiąc ciepły deszcz.*
*Zima nas otulała i kryła*
*Ziemię śniegiem zapomnień, karmiła*
*Maleńkie życie strawą suchych kłączy.*

*Zaskoczyło nas lato, idąc nad Starnbergersee*
*Rzęsistym deszczem: chwila pod kolumnadą*
*I wyszliśmy na blask słoneczny, do Hofgarten.*
*Piliśmy kawę i rozmawiali godzinę.*
*Bin gar keine Russin, stamm aus Litauen, echt deutsch*
*Kiedy byliśmy dziećmi, w domu arcyksięcia*
*Mego kuzyna, brał mnie na saneczki*
*A ja się bałam. Mówił do mnie: Maniu,*
*Trzymaj się, Maniu. Lecieliśmy w dół.*
*O, w górach człowiek czuje się swobodny*
*Czytam, przeważnie w nocy, a zimę spędzam w Nicei.*

*Jakież korzenie pną się, jakie gałęzie rosną*
*Z tych kamiennych rumowisk? O synu człowieka*
*Rzec nie potrafisz ni zgadnąć, bo ty znasz jedynie*
*Stos pokruszonych obrazów, tam gdzie słońce pali,*

*I martwe drzewo nie daje schronienia, ulgi świerszcz*
*Ni suchy kamień dźwięku wody. Jedynie*
*Cień jest tam, pod tą czerwoną skałą*
*(Wejdźże w ten cień pod czerwoną skałą)*
*A pokażę ci coś co różni się tak samo*
*Od twego cienia, który rankiem podąża za tobą*
*I od cienia, który wieczorem wstaje na twoje spotkanie;*
*Pokażę ci strach w garstce popiołu.*

Frisch weht der Wind
Der Heimat zu
Mein irisch Kind
Wo weilest du?

*„Dałeś mi hiacynty rok temu pierwszy raz;*
*Nazywano mnie hiacyntową dziewczyną"*
*— Ale gdy wracaliśmy, późno, z hiacyntowego ogrodu*
*I miałeś pełne ręce, mokre włosy, ja nie mogłam już*
*Mówić i ćmiło się w oczach i nie byłam*
*Żywa ani umarła. Nie wiedziałam nic*
*Zapatrzona w serce światła, w ciszę.*
Oed und leer das Meer.

*Madame Sosostris, słynna jasnowidząca*
*Była bardzo przeziębiona, niemniej jednak*
*Jest znana jako najmądrzejsza z kobiet w Europie,*
*Z bezbożną talią kart. Tutaj, powiada*
*Jest pańska karta, utopiony Żeglarz Fenicki*
*(Gdzie były oczy perła lśni. Patrz!)*
*Tutaj jest Belladonna, Dama Skał*
*Dama okoliczności.*
*Tu jest człowiek z trzema pałkami, a tu koło*
*A tutaj jednooki handlarz, a ta karta,*
*Która jest pusta, oznacza coś, co niesie na plecach*
*Czego mi widzieć nie wolno. Nie znajduję*
*Wisielca. Zagraża tobie śmierć w wodzie.*
*I widzę tłumy ludzi chodzące w kółko wzdłuż ścian.*
*Dziękuję. Gdyby pan widział kochaną Equitone,*
*Proszę powiedzieć, że horoskop ja sama przyniosę*
*Musi się być w tych czasach tak ostrożnym.*

*Nierzeczywiste miasto*
*Pod mgłą brunatną zimowego świtu*
*Tłum płynął po Londyńskim Moście, tak wielu*
*Nie myślałem, że śmierć zabrała tak wielu.*

*Westchnienia, krótkie i nieczęste rwały się im z ust*
*Każdy oczy obracał w dół, do mokrych płyt*
*Płynęli w dół i w górę po King William Street*
*Aż tam, gdzie święta Maria Woolnoth wybija godziny*
*A dziewięć jej ma zawsze głuchy dźwięk.*
*Tam zobaczyłem kogoś, kogo znałem*
*I zatrzymałem go, wołając: „Stetson!*
*Byliśmy razem na okrętach w Mylae!*
*Ten trup, którego zasadziłeś zeszłego roku w ogrodzie*
*Czy zaczął już kiełkować? W tym roku czy będzie kwitł?*
*Czy też mróz nagły ściął jego kwaterę?*
*Och trzymaj psa z daleka, to przyjaciel ludzi*
*Bo pazurami na wierzch go wyrzuci*
*Ty! Czytelniku obłudny!* Mon semblable, mon frère!"

## II. GRA W SZACHY

*Krzesło, w którym siedziała, jak błyszczący tron*
*Żarzyło się na gładkim marmurze, gdzie lustro*
*Wsparte na słupach ciętych w winne grona*
*Spomiędzy których złoty wyglądał Kupido*
*(Drugi zakrywał oczy swoim skrzydłem)*
*Podwajało płomienie świec w siedmioramiennych*
*Kandelabrach i światło na stole odbite*
*Skąd igrał na spotkanie połysk jej klejnotów*
*Wysypanych obficie z puzderek atłasu.*
*We flakonach ze szkła i kości słoniowej*
*Niezatkniętych, jej dziwnych syntetycznych perfum*
*Maści, proszków i płynów czaiła się woń*
*I mąciła, durzyła, zatapiała czucie.*
*Pchnięte prądem powietrza od okna, zapachy*
*Wzbijały się, zgrubiając długie ostrza świec,*
*I snuły się ku górze aż pod laquearia*
*Faliście poruszając wzór kaset pułapu.*
*Ciężkie dębowe drzewo, nabijane miedzią*
*Na zielono i rdzawo palone, i w kamień*
*Barwny oprawne. W jego smutnym świetle*
*Delfin, uczenie wyrzeźbiony, płynął.*
*Ponad starym kominkiem było przedstawione*
*Jak gdyby okno a w nim leśna scena:*
*Przemiana Filomeli, uciśnionej srodze*
*Od króla barbarzyńcy; dotychczas tam słowik*
*Napełniał puszczę nietykalnym głosem*

*I wołał wciąż, a świat jak trwał tak trwa*
*I brudne uszy słyszą tylko zgrzyt.*
*I inne uschłe pnie, konary czasu*
*Opowiedziane były na ścianach i formy*
*Wychylały się, chyląc, uciszając pokój.*
*Gdzieś na schodach człapały czyjeś ciężkie kroki.*
*Pod światłem ogni, pod szczotką, jej włosy —*
*Ognistymi punktami sypiąc się na boki*
*Rozpalały się w słowa; znów były spokojne.*

*„— Źle z mymi nerwami tej nocy. Och źle. Zostań ze mną.*
*Mów do mnie. Czemu ty nigdy nie mówisz. No mów.*
*O czym ty myślisz? O czym myślisz? O czym?*
*Ja nigdy nie wiem o czym myślisz. Mów".*
*Myślę, że jesteśmy na szczurzej ulicy*
*Gdzie umarli pogubili swoje kości.*

*„Co to za hałas?"*
*Wiatr pode drzwiami*
*„Co to za hałas? O znów. Co wyrabia wiatr?"*
*Nic, nic, znów nic*
*„Czy nie wiesz nic? Czy nie widzisz nic?*
*Czy nic nie pamiętasz?"*
*Pamiętam.*
*Gdzie były oczy perła lśni.*
*„Czy jesteś żywy, czy nie? Czy nie masz nic w głowie?"*
*Ale*

*Ooooo ten szekspirowski żart —*
*To tak wytwornie brzmi i tak wspaniale.*
*„Cóż teraz robić będę? Cóż będę robić? Cóż,*
*Mogę wybiec jak stoję, chodzić po ulicy*
*Z włosami w nieładzie, o tak. A jutro, co robić jutro?*
*I w ogóle cóż mamy robić ja i ty?"*
*O dziesiątej ciepła woda*
*A o czwartej samochód zamknięty gdy pada.*
*Możemy zagrać partię szachów i*
*Przyciskać oczy bez powiek czekając na stuk do drzwi.*

*Kiedy mąż Lili zwolnił się z wojska, powiadam —*
*Nie przebierałem w słowach, powiadam do niej sam,*
*POŚPIESZ SIĘ PROSZĘ JUŻ CZAS*
*Teraz gdy Albert powraca, zgódź się na troszkę bólu*
*Będzie chciał wiedzieć co zrobiłaś z pieniędzmi, które ci dał*

*Żebyś sobie wprawiła zęby. Byłem i wiem, że dał.*
*Wypadają ci wszystkie, Lili, spraw sobie ładne nowe*
*Powiedział, mogę to przysiąc, nie mogę patrzeć na ciebie.*
*I ja nie mogę, powiadam, i myśl o biednym Albercie*
*Był w wojsku cztery lata, chce paru pogodnych chwil*
*Jeżeli ty mu ich nie dasz, inne mu dadzą, powiadam.*
*Ach tak, ona powiada. Pewnie, że tak, powiadam.*
*No to wiem, komu dziękować, powiada i patrzy mi prosto w oczy.*
*POŚPIESZ SIĘ PROSZĘ JUŻ CZAS*
*A zresztą jeżeli nie chcesz, możesz zostawić, powiadam*
*Inni wybiorą co wolą, jeżeli nie możesz.*
*Jeżeli Albert da nura, niech nie będzie, że nie mówiłem.*
*Powinnaś się wstydzić, powiadam, wyglądać tak staro.*
*(A ma nie więcej niż trzydzieści jeden)*
*Nic na to nie poradzę, powiada, i robi ponurą minę*
*To te pigułki co brałam, żeby to spędzić, powiada*
*(Miała ich już pięcioro i umierała przy Jerzym)*
*Aptekarz mówił, że dobre, ale zawsze czułam się podle.*
*Jesteś zupełna wariatka, powiadam,*
*Przypuśćmy, że ciebie nie rzuci, to jeszcze pytanie, powiadam*
*Po co ty wyszłaś za mąż, jeżeli nie chcesz mieć dzieci?*
*POŚPIESZ SIĘ PROSZĘ JUŻ CZAS*
*Tej niedzieli Albert był w domu i zdrowo sobie nałgali*
*A mnie zaprosili na obiad, żeby to ładniej wypadło*
*POŚPIESZ SIĘ PROSZĘ JUŻ CZAS*
*POŚPIESZ SIĘ PROSZĘ JUŻ CZAS*
*Dobranoc Bill. Dobranoc Lou. Dobranoc May. Dobranoc.*
*Ta ta. Dobranoc. Dobranoc.*
*Dobrej nocy, panie, dobrej nocy, lube panie, dobrej nocy, dobrej nocy.*

## III. KAZANIE OGNISTE

*Rozdarty jest namiot rzeki. Ostatnie palce liści*
*Lgną i toną w wilgotnym brzegu. Wiatr*
*Przebiega ziemię brunatną, bez głosu. Odjechał orszak nimf.*
*Słodka Tamizo, płyń cicho, aż skończę mój śpiew.*
*Rzeka już nie unosi pustych butelek, papierów,*
*Jedwabnych chustek do nosa, niedopałków ani pudełek*
*Ani innego świadectwa letnich nocy. Odjechał orszak nimf.*
*I ich przyjaciele próżniacy, synowie dyrektorów*
*Odjechali, nie zostawiając adresu.*
*Nad wodami Lemanu siadywałem płacząc.*
*Słodka Tamizo, płyń cicho, aż skończę mój śpiew*

*Słodka Tamizo, płyń cicho, bo niedługi, niegłośny mój śpiew.*
*Ale tuż za plecami, słyszę w zimnych podmuchach*
*Grzechot kości i chichot od ucha do ucha.*
*Szczur pełznął miękko między źdźbłami trawy*
*Wlokąc po brzegu swój oślizgły brzuch*
*Kiedy łowiłem ryby w ponurym kanale*
*W zimowy wieczór za gmachem gazowni,*
*Dumając jak się rozbił królewicz mój brat*
*I o tym jak poprzednio zginął król mój ojciec.*

*Na niskim, mokrym gruncie białe nagie ciała*
*I kości rozrzucone w niskiej, suchej szopie*
*I tylko szczur grzechocząc w nich przerywa ciszę.*

*Ale tuż za plecami rok za rokiem słyszę*
*Dźwięk trąbek i motorów i słyszę jak niosą*
*Sweeneya do pani Porter wczesną wiosną.*
*Nad panią Porter i nad córką jej*
*Błyszczący księżyc wschodzi*
*A one myją nogi hej ha hej*
*W sodowej wodzie.*
Et o ces voix d'enfants, chantant dans la coupole!

*Twit twit twit*
*zgrzyt zgrzyt zgrzyt*
*Uciśnionej srodze*
*Tereu*

*Nierzeczywiste miasto*
*Pod mgłą brunatną zimowych południi*
*Pan Eugenides, handlowiec ze Smyrny*
*Nieogolony, z kieszeniami pełnymi rodzynek*
*Loco Londyn, płatne na okaziciela*
*Zapraszał mnie w zepsutej francuszczyźnie*
*Na śniadanie w Cannon Street Hotelu*
*I na odpoczynek w Metropolu.*

*O fioletowej godzinie gdy oczy i plecy*
*Podnoszą się znad biurek, a ludzka maszyna*
*Czeka jak taxi drżące niecierpliwie*
*Ja, Tejrezjasz, dwa życia znający, choć ślepy*
*Widzieć mogę, ja, starzec o piersiach kobiecych*
*Jak do domów unosi wieczorna godzina*
*Żeglarza z dali niespokojnych mórz*

*I maszynistkę o herbatniej porze.*
*Ona sprząta śniadanie i rozpala już*
*Piecyk, konserwy z puszki wygrzebuje nożem,*
*Z okna zwieszone niebezpiecznie, schną*
*Jej kombinacje w cieple ostatnich promieni*
*A na tapczanie zmieszały się pstro*
*Pantofle, pończochy, pasy, biusthaltery.*
*Ja, Tejrezjasz, starzec o wymionach zmiętych*
*Pojąłem scenę i resztę odgadłem.*
*Czekałem aż się zjawi gość niezbędny.*
*Oto i on, młodzieniec krościasty, przybywa,*
*Drobny urzędnik. Zuchwale spoziera*
*On najniższy, na którym los firmy spoczywa*
*Jak cylinder jedwabny na łbie milionera.*
*Jak przewidywał, pora jest dogodna*
*Skończyła swój posiłek, zmęczona, znudzona*
*I choć pieszczotom niechętnie się podda*
*Obojętne, nie bronią pieszczot jej ramiona.*
*Gwałtowny, nagły, atakuje śmiało*
*Błądząca ręka nie spotka obrony*
*Czy ma wzajemność obchodzi go mało*
*I cieszy się, że nie jest odtrącony.*
*(I ja, Tejrezjasz, znam to wszystko, znam,*
*Co się rozgrywa tu, na tym tapczanie*
*Ja, którym siedział u tebańskich bram,*
*Któremu zmarli słali powitanie).*
*Jeszcze ostatni pocałunek w czoło*
*I szuka klamki, a schody są ciemne.*

*Ona spogląda przez chwilę w zwierciadło*
*Nie wiedząc dobrze, był czy go nie było*
*I słyszy w sobie jedną myśl bezładną:*
*Dobrze, że już, wreszcie się skończyło*
*Piękna kobieta, gdy się zapomina*
*I potem sama bada myśli skryte*
*Leniwą ręką włos ciężki upina*
*I na gramofon kładzie nową płytę.*

*„Muzyka biegła ku mnie sponad wód"*
*Biegła po Strandzie, po Victoria Street.*
*O Miasto, Miasto, czasem tutaj słyszę*
*Stojąc przed barem na Lower Thames Street*
*Jak miłym głosem bzyka mandolina*
*I gwar i brzęk tam wewnątrz się zaczyna*

*W południe, gdy zbierają się handlarze ryb. U ścian*
*Magnusa męczennika, skąd złotem wystrzeli*
*Niewymowna wspaniałość jońskiej bieli.*

*Rzeka spocona*
*Naftą i smołą*
*Ciężkie galary*
*Obraca prąd*
*Czerwone żagle*
*Chwieją się reje*
*Są już daleko, daleko stąd.*
*Za galarami*
*Fala spieniona*
*Bierwiona skaczą*
*Galary mkną*
*Ku Greenwich płyną*
*Za wyspę Psią*
*Wejalala leja*
*Wallala lejalala*
*Elżbieta i Leicester*
*Śmigają wiosła*
*Rufa jak muszla*
*Czerwono-złota*
*Gwałtowna wełna*
*Brzegi uniosła*
*Wiatr południowy*
*Popędzał prąd*
*Dzwonów dzwonienie*
*Białe wieżyce*
*Wejalala leja*
*Wallala lejalala*

*„Tramwaje i drzewa kurzem obsypane*
*Highburry zrodziło mnie. Richmond i Kew*
*Zgubiły mnie. W Richmond podniosłem kolana*
*Leżąc na wznak na wąskim dnie łódki".*

*„Moje stopy są w Moorgate, a serce moje*
*Pod stopami. Gdy stało się, po cóż ta rozmowa?*
*Płakał i obiecywał „nową lepszą dolę"*
*I o cóż tu mieć żal? Nie rzekłam ani słowa".*
*„W Margate na plaży*
*Nic niczym uwieńczę*
*Z niczym połączę*
*Nic*

*Połamane paznokcie brudne ręce*
*Mój lud, mój biedny lud*
*O niczym nie marzy,*
*Nie czeka nie pragnie*
*Nic*
*lala*

*Do Kartaginy przybyłem wtedy*

*Płonąc, płonąc płonąc*
*O Panie Tyś wyrwał mnie*
*O Panie tyś wyrwał*
*Płonąc*

## IV. ŚMIERĆ W WODZIE

*Flebas Fenicjanin, dwa tygodnie temu*
*Zapomniał krzyki mew i morza kołysanie*
*I zysk i stratę.*
*Skubały mu kości*
*Prądy szepcące, gdy schodził w otchłanie.*
*Życie swoje powtórzył gdy wzniósł się i spadł.*
*Wir wchłonął pamięć lat jego młodości.*
*Ktokolwiek jesteś, Żyd czy też poganin*
*Ty, który kręcąc koło, słuchasz jak wiatr grzmi —*
*Zważ: i Flebas piękny był niegdyś, wysoki jak ty.*

## V. CO POWIEDZIAŁ GROM

*Po krwawym blasku pochodni na spoconych twarzach*
*Po mroźnej ciszy w ogrodach*
*Po agonii wśród kamiennych okolic*
*Po wrzasku i płakaniu*
*Więzieniu, pałacu i odblasku*
*Wiosennego piorunu na dalekich górach*
*Ten kto był żywy, teraz jest umarły*
*Którzyśmy żywi byli, teraz umieramy*
*Cierpliwości mając odrobinę.*

*Nie ma tu wody a jedynie skała*
*Skała i nie ma wody i droga piaszczysta*
*Droga wijąca się w dali wśród gór*
*A góry są górami ze skały, bez wody*

*Gdyby tu była woda stanąć by i pić*
*Wśród skał stanąć i myśleć nie potrafi nikt*
*Suchy jest pot, nogi grzęzną w piasku*
*O, gdyby tu była woda pośród skał*
*Paszcza gór martwych przez kły spróchniałe nie pluje*
*Stanąć, leżeć ni usiąść nikt tu nie próbuje*
*I nawet ciszy nie ma pośród gór*
*Tylko suchy, jałowy grzmot bez deszczu*
*I nawet samotności nie ma pośród gór*
*Czerwone, mroczne twarze kpią i warczą*
*Zza drzwi spękanych glinianych lepianek*
*Gdyby tu była woda*
*A nie skała*
*Gdyby tu była skała*
*Ale i woda*
*I woda*
*Potok*
*Kałuża wśród skał*
*Gdyby tu był chociażby dźwięk płynącej wody*
*Nie głos cykady*
*I śpiew suchych traw*
*Ale dźwięk wody bijącej o skałę*
*Gdzie drozd-pustelnik pośród sosen śpiewa*
*Kap kap kap kap kap*
*Ale nie ma tu wody*

*Kto jest ten trzeci, który zawsze wędruje przy tobie*
*Kiedy liczę jesteśmy tylko ja i ty*
*Ale kiedy spoglądam w dal na białą drogę*
*Jest jeszcze zawsze ktoś, kto idzie przy tobie*
*Owinięty w brązowy płaszcz, w kapturze*
*Nie wiem czy to mężczyzna jest, czy też kobieta*
*Lecz któż jest ten, idący tam gdzie ja i ty?*
*Co to za dźwięk wysoko w powietrzu*
*Głuchy pomruk matczynych lamentów*
*Kto są te hordy w ostrych kapturach, gnające*
*Po bezbrzeżnych równinach, po spękanej ziemi*
*Aż hen tam za płaski horyzont?*
*Co to za miasto ponad pasmem gór*
*Wstrząsy, zmiany, wybuchy w powietrzu fioletowym*
*Walące się wieże*
*Jerozolima Ateny Aleksandria*
*Wiedeń Londyn*
*Nierzeczywiste*

*Kobieta naciągnęła czarne długie włosy*
*Muzykę palce jej z tych strun wywodziły*
*Nietoperze o twarzach niemowląt w powietrzu się niosły*
*Fioletowym, gwizdały i skrzydłami biły*
*I pełzały w dół głową z poczerniałej ściany*
*I odwrócone w dół w powietrzu trwały wieże*
*Dzwoniąc wspomnieniem dzwonów znaczących godziny*
*I śpiewy z pustych cystern, studni wyczerpanych.*

*W tej zgniłej jamie pomiędzy górami*
*W bladym świetle księżyca, trawa śpiewa*
*Na rozwalonych grobach, przy kaplicy*
*Jest tu pusta kaplica, wiatrów tylko dom.*
*Nie ma w niej okien, wiatr w jej drzwi zawiewa*
*Suche kości krzywdy nie zrobią nikomu.*
*Tylko kogut stał na szczycie dachu*
*Ko ko riko ko ko riko*
*W błysku błyskawicy. Wtedy wilgotny powiew*
*Niosący deszcz.*

*Woda w Gangesie opadła i liście kalekie*
*Czekały deszczu, kiedy czarne chmury*
*Zbierały się daleko, ponad Himavant.*
*Dżungla przypadła, skuliła się w ciszy.*
*Wtedy przemówił grom*
*DA*
Datta: *cóżeśmy dali?*
*Przyjacielu, krew bijąca w serce*
*Straszna odwaga chwili wyrzeczenia*
*Jej nie przekreśli cały wiek rozwagi*
*Przez to i tylko przez to myśmy żyli*
*Czego nie znaleźć w naszych nekrologach*
*Ni w śladach, które zasnuł dobroczynny pająk*
*Ani pod pieczęciami, które przełamuje*
*Chudy adwokat w wystygłych pokojach.*

*DA*
Dayadhvam: *słyszałem jak klucz*
*Obracał się raz we drzwiach, tylko raz jedyny*
*O kluczu, każdy w swoim więzieniu, myślimy*
*Myśląc o kluczu, każdy potwierdza więzienie*
*Tylko gdy noc zapada, w eterycznej wieści*
*Ożywa na sekundę złamany Koriolan.*

*DA*
Damyata: *Łódź słuchała*
*Radośnie, dłoni sprawnej do żagla i wiosła*
*Morze było spokojne, serce by słuchało*
*Radośnie bijąc, gdybyś chciał, posłuszne*
*Kontrolującym dłoniom,*
*Siedziałem na brzegu*
*Łowiąc ryby, z jałową równiną poza mną*
*Kiedyż na ziemiach moich zaprowadzę ład?*
*Most Londyński wali się wali się wali*
Poi s'ascose nel foco che gli affina
Quando fiam ceu chelidon — *o jaskółko, jaskółko*
Le prince d'Aquitaine à la tour abolie
*Te fragmenty wsparłem o moje ruiny*
*Jakoż więc mi zadowolić was. Hieronim znów szalony.*
*Datta. Dayadhvam. Damyata.*
*Szanti szanti szanti.*

## PRZYPISY AUTORA

Nie tylko tytuł, ale i plan i znaczna część związanego z poematem symbo
lizmu powstały pod wpływem książki panny Jessie L. Weston o legendzi
Graala: „From Ritual to Romance" (Cambridge). W samej rzeczy tak wiel
jej zawdzięczam, że książka panny Weston wyjaśni lepiej trudności poemat
niż mogą to uczynić moje przypisy; polecam ją (niezależnie od tego, że jest t
książka sama w sobie bardzo interesująca) wszystkim, którzy sądzą, że wy
jaśnienie poematu warte jest trudu. Innemu też dziełu z zakresu antropolog
zawdzięczam niemało — dziełu, które wywarło głęboki wpływ na moją gene
rację; mam na myśli „The golden Bough"; używałem specjalnie dwóch tomów
Atthis Adonis Osiris. Każdy, kto jest obznajomiony z tymi dziełami rozpozn
natychmiast w poemacie pewne odwołania się do obrzędów roślinnych.

### I. GRZEBANIE UMARŁYCH

Wiersz 20 Porównaj Ezechiel II, I.
„ 23 „ Ecchiastis XII, V.
„ 31 Patrz Tristan und Isolde, I, wiersze 5—8.
„ 42 Tamże, III, wiersz 24.
„ 46 Nie jestem dokładnie poinformowany jaki jest skład talii kar
Tarota, którymi posłużyłem się tutaj, oczywiście dla własnyc
potrzeb. Wisielec, karta z tradycyjnej talii — odpowiada mo
jemu celowi podwójnie: ponieważ kojarzy się w moim umyśl
z Powieszonym Bogiem Frazera i ponieważ kojarzę ją z po
stacią w kapturze w wędrówce uczniów do Emmaus w Części V
Żeglarz Fenicki i Handlarz pojawiają się później; równie

„tłumy ludzi", a Śmierć w Wodzie urzeczywistnia się w Części IV. Człowieka z Trzema Pałkami (autentyczna karta Tarota) kojarzę, zupełnie dowolnie, z samym Królem Rybakiem.

„ 60 Por. Baudelaire:
*„Fourmillante cité, cité pleine de rêves,*
*Où le spectre en plein jour raccroche le passant".*

„ 63 Por. Inferno III, 55—57:
*„Si lunga tratta*
*di gente, ch'io non avrei mai credutto*
*che morte tanta n'avesse disfatta".*

„ 64 Por. Inferno IV, 25—27:
*„Quivi, secondo che per ascoltare,*
*mon avea pianto ma'che di sospiri,*
*che l'aura eterna facevan tremare".*

„ 69 Zjawisko, które często obserwowałem.

„ 76 Por. Pieśń żałobną w „Białej Diablicy" Webstera.

„ 78 Patrz Baudelaire, wstęp do „Kwiatów zła".

## II. GRA W SZACHY

„ 79 Por. „Antoniusz i Kleopatra", II, II, w. 190.

„ 94 Laquearia. Patrz „Eneida", I, 726:
*„dependent lychni laquearibus aureis incensi*
*et noctem flammis funalia vincunt".*

„ 101 Leśna scena — Patrz Milton, „Raj Utracony", IV, 140.

„ 102 Patrz Owidiusz, „Metamorfozy", VI, Philomela.

„ 103 Por. Część III, w. 206.

„ 118 Por. Część III, w. 196.

„ 121 Por. Webster: *„Is the wind in that door still?"*

„ 128 Por. Część I, 37, 48.

„ 139 Por. grę w szachy w „Kobiety, strzeżcie się kobiet" Middletona.

„ 177 Patrz Spenser, „Prothalamion".

„ 193 Por. „Burza", I, II.

„ 197 Por. Day, „Parlament pszczół":
*„When of the sudden, listening, you shall hear,*
*A noise of horns and hunting, which shall bring*
*Actaeon to Diana in the spring,*
*Where all shall see her naked skin..."*

„ 198 Por. Marvell, To His Coy Mistress.

„ 200 Nie znam pochodzenia ballady, z której te wiersze zostały zaczerpnięte: dotarła ona do mnie z Sidney w Australii.

„ 204 Patrz Verlaine, „Parsifal".

„ 213 Rodzynki były zakupione z zastrzeżeniem „carriage and insurance free to London"; listy frachtowe itd. miały być wręczone nabywcy przy płaceniu rachunku.

„ 220 Tejrezjasz, chociaż jedynie widz, i wcale nie „charakter", jest jednak najważniejszą postacią w poemacie, jednoczącą wszystko pozostałe. Tak jak jednooki handlarz, sprzedawca rodzynek, przechodzi w Żeglarza Fenickiego, a ten ostatni nie jest całkowicie różny od Ferdynanda księcia Neapolu, tak jak wszystkie kobiety są jedną kobietą, a dwie płcie spotykają się w Tejrezjaszu. To, co Tejrezjasz widzi, jest w istocie substancją poematu.

„ 223 Nie może to uchodzić za tak dokładne, jak wiersze Safony, ale miałem na myśli przybrzeżnego rybaka, który wraca z zapadnięciem nocy.

„ 257 Patrz Goldsmith, pieśń w „Proboszczu z Wakefield".

„ 261 Patrz „Burza", jak wyżej.

„ 268 Wnętrze św. Magnusa Męczennika jest moim zdaniem jednym z najbardziej wyszukanych wnętrz Wrena. Patrz: The Proposed Demolition of Nineteen City Churches (P. S. King & Son, Ltd.).

„ 270 Śpiew (trzech) cór Tamizy tu się rozpoczyna.
Od 297 do 314 wiersza mówią one kolejno.
Patrz „Götterdämmerung", III, I: Córy Renu.

„ 279 Patrz Froude, „Elizabeth", T. I, rozdz. IV.
List De Quadra'y do Filipa Hiszpańskiego.
„Po południu byliśmy na barce, przyglądając się igrom na rzece. (Królowa) była sama z Lordem Robertem i ze mną na rufie, gdy zaczęli oboje mówić niedorzeczności i zaszli tak daleko, że Lord Robert powiedział, iż ponieważ jestem na miejscu nie ma powodu, by nie mogli być poślubieni, jeżeli królowej się podoba".

„ 298 Por. Purgatorio, V, 133:
*„Ricorditi di mè, che son la Pia;*
*Siena mi fe', disfecemi Maremma".*

„ 315 Patrz „Wyznania" Św. Augustyna:
„do Kartaginy przybyłem wtedy, gdzie kocioł bezbożnych miłości huczał mi wciąż koło uszu".

## V. CO POWIEDZIAŁ GROM

W pierwszej części Części V trzy tematy są użyte: podróż do Emmaus, zbliżanie się do Niebezpiecznej Kaplicy (patrz książka panny Weston) i obecny rozkład Europy wschodniej.

„ 366 Jest to Turdus aonalaschkae pallasii, drozd-pustelnik, którego słyszałem w Hrabstwie Quebec. Chapmon powiada (Handbook of Birds of Eastern North America), że zamieszkuje rzadko nawiedzane przez ludzi lasy

i ustronne gęstwiny. „Jego śpiew nie wyróżnia się bogactwem ani rozmaitością tonów, ale nie ma sobie równego w czystości, słodyczy i ślicznej modulacji".
Słusznie sławi się jego „Kapiący śpiew".

„ 368 Poniższe wiersze powstały pod wpływem sprawozdania jednej z polarnych ekspedycyj (zapomniałem której, zdaje się Schackletone'a): wspomniano tam, że grupa podróżników, u kresu siły, miała ciągłe złudzenie, iż jest o jednego członka wyprawy więcej, niż było w rzeczywistości.

„ 375—385 Por. Herman Hesse, „Blick ins Chaos": „Schon ist halb Europa, schon ist zumindest der Halbe Osten Europas auf dem Wege zum Chaos, fährt betrunken im heiligen Wahn am Abgrund entlang und singt dazu, singt betrunken und hymnisch wie Dmitri Karamasoff sang. Über diese Lieder lacht der Bürger beleidigt, der Heilige und Seher hört sie mit Tränen".

„ 410 „Datta, daydhvam, damayata" (dawaj, współczuj, kontroluj). Bajkę o znaczeniu słów gromu znajdujemy w Brihadaranyaka-Upaniszadzie, 5, I. Przekład w Deussena „Sechzig Upanishads des Veda", str. 489.

„ 416 Por. Webster „Biała Diablica", V, VI.

*„....They'll remarry*
*Ere the worm pierce your winding-sheet, ere the spider*
*Make a thin curtain for your epitaphs"*.

„ 420. Por. Inferno XXXIII, 46:

*„ed io sentii chiavar l'uscio di sotto*
*all'orribile torre"*.

Również F. H. Bradley, „Appearance and Reality", str. 346. „Moje zewnętrzne wrażenia są nie mniej osobiste, niż moje myśli czy uczucia. W każdym wypadku moje doświadczenie wpada w mój własny krąg, krąg zamknięty od zewnętrznej strony: i, mając jednakowe elementy, każda sfera jest nieprzezroczysta dla innych, które ją otaczają... Krótko mówiąc, rozpatrywany jako egzystencja która pojawia się w duszy, cały świat jest odrębny i właściwy tylko dla tej duszy".

„ 432 Patrz Weston: From Ritual to Romance: rozdział o Królu Rybaku.

„ 435 Patrz Purgatorio, XXV. 148.

*„Ara vos prec, per aquella valor*
*que vos guida al som de l'escalina,*
*sovegna vos a temps de ma dolor".*
*Poi s'ascose nel foco che gli affina.*

„ 436. Por. Pervigilium Veneris. Por. Philomela w Cz. II i III.

„ 437. Patrz Gerard de Nerval, Sonet „El Desdichado".

„ 438 Patrz „Hiszpańska tragedia" Kyda.

„ 441 Szanti. Powtórzone jak tutaj, jest to formalne zakończeni Upaniszady. „Pokój ponad wszelkie pojęcie" — byłoby odpo wiednikiem tego słowa.

Przełożył *Czesław Miłosz*

# PRÓŻNI LUDZIE

(SŁÓWKO W OBRONIE IDZIEGO)

I

*My próżni ludzie,*
*my nadęci ludzie*
*upośledzeni*
*słoma po kaptur. Niestety!*
*Suche nasze głosy,*
*kiedy szemramy*
*cicho i naiwnie*
*jak wiatr w wyschniętej trawie*
*lub szczurze łapki w rupieciach*
*naszych pustych piwnic.*

*Postać bez kształtu, cienie bez barwy,*
*siła bez władzy i gesty bez wzruszeń;*

*Ci, którzy przeszli*
*z oczyma prosto w tamto władztwo śmierci,*
*jeśli nas wspomną, to nie jak zgubione*
*gwałtowne dusze,*
*lecz jak próżnych ludzi,*
*nadętych ludzi.*

II

*Oczu nie zdołam wznieść*
*we władztwo snów śmiertelnych,*
*co się nie zjawi:*
*tam, gdzie zwrócę oczy,*
*tyle słońca w złamanej kolumnie,*
*rozkołysane drzewa*
*i te odgłosy,*
*którymi wiatr*
*śpiewa*
*i dalszy i smutniejszy*
*od bledniących gwiazd.*

*Niech nie będę bliżej*
*władztwa snów śmiertelnych*
*i niechaj też noszę*
*takie umyślne przebranie —*
*szczurzy płaszczyk, skórkę bazyliszka;*
*wyrosły pędem*
*śród pola*
*niech się pochylę, kędy*
*wiatr mnie pochyli,*
*nie bliżej —*
*nie tamto ostatnie spotkanie*
*we władztwie zmierzchu.*

III

*Oto wymarły krąg*
*oto kaktusów krąg*
*tu kamienne obrazy*
*wzniesiono, tu one przyjmują*
*błagania trupich rąk*
*przy skonie pobladłych gwiazd.*

*Czyżby tak było*
*w tamtym władztwie śmierci?*
*jeno czekanie*
*na chwilę, w której wszyscy*
*zadrżymy ze słabości,*
*wargi, co znają miłość,*
*utworzą modły do ruin.*

IV

*Tu nie ma oczu*
*tu nie ma żadnych oczu*
*w dolinie ginących gwiazd*
*w pustej dolinie*
*w obliczu ruin utraconych władztw.*

*W ostatnich z miejsc spotkania*
*razem błądzimy*
*i unikamy słów*
*zebrani u pobrzeży nabrzmiałych strumieni.*

*Ślepi jeżeli*
*nie zjawią się oczy*
*odwiecznej gwiazdy*

*i wielopłatkowej róży*
*zmierzchu władztwa śmierci*
*jedynej ufności*
*próżnych.*

V

Tutaj wkraczamy w ciernie i głogi
ciernie i głogi, ciernie i głogi
tutaj wkraczamy w ciernie i głogi
o piątej godzinie poranku.

*Pomiędzy symbol*
*a rzeczywistość*
*pomiędzy pomysł*
*a czyn*
*upada cień*

Bo Twoim jest władztwo

*Między poczęcie*
*a stworzenie*
*między wzruszenie*
*a odczucie*
*upada cień*

Życie jest bardzo długie

*Pomiędzy żądzę*
*a uniesienie*
*pomiędzy możność*
*a istnienie*
*między istotę*
*a pochodzenie*
*upada cień*

Bo Twoim jest władztwo

*Bo Twoim jest*
*życie jest*
*bo Twoją jest*

ta droga, która świat kończy
ta droga, która świat kończy
ta droga, która świat kończy
nie zatrzaśnięciem lecz szlochem.

przełożył *Władysław Dulęba*

STEFAN FLUKOWSKI

# CHWILA KRÓLEWSKIEJ NIEMOCY

## SZTUKA W DWÓCH AKTACH

OSOBY:

KRÓL
SEKRETARZ
DWORZANIN
POKOJOWY
KASZTELAN
MISTRZ
HYPNOS
THANATOS

## AKT PIERWSZY

*Izba kancelarii królewskiej, bielona, ze sklepieniem łamanym w łuki, podłoga wysłana szkarłatnym suknem, w ścianie w głębi wykusz z oknem sięgającym kilku stopni prowadzących do niego. W bocznych ścianach, od strony rampy, drzwi z kamiennymi, ciężkimi portalami. Z boku stół pełen papierów, kałamarzy i gęsich piór. Wśród tego świecznik. Żelazna skrzynia, zydle.*

*Rzecz dzieje się w drugiej połowie XVI wieku.*

MISTRZ *(oglądając stół i otwartą skrzynię)*: Ho, ho, ho! Wygląda na to, że starostwa się sypną. Nadań nagotowano bez liku.

DWORZANIN: Majestat hojny a królestwo obszerne. Jest komu i z czego.

MISTRZ: I ze zdrowiem ostatnio zdaje się nie bardzo dobrze...

DWORZANIN: Wczoraj zasłabł w kaplicy.

MISTRZ: Fiu!

DWORZANIN: Ksiądz kanclerz zakazał nawet surowo rozgłaszać o tym.

MISTRZ: A co medyk?

DWORZANIN: Zawsze ta sama nuta *(naśladując głos medyka)* „puszczamy krew, wasza królewska mość".

MISTRZ: To dlatego te nadania wychynęły spod aktów!

DWORZANIN: Ksiądz kanclerz śpieszy uładzić te sprawy, bo zna miękkość naszego pana.

MISTRZ: Tak, to był wyjątkowo hojny majestat.

DWORZANIN: A nowy nie wiadomo jaki będzie.

MISTRZ: Tak, wszystko w rękach losu, tym bardziej, że to ostatni z tego wspaniałego rodu.

DWORZANIN: Dwa razy tylko król jegomość w swym życiu twardość okazał: kiedy kochał niewiastę...

MISTRZ: Że mu się to przecie raz w życiu trafiło!

DWORZANIN: I drugi raz, kiedy się wzbraniał wiary prawdziwej odstąpić.

MISTRZ: Muszę i ja zakrzątnąć się koło obiecanych dukatów za moje manuskrypta. Potem ci dusigrosze, co na urzędach siedzą, jakby, co nie daj Boże, pana naszego miłościwego nie stało, odmówią.

DWORZANIN: Słusznie, nie zwlekaj ani chwili.

MISTRZ: Bo to na urobienie jakiegoś posła po swej myśli albo na napisanie paszkwilu zawsze się złoto znajdzie. Ale gdy czysta nauka w poczciwych intencjach zażąda czego dla siebie, to można ducha wyzionąć, zanim się z tych gryzipiórów coś wydusi.

DWORZANIN: Cóż ten nie wraca? *(zagląda za skrzynię)* Ho, ho, ale tu widzę oprócz dokumentów i ksiąg z prawami królestwa tego jeszcze i inne dowody naszego człowieczeństwa. *(wyciąga gąsior z winem)*

MISTRZ: I to jakiego człowieczeństwa — winko!

DWORZANIN *(odstawiając gąsior z powrotem)*: Obejdź się smakiem, mój dobry staruszku!

MISTRZ: To znaczy, że tutaj pijaństwo...

DWORZANIN: Ale z kim? Nasz sekretarz jak wiadomo pijak arcymierny. *(zagląda znów za skrzynię)* Trzy gąsiory... Chyba się nie mylę: raz dwa, trzy.

MISTRZ: Jestem profesorem akademii królewskiej i wychowawcą księżniczek, siostrzenic naszego pana, i co mam z tego? A tu byle kto winem opływa!

DWORZANIN: No, nie bardzo byle kto: sekretarz kancelaryj królewskich!

MISTRZ: O wa! Wiele lepszy od ciebie. Rodem na pewno nie.

DWORZANIN: Do kaduka z tą służbą! *(siedzi przez chwilę w podrażnieniu)* Powinien dziś powrócić Kostka z pocztą.

MISTRZ: Skąd?

DWORZANIN: Ze Stambułu, ale przez Wenecję.

MISTRZ: O!

DWORZANIN: Już ksiądz kanclerz pytał o niego parę razy.

MISTRZ: Pewnie wiezie coś ważnego.

DWORZANIN: Tak wygląda: sprawy wojny i złota. Te są zawsze najważniejsze dla mężów kierujących sprawami publicznymi.

MISTRZ: Ba, nowinę mi powiedział! Wojna i złoto! Od początków istnienia ludzkości nie było ważniejszych rzeczy na świecie, jako że jedno z drugiego wynika.

DWORZANIN: Tak, nie masz wojny bez złota...

MISTRZ: A dukatów bez jakiej awantury na ostre. Więc powiadasz, że się ksiądz kanclerz tak niecierpliwi o tę pocztę?

DWORZANIN: Jak kto przy piecu siedzi, to służba pokojowego, który tygodniami na grzbiecie końskim się tłucze, łatwą się widzi. A niech to licho!

MISTRZ: Masz dziś służbę, to cię ekscytuje i rozdrażnia. Ja bo jestem spokojny, odkąd te dzbany zobaczyłem. Szkoda tylko, że na noc nie mogę ci dać mego traktatu o Hypnosie i Thanatosie.

DWORZANIN: Co to za bzdura?

MISTRZ: Żebyś sobie przeczytał na nocnych wigiliach o bóstwie snu i jego bracie, który przynosi ludziom śmierć.

DWORZANIN: Też pomysł!

MISTRZ: Twoje szczęście, że traktat jeszcze nie napisany. *(wschodzi SEKRETARZ)*

SEKRETARZ: Jak tu ciemno!

DWORZANIN: Zaraz zrobimy jaśniej.

SEKRETARZ: A, mistrz Piotr. Nie zauważyłem w tych mrokach. Witam waszmość pana.

MISTRZ: Sługa uniżony.

SEKRETARZ: Wybacz, żem kazał na siebie czekać, ale pan podkanclerzy przeciągnął ponad miarę obrady.

MISTRZ: Zabawialiśmy się tutaj rozmową i muszę wyznać, że czas nam nienajgorzej schodził.

SEKRETARZ *(do DWORZANINA, który tymczasem wziął się do zapalania świecy)*: Jeszcze mam dla waści jedno zlecenie, zresztą nie wymagające wiele trudu.

DWORZANIN: Właśnie takie najbardziej mi odpowiada.

MISTRZ: Byle tylko czas przebaraszkować.

SEKRETARZ *(porządkując papiery)*: Z łaski swojej sprawdź wasze na bramie, czy Kostka już nie nadjechał?

DWORZANIN: No to idę, polecając opiece waszmości naszego mistrza. Szczególnie napojenie winem dobrze wpływa na jego samopoczucie i chęć do życia, do tej reszty, co mu pozostała.

MISTRZ: Zakarbuję to sobie, młokosie.

DWORZANIN: Tylko bez gróźb, mężu starożytny. *(wychodzi, strojąc do niego wesołe miny)*

SEKRETARZ: Siadajcie mistrzu Piotrze, zanim nie ukończę najpilniejszych rzeczy. Jutro *expeditio* poczty do Rzymu, a nazbierało się jej niemało.

MISTRZ: Kazałeś mości sekretarzu przyjść, przyszedłem. Każesz czekać, poczekam. Widać coś się święci, kiedy co tydzień ślecie umyślnych do apostolskiej stolicy.

SEKRETARZ: Hm...

MISTRZ: Czyżby Ojciec święty snuł znowu plany wojny z niewiernymi?

SEKRETARZ: Jak co roku. Wiosną plotki o wyprawie na niewiernych, latem żniwa, panie dobrodzieju, na jesień ceny zboża, a zimą o kuligach i różnych uciechach...

MISTRZ: A jeszcze o cielęciu z dwoma głowami, wężu morskim i wyprawie świętego Ludgarda do krainy czarnoksiężnika Nemopontabilitusa.

SEKRETARZ: Jednym słowem o kogucie i księżycu.

MISTRZ: O zaczarowanym kole i okrągłym stole.

SEKRETARZ: Amen. *(chwila milczenia)* Potrzebujemy złota.

MISTRZ: Nikt bardziej ode mnie nie rozumie tej potrzeby.

SEKRETARZ: No więc?

MISTRZ: Ale nie jestem bankierem.

SEKRETARZ: Poza tym zdrowie króla jegomości przedstawia się nieszczególnie, a nie chce ani na chwilę porzucić zajęć.

MISTRZ: Za młodu taki nie bywał.

SEKRETARZ: I teraz podobnie. Tylko tyle, że siedzi w swojej komnacie i nagabuje o różne drobnostki. Pytał dziś o waćpana.

MISTRZ: Raczył pamiętać?

SEKRETARZ: Tak.

MISTRZ: A może użył jakiegoś epitetu, który by pozwolił domyślić się, co za uczucia żywi względem mej skromnej osoby?

SEKRETARZ: Nie.

MISTRZ: Może chociaż powiedział: „mój drogi mistrz Piotr", albo „miły naszemu sercu Kroniachos"?

SEKRETARZ *(zaprzecza ruchem głowy)*

MISTRZ: Albo przynajmniej „biegły w naukach"?

SEKRETARZ: Pytał o was po prostu i nic więcej.

MISTRZ: To bardzo niedobrze.

SEKRETARZ: No?

MISTRZ: Obiecałem majestatowi sporządzić opis wojny, którą stary król prowadził z Połońcami i Sumanami. Pewnego dnia przywołał mnie nasz pan miłościwy do siebie wieczorem, uraczył winem i polecił zrobić opis czynów wojennych swego wielkiego rodzica. Na pożegnanie jeszcze sakiewką obdarzył.

SEKRETARZ: Majestatowi bardzo zależy na tym opisie. Bez tych wojen nie byłoby to królestwo czym jest. A i teraz kiedy czasy niepewne...

MISTRZ: Nie moja wina, że się wszystko opóźnia. Aby sporządzić opis kroniki, musiałem zebrać od naocznych świadków jak i co. A tu rycerstwo łże, niesposób wywikłać z tego nawet bladej prawdy.

SEKRETARZ: Dobrze, żeś waszmość poruszył to tema. Pan kasztelan tumski... Pewnie wam znany...

MISTRZ: Nie mam zaszczytu osobiście...

SEKRETARZ: To go poznacie, zaraz tu będzie. Właśnie zaprosiłem waszmości, żeby dopomóc w wykryciu tej tak arcyważnej, *(z naciskiem)* bo przez pana naszego miłościwego zauważonej prawdy.

MISTRZ: To zainteresowanie majestatu starczy mi...

SEKRETARZ: Pan kasztelan tumski stawał w bitwie nad Tanawą i...

MISTRZ: Nie słyszałem o tym dotąd.

SEKRETARZ: Wierzę i tak przypuszczałem. Inaczej bym nie opowiadał *ab ovo*.

MISTRZ *(zimno, rzeczowo)*: Mám porobione całe spisy wszystkiego rycerstwa, ale...

SEKRETARZ: Chwilę, trochę cierpliwości, jeśli łaska. Wtedy się nazywał Jakub z Dębowoli Dobuta.

MISTRZ *(zuchwale)*: Do czego?

SEKRETARZ: Jeszczeście, mistrzu, kasztelańskiego wina nie skosztowali, a prześmiewki wam w głowie.

MISTRZ: Jakub z Dębowoli Dobuta? Hm... *(lekko)* A tak, był taki, tak, z pewnością... W chorągwi Rafaela Archanioła.

SEKRETARZ: Otóż to właśnie. *(jakby mimochodem)* Podobno dobrze stawał i on to właśnie wziął wielką Złotą Chorągiew.

MISTRZ *(z niedowierzaniem)*: Wielką Złotą Chorągiew?

SEKRETARZ: Tak o tym powiadają wiarogodni ludzie. To mąż wielkiego serca, nie tylko zresztą w radzie.

MISTRZ *(jakby do siebie)*: Gdyby to on, ów Dobuta, wziął Złotą Chorągiew, miałbym wszystko, co mi potrzebne do zakończenia.

SEKRETARZ: Pan kasztelan tumski *(ze znaczącym przyciskiem)* jest krewniakiem opiekuna naszej akademii.

MISTRZ: Pana podkanclerzego?

SEKRETARZ: W sedno waść trafiłeś.

MISTRZ: Wszystko byłoby dobrze, gdyby...

SEKRETARZ: Gdyby...

MISTRZ: Nie było jeszcze pięciu innych rycerzy, którzy gotowi przysiąc, że to oni własnymi rękami wydarli tej szarańczy z gardła ową Złotą Chorągiew.

SEKRETARZ *(z udanym zdziwieniem)*: Niemożliwe!

MISTRZ: I każdy z nich twierdzi, że ciął chorągwianego mieczem przez łeb, aż mózgi trysnęły kształtem fontanny i że...

SEKRETARZ: Wszyscy oni łżą!

MIETRZ: I że przy tym posieczono ich setnie.

SEKRETARZ: Bałamuctwo.

MISTRZ: Kiedy noszą blizny, jako żywo.

SEKRETARZ: O, pan kasztelan z pewnością też ma blizny, jeszcze jakie!

MISTRZ: Pokazywał może waszej wielmożności?

SEKRETARZ: Alboż to moja sprawa blizny czyje oglądać?

MISTRZ: Bo gdyby tak było, ja sam nie potrzebowałbym już golizny męskiej widzieć.

SEKRETARZ: Tam gdzie zwykły blizny leżeć, nie taka ona straszna.

MISTRZ: To wasza wielmożność nie znasz spraw rycerskiego stanu; rana może się przytrafić w najnieprawdopodobniejszym miejscu. Wszystko zależy od chytrości nieprzyjaciela.

SEKRETARZ: Filozofowanie.

MISTRZ: Nie wątpię, ale musi wasza dostojność cierpliwie posłuchać.

SEKRETARZ: Proszę, toć chyba słucham pilnie.

MISTRZ: Ujmując rzecz ogólnie, a zgodnie z prawem syntezy, jedno z tego całego fragmentu bitwy jest pewne: to, że Złota Chorągiew dostała się w nasze ręce. W każdej chwili można się o tym przekonać, jak wisi pod stropem sali rycerskiej, niestety!

SEKRETARZ: Dlaczego „niestety"?

MISTRZ *(podniecony)*: Bo gdybyśmy jej nie zdobyli, to łgarze nie mieliby pokrycia dla swoich szachrajstw.

SEKRETARZ: No?

MISTRZ *(ciągle podniecony)*: Nawet jeden zaprzysięgał, że chorągiew była brązowa czy żółta. Do tego stopnia bezczelny, żeby nie pójść po prostu przed rozmową ze mną i nie sprawdzić pod stropem, parę kroków stąd.

SEKRETARZ: Ale tego chyba nie wliczasz do tych pięciu?

MISTRZ: O, tych pięciu to już w nijaki sposób nie można złapać na łgarstwie, przesiani z paru dziesiątków.

SEKRETARZ: Tyluż by łgarzy było w naszym królestwie?

MISTRZ: Najwięcej, o ile dotąd mogłem doświadczyć.

SEKRETARZ: A z owych pięciu może się który mierzyć z wiarogodnością zeznań imć kasztelana?

MISTRZ: Na razie trudno to powiedzieć.

SEKRETARZ *(ironicznie)*: Czyżby moje świadectwo?...

MISTRZ *(pospiesznie)*: Póki sprawa niewyjaśniona, to znaczy póki nauka nie dała swej ostatecznej odpowiedzi na to dręczące pytanie...

SEKRETARZ: A król jegomość poznał już ten stan rzeczy?

MISTRZ: Tak... To jest właściwie, nie.

SEKRETARZ *(niecierpliwie)*: Wyrażaj się waść nieco jaśniej.

MISTRZ: Kiedy rzecz sama w sobie jest niejasna.

SEKRETARZ: Jeśli nasz pan jeszcze nic nie wie, to wszystko *(znacząco)* można naprawić i uładzić.

MISTRZ: Zależy o co chodzi, o który fragment kroniki czy też...

SEKRETARZ: Czy też?...

MISTRZ: Fortuna rycerska idzie zawsze w parze z inną jej siostrzycą. Jednym chodzi o sławę, a drugim...

SEKRETARZ: A drugim o złoto, prawda?

MISTRZ: Praca uczonego pociąga za sobą duże koszta.

SEKRETARZ: Myślę, że żaden z rycerzy nie może się mierzyć z panem kasztelanem. To mąż potężnego ramienia i wielkiego umysłu, poza tym możny niezmiernie. W trzy dni nie objedziesz jego dzierżaw.

MISTRZ: Oczekuję też z niecierpliwością jego nadejścia.

SEKRETARZ: Zaraz tu będzie.

MISTRZ: Jakby się król jegomość pytał, to pierwsze trzy kaputy będą na Pannę Zielną. Do tego czasu wolałbym się z majestatem nie spotkać.

SEKRETARZ: Jeszcze dziś słońce zagrzewa Byka... To znaczy za jakie trzy miesiące.

MISTRZ: Mniej więcej.

SEKRETARZ: Czy król jegomość polecił wam opis tylko samej wojny? Może pragnął opisania i swoich wspaniałych rządów oraz tego sławnego królestwa.

MISTRZ: Tylko opis samej wojny i dzielności naszego rycerstwa.

SEKRETARZ: Zapewne, chociaż twierdzicie, że najwięcej w naszym królestwie samochwałów, to przecież nie da się zaprzeczyć, że nasze rycerstwo wroga pobiło, niezliczoną masę chorągwi na nim zdobywając, między którymi i tę najsłynniejszą, zwaną „Złotą".

MISTRZ: Tego nie zaprzeczam, waleczności naszych rycerzy.

SEKRETARZ: A te działa, któż je zdobył, działa, z których ulano najpotężniejszy w świecie chrześcijańskim dzwon?

MISTRZ: Właśnie, właśnie, więc żeby tę dzielność naszą podkreślić, umyśliłem zakończyć me kroniki wyliczeniem błogosławionych skutków wojen dla naszego królestwa.

SEKRETARZ: Widzę, mistrzu, że stałeś się wyznawcą wojny.

MISTRZ: Jeśli jej skutkiem trwały pokój...

SEKRETARZ: Zawsze po wojnie przychodzi pokój, innego wyjścia nie masz.

MISTRZ: Więc jakże mogę być przeciwny wojnie, kiedy ona rodzi tylko pokój? Słuszniejsze byłoby zwalczać właśnie pokój, bo nie było takiego na ziemi, aby się zeń jaka wojna nie zrodziła.

SEKRETARZ: Tylko, aby wojnę prowadzić, potrzeba niestety...

MISTRZ: Dukatów.

SEKRETARZ: Zgadłeś!

MISTRZ: Jedyna rzecz, jaka się w dziejach ostanie, to to, że ludzkość potrzebowała zawsze więcej dukatów, aniżeli ich było na świecie.

SEKRETARZ: Czyżby tylko tyle zachowywała historia dla potomności? A te akta i *volumina legum*, to nic? *(z oburzeniem)* Byłoby straszne, gdyby dzieła administracji stały się niczym dla potomności.

MISTRZ: To prawda, wiele zostanie po przodkach, przeważnie rupieci, ale prawdziwi sprawcy rzadko doczekają się odpowiedniej oceny i pamięci za swoje wiekopomne czyny.

SEKRETARZ: Jakżeż to?

MISTRZ *(nachylając się do ucha)*: Za dużo wszyscy łżą, jak ze zdobyciem tej chorągwi hospodarów. *(otwierają się gwałtownie drzwi, staje w nich DWORZANIN)*

DWORZANIN *(zdenerwowany)*: Mości panowie, król jegomość!

MISTRZ *(ogląda się za miejscem do ukrycia, wreszcie znika za skrzynią)*

KRÓL *(wchodzi powoli, głęboko zamyślony, ubrany w czarny strój kroju włoskiego; doszedłszy środka sceny zatrzymuje się i zdziwiony rozgląda wokoło po izbie)*: Gdzie ja jestem? Co to za komnata? *(spostrzega SEKRETARZA)* Ach to wy, mości sekretarzu! Nie poznałem w pierwszej chwili.

SEKRETARZ *(składa głęboki ukłon)*

KRÓL: Jak ja tu trafiłem?

DWORZANIN: Zamiast prosto jak zwykle, wasza królewska mość poszedł w lewo.

KRÓL: W serdeczną zatem stronę. *(rozglądając się ciągle po izbie)* Dlaczego trafiłem właśnie do tej komnaty?

DWORZANIN: Tędy można równie dobrze przejść na pokoje waszej królewskiej mości.

KRÓL: Byłem tu kiedyś, ale bardzo dawno, chyba jeszcze za mych młodych lat. Wszystko wówczas tak rozpalało imaginację, byle błahostka.

SEKRETARZ: Komnata jak każda inna.

KRÓL: Dobrze ją pamiętam.

SEKRETARZ: Wspomnienia młodości najtrwalej ryją się w naszej pamięci.

KRÓL *(jakby nie słysząc, przez całą zresztą scenę robi wrażenie dalekiego*

*otoczeniu)*: Tu moja pierwsza miłość doszła szczytu upojenia, ucałowałem miłą dzieweczkę. To było tam... przy oknie. Jeszcze dziś czuję na wargach twardość krągłego liczka dziewczyny.

SEKRETARZ i DWORZANIN *(skłaniają głowy z wyrazem najgłębszego szacunku dla królewskiego uczucia)*.

KRÓL: Już tak dawno o tym nie myślałem, ile lat?.. Nawet trudno policzyć. A teraz? Jedno spojrzenie nagle rzucone na ten wykusz, abym przypomniał sobie nawet barwę jej sukni. Była jak niezapominajka. Mój Boże! To samo okno i ten sam widok... Za szybami wiosna... Tyle lat... *(chwila milczenia, nagle ze znudzeniem)* Ach, wy tu jeszcze wciąż jesteście!

SEKRETARZ: Im dalej od młodości, tym jaśniejsze się stają jej wspomnienia dla każdego, wasza królewska mość.

KRÓL: Młodość jest jak ogród obsypany kwieciem i w słońcu...

SEKRETARZ: Do lat trzydziestu, a nawet i dalej nie daje o sobie znać, ale potem...

KRÓL: Pierwsza miłość, też był maj jak dziś.

SEKRETARZ *(przysuwając zydel)*: Wasza królewska mość raczy...

KRÓL *(nie słysząc)*: Tegoż dnia odbyła się bitwa nad Tanawą, ostatnia jak dotąd wojna tego królestwa.

SEKRETARZ: Wasza królewska mość raczy spocząć, w jego stanie zdrowia...

KRÓL: Czy się kiedy zastanawiałeś, mój drogi, w czasie swej służby w naszych kancelariach...

SEKRETARZ: Dwudziestoczteroletniej, jeśli wolno wtrącić, panie.

KRÓL: Dlaczego od tamtej pory licząc, nie było dotąd wojny?

SEKRETARZ *(rozkłada ręce)*

KRÓL: Czy to było moje szczęście, czy skutek tego co czyniłem, aby jej zapobiec?.. W każdym razie kraj zażywał pokoju jak nigdy.

SEKRETARZ: Nie darmo do imienia waszej królewskiej mości świat chrześcijański dodał imię Augustus.

KRÓL: Wiele krwi się leje po świecie, ale jej chyba nie masz na moich rękach. *(ogląda dłonie, wykonując przy tym ruchy zaprzeczania)*

SEKRETARZ: Ależ jak można...

KRÓL: Przyszło mi żyć w trudnych czasach: kazano mi wybierać wiarę. Szarpano mnie i nękano. Och te noce! Wpatrywało się we mnie tysiące rozognionych oczu i piekły, och, jak paliły. To fanatycy. Jak to dobrze, że już to wszystko przeminęło. Było to groźne, a czasem i... nudne, *(po chwili namysłu)* chyba więcej nudne, aniżeli groźne.

SEKRETARZ: Nie był wasza królewska mość osamotniony w swych cierpieniach i troskach.

KRÓL: Masz rację, była wówczas przy mnie *(z uniesieniem)* ona!!!

SEKRETARZ: Właśnie zmarłą naszą panią miałem na myśli, ją przede wszystkim, oraz tych, dla których właściwa droga do zbawienia wiecznego była głównym celem żywota.

DWORZANIN: Amen.

KRÓL *(nagle obudzony nasłuchuje, rozgląda się)*: Co? Jakieś echo?

SEKRETARZ *(dając znaki niezadowolenia* DWORZANINOWI: Tak, po zamku niosą się echa.

KRÓL *(podstępnie, z chytrością)*: A może nie?

SEKRETARZ *(zdezorientowany)*: Każda rzecz ma dwie strony.

KRÓL: Echo także?

SEKRETARZ: Zależy skąd słuchać.

KRÓL: Tak, chciałbym wiedzieć dziś, właśnie dziś, kogo ja posłuchałem właściwie, kiedy, jak wielu monarchów naszego stulecia, musiałem wybierać pomiędzy starym a nowym kościołem?

SEKRETARZ: Przede wszystkim głosu sumienia.

KRÓL: Sumienia powiadasz? To zabawne, głosu sumienia... Co to jest sumienie? Ostatnio chciałbym tyle wiedzieć, jakieś pragnienie prawdy, ale jakiej?... Czepiam się myślą różnych rzeczy... Chociażby o błahostce, o rzeczach dawno przeminionych, jak tamta wojna na przykład... Pożądanie prawdy...

SEKRETARZ: I wonczas podobnie. Ci, których poglądom decyzja waszej królewskiej mości odpowiadała...

KRÓL: Ach, zawsze robi się tak, aby poddani niczemu się nie dziwili, wierząc w prawne podstawy najdziwaczniejszych czasami pomysłów swych władców.

SEKRETARZ: Postanowienia waszej królewskiej mości były wolą całego narodu.

KRÓL *(obcy wszystkiemu wokoło)*: Wszyscy mi wówczas radzili, namawiali obiecywali, grozili.

SEKRETARZ *(z oburzeniem)*: Niemożliwe, grozili?

KRÓL *(ze smutnym sentencjonalizmem)*: Nikt w życiu nie nasłucha się tylu gróźb, ile właśnie władca.

SEKRETARZ: Odporność na nie jest znamieniem wielkości.

KRÓL: Zatem trzydzieści dziewięć lat.

SEKRETARZ: W samej rzeczy, panie.

KRÓL: Ale co?

SEKRETARZ: Od bitwy nad Tanawą.

KRÓL: Czy od mego pierwszego pocałunku?

SEKRETARZ: O tym nic nie wiem.

KRÓL: Przed chwilą wszak mówiłem wobec. *(wskazuje na obecnych)*

SEKRETARZ: Nie byliśmy pewni, czy do nas były kierowane te słowa.

KRÓL *(ironicznie)*: Zmieniłoby to istotę rzeczy.

SEKRETARZ: I czy w ogóle mieliśmy być takiej chwili przytomni?

KRÓL: Zaraz, zaraz, dlaczego ja tu przyszedłem? Po co? Przez to drobne wspomnienie. Ach, jak ja się sromałem wówczas, jakby to zostawiało jakiś ślad Zdaje się, że potem straciłem wstyd.

SEKRETARZ *(nerwowo)*: Dziś oczekujemy ważnej poczty, ze Stambułu i Wenecji.

KRÓL: Z Wenecji? Byłem tam kiedyś dawno, bardzo dawno.

SEKRETARZ: Ale dzisiaj...

KRÓL: Ileż jeszcze godzin tego dzisiaj, kiedy nie wiadomo, czy dożyjemy jutra.

SEKRETARZ: Ale każdy w to wierzy.

KRÓL: Łudzimy się, że jutro będzie zawsze lepsze od dziś — i tak trzysta sześćdziesiąt pięć razy do roku.

DWORZANIN: A w roku przestępnym: trzysta sześćdziesiąt i sześć.

KRÓL *(zniecierpliwiony)*: Czy to nie za dokładnie policzone: jutro, dziś, dziś, jutro.

SEKRETARZ: Człowiek to niewyczerpane złoże wiary we własną fortunę.

KRÓL: Czy nie byłoby rzeczą piękną umieścić na ścianie tej izby tablicę z wyrytym napisem: „W tej komnacie król taki a taki pocałował po raz pierwszy w swym życiu dzieweczkę, *anno domini*..."

SEKRETARZ: Byłoby to w każdym razie niezwykłe uczczenie miłości.

KRÓL: Miłość?... U starożytnych *(mistrz Piotr porusza się za skrzynią wysuwając głowę)* była ona podobno córą Zeusa, a żoną płatnerza Hefajstosa. Za kochanka miała Afrodis żołnierza, boga wojny. Czy nie za dużo obracała się w towarzystwie osób żyjących z procederu wojennego? Przecież i Zeus jako ojciec bogów wzniecał wojny, a za broń miał piorun.

SEKRETARZ: W samej rzeczy.

KRÓL: Oni wszyscy trzej byli siewcami śmierci, a przecież połączeni najtajniejszymi węzłami z nią, boginią miłości — ojciec, mąż i kochanek.

MISTRZ *(wysuwa głowę, porusza się nerwowo za skrzynią, lekko hałasując)*

SEKRETARZ *(ogląda się niespokojnie)*

KRÓL: Miłość!... To są skrzydła, które daje człowiekowi los, aby był ptakiem i przeszywał obłoki zalegające po niebie.

SEKRETARZ: Tak, tak, właśnie obłoki.

DWORZANIN: Obłoki po niebie, wasza królewska mość.

KRÓL: Zaraz, zaraz o czym to ja mówiłem?

SEKRETARZ: O dzisiejszej poczcie z Rzymu.

KRÓL: Ależ nie.

SEKRETARZ: O starożytnych.

KRÓL *(macha ręką)*: Ech!

DWORZANIN: O bitwie nad Tanawą.

KRÓL: Głupio jak zawsze.

SEKRETARZ *(z rezygnacją)*: O dzieweczce i pocałunku.

KRÓL *(radośnie)*: O, właśnie. *(rozgląda się)* Ta komnata! Budzi ona we mnie jeszcze jedno wspomnienie. Było to w parę lat później. Też wiosna.

SEKRETARZ: Drzewa obsypane białym kwieciem.

KRÓL: Tak, goniłem ją, tu wbiegła, dopadłem ją w tym wykuszu. Ręce mi drżały, taka była piękna, szeptała cała zdyszana *„No, no, mio caro!"* i leciała mi w ramiona.

SEKRETARZ *(z udanym zdumieniem)*: Niezwykła to doprawdy gra niewieścia.

KRÓL: Jeszcze dziś czuję na wargach...

DWORZANIN: Twardość policzka...

KRÓL *(gniewnie)*: Nie policzka, właśnie że nie policzka, cóż za brak... *(nagle blednie i słania się, opada na zydel; SEKRETARZ śpieszy z winem, które król po chwili próbuje pić drobnymi łykami)*

SEKRETARZ: Wasza królewska mość niepotrzebnie... To nierozwaga tak przeżywać.

DWORZANIN: Lepiej dniem dzisiejszym.

SEKRETARZ: Najpiękniejsze wspomnienia zawsze są zaprawione jadem.

DWORZANIN: Co tam młodość.

SEKRETARZ *(do DWORZANINA)*: Przestań raz przecie.

MISTRZ *(nie wiedząc co począć, to wstaje, to znów przykuca za skrzynią, pociesznie przy tym gestykulując)*

KRÓL: Odchodzi... już mi lepiej.

SEKRETARZ: Wasza królewska mość powinien pójść do siebie, trzeba się położyć, taki upadek sił.

KRÓL: O czym to ja mówiłem?

DWORZANIN: O...

SEKRETARZ *(zatyka mu dłonią usta)*

KRÓL: No o czym?

SEKRETARZ *(zakłopotany)*: O tym policzku...

KRÓL *(z łagodnym uśmiechem)*: Ach, pamiętam, ta dziewczyna u malarza w Wenecji. Kazała mi przyjść do siebie wieczorem, alem w drodze spotkał jeszcze piękniejszą, jeszcze łaskawszą i przy niej już zostałem.

SEKRETARZ: Takie wspomnienia szkodzą, panie.

KRÓL: A jakież inne mogę mieć jeszcze?

SEKRETARZ: Serce, wasza królewska mość, trzeba na serce uważać.

KRÓL: Prawda, serce. Żebyś wiedział, jak ono łomoce, a potem skacze do gardła i dusi. *(usiłuje gwałtownie powstać)* Zmora! *(opada na zydel)*

SEKRETARZ: Może trochę wina, panie?

KRÓL: Wina, nie, nie chcę, nie lubię... teraz...

DWORZANIN *(do SEKRETARZA)*: Wodą go spryskać!

SEKRETARZ: Trzeba to było zrobić kiedy omdlewał.

MISTRZ *(podnosi się na całą wysokość zza skrzyni, dopiero na gwałtowne znaki sekretarza chowa się, rzecz ta powtarza się parokrotnie)*

KRÓL: Nie lubię i koniec, rozumiesz?!

SEKRETARZ: Niech wasza królewska mość...

KRÓL *(z żalem)*: Tęsknię za nią. Już jej nie zobaczę.

SEKRETARZ: Nie trzeba myśleć o takich rzeczach, to doprawdy zabójcze.

KRÓL: Już sobie pójdę. *(rozgląda się)* Jak ja tu wszedłem? *(powstaje, SEKRETARZ śpieszy go podtrzymać)* Dzięki ci, to już przeszło. Oby tak inne rzeczy przechodziły, przemijały, rzeczy nieprzyjemne.

DWORZANIN: Ale panowanie waszej królewskiej mości nie przeminie w dziejach naszego kraju. Będzie chyba najsłynniejsze ze wszystkich.

SEKRETARZ *(spogląda nań z przerażeniem)*
KRÓL: Nie zostawiam dziedzica.
SEKRETARZ *(ocierając pot z czoła)*: Wszyscy nad tym bolejemy głęboko.
KRÓL: Odejdę, porzucając to królestwo na łup chciwego przypadku.
SEKRETARZ: Są stany i naród.
KRÓL: Ale również i ludzie żądni a pyszni.
SEKRETARZ: Jest też rozum na sprawy publiczne czuły.
DWORZANIN: O, nie ma się czego obawiać, dadzą sobie rady.
SEKRETARZ *(znów zaniepokojony)*
KRÓL: Coś mi się przypomniało, zaraz, zaraz *(trze czoło dłonią)*
SEKRETARZ: Słucham, panie.
KRÓL: Aha, nie widziałeś gdzie czasem naszego mistrza Piotra? Tak, Pio-ra, dobrze pamiętam to imię.
SEKRETARZ: Ostatnio wyjeżdżał na opactwo jurajskie.
DWORZANIN: Ale już powrócił.
KRÓL: Miał mi na początek lata przygotować historię wojny połoskiej.
SEKRETARZ: Coś mi o tym ostatnio wspominał.
DWORZANIN: Tymi czasy ciągle o tym rozprawiał.
KRÓL: To niedobrze, rzecz miała być tajna.
SEKRETARZ: Ukryć jej nie mógł, bo szukał świadectw ludzi. Miał przy-m jakieś trudności z rycerstwem, *(z naciskiem)* ale teraz już zna prawdę.
KRÓL: Pewnie mu za dużo łgali.
SEKRETARZ: Poniekąd.
KRÓL: Nie byliby tacy, gdyby...
SEKRETARZ: Jedna rzecz...
KRÓL: Dlatego też rozkazałem mu opisać tę wojnę, chociaż *(z ukrytym ewnięciem)* wielce mnie ona nie ciekawi. Wojny są nudne.
DWORZANIN: Pewnie.
KRÓL: Jest tam w tej całej wojnie jedna rzecz, w tej wojnie... Jak jej tam...
DWORZANIN I SEKRETARZ: Sumańsko-połoskiej, panie.
KRÓL: O właśnie, sumańsko-połoskiej. Jest tam jedna rzecz, która mnie awsze nawet niepokoiła.
SEKRETARZ: Może coś smutnego, to lepiej by... Stan zdrowia...
KRÓL: Raczej przeciwnie. Ty, mości sekretarzu, nawet nie wiesz, jak to nie korciło przez długie lata.
SEKRETARZ: Słucham pilnie, wasza królewska mość.
KRÓL: Kto właściwie zdobył tę Złotą Chorągiew, co wisi u stropu naszej li rycerskiej?
SEKRETARZ: Na to właśnie ma odpowiedzieć nauka.
KRÓL: Dotąd rozdałem już pięć starostw pięciu rycerzom za własnoręczne dobycie tej chorągwi. Tyle mnie to kosztowało, że chciałbym wiedzieć coś ewniejszego.
SEKRETARZ: Podziwiam cierpliwość waszą, panie, żeście nawet słowa nie ronili podpisując nadania w tej sprawie.

KRÓL *(z westchnieniem)*: O, i nie tylko w tej.

SEKRETARZ *(szybko)*: W każdym razie, wasza królewska mość racz przyznać, że racja stanu na tym nie cierpi, ani powaga królestwa naszego: Zło Chorągiew znajduje się tu na zamku — widomy znak niewątpliwego męstw naszego rycerstwa. Bitwa została wygrana, a długoletnie wojny połoskie i s mańskie zakończone raz na zawsze. Czyż pięć starostw rozdanych zamia jednego ma tu jakie znaczenie? Kiedy dzięki waleczności naszych rycerzy p większyliśmy w ogóle królestwo niemal w dwójnasób.

MISTRZ *(chrząka znacząco)*

KRÓL *(zaniepokojony, jakby coś posłyszał, ogląda się)*

SEKRETARZ *(w popłochu)*: Zaś jeśli wśród tych pięciu nie masz właściwe bohatera, to znaczy, że się nie zgłosił, skromnością wiedziony, to znaczy, nie brak u nas mężnych a wstydliwych. *(z pewnego rodzaju triumfem)* A jak może być piękniejsza dzielność, jak właśnie ze skromności się wywodząca, a b nagrody pozostawiona?!

KRÓL: Zaiste taka sytuacja tylko nadużycia może płodzić.

SEKRETARZ *(zaskoczony)*: Ależ...

KRÓL: Poza tym, ciekawi mnie to, kiedy się nudzę.

SEKRETARZ: Rozumiem dobrze bieg myśli i intencje wasze, panie.

KRÓL: Więc kazałem owemu mistrzowi Piotrowi dojść sedna sprawy p pozorem, że będzie pisał kronikę tej wojny.

SEKRETARZ: To człek bystry, ale nieco powolny w działaniu.

MISTRZ *(wychyla się i pokazuje język)*

SEKRETARZ: Uczeni i poeci lubią się wałkonić, wasza królewska mość.

MISTRZ *(powtarza swą poprzednią grę)*

KRÓL: Może i słusznie, praca ich to nie pilnowanie aktów.

MISTRZ *(wychyla się cały, grając SEKRETARZOWI na nosie; kiedy zam rza zniknąć za skrzynią, trąca wieko, które z hukiem spada; wszyscy gwałto nie obracają się w stronę sprawcy hałasu; podczas gdy on usiłuje odczepić prz trzaśnięty rękaw)*

SEKRETARZ: Kto to?! Co to takiego?! To wy, mistrzu Piotrze? Sk tutaj? Jakim prawem?

MISTRZ *(uwalnia wreszcie rękaw, porządkuje starannie szaty i składa g boki ukłon królowi)*

SEKRETARZ *(wciąż groźny)*: Skąd tu waść? Podsłuchiwałeś, co?

MISTRZ *(nie zważając nań)*: Wasza królewska mość raczy...

SEKRETARZ: Jakim prawem! Ja do pana marszałka. O tej porze na izba kancelaryj królewskich!?

KRÓL: Ależ spokojnie.

SEKRETARZ: Miłościwy panie, ja...

KRÓL *(do MISTRZA)*: Słucham waści.

MISTRZ: Wasza królewska mość raczy wybaczyć, ale nie miałem cza zemknąć, kiedy Majestat wchodził do izby.

KRÓL *(do SEKRETARZA)*: Więc waść wiedziałeś o obecności tutaj mistrza iotra?

SEKRETARZ: Wszedłem do komnaty na chwilę przed waszą królewską ością i nikogo w niej nie zastałem. *(z akcentem oburzenia)* Za skrzynię nie aglądałem.

KRÓL *(do DWORZANINA)*: Więc jak to było?

DWORZANIN: Tyle wiem, co i wy, panie. O krok was tylko poprzedzałem.

KRÓL: Pierwszy raz słyszę, aby osły wiedziały tyle co monarchowie.

MISTRZ: Jeśli się nie przyznam do tego, co imć pan sekretarz mówi, wasza rólewska mość nigdy nie dowie się prawdy. Więc powiem, że kiedy to ichmość ekretarz wchodził tutaj, ja schowałem się za skrzynię, bo lubię figle. I nie zdą yłem się jeszcze ruszyć, jak wy, panie, weszliście do komnaty tymi drzwiami. o jest najprawdziwsza prawda.

SEKRETARZ: Nasz mistrz lubi figle, wasza królewska mość.

KRÓL *(smętnie)*: Figle...

MISTRZ: Mniemam, że to nieporozumienie nasuwa pewne głębsze, a wyma ające zastanowienia myśli. Przeto pozwolę sobie nawiązać do owej Złotej horągwi: o ileż trudniej o stan rzeczy, który się rodzi w zawierusze bitewnej, śli tu, w ten cichy wieczór, mogłaby się wasza królewska mość nigdy nie owiedzieć prawdy, gdyby *(znacząco w stronę SEKRETARZA)* nie moja miłość o niej.

KRÓL: Miłość prawdy! Tak, miłość, cóż nad nią warte.

MISTRZ *(podchwytliwie)*: Nad miłość czy prawdę?

KRÓL *(znów obcy wszystkiemu co się wokoło dzieje, ogląda komnatę)*: To ıtaj, nie, ale komnata podobna.

MISTRZ: Wasza królewska mość...

SEKRETARZ *(daje mu znak aby milczał)*

KRÓL: Tak, pamiętam ten dzień jak dziś...

SEKRETARZ: Była wiosna.

DWORZANIN: Drzewa sypały białym kwieciem.

KRÓL: To była chwila najwyższego szczęścia... Nie, to nie wtedy. To było az w życiu, tam w Wenecji u malarza... *(spoglądając na rękę)* Dała mi wów zas ten pierścień z rubinem. Zmieniłem się wtedy, jakaś nowa siła, jakiś czar... 'eraz po latach widzę, że to nie było zwykłe spotkanie... Nazywała się Flora, yłoż to jej prawdziwe imię?...

MISTRZ: Flora?

SEKRETARZ *(daje mu znaki aby milczał)*

KRÓL: O chwilo jedyna a niepowrotna *(zakrywa oczy ręką, potem opuszcza ımiona, pełen boleści i rezygnacji oddala się, a za nim DWORZANIN)*

SEKRETARZ *(chodzi gniewnie po izbie)*: Jak waść myślisz, kto z nas dwóch odpadł królowi za kłamcę? Co?

MISTRZ *(pogodnie)*: Obaj.

SEKRETARZ *(pieniąc się ze wściekłości)*: Bodaj was!

MISTRZ: Nie ma się znów czym tak trapić.

SEKRETARZ: Tyle lat pełnej zasług służby i tak nikczemna niesława!

MISTRZ: Mości sekretarzu, przecież nie po raz pierwszy chyba zdarzyło s wam skłamać w służbie.

SEKRETARZ: Ale nigdy z takim skutkiem.

MISTRZ: Bo po raz pierwszy majestat dał łaskawie poznać po sobie, że s rozumie na łgarstwach.

SEKRETARZ: Nie w smak mi w tej chwili wasze krotochwile.

MISTRZ *(rozkłada ręce, dłuższa chwila milczenia, w czasie której nalew sobie wina i wypija je)*: Jakoś nie widać pana kasztelana.

SEKRETARZ: Już dawno tu powinien być, też marudzi. Chociaż lepiej, się trochę spóźnił. *(ze zdenerwowania nie może ustać w miejscu)* Że też musia jakieś licho przyprowadzić tutaj króla. I to dziś, właśnie dzisiaj.

MISTRZ: Wspomnienia młodości go niosły, wizje ukochanej.

SEKRETARZ: Raczej ukochanych.

MISTRZ: Pomylił nasz pan miłościwy z ojcostwem Afrodyty. Prawda, Zeus miał w tym swój udział, ale żeby był ojcem bogini miłości w dosłowny znaczeniu, to...

SEKRETARZ: Co mnie to obchodzi? Ja się pytam po coś się waść chowa Nie zjadłby cię przecie.

MISTRZ: Nie chciałem, aby mnie ciągnął za język w sprawie opisu tej wojn

SEKRETARZ: Właśnie, właśnie, tym gorzej.

MISTRZ *(chytrze)*: Nie chciałem, aby mnie nagabywał o to przed rozmow z panem kasztelanem.

SEKRETARZ *(zbity z tropu, miękko)*: Najgorzej, że był przy tym ten mł kos. Jutro cały zamek będzie wiedział i śmiał się z nas.

MISTRZ: Młodzika biorę na siebie, możesz mości sekretarzu być spokojny.

SEKRETARZ: Mała pociecha.

MISTRZ: Ale dialektycznie musisz przyznać, że ten dyskurs z majestate to ja wygrałem.

SEKRETARZ: Cóż mi po takiej wiktorii, kiedy obaj wyszliśmy na łgarz

MISTRZ: To nie ma praktycznego znaczenia.

SEKRETARZ: Czemu?

MISTRZ *(szeptem)*: Bo król już jakby umarł.

SEKRETARZ *(udając przerażenie)*: Co wy, mistrzu Piotrze?

MISTRZ: Patrzy na to, że dobiega już kresu, tuż, tuż.

SEKRETARZ: Co też waść gadasz.

MISTRZ *(poufnie)*: Trzeba się śpieszyć z tym, co jest jeszcze do zrobien

SEKRETARZ: Banialuki.

MISTRZ: Jak uważacie. Co do mnie, wiem dobrze jak mam postąpić w okoliczności. *(odstępując, jakby do siebie)* Raczej mi myśleć o tym traktac o Hypnosie i jego bracie bliźniaczym, aniżeli o sprawie Złotej Chorągwi.

SEKRETARZ *(twardo)*: Ja tego wszystkiego nie słyszałem, rozumiec mistrzu, i nie chcę słyszeć. *(szybko wychodzi)*

MISTRZ *(nalewa wina, ogląda je pod światło i powoli spija, podśpiewując sobie i przechadzając się po izbie)*

KASZTELAN *(wchodząc)*: Czołem waszmości.

MISTRZ: Sługa waszej wielmożności.

KASZTELAN: To acan sam tu jesteś? Gdzież to ichmość sekretarz, mój dobry przyjaciel i towarzysz? Szukam go po zamku już z godzinę chyba.

MISTRZ: Wyszedł przed chwilą, ale zaraz powróci.

KASZTELAN: Przez to błądzenie trochę się spóźniłem, chyba jakiś bies mnie wodził. Przecież nie pierwszy raz tu jestem.

MISTRZ: Czy może mam zaszczyt rozmawiać z panem kasztelanem tumskim, jaśnie wielmożnym z Dębowoli Dobutą?

KASZTELAN: W samej rzeczy.

MISTRZ: Mistrz Piotr z Judzewa Kroniachos, do usług.

KASZTELAN *(wyciąga rękę)*: Ach, mości panie.

MISTRZ: Pan sekretarz jego królewskiej mości polecił moje usługi wam, panie, w materii owej bitwy i Złotej Chorągwi, każąc tu przyjść i czekać.

KASZTELAN: To dobrze, mistrzu, że wiesz o co chodzi, prędzej celu dojdziemy. Ja tam nie lubię dużych ceregieli, jestem człek rycerski i słowo u mnie to cięcie szablą.

MISTRZ: Wzorem owych starożytnych bohaterów Homera...

KASZTELAN: A więc w krótkich słowach...

MISTRZ: Słucham pilnie.

KASZTELAN: Jak więc waści wiadomo już skądinąd, brałem udział w ostatniej bitwie tego królestwa, która się rozegrała nad Czarną Tanawą, potężną rzeką.

MISTRZ: Każdy rycerz tam stawający nie jest mi obcy z nazwiska i czynów, jakich w tej potrzebie dokonał.

KASZTELAN: Tak i ja myślę. Przecież piszesz, mistrzu, na zlecenie króla jegomości dzieje tej sławnej wojny i rzecz musi być dokumentnie znana.

MISTRZ: Bez wątpienia.

KASZTELAN: I dla wielu względów ciekawa.

MISTRZ: W myślach moich wasza wielmożność czytasz.

KASZTELAN: Byłoby więc, sądzę, ze stratą dla waszmości, gdybyś i mego świadectwa o wypadkach tej bitwy nie omieszkał ku lepszemu uwydatnieniu prawdy poznać. A mnie, człowiekowi już do grobu zmierzającemu, pozwolił ukazać rolę, jaką mi Opatrzność wyznaczyła w tym przesławnym spotkaniu największej wojny wszech czasów.

MISTRZ: Każda wojna odpowiednio opisana może uchodzić za największą.

KASZTELAN *(nie zrozumiawszy)*: Hę?

MISTRZ: Powiadam, iż rzeczą pióra jest uczynić nawet z małej wojny dużą.

KASZTELAN: O to mi właśnie chodzi, o takie pióro, do opisywania podobnych czynów zdolne. Nie darmo król jegomość spuścił się na was.

MISTRZ: Wasza wielmożność zbyt dla mnie łaskawa.

KASZTELAN: Broń Boże, mówię jak jest i nic więcej.

MISTRZ *(który od pewnego czasu oglądał się niespokojnie)*: Chwileczkę, dostojny panie, widzę tu opodal dzbanek z winem. Moglibyśmy pogłębić naszą konfidencję, jeśli łaska.

KASZTELAN: Co, wino? Rzecz nieodzowna w sprawach rycerskich.

MISTRZ *(nalewając i częstując)*: Zanim ichmość sekretarz powróci, oporządzimy to naczynie, bo do tego ono, prawdę mówiąc, i przeznaczone.

KASZTELAN: Zdrowie wasze, mistrzu, i szczęścia w dziele, które przedsięwzięliście.

MISTRZ: Obym był godny oddać piórem te czyny, które za chwilę posłyszę waszymi usty opowiedziane.

KASZTELAN: No to jeszcze po jednym.

MISTRZ: Święte słowa waszej wielmożności.

KASZTELAN: Zdrowie tego, który wziął na nieprzyjacielu Złotą Chorągiew.

MISTRZ: *Vivat, crescat, floreat!*

KASZTELAN: *Ad multos annos!*

MISTRZ: *Ad gloriam huius regni!*

KASZTELAN: *Amen!*

MISTRZ *(z nowym gąsiorem w ręku, z przebiegłą złośliwością)*: A kogoście, wielmożny panie, mieli na myśli w tej materii?

KASZTELAN: Jakżeby kogo? Samego siebie. Wasze zdrowie, mistrzu Piotrze!

MISTRZ *(z wrzaskliwą radością)*: *Vivat! (wychylają kubki).* A teraz słucham pilnie i notuję. *(siada za stołem chwytając za pióro)*

KASZTELAN *(trąc czuprynę)*: No tak, ale jak co do czego przyjdzie, to piekielnie trudno coś o tym powiedzieć, to jest chciałem wyrzec, stosownych słów dobrać. Więc jak to było? Ano kazano nam skoczyć na tę hołotę. Odrazu wzięliśmy tęgiego kłusa, a potem w galop. Na polu się uczyniło już takie kotłowisko, że nic nie rozróżnisz, gdzie nasi a gdzie ta dzicz Połońcy i Sumanowie. Prawe skrzydło nieprzyjaciela, nie, chyba lewe... nie, prawe, tak, dobrze powiadam, prawe, waliło naprzód jak opętane i na nie to właśnie przyszło nam uderzać. Przeto szliśmy co koń wyskoczy w to miejsce, gdzie ono skrzydło środka szyku tykało.

MISTRZ *(półgłosem)*: Jak dotąd mniej więcej się zgadza.

KASZTELAN: Co waść mówisz?

MISTRZ: Że wasza wielmożność jak żywe wszystko stawiasz przed oczy.

KASZTELAN *(chełpliwie)*: Prawda? Ale słuchaj wasze co dalej się stało, bo to przechodzi ludzkie pojęcie.

MISTRZ: Mało słucham, notuję.

KASZTELAN: A tam, dokąd zmierzaliśmy, zrobiła się nagle przerwa i w niej, w tej przerwie, w głębi, kupa jazdy ku nam gnająca. Nad nią zaś, jak smuga jutrzenki na wschodzie, Złota Chorągiew z czerwonym smokiem ziejącym ogniem.

MISTRZ: Momentum to bardzo ważne: z czerwonym smokiem ziejącym gniem. Proszę, mów wasza wielmożność dalej.

KASZTELAN: Ja, ma się wiedzieć, byłem w pierwszym szeregu...

MISTRZ: *(na stronie)*: Już się zaczyna.

KASZTELAN: ...naszej chorągwi...

MISTRZ: Jeszczem nie spotkał rycerza, coby mówił o sobie, że był w drum albo trzecim.

KASZTELAN: Co powiadasz?

MISTRZ: Notuję, wasza wielmożność, notuję wszystko dokumentnie.

KASZTELAN: I dobrze czynisz, bo zbliżam się do samego jądra sprawy. Więc gnamy tak aż konie brzuchami szorują po ziemi, zaś powietrzem tylko py łomot idzie. *(wchodzi POKOJOWY)*

POKOJOWY *(w stroju podróżnym — długie buty z ostrogami, obłocony aszcz)*

KASZTELAN: Kto tam?

POKOJOWY: Czołem, mości panowie. Gdzie imć sekretarz?

KASZTELAN: A, to ty, chłopcze?

MISTRZ: Kto by cię poznał, takiś schlastany błotem.

POKOJOWY: Strasznie dziś ciężka droga po wczorajszych deszczach.

MISTRZ: Prosto z Wenecji?

POKOJOWY: Prawie.

MISTRZ: Oczekują cię tu bardzo niecierpliwie, to znaczy poczty.

POKOJOWY: Już szydełko wsadził stary opój. Ależ miałem drogę.

KASZTELAN: Tośmy już słyszeli.

POKOJOWY: Moc przygód.

MISTRZ: Po zajazdach.

POKOJOWY: Więc *summa summarum*, nie wiecie gdzie sekretarz?

MISTRZ: Zaraz przyjdzie, tylko patrzeć. Siadaj, odpocznij, pogwarz.

POKOJOWY: Pójdę go poszukać.

MISTRZ: Czekaj, w gorącej wodzie kąpany!

POKOJOWY: Kiedy się śpieszę. Przywiozłem ze sobą dwóch Greczynów. zekają na bramie, bo już nocna straż i nie chcą ich wpuścić.

MISTRZ: Greczyni? Z Wenecji? Gdzie Rzym, gdzie Krym?

POKOJOWY: A właśnie, że Greczyni i z Wenecji, bracia rodzeni, nawet ono bliźniaki. No, to tymczasem bywajcie. *(wybiega)*

MISTRZ: Czekaj no, co za chłopak!

KASZTELAN: Zapaleniec, niech leci.

MISTRZ: Ciekawe co to za Greczyni?... Z Wenecji?...

KASZTELAN: Pewnie jakieś kupczyki, albo poszukujący przygód. Mało akich zawsze pchało się na nasze dwory?

MISTRZ: Z Wenecji?... Bracia?...

KASZTELAN: Pal ich licho! Lepiej posłuchaj co było dalej, bom właściwie *pars magna fui* w tym co się tam miało wydarzyć.

MISTRZ *(otrząsając się z zamyślenia)*: Słucham, słucham, wasza wielmożność
KASZTELAN: Aha, wzięliśmy już więc pełny galop *(okrakiem na zydlu*
i pędzimy aż ziemia jęczy. Idziemy klinem, a mnie fortuna rycerska pozwo
liła się znaleźć na samym szczycie.
MISTRZ: Rozumie się tego klina.
KASZTELAN: Jako żywo.
MISTRZ *(notując)*: Rozumiem i zatrzymuję sobie mocno w głowie.
KASZTELAN: A tymczasem, uważaj waszeć dobrze, z przodu widać wy
raźnie, że nieprzyjaciel przedarł się na nasze tyły, to znaczy... no co znaczy
MISTRZ: Że nasze wojsko rozerwane na dwie części.
KASZTELAN: O właśnie! Widzę żeś rycersko doświadczony i na bitwac
się, mistrzu, rozumiesz.
MISTRZ: Kto czytał Xenofonta a Tucydydesa, Cezara a Homera, jakb
sam brał udział w największych bojach świata.
KASZTELAN: A jam ich nie czytał i też wiem to samo i jeszcze więce
MISTRZ: Nie w tej intencji to mówiłem, wasza wielmożność.
KASZTELAN: Hm, więc jak się rzekło, nieprzyjaciel, a nad głowan
tego mrowia Złota Chorągiew, święty znak hospodarów i wodzów sumańsk
połońskich.
MISTRZ: Złota, powiada wasza wielmożność?
KASZTELAN: A jakaż by miała być? Mało to razy ją widziałem u strop
zamku, od tego czasu jak ją te oto ręce wyrwały wrogowi?!
MISTRZ: A jakież by inne potrafiły tego dokonać?
KASZTELAN *(chełpliwie)*: Co, hę? Ale słuchajcie dalej co się stało!
MISTRZ: Słucham pilnie.
KASZTELAN: Już jazda wraża w krasnych czapkach i srebrnych półpa
cerzach była coraz bliżej a bliżej...
MISTRZ: Bardzo nieprzyjemne *momentum.*
KASZTELAN: I rozcięliśmy ją jak brzytwą.
MISTRZ: Ha!
KASZTELAN: Tumult jak w piekle. A miałem takiego konia co gryz
strasznie zła bestia. Wszystkie inne cofały się przed nim w popłochu, nime
kogo nadążył mieczem zajechać.
MISTRZ: Taki koń, to prawdziwy skarb dla herosa.
KASZTELAN: Ale przeszkadza czystej robocie rycerskiej.
MISTRZ: No i co z tą chorągwią?
KASZTELAN: Nie ma tam jeszcze gdzie wina?
MISTRZ: Jest niemało, ale...
KASZTELAN: Bierz waść na moją odpowiedzialność.
MISTRZ *(nalewa)*: Piękne winko.
KASZTELAN: W wasze ręce, mistrzu!
MISTRZ: A w moje.
KASZTELAN: Powiadam, że w wasze.
MISTRZ: Znaczy moje.

KASZTELAN: Nie... W wasze.
MISTRZ: Co u was panie, wasze, to u mnie moje.
KASZTELAN: Do krocset, jak powiadam, to powiadam.
MISTRZ: Że w wasze ręce, panie, ta chorągiew.
KASZTELAN: A w czyjeż by jak nie moje?
MISTRZ: Więc pod tą chorągiew...
KASZTELAN: Lej mistrzu!
MISTRZ: Przeto jak się konie pogryzły...
KASZTELAN: Tak, jak się pogryzły... zaraz... Jak to się pogryzły?
MISTRZ: Ot po prostu pyskami.
KASZTELAN: A słusznie, pyskami, tak, a czym innym miałyby się pogryźć?
MISTRZ: Prawda?
KASZTELAN: A więc patrzę, a tu przede mną coś olbrzymiego, całe ze złota. A kiedy wiatr poruszył tą masą złocistości, zobaczyłem jakieś cudackie litery i ogon smoka. Wtedy poczułem, że stanąłem oko w oko z moją fortuną rycerską.
MISTRZ: I ciąłeś pewnie, wasza wielmożność!
KASZTELAN: Ale jak!
MISTRZ: Przez łeb, aż do siodła.
KASZTELAN: Potem siodło...
MISTRZ: Konia...
KASZTELAN: Równiutko, równiusieńko!
MISTRZ: Bierz go kaci!
KASZTELAN: A sam cap za drzewce!
MISTRZ: Tam do licha!
KASZTELAN: I trzymam.
MISTRZ: O rany!
KASZTELAN: Co?!
MISTRZ *(po chwili)*: I pewnie pokłuli waszą wielmożność przy tym.
KASZTELAN: Jeszcze jak.
MISTRZ: Zaś towarzysze chcieli ją wyrwać, żeby sobie zaszczyt przypisać, kiedy już była bezpieczna?
KASZTELAN: Jakbyś tam był.
MISTRZ: Potem wasza wielmożność miałeś kilka spotkań na ostro.
KASZTELAN: Skąd wiesz?
MISTRZ *(nalewając sobie wina)*: Tak... różni mi...
KASZTELAN *(radośnie)*: Już ci o mnie rozpowiadano?
MISTRZ *(mrukliwie)*: Każdy o sobie.
KASZTELAN *(nachyla się nad stołem i MISTRZEM przesłaniając swą osobą całe padające na komnatę światło)*: Jak powiadasz, hę? *(Jednocześnie na zaćmioną scenę pada ukośny snop księżycowego światła i otwierają się na oścież wszystkie drzwi. Od okna po miesięcznym promieniu zstępują bezszelestnie HYPNOS i THANATOS krokiem zdradzającym pośpiech; kierują się ku drzwiom i jeszcze w nich zupełnie nie zniknęli, kiedy zapada kurtyna)*

## AKT DRUGI

*Ta sama izba kancelaryj królewskich. MISTRZ i KASZTELAN w pozycjach z końca pierwszego aktu. We drzwiach przeciwnych tym, gdzie zniknęli HYPNOS i THANATOS, staje SEKRETARZ.*

SEKRETARZ *(zamyka za sobą drzwi i podchodzi do stołu)*: Widzę *(z przekąsem)* że i beze mnie dajecie sobie waszmościowie radę.

MISTRZ: Wino — rzecz publiczna.

KASZTELAN: Póki się go w gardziel nie wleje.

SEKRETARZ: A co z rzeczą o wojnie? Może już rozmowa o niej skończona?

KASZTELAN: Opisałem jak i co, tylko...

MISTRZ *(wskazując na KASZTELANA)*: Wielki rycerz! Znamienite czyny!

SEKRETARZ: Ja już resztę załatwię, wasza wielmożność.

KASZTELAN *(dając sakiewkę MISTRZOWI)*: To na początek. Pisz i niech prawda przykładem świeci po wieczne czasy.

SEKRETARZ: Amen.

MISTRZ: Nie omieszka też moje pióro oddać najwierniej tego, com słyszał z miodopłynnych ust waszej wielmożności.

SEKRETARZ: Nie czas i miejsce po temu, aby się rozwodzić jeszcze nad tą sprawą. Nareszcie przybyła poczta.

MISTRZ: A ci Greczyni?...

SEKRETARZ: Jacy Greczyni?

MISTRZ: Był tu Kostka i mówił.

SEKRETARZ: Nic o tym nie wiem, jeszczem z nim słowa nie zamienił. Będę musiał posiedzieć do rana.

KASZTELAN: Dajże spokój, w nocy pracować. Jeszcze coś podobnego mi się w życiu nie przytrafiło.

SEKRETARZ: Służba, mości kasztelanie.

KASZTELAN: Co za czasy! Żeby nocą pracować.

SEKRETARZ *(do KASZTELANA)*: Jeszcze waszą wielmożność zatrzymam u siebie na chwilę.

MISTRZ *(zrozumiawszy)*: No to sobie pójdę. Jutro trzeba z samego rana do żaków.

SEKRETARZ: Teraz mistrzu do roboty, tylko wartko. O reszcie was powiadomimy.

KASZTELAN: A ja ze swej strony zamawiam sobie was, mistrzu, na jutro w gospodzie „Pod Trzema Lutniami", na wieczorny Angelus.

MISTRZ: Nie uchybię ani minuty, dostojny panie *(wychodzi)*.

SEKRETARZ: Zaraz tu będzie Kostka ze swymi młodzieńcami.

KASZTELAN: Więc ich widziałeś, mości panie?

SEKRETARZ: Ale z daleka. Bardzo gładcy i foremni Greczyni. *(porządkuje papiery i stół, ustawia kubki i dzban)* Mieszkają stale ponoć w Wenecji.

KASZTELAN: No to sobie pogawędzimy. Noc na to stworzona, a jeszcze do gruchania miłosnego, no i spania. *(na wieży bije zegar)*

SEKRETARZ: Jedenasta, jeszcze wczas. Goście trochę posiedzą, potem przejrzę pocztę.

KASZTELAN: Odłóż waść lepiej tę robotę do rana.

SEKRETARZ: Jutro pan podkanclerzy musi już mieć w aktach ład i porządek, żeby przed południowym Angelusem mógł złożyć raporta królowi.

KASZTELAN: Widzę, że tu u was praca idzie przez cały rok, jak u nas we żniwa.

SEKRETARZ: Tam porządek zakreśla natura, tu jesteśmy sługami całego królestwa. *(wchodzą DWAJ MŁODZIEŃCY bliźniaczo do siebie podobni, bardzo piękni, mocno śniadej cery. Pierwszy z nich — HYPNOS, ubrany w zielone spodnie, rękawiczki i beret oraz w żółty kaftan i pióro przy berecie; THANATOS natomiast odpowiednie części odzienia ma utrzymane w barwach czarnej i białej. Poza tym trzyma on w ręku cienkiego a długiego na łokieć węża, zaś HYPNOS wielki kwiat maku; za nimi POKOJOWY)*

POKOJOWY: Otóż i nasi goście: panowie Nizetas i Nikiforos Theotocopulos. Ale to nieważne, bo wołają na siebie Thana i Hyp. Jużeśmy doszli do takiej konfidencji, że i ja inaczej na nich nie wołam.

SEKRETARZ i KASZTELAN *(składają głęboki ukłon, goście odpowiadają podobnym)*

POKOJOWY: Imć pan Derśniak, sekretarz kancelaryj królewskich i pan kasztelan tumski Jakub z Dębowoli Dobuta. *(znów wymiana głębokich ukłonów)*.

SEKRETARZ: Siadajcie waszmościowie, bardzo proszę.

KASZTELAN: Miło mi powitać ichmość panów.

HYPNOS i THANATOS *(składają znów głęboki ukłon)*

SEKRETARZ: Pora jest późna i miejsce nie na przyjmowanie tak znamienitych gości.

KASZTELAN: Ale serca ochotne do konfidencji, zaś wino ułatwi nam rozmowę. *(młodzieńcy ciągle się kłaniają i to coraz niżej, zmuszając gospodarzy do przyjmowania męczących dla nich postaw)*

SEKRETARZ: O tak, wino jest niezawodne przy takich okazjach.

POKOJOWY: Jegomoście są już po wieczerzy, bośmy się zatrzymali pod

miastem w gospodzie i nawet niezgorzej pojedli. Tak, że noc spędziliśmy niedaleko, więc i jazda nas nie zmęczyła. Żeby nie ta błotnista droga.

SEKRETARZ: Wino jest niezawodne w każdej przygodzie. *(znów ukłony)*

KASZTELAN *(zniecierpliwiony)*: E, dość tych ceregieli, tam do kata! Siadajcie i koniec. *(trochę przemocą sadza młodzieńców)* O tu, a waść tutaj. *(podsuwa kubki, leje wino)* Proszę waszmościów, dosiego roku. *(podczas gdy KASZTELAN traktuje gości napitkiem, POKOJOWY odciąga na bok SEKRETARZA)*

POKOJOWY: Żebyście panie wiedzieli jak i co, to wam powiem, że oni teraz mieszkają stale w Wenecji. To rzecz pewna, bo mi wymieniali wiele nazwisk swych krewnych i przyjaciół. Niejednego z nich znam osobiście, wszystko ludzie z największych familij kupieckich, żyjących z handlu ze wschodem i z bankierstwa.

SEKRETARZ: Z bankierstwa, powiadasz?

POKOJOWY: A bogactw mają ze sobą w bród, wiozą całą skrzynię złota. Podejrzałem ich.

SEKRETARZ: Wyglądają po cudacku, ten wąż...

POKOJOWY: To podobno teraz taka moda nosić ze sobą węża, albo i żółwia nawet.

SEKRETARZ: Nigdy nie słyszałem.

POKOJOWY: Sami tak powiadają.

SEKRETARZ: A tyś nie widział? Przecież ciągle jeździsz po świecie.

POKOJOWY: Widzieć nie widziałem, ale dość cudackich obyczajów dotąd naspotykałem, by się temu nie dziwować.

SEKRETARZ: Mniejsza z tym, to mi wystarczy. *(podchodzi do gości)* Wasze wysokoście zdaje się zawitały do naszego królestwa po raz pierwszy?

THANATOS: Tak, bardzo zabawne, bardzo.

KASZTELAN: Zabawne, powiadasz waść? To chyba ten wąż zabawny.

THANATOS: On swoją drogą.

KASZTELAN: Albo może ta makówka, co? Hę?

THANATOS: Ona też zabawna, w ogóle wszystko zabawne.

HYPNOS: Bardzo zabawne... *(ziewa)*. Przepraszam, ale musiałem. Mam swoją porę, kiedy to muszę odrobić.

KASZTELAN: Odrobić?

SEKRETARZ: Zmęczenie ma swoje prawa, każdy z nas...

POKOJOWY: Mieliśmy dziwne i nadzwyczajne przygody. Gdzie zajechaliśmy, a jedziemy razem niemal od samej Wenecji, musiało się komuś zemrzeć. To w samej gospodzie, to na drodze, to w sąsiednim domu.

THANATOS *(zdziwiony)*: A, rzeczywiście.

HYPNOS: Prawda, nawet tego nie zauważyłem.

POKOJOWY: Dziwny pech, powiadam wam. Nawet i tutaj, pod samym prawie miastem, gdyśmy się zatrzymali, aby coś niecoś pojeść, jakaś dama, powiadali wojewodzina czy kasztelanowa, bliżej się nie rozpytywałem.

KASZTELAN: Gdzie to było?

POKOJOWY: W Skale.
KASZTELAN: Rety, to moja jejmość.
SEKRETARZ: Ależ, mało to kasztelanowych w naszym królestwie.
POKOJOWY: Przecieżem...
KASZTELAN: Kiedy stamtąd tu przyjechałem. Pod samą Skałą zostawi-
m ją dziś, przed zachodem słońca.
SEKRETARZ *(stanowczo)*: Nie może być.
POKOJOWY: Jechała w zielonej kolasie.
KASZTELAN: W zielonej, powiadasz?
POKOJOWY *(monitowany na migi przez SEKETARZA)*: Tak mi się zda-
ało.
KASZTELAN: O rety, rety!
SEKRETARZ: Jednak ja ciągle twierdzę, że...
POKOJOWY: Suknię miała czarną i aksamitny, wiśniowej barwy płaszcz.
KASZTELAN: Nie chybi, że to pani Katarzyna. O rety, rety, rety. Jak to
ę stało, kiedy była dziś zdrowa jak ta łania.
SEKRETARZ *(do POKOJOWEGO)*: Nie do wiary, żeby tak wszystko pa-
iętać jak tu mówisz.
KASZTELAN: Kto żyw, konia podawać!
SEKRETARZ: Chwileczkę, nie mogę uwierzyć...
POKOJOWY: Ja tam nie wiem, może...
KASZTELAN: Konia, na rany boskie konia!! *(wybiega)*
SEKRETARZ *(gniewnie do POKOJOWEGO)*: To wszystko nie do wiary,
by tak spamiętać barwę kolasy i sukni. I jeszcze...
POKOJOWY: Czyż nie wszystko jedno kiedy się dowie, teraz czy później,
tak prawda człowieka nigdy nie minie.
SEKRETARZ: Ale chociażby przez wzgląd na panów. *(wskazuje na gości)*
THANATOS: O, to nie takie straszne — śmierć.
HYPNOS: Zapadamy w wieczysty sen, w krainę marzeń, gdzie ponad zło-
mi łanami zbóż brzęczą zielone bąki. W zbożu pełno maków, oczekujących
rzyjścia zmęczonej duszy. Ich kolor jest kolorem radości. Gdyby ich przezna-
eniem było mówić, powiedziałyby: bądź pozdrowiona, duszo samotna!
SEKRETARZ: Być może, jednak...
POKOJOWY: O panów się waść nie trap.
SEKRETARZ: Właśnie chodzi o to, aby tu...
POKOJOWY: O wa!
SEKRETARZ: Zamek królewski nie jest gospodą.
THANATOS: Ach, mości sekretarzu, nie bądź tak utrapiony. Jeszcze do-
d nic się naprawdę tutaj nie stało.
HYPNOS: Łąki zielone jak okiem sięgnąć, a nad nimi łuki tęcz, jedna za
ugą. Ktoś będzie szedł, już podmuch trąca kwiaty maków.
THANATOS: Śmierć nic strasznego, jakby wyjście przez... okno.
SEKRETARZ: Zupełnie trafne, bardzo trafne. Nade wszystko to oswojenie
ę. Tacy lekarze na przykład...

THANATOS *(z niechęcią)*: Och, ci lekarze, oni tylko przeszkadzają.
POKOJOWY: Napijmy się więc za zdrowie naszych drogich gości.
SEKRETARZ: Doskonały pomysł *(nalewa kubki, piją)*.
HYPNOS *(potrząsa makówką, płatki opadają na ziemię)*: Obudził się dru wietrzyk przeciwny tamtemu i przebiega po kwiatach.
THANATOS: Dochodzi kresu.
SEKRETARZ: O czym panowie mówią? Bowiem...
THANATOS: Jak zdrowie waszego króla?
SEKRETARZ: Doskonale.
THANATOS: A serce?
SEKRETARZ: Skąd wasza dostojność?... *(opanowuje się)* Tak, ale to zw kłą przypadłość w tym wieku po dziesiątkach lat trosk publicznych.
HYPNOS *(potrząsa makówką jak grzechotką)*: Eloo!...
SEKRETARZ: Nie rozumiem.
POKOJOWY: Okrzyk bawiących się w karnawałowych orszakach w W necji.
THANATOS *(szyderczo)*: Tak, *(wznosi kubek)* Eloo ha!!
HYPNOS: Eloo ha!
POKOJOWY: Eloo ha!
SEKRETARZ *(w pomieszaniu)*: Skąd tak nagle?... Bardzo przeprasza
POKOJOWY: Z wina.
HYPNOS i THANATOS *(zastygają nagle w złowieszczym znieruch mieniu)*
SEKRETARZ *(ciągle niespokojny)*: Bardzo przepraszam... Co praw stary węgrzyn najlepiej topi smutki. Proszę jeszcze spróbować, pamięta kró Ćwieczka.
POKOJOWY: Który miłościwie panował, a potem umarł.
SEKRETARZ: O właśnie, umarł... Tak... Ale wino zostało, proszę bardz proszę się gościć.
POKOJOWY *(śpiewa)*: *Poszła dziewczyna do boru*
*Do zielonego jaworu —*
*Zaśpiewał ptak.*
*A po gaju, po zielonym...*
HYPNOS i THANATOS *(wybuchają śmiechem, po czym nagle milkn chwila naprężonej ciszy)*.
SEKRETARZ *(do POKOJOWEGO)*: Przestałbyś! Noc i po zamku ec się niosą. Jakieś głupie piosenki.
POKOJOWY: Wszystko jest głupie. Ja głupi...
SEKRETARZ *(do gości)*: Ostatnio jesteśmy w stosunkach z domem ba kiera del Sóla. Pewnie jest wam znany.
THANATOS: Gotów wam pożyczyć żądaną sumę. Tylko się śpiesz czas jest przeciw wam.
SEKRETARZ: Skąd to wiecie?... To jest... Tak, właśnie do niego pisaliśm
THANATOS: Rzecz jest wyjątkowo pilna.

HYPNOS: Czarny anioł kołysze do snu dojrzałe łany.

SEKRETARZ: Jak mam to rozumieć?

THANATOS: Pan wasz jest ciężko chory.

SEKRETARZ: Ależ jak można...

POKOJOWY *(pełnym głosem)*: A po gaju, po zielonym... *(mówi)* Dobre, co? Po zielonym, po zielonym, ha, ha.

SEKRETARZ: Milcz, jeśli ci życie miłe.

POKOJOWY *(po krótkim namyśle)*: Nie, niemiłe.

HYPNOS: Złota korona toczy się w pyle rozdroża...

THANATOS: Tam wiedzą o tym, o wszystkim.

SEKRETARZ *(w najwyższym pomieszaniu)*: O czym? Gdzie? *(groźnie)* O czym panowie mówicie?

THANATOS *(twardo)*: Dołączy wrychle do korowodu przodków.

HYPNOS: Kłos za kłosem w łanie stoi.

THANATOS: Śpieszcie się.

HYPNOS: Za wiatrem suną ociężałe łany.

POKOJOWY *(nagle zaniepokojony)*: Co, śpieszyć się? Od dzbana? Po co? Szkoda dzbana, mości sekretarzu, a mój dobrodzieju.

SEKRETARZ: Widzę, że plotki stały się dla nas groźne, kiedy urągają zdrowemu rozsądkowi i prawdzie, powtarzam: i prawdzie. *(postępuje parę kroków jakby coś zdecydował, zatrzymuje się, spostrzega, że makówka w ręku HYPNOSA posiada znów płatki)* Co to, jak to? Czary czy omam?

HYPNOS *(z galanterią)*: Kwiat maku.

SEKRETARZ: Przecież widzę, ale te płatki...

POKOJOWY *(wesoło)*: To ci sztuka. I ja niedługo wyuczę się tego. Hyp to robi na zawołanie. Już od Wenecji kilka razy tak zrzucił te płatki z makówki i nowe osadził. Ostatni raz pokazał tę sztukę w Skale, kiedy to spotkaliśmy ową kasztelanową.

SEKRETARZ *(czyniąc znak krzyża)*: Miej nas w swej mocy, wielki Boże!

HYPNOS: Inna aura i kwiat więdnie, traci płatki, ale się znów odradza w ręku nieśmiertelnego.

POKOJOWY: Hyp, kiedy mnie nauczysz tego?!

SEKRETARZ: To nie ludzkie.. I ten wąż...

THANATOS: Andrea del Sola jest dla was dobrze usposobiony, ale jak będzie z tą wojną z Sarabanami?

SEKRETARZ: Ksiądz kanclerz już przekonany i stany też, tylko nasz pan miłościwy jeszcze nie gotowy.

THANATOS *(ciągle zabawia się wężem, który to sztywnieje, to skręca się i wije lśniąc srebrem i złotem)*: Państwu potrzebna od czasu do czasu wojna, spulchnia ona zastałą rolę i wyzwala nowe siły.

POKOJOWY: Ha, osioł ze mnie!

SEKRETARZ: Co takiego?

POKOJOWY: Tam w sakwie leży pismo od del Soli, zapomniałem na śmierć.

SEKRETARZ *(rzuca się ku sakwie i równie gwałtownie wstrzymuje się)*
THANATOS: Śpieszcie się!
HYPNOS: Śpieszcie!
POKOJOWY *(nalewając wina)*: A więc pod tą nową wojnę — na pohybel Sarabanom!
SEKRETARZ: Niech będzie chwała naszemu orężowi! *(wychylają kubki)*
THANATOS: Cześć waszym rycerzom!
HYPNOS: Srebrny miecz sunie i łany się kładą pokotem...
SEKRETARZ: A może odmówił?
POKOJOWY: Kto?
SEKRETARZ: Może del Sola odmówił nam pieniędzy?
THANATOS: Powiedzieliście, że na wojnę?
SEKRETARZ: Tak.
THANATOS: Na pewno ją wygracie, tę wojnę.
SEKRETARZ: Żeby tylko pan nasz miłościwy chciał poprzeć nasze plany...
POKOJOWY: Do czarta, nie ma tu nic do picia?
SEKRETARZ: Tam w drugiej izbie jest jeszcze parę dzbanów, możesz skoczyć po nie.
POKOJOWY *(zataczając się zmierza ku drzwiom)*: Lecę duchem.
THANATOS: Czas na nas.
HYPNOS *(powstając)*: Odpływa ostatni widnokrąg...
POKOJOWY *(który nie zdążył jeszcze zamknąć za sobą drzwi, wraca bardzo zmieszany)*: Miłościwy pan tu kroczy!
SEKRETARZ: Kto, król?
POKOJOWY: Jest wpół drogi ganka.
HYPNOS *(w nagłej panice)*: Uchodźmy stąd!
THANATOS *(podobnie)*: Nie masz chwili do stracenia!
SEKRETARZ: Co robić?
HYPNOS: Trzeba uchodzić.
POKOJOWY: Ale gdzie?
HYPNOS: Tędy można? *(pokazuje na przeciwne drzwi)*
SEKRETARZ: A jakże.
HYPNOS: Prowadź nas, mości sekretarzu.
THANATOS: Prędzej, już słychać kroki.
POKOJOWY: Panowie, nie ma co, tylko w nogi.
SEKRETARZ *(w panice chwyta naczynia ze stołu i wrzuca za skrzynię)*: Proszę za mną *(zmierza do wskazanych przez THANATOSA drzwi, zatrzymuje się jakby chciał zawrócić, krótki namysł, machnięcie ręką, już w samych drzwiach jeszcze chwila wahania; w tym momencie pojawia się KRÓL idący w głębokim zamyśleniu; przestępuje on próg drzwi, w które nie dostrzegając królewskiego ducha wpadają w popłochu sekretarz popychany z tyłu przez HYPNOSA ciągnącego za rękę POKOJOWEGO. Na środku izby pozostał z wężem w ręku THANATOS niedbale oparty o stół)*

THANATOS *(do KRÓLA, który go chce minąć w drodze ku drugim drzwiom)*: Wasza królewska mość pozwoli.

KRÓL *(zbudzony z zadumy)*: Kto mnie wołał? A to waszmość... nie znam...

THANATOS: Jestem Thanatos.

KRÓL: Przepraszam, ale nic mi to nie mówi.

THANATOS: Bóg śmierci.

KRÓL: A, to o tobie mistrz Piotr pisze teraz traktat?

THANATOS: Ma on daną sobie wielką łaskę.

KRÓL: Jakąż to?

THANATOS: On jeden gotował się na moje tu przyjście. Ma dar intuicji.

KRÓL: Intuicji? Nie rozumiem. Bardzo chciałem, żeby mi opisał tę ostatnią wojnę. Z kim to było?

THANATOS: Z Połońcami i Sumanami, panie.

KRÓL: O właśnie. Zdaje się, że tracę pamięć i to z dnia na dzień.

THANATOS: Trwa dopiero chwilę, kiedy wasza królewska mość rozstał się z tym światem.

KRÓL: Przepraszam, jak imię?

THANATOS: Thanatos, bóg śmierci.

KRÓL: Bóg śmierci? Podłe zajęcie, tylko że nieśmiertelny. To jednak ocaleliście mimo, że prawdziwa wiara zapanowała nad światem.

THANATOS: Zostaliśmy symbolami wiecznie obecnych sił, my starzy bogowie.

KRÓL: Więc waść jest symbolem? Bo sądząc po postawie wyglądasz jak żywy.

THANATOS: Przecież istnieję.

KRÓL: Jednak.

THANATOS: Jestem postacią siły konkretnej i bezwzględnej, ale nią nie rządzę.

KRÓL: A kto?

THANATOS: Niebawem wasza królewska mość przekona się o tym sam.

KRÓL: O ile się nie mylę, strój waszeci jest zrobiony krojem dzisiejszych czasów, a jesteś przecież starożytnym?

THANATOS: Ale siła we mnie ta sama co wczoraj, jak jutro, jaką była na początku, jaką będzie na końcu. Strój, ten strój, to tylko łuska stosowna do okoliczności, w których wypada nam działać. Jestem nieśmiertelny, bo takim jest ów zwany Hermesem.

KRÓL: To ten, którego mam ujrzeć niebawem?

THANATOS: Ujrzysz wasza królewska mość jeszcze więcej. Nieśmiertelność jest pełna cudów dla tych, którzy chcą być w niej obecni.

KRÓL: Obecni...

THANATOS: Którzy gorąco jej pragną.

KRÓL: O ile mnie pamięć nie zawodzi, to imię waści Thanatos.

THANATOS: Trafnie powiedziane.

KRÓL: Ta moja biedna pamięć, coraz z nią gorzej.

THANATOS: Będzie jeszcze gorzej. To ostatnia rozmowa o sprawach ziemskich.

KRÓL: Jakże to?

THANATOS: Osobliwa to chwila, kiedy się stoi w progu dwóch światów, poza żywotem ludzkim a w obliczu wieczności.

KRÓL: A nie można by tego uniknąć?

THANATOS: Mało tego, trzeba jeszcze samemu potrudzić się, aby wyjść z doczesności.

KRÓL: To okrutne i nielitościwe, ta wieczna walka, ten brak spoczynku.

THANATOS: A bardzo byście go pragnęli, panie?

KRÓL: O tak, przy niej, czuć zapach jej włosów, wdychać tchnienie jej falującej piersi.

THANATOS: Gdzież tu o spoczynku mowa, raczej byłaby to sytuacja domagająca się wysiłku.

KRÓL: Więc o czym mówiłeś, mój nudny gościu?

THANATOS: O rzeczach ostatecznych i pilnych.

KRÓL: To niedobrze. Rzeczy ostateczne i pilne *(chwila milczenia, rozgląda się po komnacie)*... Zaraz, zaraz, skąd ja znam tę komnatę...

THANATOS: To komnata na zamku gdzie Wasza Królewska Mość żył przez wiele lat, panując tej krainie.

KRÓL: Ach prawda, jestem królem, zupełnie o tym zapomniałem.

THANATOS: Wasza królewska mość już przestał być monarchą.

KRÓL: Jakto, jestem zdetronizowany? Kto śmiał na pomazańca wycią gnąć...

THANATOS: Przecież umarliście już, panie. Właśnie przed chwilą du sza opuściła mdłe ciało i natychmiast zaczęło ono tracić swą świeżość.

KRÓL: Przestańmy o tym, to wstrętne. Powiedz mi raczej, dlaczego tytu łujesz mnie jeszcze królewską mością?

THANATOS: Dla łatwiejszego porozumienia się.

KRÓL: Dawno umarłem?

THANATOS: Wszelka miara czasu straciła dla was, panie, swój sens Choć stoicie dopiero w progu, ale zwróceni obliczem w wieczność. Tam was czekają źródła nowej świadomości.

KRÓL: Więc to prawda, że już umarłem?

THANATOS: Oczywiście.

KRÓL: Ktoś mi już o tym wspominał.

THANATOS: Zwłoki waszej królewskiej mości leżą na podłodze.

KRÓL: Gdzie, na podłodze?

THANATOS *(z lekkim szyderstwem)*: Ale pokrytej grubym kobiercem

KRÓL: To dobrze, to dobrze, mógłbym się był potłuc padając.

THANATOS: Zgon nastąpił zupełnie niespodziewanie, kiedy dworzanin wyszedł z poleceniem.

KRÓL: Tak samotnie umrzeć, o dolo.

THANATOS: To nie takie ważne, sposób i okoliczności zgonu.

KRÓL: Czy się bardzo zmieniłem po śmierci?

THANATOS: Raczej na korzyść.

KRÓL *(spoglądając na rękę z niepokojem)*: O, gdzie mój pierścień?

THANATOS: Pozostał wraz z ciałem.

KRÓL: Muszę go mieć. Co zrobić? Chyba się wrócę...

THANATOS: Utracił już swą moc czarowną, kiedy z ciała uleciało życie.

KRÓL: Skąd wiesz?

THANATOS: Bo był dany ciału.

KRÓL: Aha, a czy dworzanin mnie już odnalazł?

THANATOS: Jeszcze nie, zajęty jest pieszczeniem napotkanej dziewczyny służebnej.

KRÓL: Ha łotr, ja go nauczę, rozpustnika!

THANATOS: Niestety, pusta to tylko groźba i niepotrzebna irytacja.

KRÓL: Bo on, zamiast wypełniać co mu się kazało, dziewczyny po kątach obłapia.

THANATOS: W tej chwili pieści już łono. Cały incydent ma zresztą szybkie tempo.

KRÓL: Co to znaczy „incydent" i „tempo"?

THANATOS: Po co to teraz wam, panie?

KRÓL *(niecierpliwie)*: Nie podoba mi się to wszystko. Jesteś nudny i złośliwy. Swoją wykrętną mową doprowadziłeś do tego, że nie wiem na jakim świecie się znajduję.

THANATOS: Chyba moim zachowaniem nie dałem najmniejszego powodu?

KRÓL: Nie, ale coś tu nie jest w porządku.

THANATOS: Mówimy o wieczności.

KRÓL: No więc co z tego? Żebyś chociaż powiedział, gdzie ona, ta wieczność.

THANATOS *(wskazując na okno)*: Tu zaraz za oknem. A ściślej rzecz ujmując, w duszy.

KRÓL *(do siebie)*: To jakiś podejrzany człowiek. Skąd on się tu wziął? *(do THANATOSA)* Tak mój panie, coś tu nie jest w porządku.

THANATOS: Nic dziwnego, wasza królewska mość umarł, gdzież tu mówić o jakimś porządku tak po ziemsku pojętym.

KRÓL: Prawda, ja umarłem, więc ten trudny moment, którego się tak przeraźliwie obawiamy, już poza mną. Jakże ci jestem wdzięczny.

THANATOS: Po to jestem, aby w tym najtrudniejszym momencie dopomóc, obudzić czujność duszy.

KRÓL: Ty, pogańskie bóstwo, mnie, chrześcijańskiego króla?

THANATOS: Jestem zaliczony w poczet aniołów jako naczelny zwiastun śmierci.

KRÓL: Niewiele mnie to obchodzi zresztą, czyś wasze zaliczony czy nie. Lepiej powiedz mi, jak to lud nazywał mego ojca?

THANATOS: Stary król. Jego imieniem ochrzczono dzwon ulany z dział zdobycznych.

KRÓL: To było zdaje się nad... nad...

THANATOS: Nad Czarną Tanawą.

KRÓL: O właśnie. *(chwila milczenia)* To był naprawdę wielki król, mój ojciec. Nie dorównałem mu, jakże jestem nędzny.

THANATOS: Czas stąd iść, panie.

KRÓL: Kiedy powiedziałeś, że czasu nie ma.

THANATOS: Nie, to przywidzenie.

KRÓL: Ależ...

THANATOS: Zresztą to był tylko idiom „czas stąd iść".

KRÓL: Rozumiem, to znaczy trzeba się z tym wszystkim rozstać, z tym wszystkim na co się patrzało i co się lubiło przez tyle lat. Rozstać się...

THANATOS: Na zawsze.

KRÓL *(machinalnie)*: Napiłbym się czegoś.

THANATOS: To złudzenie, echo posiadanego niegdyś ciała.

KRÓL: Masz rację, rzeczywiście już nic nie czuję. Możebym usiadł raczej.

THANATOS: Też złudzenie.

KRÓL: Słusznie, znowu przeszło. A powiedz mi, co będzie z tym królestwem, które odszedłem?

THANATOS: Trzeba było się trapić o nie, kiedy był na to czas. Dziś o innym już władztwie należy myśleć.

KRÓL: Ale co będzie z moim królestwem, które porzucam?

THANATOS: Zostanie po panowaniu waszej królewskiej mości „Złoty Wiek".

KRÓL: *Aurea aetas*.... Jak to pięknie brzmi!

THANATOS: Oczywiście dzięki zasługom różnych pisarzy, których Opatrzność wyposażyła w pewne szczególne zdolności używania słowa.

KRÓL *(dotknięty)*: Coś podobnego! *(odwraca się doń tyłem, następuje trwająca dłuższą chwilę cisza, w czasie której bóstwo bawi się wężem, zaś KRÓL obrzuca je podejrzliwym spojrzeniem przez ramię)* A ten dworzanin, jakże mu tam... przecież waść wszystko wiesz. *(cisza)* Przestał obłaskawiać tę dziewczynę i raczył sobie przypomnieć wreszcie o mej niskiej osobie?

THANATOS: Jeszcze nie, właśnie kończy miłosne znoje.

KRÓL *(ciągle oburzony)*: Znam mych dworzan w tym względzie, niczym ich oderwać od czary miłości.

THANATOS: Wszystko na tym świecie ma swój początek i swój koniec.

KRÓL: To znaczy, że moje zwłoki mają czekać, póki jakiś świszczypała nie skończy miłosnych zalotów?!

THANATOS: Czas najwyższy obejrzeć się na siebie.

KRÓL *(zakłopotany)*: Może mi zatem powiesz waść, kiedyś już tak łaskaw na mnie, czy ten bakałarz sporządzi kronikę...

THANATOS: Nie.

KRÓL: Dlaczego?

THANATOS: Bo wasza królewska mość, właściwy inicjator tej pracy, raczył osierocić swoje królestwo, więc nie znajdując podniety z rozkazu płynącej załamie się pod kupą łgarstw waszego rycerstwa. Będzie się wolał oddać cichej, ale owocniejszej pracy nad mitami o mnie i moim bracie.

KRÓL: Mitami?

THANATOS: Coś w rodzaju pieśni opiewających piękno istoty naszego udziału w nieśmiertelności.

KRÓL: Bardzo zawiłe, nic nie mogę pojąć...

THANATOS: Naumyślnie tak powiedziałem, bo po co wam, panie, to wiedzieć.

KRÓL: Powiedziane niegrzecznie, ale się już do tego przyzwyczaiłem.

THANATOS: Tylko dlatego, że wasza królewska mość nie może zawołać pachołków i kazać mnie ocwiczyć.

KRÓL *(po chwili milczenia):* Jednak mi szkoda tego traktatu, że nie zostanie napisany.

THANATOS: I tak by nic nie wyjaśnił.

KRÓL: Tyle w tej sprawie niedobrych rzeczy, które by mogły postawić nasze rycerstwo w fałszywym świetle, że...

THANATOS: O przepraszam, macie szereg arcyznamienitych rycerzy, którzy okryli chwałą swój oręż i to królestwo w niejednej naświecie potrzebie. Tylko...

KRÓL: Tylko?...

THANATOS: Tylko zwykłą koleją ludzkiej natury po owoce zwycięstwa, zdobyte w krwawym trudzie przez ofiarnych i szlachetnych, sięga wielu, dla których łgarstwo i podstęp jedynym tytułem do chwały.

KRÓL: O właśnie, właśnie! Może mi więc wytłumaczysz, kto to właściwie zdobył chorągiew na tej przeklętej dziczy?

THANATOS: Pewien giermek.

KRÓL: Giermek?

THANATOS: Z orszaku rycerza z Dębowoli Dobuty.

KRÓL: Dobuty, Dobuty?

THANATOS: Obecnie pana kasztelana tumskiego.

KRÓL: A, tego siarczystego burczymuchy.

THANATOS: Nie można plastyczniej go określić, aniżeli to uczyniliście, panie, w tej chwili.

KRÓL: Plastyczniej, co to znaczy plastyczniej?

THANATOS: Tak będzie się mówiło dopiero za parę wieków, teraz jeszcze nie obowiązuje.

KRÓL: Więc powiadasz, że to był giermek?

THANATOS: Tak jest, zresztą wkrótce potem rozbito mu całkiem przypadkowo w jakimś zajeździe głowę dzbanem. Ciągle rozprawiał po pijanemu o swym czynie.

KRÓL: Brrr... Co za ohyda.

THANATOS: To była tylko tak zwana poprawka historyczna, jakich wiele

w każdym momencie historii. Politycznego znaczenia tej wojny i zwycięstwa wcale ona nie zmieniła.

KRÓL: Nie zmieniła, powiadasz?

THANATOS: To jedno, a powtóre...

KRÓL: No?

THANATOS: Że to nie było wcale sprawką tego rycerza z Dębowoli, obecnego kasztelana tumskiego, który istotnie był o krok od zdobycia owej Złotej Chorągwi.

KRÓL: Nie może być!

THANATOS: Już po nią sięgał, gdy wtem jego rumak — strasznie zła bestia — ukąsił konia nieprzyjacielskiego chorągwianego. Ten podał gwałtownie w tył i wielka Złota Chorągiew niemal bez wysiłku wpadła w ręce owego młodzieńca.

KRÓL: To bardzo ciekawe.

THANATOS: I chociaż kasztelan rozpowiadał teraz, że to on ją zdobył, nie należy o nim źle sądzić, bo jest w tym względzie głęboko przekonany. Cierpi na tak zwaną paramnezję.

KRÓL: Jak powiadasz?

THANATOS: Choruje na osłabienie zdolności pamiętania, objaw patologiczny, polegający na nieświadomym fałszowaniu prawdy obiektywnej.

KRÓL: To znaczy, że senatorowi Rzeczypospolitej mózg ścieńczał na dobre.

THANATOS: Zajączki w niej burmistrzują, jak to u was zwykli ludzie mówić.

KRÓL: A to doskonałe! Burmistrzują, powiadasz?

THANATOS: Czas już iść.

KRÓL *(który począł iść ku drzwiom)*: Tędy?

THANATOS: Nie.

KRÓL *(zawraca posłusznie ku drugim drzwiom)*

THANATOS: I nie tędy.

KRÓL *(staje)*: Więc jak mam postąpić?

THANATOS *(pokazuje wężem okno)*

KRÓL: Przez okno?

THANATOS *(skłania się ceremonialnie)*

KRÓL: O ile mnie pamięć nie myli, to ludzie zazwyczaj wychodzą drzwiami.

THANATOS: Wasza królewska mość nie jest już człowiekiem.

KRÓL: Prawda, jestem pomazańcem.

THANATOS: To też już przeminęło. Pozostał tylko do zdania rachunek z obu tych darów.

KRÓL: Jakich darów?

THANATOS: Człowieczeństwa i charyzmy.

KRÓL: Rachunek?... Nigdy nie lubiłem liczyć *(nagle rozdrażniony)*: E, mój kolorowy panie, dość tych nauk! Albo prowadzisz, albo nie.

THANATOS: Czekam na to od dawna.

KRÓL: Więc oknem czy drzwiami, do licha?

THANATOS: To jasne, tylko przez okno. W przeciwnym razie wasza królewska mość nigdy by nie opuścił ziemi, tylko wciąż krążył po zamku, powodując dużo zamieszania, co się jak wiadomo od czasu do czasu zdarzało w historii.

KRÓL: Ach, nie chciałbym nikogo tu straszyć.

THANATOS: Dlatego proszę o słuchanie mych rad.

KRÓL *(poczyna iść ku oknu, zatrzymuje się)*: Skąd ja to miejsce znam?

THANATOS: Dzisiaj.

KRÓL: Ale byłem tu i dawniej... Tak... Miała na sobie purpurową suknię, głęboko wyciętą. Pocałowałem... Jeszcze dziś czuję krągłość jej...

THANATOS: Liczka?

KRÓL: Ach, nie, nie...

THANATOS: Proszę mi wybaczyć, ale...

KRÓL: Nie pytam się ciebie, możesz...

THANATOS: Idziemy.

KRÓL: Była tak piękna, a miała na sobie suknię barwy owocu drzewa cytryny.

THANATOS: Nie purpurową?

KRÓL: Ach, mówię już o innej niewieście. Przeciąga przede mną korowód, a jedna piękniejsza od drugiej.

THANATOS: Właśnie dworzanin skończył snuć miłość i śpieszy do sypialni z powrotem.

KRÓL *(apatycznie)*: Więc cóż z tego?

THANATOS: Znajdzie tam zwłoki królewskie.

KRÓL: Kochałem ją, tak, kochałem, jeszcze dziś czuję zapach jej kos złocistych, tych pukli wijących się na czarnym aksamicie sukni.

THANATOS: Wasza królewska mość, czas już porzucić wizje pokus życia ziemskiego. Można pobłądzić i na zawsze ominąć bramy wieczystego żywota.

KRÓL *(gwałtownie)*: Ktoś ty? Czego chcesz? Precz z mych oczu! Precz z tym wężem pełnym jadów! *(żałośnie)* Dość ich miałem przez całe życie... *(niespokojnie)* ktoś ty? Czego chcesz?

THANATOS: Radzę wychodzić, dworzanin już dobiega komnaty sypialnej. Zaraz będzie lament po całym zamku.

KRÓL: Jeszcze chwilę, chwileczkę.

THANATOS: Trzeba stąd odejść przed uderzeniem dzwonu.

KRÓL: Rzucić to, co było takie wdzięczne?

THANATOS: Aby na dźwiękach dzwonu unieść się swobodnie w górę.

KRÓL: Chodźmy więc.

THANATOS *(wskazuje okno)*: Tędy proszę.

KRÓL: Ach, prawda... *(zatrzymuje się gwałtownie)*

THANATOS: Co się stało?

KRÓL: Ależ ja tam zlecę. Przepaść do rzeki.

THANATOS: Przecież ciało w komnacie, tutaj tylko zbłąkana dusza.

KRÓL: Że też nie pomyślałem... Zupełnie straciłem...

THANATOS: Zresztą za oknem czekają dwaj aniołowie, o ile wiem z dotychczasowych doświadczeń, to można im całkowicie zaufać.

KRÓL: To dobrze, bardzo dobrze. *(z nagłym ożywieniem)* Och, żebyś wiedział jaka to była dziewczyna i jak ją kochałem!

THANATOS *(szyderczo)*: Którą?

KRÓL: Tę, która mnie obdarowała pierścieniem. Nigdy nie mogłem zapomnieć smaku jej ust, zapachu jej włosów... Czemuż jej już nigdy potem nie ujrzałem?

THANATOS: Widziałeś ją, panie, na ziemi, nie dostrzegając; dostrzegałeś ją na niebie, nie widząc.

KRÓL: Na niebie?

THANATOS: Całe życie twoje było we władzy Gwiazdy Dwóch Horyzontów.

KRÓL: Jak to?

THANATOS: Ale teraz trzeba zapomnieć o niej, o Afrodis z piany zrodzonej.

KRÓL: Cóż ma do tego ta dziewczyna z Wenecji, co dała mi ongiś pierścień?

THANATOS: To właśnie ona była, sama bogini miłości. Dając pierścień, wzięła władzę nad tobą. Ale teraz trzeba o tym zapomnieć.

KRÓL: O miłości?... Nigdy!

THANATOS: O wszystkim co ziemskie już nie czas.

KRÓL: Już nie czas. *(zwiesiwszy głowę zmierza ku oknu)*

THANATOS *(wyciąga za odchodzącym ramię z wężem, kóry zagłębia żądło w szyi króla)*: Zapomnij!!

KRÓL *(oddala się i ginie w mrokach nocy i lśniącej sieci gwiazd)*

THANATOS *(stoi dalej z wyciągniętym ramieniem i wężem napiętym jak struna, podobny do szermierza zadającego cios)*

HYPNOS *(wchodząc)*: Już?

THANATOS *(jakby budząc się, przygnębiony)*: Wszystko skończone.

HYPNOS: Tu na ziemi, chciałeś powiedzieć.

THANATOS: Gdybym się liczył w poczet śmiertelnych, określiłbym mój stan obecny jako wielkie osłabienie.

HYPNOS: Nie mógł pojąć zakresu wieczności i że wkroczył samochcąc w jej wymiar?

THANATOS: Musiałem zań spełnić to, czego nie mógł i nie potrafił sam.

HYPNOS: Żal mi cię, bracie.

THANATOS: Wyprowadzić go poza zachodni horyzont, horyzont Afrodyty.

HYPNOS: Świat był więc dlań jak bajka, podobny do niewiasty.

THANATOS: Tylko że w coraz to innej szacie.

HYPNOS: A ja, kiedy wyszedłem, stwarzając atmosferę najwyższego popłochu, chciałem ich po prostu uśpić; aż nagle...

THANATOS: No?

HYPNOS: Poczułem chęć czegoś bardziej niezwykłego.

THANATOS: Począłeś zasnuwać ich wiadomość majakami sennymi?

HYPNOS: Ot, po prostu powiększyłem w ich oczach miesiąc, napełniając go ciepłym różowo-złotym kolorem, a ich uszy napełniłem słodkobrzmiącymi słowami jak pieśń wieczorna. Z ich sensu nabierali wiary, że są świadkami cudu, który tylko w tutejszej krainie mógł się spełnić.

THANATOS: Jednym słowem grałeś na ludzkiej próżności.

HYPNOS: O, przepraszam cię bardzo, to był naprawdę cud. Wszystko utkane z barwy i dźwięku a przepojone wonią kwiatów.

THANATOS: Karmiłeś ich złudą i nic więcej.

HYPNOS: O, przepraszam cię, bracie, dałem im radość z tęczy zawieszonej nad...

THANATOS: ...pustką. A oni się brali z dumy pod boki, szczęśliwi, że tyle cudów pracuje na ich rachunek bez żadnych kosztów własnych.

HYPNOS: Powiadasz, że brali się za boki? Nie widziałem ich wogóle, bo byłem całkowicie zajęty powiększaniem i barwieniem księżyca, a także umocowywaniem tęczy w przestworzu.

THANATOS: Zmęczony jestem.

HYPNOS: Jakże mi cię żal. Jednak to było trudne.

THANATOS: Musiałem go wspomóc kroplą z nurtów Lety.

HYPNOS: Taki był niesforny?

THANATOS: Nie nasza rzecz go sądzić.

HYPNOS: Oby sprawiedliwości dorównało tu miłosierdzie. *(wchodzi coś nucąc pijany MISTRZ)*

MISTRZ: Osioł! Jakże tak można?! Przecież Zeus nie był żadnym ojcem dla Afrodyty. Pójdę do tego króla, obudzę go i...

THANATOS: Już za późno na rozmowę z majestatem.

MISTRZ: Kto tam? Co to? A to wy, pewnie ci Greczyni, których mi nie chciał pokazać ten gryzipiórek moczony w inkauście.

THANATOS: W samej rzeczy.

MISTRZ: Wielki to dla mnie zaszczyt, arcywielki. Sługa uniżony, Mistrz Piotr z tutejszej akademii.

THANATOS: Wielki to dla nas zaszczyt spotkać tak znakomitego męża.

MISTRZ: Jestem doktorem Akademii Bolońskiej i Paryskiej a członkiem św. Instytutu Rzymskiego.

THANATOS: Słyszałem wiele o waści i jego pracach, szczególnie o tej nad mitami o Hypnosie i Thanatosie, wysłańcach Hermesa.

HYPNOS *(zaszedłszy z tyłu uderza MISTRZA w głowę makówką)*: Śnij!

MISTRZ: To dobrze żeście słyszeli, moi panowie, to bardzo dobrze *(przyglądając się im uważnie)* Ależ podobni jesteście do siebie jak para bliźniąt.

THANATOS: Zgadłeś, mistrzu.

MISTRZ: Albo mi się dwoi w oczach, bom sobie popił. *(nucąc)* Bom sobie popił.

THANATOS: Słusznie widzisz.

MISTRZ: Nie, niesłusznie, bo jesteś jeden, tylko raz czarny, a raz znowu żółty. *(próbując nieporadnie schwytać THANATOSA)* Raz biały a raz zielony.

HYPNOS: Ależ...

MISTRZ: Żadne ależ, bo jakeś się odezwał, to się zażółciło i zazieleniło.

HYPNOS: I zaczerniło i zabieliło.

MISTRZ: *(jakby zdumiony tym odkryciem):* Jakbyś zgadł, mój motylu. *(próbuje dalej ich chwytać, bogowie łagodnymi uchyleniami ciała wymykają mu się)*

THANATOS: Słuchajcie, mistrzu.

MISTRZ: Oho, na manowce chce mnie zwieść, żałoba chodząca.

THANATOS *(wyciągając w jego stronę sakiewkę)*: Masz!

MISTRZ: Ha, trzymam go teraz, tego czarnego... Co to? To sakiewka, ale pusta. Ej ty dowcipnisiu. *(rzuca się w stronę HYPNOSA usiłując go złapać)* Już zmieniłeś skórę, ty papugo zielona, ty żółtaczko.

HYPNOS *(rzucając sakiewkę)*: Masz!

MISTRZ: Ha, trzymam go teraz, tego papuziego syna. Stój spokojnie, nięcnoto. Ale... Znów pusta sakiewka... Druga... Co za licho... Zły duch czy co?

THANATOS *(z wijącym się wężem w dłoni, przy oknie)*: Śpiewaj mistrzu pieśń o wysłańcach Hermesa i żyj zdrowo, póki nie przyjdą po ciebie. *(wychodzi przez okno)*

MISTRZ *(w osłupieniu)*: A to co?

HYPNOS: Tam ostrożnie, jeszcze który z aniołów się pomyli i zacznie ci pomagać w drodze do wieczności.

MISTRZ: Czy ja śnię? Zdaje się, że jeden wyszedł, ale przez okno. Co za licho?

HYPNOS: Śpij spokojnie i niech ci się przyśni łan zboża utkany makami. *(znika w oknie)*

MISTRZ: Pijany jestem, albo jak? *(podbiega do okna, chce wyjrzeć, ale w ostatniej chwili się cofa)* Prawda... Tam anioły, które popełniają omyłki *(ostrożnie odstępując od okna)* Trzeba się pilnować. A jednak tu byli... Sakiewki mam, *ergo* byli... Tsss... Ktoś idzie. Ratuj mnie, święty Piotrze, patronie i koryfeuszu *(wchodzą SEKRETARZ i POKOJOWY).*

SEKRETARZ: O, mistrz Piotr! Nie widzieliście tu gdzie naszych gości?

MISTRZ *(chowając szybko sakiewki)*: Co? Jakich gości? Nie miałem żadnych gości. Inni mieli...

SEKRETARZ: Nie o to pytam, tylko czyście nie widzieli tych dwóch Greczynów?

MISTRZ: Greczynów?

POKOJOWY: No tych co przyjechali ze mną, z Wenecji.

MISTRZ: *(do siebie)* A więc było ich dwóch *(głośno)* Przecież imć pan sekretarz powiadał przedtem, że nikt nie przyjechał...

SEKRETARZ *(w złości)*: A bodajby was licho!

POKOJOWY *(do SEKRETARZA)*: Gdzie oni mogą być, przecież razem stąd wybiegliśmy.

SEKRETARZ: Jeszcze nas wypychali przed sobą.
POKOJOWY: Ja szedłem z tyłu, trzymali mnie obaj za ręce.
SEKRETARZ: Potem na krużganku rozmawialiśmy o naszej lunie, że takiej na całym świecie nie spotkasz.
POKOJOWY: Jak się lekko kolebie, niby dzieciątko w puchach wśród bielutkich chmurek.
SEKRETARZ: Nawet przez chwilę i mnie się zdawało, że siedzę na takim obłoczku pośrodku rozbujanych niebiosów.
POKOJOWY: Jakbym podróżował wśród jakowejś kurzawy, gdzie każdy pył to gwiazda.
SEKRETARZ: Głupia sprawa. Uciekając stąd, zachowaliśmy się jak niedorostki.
POKOJOWY: Ja nie robiłem popłochu.
SEKRETARZ: A może ja, co?
POKOJOWY: To się waść grubo mylisz, jestem rycerskiego stanu.
MISTRZ: Ale cóż się stało, mości panowie?
SEKRETARZ: Że nie byliśmy tu przytomni, gdy właśnie trzeba było być.
MISTRZ: Wchodzę tu... Pusto... Ani żywej duszy.
SEKRETARZ *(skacząc nagle do stołu)*: Poczta jest? Może...
MISTR: Na pewno jest. Przecież tu nikogo nie było, jak mi życie miłe.
POKOJOWY: Giez go ukąsił, kancelarię mu ukradną, strasznie ważne rzeczy.
SEKRETARZ *(z ulgą)*: Wszystko w porządku. *(uderza dzwon)* Co to?
POKOJOWY *(zjadliwie)*: Zdaje się, że nie wszystko w porządku.
MISTRZ: Wielki dzwon? O tej porze? *(wbiega DWORZANIN)*
DWORZANIN *(blady, bez tchu)*: Mości panowie!
SEKRETARZ, POKOJOWY, MISTRZ: Co się stało?
SEKRETARZ: Mów! Jakieś nieszczęście?
POKOJOWY: Coś tak pobladł?
DWORZANIN: Król jegomość... u siebie... bez duszy!
SEKRETARZ: Co?! *(dzwon huczy dalej)*

Kurtyna

## M. PRZESZŁA ULICĄ

*Jeszcze powietrze drży — szyba biała —*
*nad tym piaskiem, gdzieś sekundę stała.*
*Pot kwiatów schnie. Nasturcje i róże*
*motyli zmarłych ślą koła duże.*

*Ptaszek pieści śpiewem twoje włosy*
*niewidzialne — więc jak ogień są losy...*
*Ślad twej stopy nie został na ścieżce —*
*i promień tam wciąż lęka się jeszcze.*

*W bólu szukam porzuconej woni,*
*jaka biegła u twej jasnej skroni.*
*Stopy kształt odnalazłem na ziemi*
*i padłem tam wargami drżącymi.*

— — — — — — — — — — — —

*Nawet ptaszek pojął to zdarzenie,*
*bo na promień sfrunął szarym cieniem.*

## GWIAZDY

*Już i liście nie szeleszczą w świetle, ogromny*
*księżyc trwa w ogrodzie śliw i słychać śpiewanie*
*tak samotne w mgle, że podobnego nie pomnę.*
*Para kochanków klęczy na promieni bramie.*
*Znowu otwieram pamięć, myśl dalekim światom.*
*Z nadmiaru pragnień drżąc, gdzie gwiazda spada, staję.*

*W stu miejscach naraz chciałbym być w tę porę, kwiatom*
*zmieniłbym barwę, a w pszenic, żyt złote gaje*
*czajki posłałbym na sen, bo u rzeki płaczą.*
*Pszczoły już śpią, lecz robaczki szukają strawy*
*i kielich róży niejeden strują. Tułaczą*
*pieśń słychać już teraz tam, gdzie lśni motyl krwawy.*

*Każde zjawisko kocham, tulę. O, kochanek*
*prowadzi Miłą swoją i uczy całować*
*ją promienie w wietrze. Zanim wzejdzie tu ranek,*
*pies potarga wreszcie cień swój śniący po rowach.*
*Na śmierć potarga i z żalu w gwiazdy zaszczeka.*
*Ach, zbadać jeszcze sen ludzi pod niebem.*
*Sen dziecka, dziewczyny, starca. Przeżyć w powiekach*
*ich zdziwionych choć chwilę, by ujrzeć tam siebie...*

## STARE MIASTO W WARSZAWIE — 1945

*Żebra pogięte, żyły żelazne drżą.*
*Rdzawość cegieł przechodzi w krew, w trupów swąd.*
*Gdyby na placyk strząsnąć blask obłoku,*
*to w chłopca, co tu stoi, siwym oku,*
*ruszyłby matek zabitych czarny rząd.*

*A niebo chmurne pełznie, deszcz kąsa rdzę*
*ruin i w ścieki zamienia dali łzę.*
*Skowronek zbłądził tu rankiem z Pragi,*
*lecz śpiew jego chrypi, jest jak cierń nagi.*
*Chłopiec ukląkł, chylę i ja spuchłą skroń, drżę.*

*Po placu tym dwóch młodych szło — z nimi pieśń —*
*I wtem stanęło, olśnił ich szumem zmierzch.*
*Byli szczęśliwi i dziewczętom, które*
*śmiały się tu, włos spętali gwiazd sznurem.*
*Tak, dzieci śniące w bramach unosił świerszcz...*

*Mojeż to były losy tylko? Nie, nie...*
*W gruzach dziś idę jak w smutnym, ciężkim śnie,*
*kiedy przeczucie mówi, że śmierci droga*
*czeka. Ach, i po wiekach na twych progach,*
*o, miasto skatowane, krwią wzejdą dnie!...*

JAN BOLESŁAW OŻÓG

## WYDUMAJCIE

*Wydumajcie kiedyś chorągiew mojej wiosce —*
*nie na cegłach fortów rosną skrzydła wielkości.*

*Ładna jest i droga i niby dziewka świeża, —*
*osiem lejów od bomb jej na podołku leży.*

*A jaka tu była podsadka na niebiosach.*
*Warczały wysoko czarne żelazne osy.*

*W sadzie zenitówka, w górze chichot szrapneli —*
*szkoda, żeście tutaj nie byli, nie widzieli...*

*Śpiewa w połę płaszcza starszy strzelec Tondera,*
*jakby mu zagrali rzeszowskiego sztajera.*

*Łeb jak żarna, brzuch-piec, łapa twarda, sękata,*
*na piersi mu wisi gałązka automatu.*

*Front się łamie pod nim, wiosennie tają rzeki,*
*wiosna ino hoża śmieje się mu z daleka.*

*Ej, czy wróci, nie wie, piosenką łeb drutuje,*
*czołg przodem, on z tyłu na Berlin maszeruje.*

## WIOSENNA NOC

*Żałobne larum deszczu, łzy,*
*w śmiertelnej rękawiczce dłoń,*
*samotny stuka w okno koń,*
*w ramionach nocy płaczą bzy.*

*I garnie w litościwy fałd*
*kamienna noc kędziory chat.*
*W dalekim wietrze szumi brat,*
*ostroga dzwoni — — wiosny raut!*

*A wiatr, dziewczyno, razem z nim,*
*pamiętasz, jak po lesie grał?*
*Z dębowych liści czoło miał,*
*a teraz moknie w dole złym.*

*I słyszysz? Koń sam dzwoni w drzwi,*
*u okien płaczą fletnie bzu,*
*a stamtąd w dali mgieł i dżdżu*
*rozbity kielich nieba tli.*

## DO ŚLUBU

*Sponad mirtu korowajów*
*nie płacz, młoda, —*
*gronostajów,*
*welon włóż;*

*szczęść ci Bóg, malwo żałosna,*
*wieczna wiosna*
*i uroda,*
*gościom służ.*

*Gwiazda w opadłym promieniu*
*mrze wieczorem*
*na strumieniu,*
*welon włóż;*

*poloneza nucą Jadzi*
*bracia bladzi*
*lasem, borem,*
*gościom służ.*

*Lasem, borem w bój porwała*
*ich bezbronnie*
*gwiazda mała,*
*welon włóż.*

*Został krzak kaliny w lesie*
*i pieśń niesie*
*im tam o mnie,*
*gościom służ.*

*— Witaj, trumienko w welonie —*
*dzwonią ładnie*
*białe konie,*
*wianek włóż.*

*Czeka cię domek z konwalii,*
*sznur korali*
*utop na dnie,*
*gościom służ.*

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

## ŻELAZNY WIERSZ

fanatykom siły
poświęcam

*Jest taki dziwny kraj.*

*Jak trafić doń — nie wiedzieć.*
*Czas płynie w nim jak mgła,*
*albo się toczy bryłą miedzi.*

*Tam siąpi szary z chandry deszcz,*
*albo się rude kładą blaski,*
*tęsknili do ojczyzny tej*
*Szołochow, Wacek i Horacy.*

*W południe na firmament gwiazdy*
*wschodzą bezwzględnie gasząc słońce,*
*a potem lśnią już godzinami*
*pstre i jaskrawe. Są z mosiądzu.*

*Dla lunatyków — autochtonów snuje się księżyc — trójkąt z rtęci.*
*Po autostradach z żelbetonu jeżdżą nocami stalowi święci.*

*A wódka — mocna. — Jak żelazo.*
*Innego tam nie znajdziesz płynu.*
*Piją ją, piją, albo żłopią*
*w kubkach z tandety i aluminium.*

*Przyroda twarda i życie twarde.*
*Wiadomo — metal. Lecz rdzewieje,*
*kiedy chandrycki kapuśniaczek*
*zaskrzypi. W maju pada z śniegiem.*

*A jednak jest w tym czar.*

*Kiedy żelazo o żelazo zetrze się dźwiękiem tak niezwykłym,*
*lub księżyc przez przekorę zalśni, jak gdyby cały stał się z niklu —*

*kiedy się zderzy święty w aucie z miedzianym czasem; stal o miedź,*
*lub alkohole w aluminium zaszumią, runą w świat i pieśń —*

*— to wtedy pięknie. Ach jak zagra*
*ten cały kraj piorunem — błyskiem,*
*i jeden blask ogarnia wszystko,*
*jak futro miękki. Najprawdziwszy.*

*A prawda. Są tam jeszcze drzewa.*
*Już nie z żelaza. Dziwne bardzo.*
*To rozkwitają, to znów gasną*
*w fanfarach blasków, naraz bledną.*
*Są może snem. Lecz nie na pewno.*

*Tęskniło do ojczyzny tej już bardzo wielu ludzi młodych.*
*Wygnani precz zostali z niej Fryderyk i Bolesław Chrobry.*

*Czasami z klocków ją stawiają niegrzeczne i uparte dzieci,*
*czasem w nią chodzą na spacery samotni mędrcy i poeci.*

## WIERSZ O JEŻU

*Już długo*

*śpiewałem wam śpiewne piosenki,*
*w grymas liryczny krzywiłem wiersz,*
*liryzm dawałem jeść wam z ręki,*
*w kolce liryczne zbrojny jeż.*

*W listeczkach z brzóz spływałem jękiem,*
*drżałem od wiatru w gałęziach wierzb,*
*by było piękniej, było dźwięczniej —*
*— miękki jak kot liryczny jeż.*

*Wzruszenie*
*rozpływało się kołami w taflach jeziora,*
*bo rzuciłem spojrzeniem głęboko.*

*Chciałem rosnąć z drzewami*
*wyżej i wyżej,*
*przeróść je nawet o liryzm,*
*ale to były niestety marzenia.*

*Naprawdę byłem tylko jeżem, tuptającym niezdarnie wokół swego niepoko*
*spęczniałego śmiesznie od pychy. Małych łapek czepiały się grudki ziemi, list*
*trawy, jakieś szczątki mchów, może jeszcze przedhistorycznych.*
*Opowiadał mi pewien profesor (znawca Teodora Tomasza Jeża) o poeta*
*romantycznych i innych; cierpieli nad tym, że poezja fałszuje życie i rzecz*
*wistość. To dziwne. Ta poezja, która brzegami lasu podpływała ku mnie, by*
*niewątpliwie prawdziwa, choć taka nieumiejętna i niepotrzebna. Postanowiłe*
*pisać wiersze — —*

*— — bo to dlatego, że wieczorem*
*kołyszą się mroki melodią*
*i cienie drzew śpiewają chorem*
*pieśń swoją.*

*A może stąd, że sok żywiczny*
*drzewa oddają twoim oczom,*
*a może jeszcze przez błękity,*
*granatowiejące nocą.*

*I długo szedłem poprzez las*
*w płaszczu zielonych zamyśleń,*
*aż noc umarła i wstał brzask*
*z mdlejących mgieł.*

*Już długo.*

# KRAJOBRAZ, KTÓRY PRZEŻYŁ ŚMIERĆ

*Jonaszowi Sternowi*

Znam tamte strony, łatwo więc mogę sobie wyobrazić kształt tej okolicy, rysy wzgórz i parowów, linie zarośli spajające wszystko w całość i to okrutne rzące słońcem niebo, na którym jedynym ruchomym zjawiskiem są chmury, dające się nawet wzrokiem zatrzymać.

Przedsionkiem śmierci był obóz, otoczony prowizorycznie drutami, o poeszczeniach tymczasowych — rodzaj poczekalni, w której pacjenci lub kruci stający przed komisją poborową rozbierają się do masowego przeglądu karskiego. Cóż po tym, jeśli opiszę ludzi: kobiety, mężczyzn i dzieci, ich łostkowe odruchy przed śmiercią, nienawiści i zawiści, które nie doczekały niczyjej wzgardy, opanowanie i bohaterstwo, które były czymś najbardziej zinteresownym na świecie, gdyż miały umrzeć za chwilę zarówno z tymi któ- ich doświadczyli, jak i z tymi którzy je okazali.

Był to wyjątkowo upalny czerwiec. Na ziemi wydeptanej i wysuszonej jak episko, ubitej z kałem i krwią jak koszar, do którego wpędza się bydło na c, czekało na swoją kolejkę sześć tysięcy ludzi, zachowujących jeszcze ruchliość i życie, a także doskonałą bystrość oka odbijającego obrazy — cóż za surd — po raz ostatni. Byli spragnieni wody tak ogromnie, że wobec niehronnej śmierci, jaka ich czekała, łyk wody wydawał się ocaleniem. Lecz wodę było trudniej jak o pieniądze, za które by ją można kupić. W takich wilach nawet instynkty zawodzą. Oto przychodziły momenty, w których ierć wydawała się jedynym upragnionym wyjściem stąd, jedynym stanem, którym pragnienie już nie będzie istnieć, lub może zostanie zaspokojone z jaegoś niewyczerpanego oceanu zimnej wody, który będzie można bezpiecznie zytknąć do ust...

Jakże niewzruszony był krajobraz, gdy rozebrani do naga, kolumnami po ustu ludzi, brnęli stromą drogą w kierunku, skąd z nawrotami wiatru dochoił stłumiony szelest strzałów, jak gdyby się tam odbywało polowanie w kocioł. arał się przebić krajobraz wzrokiem, aby odkryć poza nim jakąś ostateczną awdę; nic poza nim jednak nie istniało, prócz jego własnego przedłużenia, asującego cały glob ziemski dookoła, z niebem wspartym jak mur na kolum-

nach powietrzą. Nic tam nie istniało poza swobodną przestrzenią, gdzie woln człowiek może dotykać każdej ścieżki materialną stopą, brać w rękę każdą gą łązkę i wybierać wzrokiem drzewo na swoją jedyną własność. Takie było jeg pożegnanie z życiem. Był tak wyschnięty, że nie miał nawet jednej łzy, aby ni zwilżyć oczy .piekące od pyłu, w którym szli wypaloną od żaru drogą.

Ostatni przystanek urządzono im u wejścia do głównego jaru, z którego od chodziły krótkie odgałęzienia, wypłukane przez wyschnięte strumienie w żółt glinie. Stąd wydzielano po dziesięciu, każąc biec w miejsce, gdzie zrywała s niewidoczna, krótka palba, zakończona paroma luźnymi strzałami. W miar jak zbliżała się kolej na niego, nie czuł większego lęku niż ten, jaki przeżyw przed ukłuciem, podchodząc w szeregu do szczepienia przeciwtyfusowego, z czasów rekruckich. Być może, że im nędzniejsze jest życie, tym bardziej oczy wista bywa śmierć. Chociaż można by opowiedzieć sto najdziwniejszych sposo bów zachowania się jego towarzyszy na dowód, jak rozmaita jest natura czło wieka. Wielu ulegało niepoprawnemu złudzeniu ludzkiemu, że to wszystko t jakiś głupi sen, po którym zbudzą się z bijącym sercem, w bezpiecznym miejsc (Ale były także dzieci, a nawet dorośli, próbujący uczynić się niewidzialnym chowając głowę poza jakąś kępką trawy, nie zdając sobie sprawy, że tylko ani potrafiłby zakryć skrzydłem ich ludzkie ciało przed esmańskim wzrokiem Wykopywali ich ze śmiechem z powrotem do szeregu). Przyszła wreszcie n niego kolej. Odcięto nowych dziesięciu, w tej liczbie i jego — był trzeci cz czwarty. Zachrypli esmani smagnęli ich okrzykami i kijami jak zwierzęta wy pędzane na arenę. Gdy wbiegał w kotlinę, mignęła mu w oczach sylwetka osta niego z nagonki, z oszalałą twarzą, głosem zagłuszonym strzałami, wyciągni tym palcem wskazującego miejsce dokąd miał biec.

Ostatnie obrazy, jakie przeleciały mu przez siatkówkę, nie mają żadnym ra ani trwałości (nie tylko pewnie dzięki kulistości oka, ale także ciągłości spo strzeżeń) — podobnie jak wzruszeń, które go wtedy przenikły, nie można n zwać, porównując z czymś dla nas odczuwalnym. (Któż nie przeżył bliskieg sąsiedztwa śmierci, smakuje ono coś jak ostrze brzytwy na wargach w sekun dzie, gdy uniknęliśmy zacięcia się nią). Zerwały się dookoła strzały (esma stali półkolem na stokach kotliny), biegnący przed nim rozchylili się ja podcięte drzewa i na wprost siebie ujrzał ogromną, czerwoną twarz, z szarpi cym się pistoletem maszynowym. W tej sekundzie czyjaś oślizgła od krwi łydk poderwała mu nogi. Od tej chwili zaczął intensywniej myśleć. O czym myśla Że to właśnie jest śmierć, to jakieś oślepiające wyzwolenie świadomości spo naporu ciała. Zaraz jednak przekonał się, że myślenie oznacza właśnie życi Oto czyjeś udo spoczywające na nim drgało uporczywie jednym mięśnie łaskotając mu plecy. Był to już ruch nieświadomy istoty, która przestała na nim panować.

Teraz, kiedy poczuł się żywy, zapragnął tak silnie ocalić się, że każdy poj dynczy strzał przeszywał go prawdziwie ludzkim strachem.

Gdy umilkły na chwilę strzały, zaczął przymuszać się do powolnego, syst matycznego układania sobie w głowie tych paru pierwszych punktów, jakie ni

ątpliwie osiągnął, zachowawszy aż do tej pory życie. (Czy może raczej za-ząwszy żyć). Uświadomił sobie, że pierwszym warunkiem utrzymania życia st absolutny, idealny bezruch. (Przychodziło mu nawet do głowy, czy nie na-ży się także wstrzymać od myślenia, jak gdyby praca jego mózgu mogła być rzez któregokolwiek z nich dostrzeżona). Jakże wiele wysiłku kosztowała go alka z zawczesną radością życia! Powtarzał sobie po sto razy: nie jestem eszcze ocalony! nie jestem jeszcze ocalony! Każdy głupi strzał może mnie do-iero na dobre przygwoździć do ziemi! To byłaby swoją drogą najgłupsza ze mierci. (Naprawdę ocalony, o ile to pojęcie mogło mieć jeszcze wielką siłę swo-ej nazwy — poczuł się dopiero kiedyś długo, długo potem. I nie miał nic ze atysfakcji, jaką się odczuwa, osiągnąwszy skokiem drugi brzeg wzburzonego otoku).

Po ustaniu strzałów domyślił się, że niewielka odnoga jaru, w jakiej się znaj-ował, została już wypełniona w sposób wystarczający, a esmani przenieśli się a nowe miejsce egzekucji, (po przerwie zaczęły znowu trzeszczeć gdzieś w po-liżu strzały) — pozostawiając zapewne kilku wartowników. Słyszał ich uwagi, dkrzykiwane tym prymitywnym żargonem ukraińsko-niemieckim, jakim się osługują wołyńscy koloniści. Co pewien czas rozlegał się pojedynczy strzał ka-abinowy, huczący jak grzmot, uspokajający czyjeś stęknięcie lub drganie umie-ającego nerwu.

Jakżeż dłużyło się to popołudnie, nie ustępując ani o stopień z dziennego natę-enia światła. Za każdym razem, gdy przez rozchylone rzęsy wpuszczał próbkę wiatła do źrenicy, zdawało mu się, że dzień, zamiast gasnąć, rozświetla się co-az bardziej. Trudno wyobrazić sobie, aby istniały bardziej ludzkie tortury, niż anowanie nad własnymi odruchami i zmysłami. Czyż może istnieć coś niedo-zeczniejszego, jak niemożność spędzenia wielkiej trupiej muchy, która łazi po agim ciele, zrywa się i usiada znów w nieoczekiwanym miejscu. W każdym niejscu skóry trzeba było być przygotowanym na łaskotanie jej szybkich nóżek na pchnięcie jej okrutnego żądła; nie wiedział jak długo trwała ta ciuciubabka e zmysłami, po pewnym jednak czasie doszedł do wniosku, że te drobne stwo-zenia były jedynymi istotami, które zdawały sobie sprawę, że mają do czynie-ia z żyjącym jeszcze ciałem. Błogosławił ich instynkt każący im nakłuwać ylko umarłe ciała, dla zaszczepienia w nie nowego życia.

W jakiejś chwili rozchyliwszy powieki przekonał się, że zapadł zmierzch tak ieoczekiwanie, jakby kotlina, w której leżał, została przykryta nagle pokrywką. yć może, że z zimna, czy aby ulotnić z siebie ogromne napięcie nerwowe, za-ął cały dygotać; przez moment opadł go lęk, żeby nie zostać zdradzonym rzez drżenie własnego ciała, nad którym nie miał już sposobu zapanować. Jniósłszy jednak o centymetr głowę (trwało to chyba z kwadrans, na taką po-olność rozłożył tę niewielką drogę, aby przestała być ruchem) — ujrzał przed obą własną dłoń, było to pierwsze radosne spostrzeżenie — wydała mu się spo-ojna, a jeśli nawet drżała, to ruchem niedostrzegalnym nawet dla jego oka. Następną czynnością, jaką postanowił wykonać, było przekręcenie głowy do ta-iej pozycji, aby móc zobaczyć swoje otoczenie. Przedsięwzięcie to zajęło mu

chyba pół godziny, powolność zaś ruchu przekraczała już chwilami granice precyzji ludzkich mięśni.

Ruch musiał w końcu wykonać, o ile chciał podjąć jakąś czynną walkę o zachowanie życia. Był to konieczny etap na drodze do ocalenia; nie mógł jej przecież rozpocząć zerwawszy się do jakiegoś skoku na oślep przed siebie. Kiedy w nowej pozycji otworzył oczy, świat stał nieporuszony i okrutny, przeżywający wszystko, dotrzymując miejsca nawet najstraszliwszym zmianom swoją statyką kształtu i odległości.

Leżał w miejscu najniższym, najmniej usianym ciałami; w lewo, jak daleko mógł sięgnąć wzrokiem nie poruszając głową, ciągnął się wał trupów, wiodła tam jakaś niezrozumiała granica, szczególnie atakowana przez kule, w tę stronę biegła widocznie większość ludzi, jakby w oczekiwaniu, że spotka ich tam mniej śmiertelna śmierć. W prawo, o kilka kroków, rozpoczynało się wzniesienie, przechodząc wyżej w gliniastą ścianę jaru obrzeżonego u góry trawiastym nawisem. Poruszał się tam powoli, tam i z powrotem, strażnik z karabinem na pasie, na tle ciemniejącego nieba.

Na wprost ciągnął się dalej wąwóz, zwężając się w miarę podchodzenia do góry, zarośnięty krzakami i młodymi drzewami; wiało stamtąd chłodem i przestrzenią i dolatywało przerywane pogwizdywanie. Było oczywiste, że i tam chociaż stąd niedostrzegalny, stoi wartownik.

Zapadała coraz szybciej głęboka ciemność, jak zwykle przed wschodem księżyca. Jeśli ocalenie miało polegać na ucieczce stąd, trzeba było dokonać tego zanim nie zacznie jaśnieć jego zdradliwe światło. Zanim rozstrzygnął, w którą stronę będzie próbował ucieczki (choć zdaje się, że kierunek jej ustalił już przed chwilą instynktownie: jarem pod górę, w kierunku pogwizdującego wartownika), stracił dobrą chwilę na studiowanie pewnego zagadnienia, które w tej chwili wydaje się śmieszne, wówczas jednak zaprzątało mu nieznośnie umysł. Jak okryć swoją nagość, aby, gdy oderwie się od lśniącego tła ludzkich ciał i znajdzie się na szorstkiej, pochłaniającej światło powierzchni ziemi, nie stać się nagle osamotnionym, widocznym z daleka kształtem? Zauważył bowiem, że ciało ludzkie błyszczy w ciemnościach silniej jeszcze niż woda, jak gdyby jakimś własnym, fosforyzującym światłem. Wówczas nie był w stanie uświadomić sobie tego, że tych kilku wartowników przechadzających się nad nim nie patrzyło już w tę stronę, tak jak nie spogląda się w przepaść, poruszając się nad nią. Zapewne byli to ludzie nie przejmujący się wiele, ale nie musieli się czuć zbyt pewnie w nocy, na krawędzi otchłani pełnej tylu zgaszonych istnień ludzkich.

W jakiejś chwili, gdy powziąwszy decyzję podnosił się już na kolana, przeżył pierwszy prawdziwy strach, (pierwszy od wielu miesięcy, podobny do tego jaki nachodził go w czasach gdy był jeszcze wolny, zanim mu odebrano to wszystko, w odniesieniu do czego wzruszenia miewają swoją siłę). Oto gdzieś w pobliżu zawarczało wściekle auto, tym znajomym, piekielnym głosem, będącym synonimem *ich* przemocy materialnej. Zatrzymało się terkoczące na gazie, słychać było pomieszane głosy i rozbłysło na parę sekund oślepiające światło reflektora, skierowane na pobojowisko.

Parę fachowych uwag, dotyczących dzisiejszego żniwa i sposobu pokrycia go ziemią, trzask drzwiczek — i jego lęk oddalił się na cichnącym odgłosie motoru, który odprowadzał słuchem aż do miejsca, gdzie zrównał się ze spokojem zapadającej nocy.

Była to jakaś komisja esmańska stwierdzająca śmierć, rodzaj zabytkowej formalności z czasów, gdy zgon skazańca musiał być sprawdzony przez lekarza. Formalność na jego szczęście powierzchowna. Po oddaleniu się auta dowiedział się, że na tę chwilę nie tylko on czekał. Usłyszał swobodne nawoływania, a wartownik, zamykający mu drogę do jaru, zapowiedział głośno, że wybiera się na łyk wódki do swoich towarzyszy na górę. W ten sposób otworzyły się przed nim drzwi w stronę, gdzie pociągał go właśnie instynkt. Przeczekał chwilę, w ciągu której wartownik tarasząc krzaki piął się pod górę — i podniósł się na czworaki, wykręcając głowę na plecy tak, aby ciemna plama włosów rozbijała dużą płaszczyznę barków i starając się przedstawiać dla kogoś patrzącego z góry jak najmniejszy kształt. W tej niewygodnej pozycji począł wędrować w kierunku, gdzie jar zwężał się tworząc ciasny, ocieniony przesmyk.

W tej fazie ucieczki zdawał sobie sprawę, że bezgłośne poruszanie się jest pierwszym warunkiem udania się jej. Trzeba było stąpać tak, aby nie być słyszanym, słysząc równocześnie wszystko. Nie wyobrażał sobie, że jest to aż tak trudne. Zwierzęta nadsłuchując przystają nie tylko po to, aby nie słyszeć własnych kroków, ale także aby wyeliminować jak najwięcej czynności zakłócających uwagę, aby przerzucić całe napięcie na jeden zmysł. Po pewnym czasie osiągnął przecież (łamiąc w sobie jakiś naturalny, ludzki rytm) tę minimalną szybkość poruszania się, połączoną z nieprzerwanym natężeniem zmysłów.

W czasie wędrówki natknął się ręką na przedmiot tak obcy wśród gładkich ciał, że w pierwszej chwili przeraził się go, jakby był czymś żywym. (A był to tylko orczyk od wozu). Przedmiot ten stał się odtąd towarzyszem jego samotności, dzięki któremu mógł sobie powiedzieć, że kto stanie mu w drodze — zginie. Oczywiście było to — bardzo symboliczne postanowienie. (Do tej pory każde spotkanie z człowiekiem groziło śmiercią tylko jednej stronie: jemu). Było mu odtąd jakoś raźniej, jak żołnierzowi, który z bagnetem wyciągniętym przed siebie idzie na spotkanie wroga, nie bardzo zdając sobie sprawę, że ma tak niewielkie szanse w stosunku do niego. Po prostu wraz z tym znalezionym przedmiotem zdobył prymitywną, mięśniową pewność, płynącą z radości zaciskania jakiegoś przedmiotu w garści.

Zbliżając się do miejsca skąd, jak domyślał się, zeszedł przed chwilą posterunek, nie mógł pozbyć się lęku przed jakąś pułapką, chociaż zdawał sobie sprawę, że zastawia ją tylko jego własna imaginacja.

Przeżył wówczas zabawne rozczarowanie do swojej intuicji. Oto nastawiła go ona na fałszywą odległość, jego bicie serca, przeczucie niebezpieczeństwa pośpieszyło się; w tym miejscu gdzie sobie to wyobrażał, nie stał nigdy żaden wartownik, było to w istocie o kilkanaście metrów dalej, gdzie ze spóźnionym przestrachem spostrzegł wydeptaną wokoło trawę, kilka niedopałków zaduszonych na ścieżce i rozchylone, o poodwracanych listkach krzaki, którędy piął się

pod górę. Ta omyłka wyzwoliła go do reszty z obaw do tego stopnia, że dziś nie potrafiłby sobie przypomnieć odcinka drogi aż do miejsca, gdzie wydostał się z ciasnego przesmyku na otwartą przestrzeń. Przeszedł ją najzwyczajniej w świecie, jak drogę, którą odbyło się sto razy w życiu.

Wilgotniejącą łąką zbiegał w dół tak lekko, jakby brał wiatr pod gołe pachy. Przed nim i dookoła niego, w zasięgu płoszonym krokami milkły żaby, odzywając się znowu o kilka metrów za nim, jakby biorąc go w swoją bezpieczną opiekę. Do stawu, połyskującego jak oko między szuwarami, dopadł niby zgonione zwierzę. Pił na płasko, klęcząc w wodzie, tracąc chwilami przytomność i odzyskując w zamian tylko świadomość bezgranicznego zmęczenia — zamiast sił fizycznych. Nic nie da się porównać z tą zmysłową przyjemnością, jaką jest zaspokojenie pragnienia. Jeśli przed kilkoma godzinami po myśleniu poznał, że żyje, to teraz po raz pierwszy poczuł, że to życie jest jego najbardziej radosną własnością.

Kiedy po jakiejś chwili (opity wodą do ostatnich granic pojemności, lecz wciąż czując nienasycenie komórek, których jeszcze nie dosięgła) — z sercem bijącym ciężko, porającym się gwałtownie z nagłym przypływem życia — podniósł oczy, ujrzał wschodzący księżyc, ogromny, podnoszący się szybko w oczach spoza widnokręgu, rozświetlający ostro krajobraz.

Rozejrzał się dookoła jak zwierzę; strona, od której uciekł, pogrążona była jeszcze w głębokiej ciemności, wzgórza stykały się tam nieregularnymi liniami z wygwieżdżonym niebem. Dookoła czuł masywy wzgórz; odległe lasy, pola i wsie widoczne były jak bezbarwny negatyw, chłodny i tragiczny. Przed nim krajobraz zniżał się, schodząc pod ostrą, lśniącą krawędź blasku księżyca. Wiało stamtąd chłodem, wilgocią i nieprzerwanym rechotem żab, który wydał mu się łagodnym, spokojnym oddechem wolności.

Postanowił iść dalej w tę stronę. Oddalała go w najprostszym kierunku od jaru i ta okoliczność wydała mu się przemawiać w wystarczający sposób za instynktem wiodącym go niepowtrzymanie w tym kierunku. (Od czasu jednak figla wypłatanego mu przez jego omylną naturę stał się ostrożny i sprawdzał rozumem każdą decyzję).

Dalsze wspomnienia odnoszą się dopiero do miejsca, gdzie jego przeżycia zagęszczają się znowu. Było to już nad ranem, po nocy przeleżanej w zbożu. O brzasku poczuł się podle, jak robak, którego upał zaskoczył na powierzchni ziemi. Noc osłaniała jeszcze jako tako jego nagość; z dniem stanęło jednak przed nim okrutne zagadnienie, jak przedzierzgnąć się z powrotem w tę skórę, która jest najbardziej ludzką powłoką — w ubranie.

Nie ma się pojęcia, co to jest za problem — nagość! Dopiero teraz o świcie poczuł się odarty w bolesny sposób z własności, bez której życie jest fikcją. Jakżeż marzył o zdobyciu bodaj kawałka szmaty, aby móc uchodzić przynajmniej częściowo, w paru dopuszczalnych sytuacjach, za istotę na swoim miejscu, za człowieka kąpiącego się, opalającego się, dobywającego torf czy robiącego cegłę!

Na skraju wsi, pierwszej do jakiej zbliżył się, o kilkanaście kroków od odbitej

od stada domów chałupy, przykucnął w jakimś krzaku obdeptanym przez kury, na niebezpiecznej granicy bliskości mieszkających tu ludzi.

Obserwował bacznie podwórze ściskając orczyk w garści i nie wiedział na co, ale gotów był na jakiś czyn najbardziej nieludzki. Na szczęście w obejściu nie było psa. Tylko zbudzony kogut piał zapalczywie raz po raz w zamkniętej stajni, budząc przeraźliwie rzeczywistość i przywodząc mu na myśl deszcz i jego nagość. Przeżył tam dziwne chwile. Budzenie się żyjącego świata ludzi bezpiecznych, z ich codziennym korowodem zajęć i trosk — o krok od niego, nagiej istoty, ukrytej w krzaku czarnego bzu, tak bliskiej ich oczywistego życia, a tak odległej, jakby obok zwyczajnego świata istniał drugi, jego świat, świat życia niezupełnego, istot potępionych, pragnących choćby na chwilę wcielić się w prawdziwie ludzką doskonałość. Być tym zaprzęgającym konie, orzącym czy tnącym gałęzie na pniaku!

Wtedy, na spotkanie jego gotowości na wszystko, wyszła dziewczynka, biegła skosem przez podwórze, widocznie aby uwolnić ze stajni piejącego koguta. Rozchylił gałęzie i zawołał najgłośniejszym szeptem, jaki mógł wydobyć ze siebie: — dziewczynko! jestem biedny człowiek, rzuć mi jakąś szmatę do ubrania! — i zacisnął oczy, jakby zadawał komuś śmiertelny cios. Kiedy po paru sekundach otworzył powieki, dziewczynki nie było. Zobaczył ją dopiero po chwili, wskazującą oczyma krzak, w którym siedział, kobiecie stojącej z założonymi rękami na piersiach i chłopskim, chytrym sposobem nie patrzącej w jego stronę. Kobieta obeszła potem chałupę dookoła i znikła z powrotem w izbie. Można sobie wyobrazić, że do chwili, gdy przechodząc koło niego upuściła na ziemię porwane spodnie i bluzę — upłynęło wiele czasu.

Przebrał się i porzucił orczyk w krzaku. Oddalając się spokojnym krokiem, poczuł nagle, że teraz on z kolei jest obserwowany przez czyjeś oczy. Przystanął i oglądnął się poza siebie, odwracając się powoli i prowadząc wzrok po ziemi, aby jakimś gwałtownym gestem nie zamącić rytmu łagodnego poranku. Zdawało mu się, że kobieta, poza małymi, ciemnymi szybkami okna, zrobiła ręką jakiś ruch, jakby znak krzyża, ruch jakim chrześcijanie zażegnują zło lub błogosławią.

Ten pierwszy dzień aż do zmroku przesiedział pośrodku łanu zboża, pasąc się wyłuskanymi ziarnami. Po raz pierwszy od chwili powrotu do życia pomyślał wówczas o istnieniu drugiej osoby w swoim życiu, o obecności żony. Istnienie jej było tak ogromnym odkryciem emocjonalnym, że uczuł naraz, jak zakres jego życia rozszerza się kilkakrotnie. Po raz pierwszy od chwili powrotu do świata ludzi żywych przeżył wzbogacenie się świadomości o wspomnienie. Jego istnienie nabrało jakiegoś uzasadnienia wstecz, a także dzięki nieśmiałej nadziei, że będzie jeszcze kiedyś mógł z nią wspólnie żyć — perspektywy na przyszłość. Przestał być tą nieczułą komórką, zawieszoną w jałowej przestrzeni, zajętą tylko własną egzystencją biologiczną. Z nowym bagażem wzruszeń, rozrastającym się, obejmującym coraz to nowe kręgi przyjaciół, towarzyszy i spraw, puścił się tego wieczoru w drogę ku granicy.

Reszta jego historii, to już tylko dziennik podróży, odbywanej nocami, przy

świetle księżyca, na przełaj, na kierunek wyznaczany z gwiazd. Leżąc z twarzą przy ziemi źdźbłem trawy przechodzącym przez gwiazdę polarną sprawdzał co wieczór północ, celując okiem niby wizjerem busoli. Nogi wskazywały południe, stronę, w którą trzeba było wędrować. Tam leżała bowiem granica węgierska.

Oto historia człowieka, który jako jeden z niewielu wyniósł życie z zagłady, przypadkiem jaki mogła dostarczyć masowa śmierć, dzięki wyjątkowi dającemu pojęcie o ilości istot, jakie trzeba było zabić, aby mogło zaistnieć jedno nieprawdopodobne ocalenie.

Z jakimż wstydem przechowuję w pamięci te niewiele faktów znanych mi z życia jego żony wśród nas. Jej życie odbyło jakąś odwrotną drogę w porównaniu do jego. Do miejsca, z którego on wyszedł ominąwszy kulę, ona doszła tracąc punkt za punktem z życia; jakżeż nieludzko musiał on walczyć o każdy z nich, zdany tylko na siebie samego.

Nie udało się jej uchronić od śmierci, tu na wolności, w warunkach, o których tyle ludzi zaledwie mogło marzyć w tych czasach! Jest to jakiś wstyd społeczny rodzący się w chwili, gdy nic nie można zarzucić każdemu z nas z osobna, a jednak odpowiedzialność czujemy wszyscy za to, że nie wyrzekliśmy się jeszcze większej części swego osobistego bezpieczeństwa, że nie umieliśmy umocnić czyjegoś życia przynajmniej w tych granicach, w jakich nam wolno było się poruszać.

O ileż łatwiej mogła się ocalić, gdyby nie była skazana na kręcenie się w zasięgu kilku osób, na których dyskrecję mogła liczyć, lecz którzy przez swoją przeszłość polityczną, sympatie, działalność konspiracyjną, stwarzali najgorszą, najmniej bezpieczną osłonę dla niej.

Zjawiła się jakiegoś jesiennego popołudnia, w chłopskiej chustce na głowie, z podartą torebką w ręku, dowiedziawszy się, że kartka od jej męża, nadana z Węgier, leży u nas od paru dni. Donosił o sobie i dopytywał się o nią w sposób pełny niedomówień, lecz dla niej tak wymowny, że potrafiła z tych paru linijek wysnuć całą prawdopodobną historię jego ocalenia. Przecież był tak obstawiony przez przyjaciół; tyle pieniędzy i zachodu kosztowało nawiązanie subtelnych kontaktów. Ileż zapewnień otrzymała od różnych ludzi uchodzących w jej oczach za mogących wiele zrobić.

Na jej nieśmiałe zastrzeżenia, dlaczego do tej pory jeszcze nie umożliwiono mu wydostania się z ghetta, nie dostarczono dokumentów i nie podano drogi — powtarzano jej, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, dopóki nie zanosi się na jakieś zmiany, tłumaczono, że w wielkim skupisku ludzi pewniej jest utrzymać się, niż prowadząc indywidualne życie, w walce ze wszystkimi. Na ryzyko będzie zawsze czas, należy go odroczyć jak daleko się da. (Czyż mogła bardziej natarczywie naciskać tych ludzi, którzy może nie sami, lecz w jakimś tam miejscu stykali się ze strażnikami i esmanami i trzeba było liczyć na ich gburowatą i kapryśną uczynność. Nie zależało im przecież na niczym innym jak na pieniądzach i jeżeli stwarzali jakieś pozory handlowej uczciwości, to tylko po to, aby interes szedł, aby nie zrywać złotego strumyczka, który cieknąc im przez palce

zostawiał niezłe dochody. O tym oczywiście ona nie mówi. Natomiast my zdawaliśmy sobie sprawę z tych rzeczy doskonale. Ileż wiedziało się o mistyfikacjach uprawianych przez tych bezinteresownych, platonicznych pośredników! Ilu nieżyjącym przedłużyli oni życie nie po to, aby oszczędzić rozpaczy ich rodzinom! Ale człowiek w sytuacji bez wyjścia szuka go nawet w najbardziej niedorzecznych miejscach. Na cóż byłoby się zdało dzielić się z nią naszą nieufnością, skoro kartka, którą trzymała w rękach, pochodziła niewątpliwie od niego, a o ileż przyjemniej było wiedzieć, że ocalenie zawdzięcza jej zabiegom, a nie jakiemuś ślepemu trafowi). Ile postaci żyło w jej opowiadaniu! Dobierała swobodnie ludzi nazywając jednych porządnymi, innych niepoważnymi lub nieuczynnymi. Ci porządni, był między nimi jakiś restaurator, milicjant kolejowy, ukraiński sekretarz gminny i dwie siostry mieszkające w pobliżu ghetta. Oni to zorganizowali jej mężowi ucieczkę, zawczasu, zanim przewieziono mieszkańców ghetta do obozu straceń, skąd nie było już żadnych ludzkich szans wydostania się. Była tak niezachwiana w wierze w tę koncepcję ocalenia, że nie miałem sumienia podawać jej w jakąkolwiek wątpliwość. „Wyobraźcie sobie" — mówiła do mnie tonem łagodnego, poufnego zawstydzenia — „jakie pomysły przychodziły mi nieraz do głowy, gdy całymi dniami i nocami szukałam, zdana tylko na to co wymyślę, ratunku dla niego. Dochodziłam do takich ostatecznych pomysłów, jak na przykład ten, aby któregoś dnia, dowiedziawszy się dokąd wyprowadzą go na robotę, dostarczyć mu ubrania kominiarskiego i sadzy do poczernienia twarzy. Byłam gotowa też zgodzić się na jakieś potworne okaleczenie go, zmiażdżenie, zdarcie skóry lub oparzenie twarzy, aby tylko przestał być Żydem. Zdawałam sobie bowiem sprawę, że na wolności może żyć tylko w dwóch wcieleniach, jako ktoś, czyja rasa nie budzi żadnego zastanowienia, jak kominiarz — lub jako człowiek strasznie okaleczony, czołgający się, żebrzący, wykraczający postacią poza przeciętność, poza tę obowiązującą przeciętność, wśród której istnieją jeszcze rasy, klasy i narodowości. Zapomniałam tylko" — kończyła z uśmiechem — „że tym czarnym kominiarzem bywa się przez parę godzin dziennie i to tylko dla przechodniów, a kaleką trzeba się stać. Takie głupie, babskie myślenie".

Przyjechała tu spod Lwowa na kilka tygodni przed nadejściem kartki od męża, wyczerpawszy ostatek pieniędzy, których zresztą miała niewiele, utraciwszy dawno kontakt z ghettem i osobami które opłacała. Ci, jak ich nazywa „porządni ludzie" unikali jej, dając niejasno do zrozumienia, że pieniądze już nie są potrzebne, bo wszystko już jest załatwione i ułożone, czeka tylko na realizację. Od tych „nieuczynnych i złych" musiała doświadczyć czegoś o czym nie mówi, a co widocznie zakrawało na szantaż, gdyż uważała za stosowne uciekać. Nie miała dosyć sił ani środków, aby przedsięwziąć coś stanowczego. Kręciła się więc w kółko po kilku okolicznych powiatach jako krawczyni i szwaczka, uprawiając misterną fikcję pokrewieństw.

Rodzące się tu i ówdzie podejrzenia rozwiewała wyjazdami do bliskich krewnych, sióstr i rodziców. Od nich przesyłała listy pisane w poczekalni kolejowej lub na przygodnym noclegu, donoszące o wesołych głupstwach, cenach mate-

riałów i artykułów spożywczych. Potem wracała znów na poprzednie miejsce, łudząc się, że utwierdziła w międzyczasie fikcjami swoją pozycję. O bezpośrednich powodach, dla których opuściła tamtę strony, nie mówi wiele. Domyślam się, że kruchy gmach jej wyimaginowanych stosunków zaczął się pewnego dnia walić niepowstrzymanie, być może począwszy od jakiegoś upokarzającego błędu jaki popełniła, nie panując nad stosem skomplikowanych kłamstw. W jej opowiadaniach przewijają się ludzie, o których można się domyślać z paru powściągliwych słów roli, jaką odegrali. Byli to wiejscy spryciarze, młodzieńcy o wrodzonej żyłce demaskatorskiej, nieroby z przedmieść obserwujący życie i czyhający na łatwy sukces. Wreszcie, czyż da się na dłuższy dystans ukryć swoje pochodzenie, odmienność reakcyj i wzruszeń, w środowisku obcym; nie zdradzić się jakimś brakiem zainteresowania dla rzeczy niezwyczajnych lub co gorsza przesadną gorliwością emocjalną wobec zjawisk oczywistych? (Pamiętam nasze rozmowy zakrawające na jakieś seminaria charakterologii, kiedy studiowaliśmy drobiazgowe odruchy i gesty „aryjskie"; dziś nie mogę o tym myśleć bez uczucia wstydu).

Przyjechała tu, na zachód, do wielkiego miasta — uciekając od nieprzyjaciół i ludzi obojętnych — szukając za przyjaciółmi, i znalazła ich. Ale spotkała się też z wrogami gorszymi niż tam.

Jej czarna, zdefasonowana torebka skórzana poza książeczką do nabożeństwa nie zawierała czegoś ważniejszego: porządnego dowodu osobistego. Bo ileż była warta jakaś stara legitymacja Towarzystwa Szkoły Ludowej, a zwłaszcza wyciąg metrykalny, mały arkusik, starannie złożony, lecz z niezgrabnie wyskrobaną datą. Któż zresztą nosi taki papier przy sobie, czy po to, aby go zgubić? Powiedziawszy jej to, zaszczepiłem w niej pierwszą wątpliwość. Musiała się zgodzić, że w razie jakiegoś legitymowania (u nas było to na porządku dziennym) lepiej jest nie wzbudzać podejrzenia, niż udawać. Zaczęliśmy więc myśleć o wystaraniu się o papiery, które by zrobiły z niej istotę legalną. Miała wszelkie szanse po temu, była na wolności, wśród nas, chodziło więc nie o żadne ocalenie, a po prostu tylko o utrwalenie jej życia.

Nie wyobrażałem sobie, że to, tak zdawałoby się łatwe i proste do wykonania, okaże się nie do urzeczywistnienia. (Jej życie, zamiast nabierać legalności, zaczęło kurczyć się do tego stanu, w jakim żyją ludzie nie posiadający praw lub zwierzęta szczute i wypędzane zewsząd, dla których nawet noc nie przynosi spokojnego odpoczynku). Od razu pierwsza rzecz, mieszkanie, ułożyło się jak najgorzej. Znajdowało się tam gdzieś w dzielnicy przebyłej świeżo pacyfikację i mieszkańcy bali się własnego cienia, ówdzie dom przeszedł rewizje i aresztowania, gdzie indziej spodziewano się lada dzień wizyty gestapo, a jeszcze gdzie indziej lokal miewał otwarte drzwi dla ludzi nie zasługujących na zaufanie. Skazana więc była na koczowanie, nocne alarmy, wymykania się balkonami, ogrodami, stanie godzinami z bijącym sercem w jakimś załomie muru, na najgłupsze i najdziwniejsze sytuacje, które mogłyby uchodzić za humorystyczne, gdyby nie szło o życie.

Sprawa papierów poczęła się też komplikować. Technika organizacyjna,

rekonstruująca dokumenty w najlepszym rodzaju, dysponująca oryginalnymi formularzami, po ostatnim aresztowaniu przestała po prostu istnieć, niedobitki rozprysły się po prowincji i trzeba było miesięcy, aby ją odbudować. Inne organizacje, do których próbowaliśmy udać się z tym, uprawiały mniej lub więcej oficjalny „numerus clausus". Prywatni fabrykanci dokumentów, ten najgorszy rodzaj quasi-patriotów, równie pewnych jeśli chodzi o dyskrecję co nieubłaganych na punkcie wynagrodzenia za towar — żądali, wyzyskując koniunkturę, ceny — jak mawiali — odpowiedniej do ryzyka. Wreszcie u jednego z takich prywatnych przedsiębiorców udało nam się uzyskać obietnicę sporządzenia karty rozpoznawczej na warunkach ulgowych. Połowę trzeba było zapłacić po dostarczeniu dokumentów, resztę w kilku ratach.

Nadszedł dla niej długi okres niepokoju i wyczekiwania, a dla nas rozczarowania, wstydu i bezsilnej złości. (Tak po prostu trzeba nazwać te nudne i irytujące wizyty u osobnika mieszkającego kątem jako przejezdny profesor czarnej magii, a zajmującego się poza tym handlem dywanami i złotem). Ileż razy trzeba było czekać godzinami na niego, aby się dowiedzieć, że dokument byłby gotów na pojutrze, gdyby nie brak blankietów nie nadeszłych do tej pory z Warszawy, lub że — na nasze nieszczęście — pieczątka znajduje się w mieszkaniu obserwowanym od kilku dni przez gestapo. Na jakimś odprapanym półpiętrze, na cudzych schodach, w przedsionku kościelnym, trzeba ją było potem, siląc się na przezwyciężenie własnej bezsilności — powiadamiać o niepowodzeniach, wytrzymując dotkliwy wzrok człowieka bezbronnego. Były to chwile ciężkie dla tego, kto się z nią musiał tego dnia spotkać. Ale my wracaliśmy przynajmniej w takie dni do swojego, wprawdzie niezupełnego życia — gdy tymczasem ona... niewiele zastanawialiśmy się wtedy nad tym, co ona robi w czasie, kiedy nam los pozwalał wieść choćby częściowe, ale swoje własne życie, gdy poruszaliśmy się prawie bezpiecznie po ulicach, jeździliśmy tramwajami i pociągami; mieliśmy też szanse sprzedania swojej śmierci za jakąś godną człowieka cenę. Ona tymczasem czekała na ten zbawczy papierek, który postawiłby ją w rzędzie istot podobnych do nas, czekała w komórkach, przy stryszkach, na przelotnych noclegach, jak gdyby pod progiem prawdziwego życia. Bo cóż z tego, że żyła; aby być uznanym za właściciela swojego własnego życia, trzeba było mieć na to potwierdzenie, zezwolenie, tę szarą rozkładaną kartkę z fotografią i odciskiem palca.

Któregoś wreszcie dnia, nazajutrz po jednej z niefortunnych wizyt u fabrykanta dokumentów, po nieprzyjemnym rozstaniu się z nim, zostaliśmy zawiadomieni, pewnie z obawy, abyśmy nie wycofali zamówienia — że karta rozpoznawcza jest do odebrania. Wieczorem doręczono jej wreszcie ten upragniony dokument, który miał być dla niej, słabej kobiety, bronią przeciwko wszystkim wrogom.

Potem widziałem ją jeszcze dwukrotnie. W kilka dni po owym wieczorze przyszła do nas wygładzona, ufryzowana, dbała o paznokcie i czystość bucików. Niechcący, traktowaliśmy ją wtenczas jakoś inaczej niż zwykle; była to osoba przywrócona naszej klasie. Niestety, nie wiedziała jeszcze wtedy, że ten kartonik, złożony w jej torebce, nadający jej tyle pewności siebie, nie był więcej

wart od kawałka czystego papieru. Dowiedziała się o tym później, pochwaliwszy się nim pewnemu naszemu wspólnemu znajomemu. Człowiek ten, obejrzawszy dokument, powiedział jej straszliwą rzecz: jego zdaniem — posiadanie tego rodzaju dokumentu jak ten jest jeszcze gorsze od żadnego. Będąc zatrzymanym bez papierów, można liczyć przynajmniej na obronę przed zarzutem, dlaczego się ich nie posiada. Nie ma natomiast tłumaczenia się z posiadania fałszywego dowodu osobistego. To już jest przestępstwo, za którym kryje się drugie: uchodzenie za kogoś innego niż się jest w istocie. Pokazał jej następnie swoją kartę rozpoznawczą, tę najbardziej autentyczną (cóż za okrucieństwo), w której ramka na tytułowej stronie była o dwa milimetry szersza, inaczej rozstrzelony druk i zwrócił uwagę na nieodpowiednią pieczątkę. Do tej serii, na jaką podrobiono dokument, stosowały władze niemieckie pieczątkę z napisem: „Der Stadthauptmann der Stadt...", a nie „Der Stadthauptmann in Stadt...". Napis ten widniał na pieczątkach wyciskanych na dowodach rok temu wstecz. Znak wystarczający dla każdego żandarma i gestapowca. Może gdzieś tam na dalekiej prowincji granatowy policjant nie byłby zwrócił uwagi na te usterki — tutaj pierwsze legitymowanie na ulicy (a trzeba przyznać, że nie było dnia bez tego) — równało się oddaniu się wprost w ich ręce. W ten sposób stała się w przeciągu paru minut znowu niczym, uczuła się pozbawiona znowu wszystkich praw i spokoju wewnętrznego. Kiedy ją w tym czasie zobaczyłem, znalazłem ją w stanie daleko gorszym niż wtedy, gdy pełna niepokoju i lęku, lecz nie doznawszy jeszcze zawodu, oczekiwała na dokument swego ocalenia. Czy może istnieć bardziej zawrotne rozczarowanie, jak to, kiedy przekonujemy się, że rzecz, w której pokładaliśmy wszystkie swoje nadzieje, okazuje się czymś jeszcze gorszym jak nic. Że grozi właśnie tym, przed czym szukało się wybawienia.

Pamiętam, że kiedy po raz ostatni widziałem się z nią (odtąd dowiadywałem się o niej tylko na podstawie opowiadania osób, u których nocowała), zrobiła na mnie wrażenie człowieka zstępującego już coraz niżej, na spotkanie własnej śmierci. W pewnej chwili naszej rozmowy, starając się nadaremnie przebić przeszkody piętrzące się dookoła nas jak więzienne mury, spostrzegłem z przestrachem, że ona przebywa je w wyobraźni tak, jakby przestawały chwilami istnieć. Trudno przecież pozbyć się lęku przed osobą, która próbuje stąpać po głębinie lub wspinać się na pionową skałę. Żegnając się z nią, nabrałem pewnego podejrzenia co do źródła jej irracjonalizmu. (Sięgała kilkakrotnie do torebki, jakby upewniając się o istnieniu tam jakiegoś przedmiotu — a pozostała jej już tylko książeczka do nabożeństwa). Powiedziałem jej wtedy, myśląc właśnie o tym przedmiocie, że jest to też swego rodzaju fałszywy dokument i nie należy w nim pokładać zbyt wielkiej nadziei. Skarciła mię wtedy z uśmiechem mówiąc, że nie wolno nikomu odmawiać wzruszeń, nie wiedząc, jaką one przestawiają dla niego wartość.

Straciłem ją potem na długi czas z oczu. Była jednak w naszym środowisku, podawano ją sobie z rąk do rąk i opowiadano o niej. Jej życie w tym czasie było już tylko małą częścią ludzkiego bytowania. Poruszała się w obrębie kilku mieszkań, z których raz po raz kogoś ubywało, w nieustannym lęku i niepewności.

ilka razy spotykała już przedwojennych konfidentów, którzy, być może wę-ąc okazję do szantażu, a jeszcze bardziej w jej przewrażliwionej imaginacji, opili ją na każdym kroku. Strząsała ich ze siebie klucząc i myląc drogi, lecz ie miała dosyć sił, aby pozbyć się ich psychicznej obecności.

W tym czasie powrócił ze wsi jeden z naszych znajomych, przywożąc ze bą zapas blankietów kart rozpoznawczych, zdobytych w jakimś prowincjo-alnym, powiatowym mieście i zabrał się do rekonstruowania organizacyjnej ytwórni dokumentów. Robota zaczęła iść, lecz jakżeż powoli, gdy chodziło życie! Machina organizacyjna z konieczności jest nieczuła na cierpienia jed-ostek. Znalezienie grawera, wynajęcie mieszkania, to były czynności, które usiały być dokonywane z największą ostrożnością, od ich rozumnego i szczę-iwego wyboru zależało przecież życie niejednego człowieka. Teraz jej ocalenie ało się kwestią czasu. Ściśle mówiąc, nie ocalenie, lecz zalegalizowanie życia. ileż prostsze zagadnienie w porównaniu z tym, jakie stało przed ludźmi za-kniętymi w ghecie czy w obozach, skazanymi na śmierć, dysponującymi już lko bezużyteczną resztką fizjologicznego życia, która mogła im być odebrana k łatwo w każdej chwili.

Któregoś dnia dowiedziałem się o drobnym wydarzeniu, nie przywiązując do iego większej wagi. Miała zwyczaj spędzania długich godzin południowych olejno w kilku kościołach, w roli osoby biednej, pogrążonej w modlitwie. Szu-ała tam oczywiście bezpieczeństwa, a także spokoju do przemyśliwania nad woim losem, choć nie jestem pewny, czy to jej nieumyślne nabożeństwo nie mieniło się po pewnym czasie w jakiś rodzaj adoracji metafizycznej. Opowia-ała mi przecież kiedyś, jak wpatrując się bezmyślnie w wulgarny tekst jakiejś odlitwy, poczuła się nagle bliska zrozumienia — jak to nazwała — surreali-ycznego sensu wiary. Otóż wyszedłszy po godzinnej kontemplacji z jednego ościoła z zamiarem przeniesienia się do drugiego stwierdziła z przestrachem, że apomniała na pulpicie swoją torebkę wraz z książeczką do nabożeństwa, wy-iągiem metrykalnym i jakimiś drobiazgami. Wróciwszy, nie zastała już torebki a dawnym miejscu. Musiał to być dla niej cios straszliwy, choć nigdy nie po-rafiłem go dobrze zrozumieć. „Nie mam już nic — nie mam już nic!" — po-tarzała podobno w kółko u znajomych, u których tego dnia nocowała. I mimo, e zaopatrzono ją natychmiast w jakieś, kiepskie zresztą, tymczasowe zaświad-zenie pracy i nowiutką książkę do nabożeństwa, nie było to w możności wyna-rodzić jej tylko wiadomej straty. Widocznie obrabowano ją z jakiejś misternie łożonej iluzji, która pozwoliłaby jej przetrwać te kilka dni dzielące ją od wili, w której nowy dokument uczyniłby z niej wreszcie osobę legalną.

Reszta jej życia znana mi już była tylko z opowiadań, odbicia czyichś cu-zych słów i wersji, a w końcu domysłów. Kobieta ta ustępowała krok po roku z życia, aż pewnego dnia znikła za drutami podmiejskiego obozu dla ydów, według jednych wdawszy się w niebezpieczne pertraktacje z konfi-entem, który ją usiłował zdemaskować — według domysłów innych oddała ię sama w ręce gestapo, uznawszy ten krok za jedyne wyjście z potrzasku.

Pamiętam doskonale pewien dzień. Był to jesienny wieczór, wypogadzający

się, nabierający od wschodu głębokiego błękitu nocy. Przed kilkoma godzinami dowiedzieliśmy się, że została wywieziona transportem tam, skąd już nigdy nie miała wrócić. Staliśmy we trójkę bezradni przy oknie, patrząc przez morze dachów, poprzerastanych wieżami kościołów i drzewami, w kierunku przedmieścia, gdzie za ostatnimi kominami fabrycznymi, rzedniejącymi domkami i ogródkami na linii tak nam dobrze znanych, jałowych wapiennych wzgórz leżał obóz zbiorczy, przedsionek śmierci.

Między nami a miejscem, gdzie ginęli ludzie, rozpościerała się tętniąca życiem przestrzeń, dzwoniły tramwaje i unosił się delikatny szum jak nad układającym się do snu ulem.

Jeden z nas, ten mianowicie, który przechowywał ją przez kilka pierwszych dni z rzędu, (lecz pewnego dnia powiedział jej otwarcie: „no, dłużej już nie będziecie u nas spać, przenieście się znowu gdzie indziej, to będzie lepiej dla was i dla mnie") — odezwał się pierwszy, jakby chcąc się przed nami z czegoś wytłumaczyć:

— „Dlaczego od pewnych ludzi żąda się więcej poświęcenia, wyrzeczeń się i bohaterstwa niż od innych? Popatrzcie, ile ludzi w tej chwili układa się spokojnie do snu, nie mając innych trosk jak te, aby włożyć prawidła do butów lub nie zapomnieć zgasić światła w przedpokoju. Dlaczego tak nierówno, niesprawiedliwie jest rozłożony na ludzi obowiązek reprezentowania człowieczeństwa?"

— „Możesz być dumny z tego, że na tobie spoczywa. Gdybyś był praktykującym chrześcijaninem, miałbyś o wiele mniejszy powód do satysfakcji. Musiałbyś robić wiele rzeczy dla jakiejś zależności, prawowierności etycznej i tym podobnych urojeń. Mógłbyś też nic dobrego nie czynić. Bo tam — nie ma obowiązku spowiadania się z tego, że nie czyniłeś bliźniemu dobrze, tylko z tego, co wyrządziłeś mu złego. Pracujesz w organizacji, masz rodzinę, żonę i dzieci. Wystarczające powody, aby się usprawiedliwić z tego, że nie posunąłeś się jeszcze dalej dla ratowania tej kobiety. A jednak czujesz jakąś winę. I twój instynkt moralny ma rację. Bo granice, w jakich my wystawiamy nasze życie w obronie sprawy i cudzego życia, leżą dalej niż tych, zasypiających teraz we własnych łóżkach".

— „Można było uratować tę kobietę. Chociaż kto wie, czy nie za cenę naszego życia" — powiedział nasz trzeci towarzysz, ten, który właśnie przed chwilą podarł skrupulatnie gotową po niewczasie kartę rozpoznawczą. Po jego słowach zamilkliśmy wszyscy.

# PRZEMÓWIENIE KOŃCOWE PROKURATORA ERZEGO SAWICKIEGO PRZED NAJWYŻSZYM TRYBUNAŁEM NARODOWYM W SPRAWIE PRZECIWKO ARTUROWI GREISEROWI

Sądzę — proszę Najwyższego Trybunału — że jest obowiązkiem Prokuratury usunąć wpierw pewne nieporozumienia, które zawisły nad procesem śmiem twierdzić, zaciążyły nad szeregiem podobnych spraw na całym świecie.

Przyczyną pierwszego — niewątpliwie wielkiej wagi — nieporozumienia jest rzepaść, jaka powstała między bezsilnością prawników a emocjonalnym niecierpliwieniem społeczeństw w obliczu zbrodni hitlerowskich. Musimy tu otwarcie przyznać: prawo jest nieprzygotowane do tego rodzaju fenomenu, jakim była przestępczość faszystowska w czasie ostatniej wojny.

Prawnicy teoretyczni i praktyczni, wychowani na przestrzeni XIX stulecia w okresie względnego spokoju, względnej stałości warunków współżycia, statecznego przezwyciężenia koncepcji, iż człowiek może być przedmiotem prawa, stawali bezradni. Wyrośli w wierze, iż stałość prawnych stosunków, jasność prawa i oparte na tym poczucie pewności jest wartością najwyższą, z zakłopotaniem i nieufnością spoglądali na próby obejścia zasady *nullum crimen sine lege.*

A przecież stany faktyczne, którymi dysponowano, były mizerne, niezupełne. Prawo stawało przed tym niezwykłym zjawiskiem zbrodni bezsilne, z trudem je ogarniało, nie mając zupełnie możności całkowitego podporządkowania przestępstwa pod jedną z norm.

To wszystko czym rozporządzał prawnik, to były małe, kruche narzędzia żegarmistrza, którymi nakazano mu rozebrać diabelską machinę olbrzymów zbrodni.

Do bram sądów zaś kołatała bez przerwy zniecierpliwiona ludność, wołając o szybką, bezkompromisową, widoczną sprawiedliwość, dla niej tak oczywistą — jak oczywistymi i bezkompromisowymi były zbrodnie na ludności tej dokonane. Pokrzywdzone społeczeństwa natknęły się jednak w gmachach sądów na ludzi, którzy wydawali im się na pierwszy rzut oka śmieszni, nie-

zrozumiali, zasklepieni w swym technicyzmie i nawykach. Jakże to — wołali pokrzywdzeni — stało się coś okropnego, dokonano mordu na tysiącach, na milionach, cienie kalek snują się jeszcze po całej Europie, a prawnicy mają wątpliwości, mogą jeszcze dyskutować nad tym, co w takich wypadkach robić należy.

Często się tak zdarza, że póki wzniesiony dom stoi spokojnie, szeroka publiczność nie pyta ani o rodzaj budulca, ani o skład cegły, ani o statykę gruntu lub sposób budowy — dopiero gdy dom zaczyna się usuwać lub walić, wtedy te najbardziej podstawowe kwestie stają się przedmiotem szerokiej dyskusji. Tak też bezradność prawników wobec lawiny przestępstw hitlerowskich wysunęła na czoło zagadnienie początków prawa, jego metod i celów.

Dlaczego obowiązujące prawo karne nie mogło rozwiązać tych zagadnień?

Prawo wytworzone na przestrzeni tysiącleci ludzkiego bytowania liczyło się z określonymi prawidłami we współżyciu społeczeństw. Jeżeli w toku dziejów bywały wypadki wyjścia poza normę, wówczas i w tej anomalii była pewna fenomenalna i statystyczna prawidłowość, którą prawnicy uwzględniali i którą także ujęli w odpowiednie normy. W okresie jednak władztwa hitlerowców działy się rzeczy, które nie mieściły się nawet w granicach znanych dotychczas anomalii.

Niezaradność prawników da się może w pewien sposób wytłumaczyć!

W tym wypadku zetknęły się bowiem dwie odmienne dusze: magiczna mentalność hitlerowców i logiczna mentalność świata prawniczego. Hitlerowcy — jak ludy pierwotne, wartościowali otoczenie wedle znaków zewnętrznych. Prawo do istnienia miało tylko to, co oznaczono jako święte tabu lub co chroniono pod wspólnym totemem szczepu. Wszystko inne skazane było na zagładę jako złe i bezwartościowe. W tym świecie magicznym pewni ludzie i pewne rzeczy były przeznaczone z góry wyrokiem Opatrzności na wieczną hańbę, niewolnictwo i śmierć lub szlachectwo, panowanie i wielkość. Prawidła logiki w tym zaklętym kręgu magii przestały obowiązywać.

Mentalność prawników zaś jest przede wszystkim logiczna. Z długiego doświadczenia wyciągnął prawnik logiczne wnioski i na nich oparł cały system przewidywań na przyszłość, ujęty w normy kodeksowe. Wobec magicznych reakcji stawała logika bezradna, stąd tak wielka bezradność i bezsilność prawnika wobec świata hitlerowskiego.

Bezsilność tę uwypukli może najbardziej wachlarz kar, którymi dysponuje prawnik. Dysproporcja między zbrodnią hitlerowską a karą, którą przewidują kodeksy, jest przerażająca, a zarazem okropna dla pokrzywdzonych, którzy lata całe oglądali pióropusze ognia nad krematorium i dusili się wyziewami komór gazowych, gdzie ginęły całe narody. Tak jak wy, Panowie Sędziowie, w sankcji karnej, którą rozporządzacie, czujecie całą małość środków dotychczasowego prawa — tak samo jest bezsilna norma dyspozycyjna logicznego, normalnego prawa wobec zjawiska, które w tej chwili sądzicie. Trudno nawet znaleźć określenie na powyższe zjawisko w dotychczasowym języku. Język ludzki bowiem był również nieprzygotowany i zbrodni hitlerowców nie

ógł określić żadnym z używanych dotąd słów. Przecież słowa takie jak fabryka mierci, młyny śmierci, masowe morderstwa — tego wszystkiego, co się działo ie oddają nawet w przybliżeniu. Pierwsza próba stworzenia nowego okre-enia pochodzi od prawników, którzy wymyślili nowe pojęcie, ukuli nowe owo — ludobójstwo. Celem partii narodowo-socjalistycznej było ludobójstwo, o jest wyniszczenie biologiczne całych określonych zbiorowości.

Często, proszę Wysokiego Sądu, padały na tej sali pytania oskarżycieli dwa cele partii narodowo-socjalistycznej w stosunku do mieszkańców tej emi: o cel bliski, bezpośredni, tzw. *Nahziel* i cel dalszy, końcowy, tzw. *Fern-iel*. Pytania te znajdowały następnie pełne potwierdzenie w szeregu pism, świadczeń, artykułów i zarządzeń oskarżonego. Zdaje mi się, że udało się nam ykazać, iż plan narodowo-socjalistyczny przewidywał dwa etapy: najpierw iano spowodować dezintegrację grupy, jaką był naród okupowany, przez zbicie jego form życia, tj. zniszczenie jego odrębności kulturalnej i ekono-icznej, zniesienie jego samorządu w każdej dziedzinie, nawet własnego ję-yka, zatamowanie jego rozrodczości przez doprowadzenie go do zupełnego arazmu, wreszcie pozbawienie go poczucia oddzielnej całości. Następny krok – to z jednej strony wchłonięcie przez okupanta wybranych, zatomizowanych, ieodpornych części grupy i metodyczne fizyczne zniszczenie pozostałej reszty. Wreszcie na miejsca opróżnione przez wyciętą grupę zostaje przerzucona lud-ość okupanta. Cmentarzyska narodów zamieniane przez hitlerowców na rzestrzeń życiową. Te dwie części planu narodowo-socjalistycznego określił nakomicie jeden z uczonych: pierwsza to *destruction du cadre national du roupe opprimé*, a druga to *le remplacement du cadre national détruit par eiui de l'oppresseur*. Oto części składowe owej nowej, dotychczas nieznanej orodni ludobójstwa.

Jeżeli Wysoki Sąd uwzględni całą odpowiedzialność oskarżonego na tym bszarze i odrzuci wszystko to, co było w niej przypadkowe, dyktowane po-rzebami wojny lub wreszcie wypływało z inercji samego materiału, to dojdzie iechybnie do wniosku, że on kierował na obszarze tzw. Ziem Przyłączonych kcją urzeczywistniania planu bliższego i końcowego. Wspomniałem tutaj nercję samego materiału, bo, proszę Sądu, problem niszczenia milionów wy-naga nie tylko czasu, ale niezwykle sprężystej i złożonej techniki działania. Dlatego powstał dla hitlerowców na tych ziemiach tak niełatwy do opano-ania problem, jak usunięcie zwłok i popiołu ludzkiego. Dla oskarżonego *Nahziel* to było załamanie ram narodowych, przepuszczenie grupy przez koła ortur. *Fernziel* to sianie zmielonych kości po polach nowych przybyszów — sadników. Niejednokrotnie pytani tutaj byli znawcy o odchylenia od pier-otnego planu narodowo-socjalistycznego, uwarunkowane koniecznością woj-y. Cytowano też na tej sali słowa Greisera do Niemców, by zamienili swe erwy na ołów i w ten sposób rządzili Polakami i by nie zwątpili, iż mimo zasowych przeciwieństw wojny, cel dalszy będzie po 50 latach urzeczywist-iony. Na takie działanie nie znajdziecie nigdzie formuł prawnych, choćbyś-ie przerzucili setki kodeksów. Nie ma sformułowania prawnego, które by

odpowiadało zbrodni ludobójstwa. W żadnym z kodeksów nie znajdziecie też kary, która by odpowiadała rozmiarom takiego zła.

Socjologowie prawa zwrócili uwagę, że niejednokrotnie w dziejach ludzkości między dwiema wartościami, między potrzebą sprawiedliwości i potrzebą pewności prawnej powstawała rozbieżność. W takich wypadkach należy wybierać pomiędzy tym, co nazywa się słowem, literą prawa, jasnością normy i tym, co będzie zadośćuczynieniem wymaganiom sprawiedliwości.

Jest też droga pośrednia, którą wybrała Prokuratura w akcie oskarżenia i proszę, by Najwyższy Trybunał uznał ją w swym wyroku za słuszną.

Na Was, Sędziowie, ciąży obowiązek wydobycia z litery prawa — która powstała w okresach pewności, względnego spokoju, logiki przewidywań i zdarzeń — takich prawideł przez rozszerzającą wykładnię, które by można zastosować do świata zdarzeń nieprzewidzianych, nieprawdopodobnych, niewyśnionych w najbardziej koszmarnych wizjach. Wy musicie dać dowód, że jednak sądownictwo jest uzbrojone w instrument, który nie pozwoli przestępcom takim, jak oskarżony, powoływać się na to, że brak przepisów prawnych, zaś opinii publicznej, zbiedzonym milionom, przez lata całe sponiewieranym, nie pozwoli zwątpić w sprawiedliwość. Musicie znaleźć formułę prawną i odpowiednią karę dla rzeczy dotychczas nieznanych.

Pewien filozof prawa słusznie powiedział, że prawo jest wyrazem opinii dnia przedwczorajszego, sąd dnia wczorajszego, a społeczeństwo wyrazem dnia dzisiejszego.

Chcę do Was, Panowie Sędziowie, skierować wezwanie, abyście rzucili w swym wyroku pomost między prawem, wyrazem dnia przedwczorajszego a wymogami sprawiedliwości, tak żywymi w opinii dnia dzisiejszego. Jestem pewny, że takim wyrokiem usuniecie wielkie nieporozumienie, powstałe na tle technicyzmu prawnego.

Nad sprawą ciąży też dalsze nieporozumienie. Niektórzy twierdzą, że to żmudne, uciążliwe, długie i kosztowne postępowanie sądowe jest zgoła niepotrzebne. Czyż mogą istnieć jakiekolwiek wątpliwości co do winy, wobec oczywistości dwu faktów: rządów oskarżonego i ofiar tych rządów. Sprawa nie jest jednak tak prosta, jakby się wydawało z tych dwu „oczywistości". Każdy samosąd, administracyjna zsyłka lub lynch przesunęłyby tylko szalę słuszności na stronę oskarżonego. Przy stosowaniu takich metod postawilibyśmy się na równi z oskarżonym i stracilibyśmy natychmiast prawo potępienia działalności oskarżonego. Tylko wtedy mamy prawo sądzenia działalności oskarżonego, jeżeli jego światopoglądowi przeciwstawimy nasz odmienny światopogląd. Jego poglądy pozwalały niszczyć człowieka bez sądu lub jak to dobitnie przedstawił mój kolega — za pomocą parodii sądu. Według zasad klanu, który dorwał się do władzy w Niemczech, można było usunąć człowieka ze społeczności, można go było nawet zniszczyć bez względu na to, czy kiedykolwiek zawinił.

Według norm, które stanowią podstawę współżycia w państwach niefaszystowskich, jest to niedopuszczalne. Takie postępowanie godziłoby bar-

ziej w nas samych, niżeli w oskarżonego. Podważyłoby naszą wiarę w godność człowieka, w domniemaną niewinność każdego człowieka i w jego prawo do wypowiedzenia wszystkiego, co ma na swoje usprawiedliwienie przed sądem. Tylko przyjęcie tych zasad — zagwarantowanych nawet w czasie wojny — stanowi nasze uprawnienie do sądzenia oskarżonego. Łamiąc te zasady, pozbawiamy się tego uprawnienia, podcinamy sami gałąź, na której siedzimy. Naśladując naszym zachowaniem hitlerowców, dalibyśmy równocześnie dowód naszej nieodporności moralnej.

Oskarżony może chętnie by widział taką naszą prymitywną surowość. Głosił przecież sam, że ocenia się dobro i zło tylko według tego, czy się jest zwycięzcą — czy pokonanym, czy się ma sukces — czy ponosi klęskę. Wychował się przecież w atmosferze, która zwycięstwo i siłę uważała za najwyższe dobra moralne, usprawiedliwiające wszystko. Wtedy łatwo mógłby do nas przemawiać swoim językiem. Wtedy miałaby jego działalność pewne usprawiedliwienie wobec historii, dla jej uznania brakłoby oskarżonemu tylko zwycięstwa.

I wolałby może oskarżony jeszcze z jednego powodu odejść ze sceny bez sądu. Dałoby mu to poczucie krzywdy i samopoczucie heroizmu. Dałoby mu to wiarę, że właściwie świat, który zwyciężył, nie jest lepszy. Wyraził to zresztą dosyć jasno w związku z pewnym pytaniem, które padło podczas rozprawy. „Gdybyśmy wojnę tę wygrali — powiedział — gdyby w Niemczech nie było teraz rządów obcych bagnetów, nie byłoby takich spraw, nie byłoby niemieckich zbrodniarzy wojennych, bo zawsze zwycięzca ma rację". Teraz, kiedy moralne prawidła, na których oparty był światopogląd oskarżonego, prawidła sukcesu jako jedynego miernika dobra i zła zawiodły, teraz kiedy przegrał, zawisł w próżni. Zawisł w niej tak dalece, że tu, na tej sali, nie bronił nawet swego światopoglądu. Wyrażał w różny sposób tylko jeden żal — do swoich przełożonych jak Himmler, czy kierowników informacji jak Goebbels, — że go oszukali, żal, że go łudzili, iż są możliwości wygranej, kiedy ich w rzeczywistości nie było. Przecież pozytywny wynik miał decydować o wszystkim i usprawiedliwić wszystkie dotychczas użyte środki. Gdy więc sukces — jedyna jego zasada moralna — zawiódł, zawisł w próżni.

Niewątpliwie, proszę Wysokiego Sądu, oskarżony wreszcie i z jeszcze jednego powodu wolałby, żebyśmy go pozbawili sądu. Wtedy, w celi więziennej, nie konfrontowany z każdym papierem, który podpisał, z każdym złożonym oświadczeniem, z każdym wydanym zarządzeniem, widziałby siebie na miarę giganta, który upadł tylko na skutek przemocy, ale którego wewnętrzna wiara w czystość własnych poczynań pozostała niezachwiana, a z nią i wiara w przyszłą odnowę. I to jest właśnie znaczenie sądu i rozprawy, i to jest znaczenie tych dni przesłuchań, które może były nawet i nudne, które czasami przeradzały się w dyskusje moralne, w rozważania abstrakcyjne — to wszystko miało na celu odebranie oskarżonemu wewnętrznego przekonania o jego niewinności i heroizmie. I zdaje się, proszę Wysokiego Sądu, że pod tym względem rozprawa spełniła swoje zadanie. Oskarżony, który jednym pociągnięciem pió-

ra wytyczył granice na tysiąclecia całe, który wymazywał przyszłe pokolenia zabraniając matkom rodzenia, który groby usuwał, ażeby pamięć po zmarłych sczezła z tego świata, dla którego miliony ludzi to były tylko nic nieznaczące cyfry — ten człowiek walczy dziś tutaj o swoje życie z taką perfidną zaciętością, jak gdyby jego życie było ważniejsze od życia niemowlęcia polskiego, kobiety żydowskiej, czy dziewczyny czeskiej. Ten, dla którego walka narodowościowa przemieniła się na biologiczną, który ferował wyroki śmierci na narody całe, który przemawiał tylko w kategoriach kosmicznych, ten człowiek bierze każdy papierek — który go może oskarżyć — z widocznym drżeniem ręki, ten człowiek nie usiedzi spokojnie, kiedy mu się zdaje, że prokurator na szalę jego winy dorzucił nowy ciężar. Wstaje, dobija się gwałtownie o głos. I wtedy wychodzi cała jego małość, którą my, ludzie szanujący człowieka, ludzie, którzy mamy współczucie dla człowieka, rozumiemy. Rozumiemy i możemy to wytłumaczyć. On zaś, który był uczuciom ludzkim niedostępny, może zastanawia się wtedy, na chwilę, co myślał w celi człowiek któremu nie pozwolono mówić, co przeżywała kobieta, którą pchano do komory gazowej, co za wizje kotłowały się w oczach dziecka, kiedy matkę jego wrzucano do pieca krematoryjnego.

Oskarżony, kiedy cała jego — jak psychologowie niemieccy określają to sami — *die deutsche Masslosigkeit und Überheblichkeit* odpadła — przedstawia dziś żałosny widok. On, który szczycił się tym, że dawał wytyczne Himmlerowi dla jego polityki narodowościowej, który wyrażał publiczne zadowolenie z powodu wyróżnienia go przez Hitlera — nie ma dziś nie tylko odwagi bronić tego światopoglądu, ale nie ma też siły wewnętrznej, by przyjąć na siebie przynajmniej odpowiedzialność za to, co zrobił. Ustawicznie zasłania się rozkazami swych przełożonych. Przyciśnięty jednak do muru, kiedy już nie ma żadnego usprawiedliwienia, sięga po wypróbowany już od dawna środek — stroi się w togę patriotyzmu. Zdaje się, że z tych powodów proces był potrzebny.

Trzecie wreszcie nieporozumienie zawisło nad sprawą. Nieporozumienie godzące, że tak powiem, w rzekomą naiwność świata prawniczego. Czy procesami i wyrokami sądowymi, które ustalą, że wojna jest przestępstwem wyżeniemy wojnę z tego świata? Spoglądają na nas ludzie trochę ironicznie trochę z politowaniem i pokpiwują z nas, że w okresie nowych prób z bombą atomową żywimy jakąś przesadną wiarę w siłę prawa. Nie jesteśmy, proszę Sądu, naiwni. Wiemy, że same wyroki sądowe, najściślejsze normy prawne najwyższe sankcje, same przez się wojny z tego świata nie usuną. Ja sądzę że porównanie, które za chwilę zrobię, da może najwierniejszy obraz tego czego oczekujemy po tego rodzaju wyrokach.

Gdzieś, kiedyś, przed kilkunastu tysiącami lat zapewne, pokolenie, które dotychczas uważało zajazdy, wendettę, zemstę osobistą — za jedynie rozumny i właściwy sposób działania sprawiedliwości, zasiadło pod dębem ażeby winnego i pokrzywdzonego sądzić. Stanowili oni prawo — i z pewnością niejednemu, który stał pod tym dębem, wydawała się ta cała pro

cedura bardzo śmieszna, bardzo powolna i niepotrzebnie skomplikowana. Twierdził zapewne z ironią w głosie, że praojcowie zawsze zajazdy robili, skutecznie puszczali z dymem sadyby krzywdzicieli i że był to jedyny sposób załatwiania sporów, uświęcony wiekami, którego nic już nie zdoła zmienić. Inni pod tym dębem byli może przesadnymi optymistami i wierzyli z pewnością, że ten sąd pod dębem od następnego dnia już usunie wszelką zbrodniczą zemstę z tego świata. Wiemy dziś, że sądy pod najrozmaitszymi drzewami, w najbardziej różnorakich budynkach odbywają się przez dziesiątki pokoleń i dotychczas nie usunęły one zbrodni. Zbrodnia trwa, nikt jednak nie zaprzeczy, że ten sąd pod dębem był wielkim krokiem naprzód w rozwoju kultury ludzkości i choć nie wygnał zbrodni z tego świata, spełnił wielką rolę w pochodzie ludzkości wzwyż.

Ten wyrok, który Sąd wyda w zakresie wojny agresywnej, a o który walczymy w tej chwili w zakresie podstawowych praw człowieka, to — proszę Wysokiego Sądu — taki precedens, jak ów pierwszy wyrok pod dębem. Ani mniej ani więcej. To jeden tylko krok w walce ludzkości o sprawiedliwość, jeden stopień wzwyż do życia bez obawy i lęku. Jedno małe posunięcie na wielkim zegarze dziejów. Ani mniej ani więcej. Mam nadzieję, że tym samym i trzecie nieporozumienie zostało w pewnej mierze wyjaśnione.

*(Przewodniczący zarządza trzyminutową przerwę)*

Proszę Najwyższego Trybunału, mówiłem na wstępie o nowym fenomenie dziejowym, jakim były zbrodnie dokonane przez faszystów, mówiłem o zaskoczeniu socjologów i prawników, omawiałem przyczyny tego zaskoczenia.

Wypadnie mi z kolei zrobić małą, może jeszcze nieudolną próbę określenia tego zjawiska. Stanie się może wtedy jaśniejszą linia oskarżenia, usuniemy pewne rozdźwięki powstałe na tle koncepcji sprawy, a przede wszystkim odbierzemy oskarżonemu możność wykorzystania na jego rzecz faktu, iż zjawisko, którego był wykładnikiem, nie było dotychczas poddane szerszej analizie.

Stoimy niewątpliwie w tym wypadku przed zjawiskiem działania zespołami.

Jeżeli w pierwszej połowie XIX wieku dążono do atomizacji społeczeństwa, co znalazło swój wyraz w ówczesnych teoriach państwa i takich konstrukcjach jak „umowa społeczna" — to w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku teorie te liczą się coraz bardziej z działającymi zespołami i do głosu dochodzą poglądy organiczne i uniwersalistyczne. Miejsce autonomicznej jednostki, która część swej suwerenności przenosi na rzecz zespołu, zajmuje suwerenny zespół, który jednostce wyznacza właściwe jej miejsce działania i nawet prawo do istnienia.

Z zespołem jako faktem, jako tworem działającym, a nie tylko konstrukcyjną fikcją, musi się liczyć dzisiejszy sędzia i ustawodawca. Znalazło to już swój częściowy wyraz w podążającej za życiem teorii. Dla każdego socjologa jest przecież rzeczą jasną, że teorie prawne bywają dopasowywane do życia i do jego potrzeb. Życie zaś w okresie rozwoju techniki wykazało, że wszelka praca w nowoczesnym społeczeństwie możliwa jest tylko w zespołach.

Jeżeli kiedyś rzemieślnik był w stanie opanować cały techniczny proces produkcji ,od wydobycia i opracowania surowca do gotowego produktu, to dziś staje się to coraz bardziej niemożliwe. Już Durkheim w swej *La division du travail social* wykazał, że postęp ludzkości idzie po linii zróżniczkowania i specjalizacji działania ludzkiego. Stąd wynika konieczność wzajemnego uzupełnienia w pracy zespołowej. Rozwój zespołów partyjnych, który obecnie odgrywa tak olbrzymią rolę w organizacji i funkcjach aparatu państwowego, związany jest niewątpliwie z koniecznością zbiorowego wysiłku. Nie uświadamiamy sobie może dostatecznie, jak życie nasze przebiega wyłącznie w płaszczyznach dobrowolnych i przymusowych zespołów.

Dlatego też teoria prawa, która jeszcze w połowie XIX w. wyraża się o zespole, jakim jest osoba prawna, jako o fikcji — mam na myśli Savigny'ego, Puchtę, Salmonda — z końcem tego wieku liczy się z zespołem, jako z tworem żywym i realnym. Po drobnych teoretycznych odchyleniach i próbach podporządkowania zespołów majątkowi, którym władały — konstrukcje Bekkera, Brinza o tak zwanym *Zweckvermögen*, co niewątpliwie związane jest z rozwojem fundacji i korporacji prawa handlowego — zdobywają sobie obywatelstwo teorie organiczne. Gierke rozwinął je w swym głośnym dziele „O niemieckim prawie spółdzielczym" i w mniej znanej książce *Vom Wesen der menschlichen Verbände*. Według niego zespół nie jest fikcją, lecz tworem żywym, pochłaniającym człowieka. W tej samej atmosferze wyrosły teorie Hauriou o *institution-personne*, samoistnym zespole ponadosobowym, który istnieje ze względu na cel, oraz Duguita o zespołach związanych solidarnością pracy.

Tak więc, by użyć w tym miejscu filozoficznego terminu, zespoły były w pierwszej połowie XIX wieku „nominami", a stały się „realiami" w drugiej połowie tego stulecia. Podział pracy, zdobycze techniki, wzrost gospodarki kapitalistycznej a następnie monopolistycznej, wreszcie rozwój związków zawodowych i partii politycznych narzuciły prawnikom problem działającego zespołu, który z trudem dał się klasyfikować.

Panowie Sędziowie, jeżeli mieliście praktykę cywilistyczną, zapewne wiecie, że teoria nie mogła się uporać nawet z istotą spółki cywilnej, a więc z najprymitywniejszym tworem zespołowego działania.

Trudności wzrosły wielokrotnie, kiedy na arenie pojawił się zespół, który określano mianem syndykatu, trustu lub kartelu, mieszając często powyższe nazwy.

Chciałbym na chwilę, Panowie Sędziowie, zatrzymać waszą uwagę na pewnym podobieństwie w ewolucji ustosunkowania się świata prawniczego do trustów i do zespołów przestępczych. Przez długie lata zjawiska takie jak trust z trudem torowały sobie drogę do świadomości prawników. Dziwny to był twór. Każdy poszczególny uczestnik trustu działał zgodnie z prawem, kiedy się umownie zobowiązywał nie kupować lub nie sprzedawać towaru poniżej pewnej kwoty. Korzystał właściwie tylko z prawa własności, gdy zobowiązywał się sprzedawać towary tylko oznaczonym osobom. A jednak wszyscy

uczestnicy zespołu kartelowego łącznie nadużywali swego prawa, wprowadzając monopole cen lub rynków. Trzeba było dopiero bodźca idącego od pokrzywdzonego społeczeństwa, by — odstępując od formalnej litery prawa — juryści zdecydowali się wreszcie „przebić zasłonę", za którą działały trusty. Przebić zasłonę — *to pierce the veil*, jak brzmi techniczne określenie Amerykanów — za którą działa zespół, oto zadanie nowoczesnego sędziego i administratora. Szereg orzeczeń najwyższych instancyj sądowych, administracyjnych i skarbowych wskazuje niewątpliwie na to, że prawnicy nie zawahali się podnieść zasłony, by dokładnie zbadać mechanizm działania zespołu oraz jego cele. Niejednokrotnie pociągano do odpowiedzialności jednostki za długi zespołu, za podatki zespołu i nawet za przestępstwa zespołu. Istnieje niewątpliwie tendencja do ograniczenia osobistej, materialnej i karnej odpowiedzialności jednostek w ramach zręcznie zawoalowanego zespołu, bez względu na to, czy zespół ten technicznie określony bywa jako spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, spółdzielnia, spółka akcyjna, stowarzyszenie czy partia. Za osłoną anonimowego zespołu jednostka szuka, często intuicyjnie, ucieczki przed odpowiedzialnością swego ryzykownego działania. Partie zyskały z końcem ubiegłego stulecia na znaczeniu. Działalność ich wzrosła na całym świecie. Nie tutaj czas i miejsce na wyjaśnienie wszystkich przyczyn tego zjawiska. Jedno jest dla Was istotne: prawo musi się z nim liczyć i wyciągnąć z niego należyte wnioski.

Kiedy mowa o odpowiedzialności za działanie w zespole, prawnicy wychowani w tradycjach liberalistycznych z trudem przezwyciężają nawyki dogmatycznego myślenia. Chcę w tym miejscu z całym naciskiem stwierdzić, że odpowiedzialność za działanie w zespole nie jest odpowiedzialnością zbiorową. Jest ona odpowiedzialnością indywidualną za działanie we wspólnocie i za działanie wspólnoty.

Oskarżony wielokrotnie nie bez wyrzutu w głosie stwierdzał, że sądzimy go za stosowanie zasady odpowiedzialności zbiorowej do Polaków, sami zaś zamierzamy karać go za to, co zarządził Himmler, lub za to, co wykonała partia narodowo-socjalistyczna. Stosujemy więc do niego tę samę zasadę. Sądzę, że oskarżony jest w błędzie i chciałbym, by wyrok wskazał oskarżonemu jego błąd. Odpowiedzialność za działalność zespołową jest wprawdzie odpowiedzialnością wyższego rzędu, lecz pozostaje odpowiedzialnością indywidualną za własną winę. Moment świadomości jednostki w tym wypadku przesuwa się tylko na chwilę wstąpienia do zespołu. Jeżeli ktoś, znając metody i cele zespołu doń wstępuje, to niewątpliwie przewiduje każde działanie zespołu i co najmniej nań się godzi. Przyjmuje więc na siebie statutowy obowiązek uczestnictwa, pomocy i posłuszeństwa. Przy odpowiedzialności zbiorowej zaś skazuje się na karę zespół zupełnie przypadkowy. Jeżeli padła na ulicy bomba, ściąga się wtedy mieszkańców pewnej ulicy, lokatorów pewnego domu lub gości określonego lokalu. Natomiast przy odpowiedzialności za działanie zespołu ściga się członków tego zespołu. Kto do zespołu wstępuje, ten przyjmuje na siebie pełną odpowiedzialność za to, co ten zespół robi. Nie

jest to zatem odpwiedzialność bezwinnego. Istnieje tylko jedna możliwość zwolnienia się od odpowiedzialności — przez odcięcie się odeń, to jest wystąpienie z zespołu.

Wielkie zbrodnie nie mogą być dokonywane przez jednego człowieka. Wielkie zbrodnie wymagają również wielkiego aparatu technicznego. Stąd zbrodnicze działanie na wielką skalę możliwe jest tylko w zespołach. Poszczególne elementy zespołu lub ich czynności mogą być same przez się, osobno wzięte, zupełnie obojętne z punktu widzenia prawa karnego. Razem zaś — są uczestnictwem w przestępstwie. Może nim być już niewinna pieniężna składka członkowska, dzięki której inni członkowie zakupują broń dla urzeczywistnienia celów zespołu znanych członkowi. Czym byłoby chociażby gestapo bez odźwiernych, maszynistek, rejestratorów. Jeżeli Międzynarodowy Trybunał Wojenny w Norymberdze tych woźnych w tej chwili nie pociąga do odpowiedzialności, dzieje się to tylko z przyczyn oportunistycznych.

Proszę Wysokiego Sądu — działanie zespołu da się porównać do sieci pajęczej. Poszczególne jej nitki, to smugi błyszczące w słońcu, to mieniące się w jesiennych promieniach babie lato. Wszystkie nitki razem tworzą niebezpieczną sieć, w której ofiara, szamocąc się bezustannie — ginie. Wszyscy członkowie przestępczego zespołu, jakim, ze względu na użyte środki i cel, była partia narodowo-socjalistyczna, są nitkami tej wielkiej sieci, którą omotano całą bez mała Europę w czasie tej wojny! Kto jak Wy, Panowie Sędziowie, szamotał się w tej upiornej sieci, kiedy pod każdym załomem czyhał pająk, temu przywodzenie ponownie przed oczy całego koszmaru jest niepotrzebne.

Czym byłby pająk bez sieci pajęczej? Zdany na przypadkową może, pojedynczą ofiarę.

Czym byłby Hitler bez partii narodowo-socjalistycznej, bez sztabu Reichsführerów, Gauleiterów? Bezsilnym szaleńcem. Czy mógłby Hitler wszystko zdziałać bez pomocy takich, jak oskarżony? Oskarżony sam przecież twierdził, że Hitler był opętańcem. Czy przytrzymywanie drzwi, by lekarz nie doszedł do niego z kaftanem bezpieczeństwa, nie stanowi działania przestępczego? Robiła to, jak wiemy, partia narodo-socjalistyczna.

Istnieje powiedzenie *les crimes collectifs n'engagent pas*, iż przestępstwa zbiorowe nie zobowiązują nikogo. Trzeba ustalić zasadę, że zbrodnie w zespołach zwiększają odpowiedzialność, gdyż są one bardziej niebezpieczne niż zbrodnie indywidualne Jak w prawie odszkodowawczym odpowiedzialność za działanie elektrowni, kolei, samochodów jest zwiększona ze względu na większe niebezpieczeństwo jakim zagrażają, tak prawo karne z powodu zwiększonego niebezpieczeństwa ze strony zespołów powinno zwiększyć odpowiedzialność za ich działanie.

Nie jest to problem łatwy do rozwiązania, choć piękny i odpowiedzialny. Stwarzamy, proszę Wysokiego Sądu, w tym wypadku dla prawa krajowego i międzynarodowego wielki precedens, który nie kończy się wcale na zbrodniarzach wojennych. Oznacza on mianowicie, że każdy członek partii, każdy uczestnik jakiegokolwiek zespołu zobowiązany jest do jeszcze większej czuj-

ności i że nie ma takiego pola działalności zespołu, za który by nie ponosił osobistej odpowiedzialności. Swym wyrokiem przyczynicie się, Panowie Sędziowie, do umoralnienia życia partyjnego w kraju i na całym świecie, stwierdzając, że kto raz wstępuje do jakiegokolwiek zespołu o wyraźnym obliczu, musi dokładnie przemyśleć to co robi i musi sam codziennie kontrolować, dokąd go ten zespół prowadzi. Czy nie jest to zadanie pierwszorzędnej wagi, czy nie przerasta ono o wiele tego oskarżonego i ten proces?

Jest to zadanie — jak powiedziałem — odpowiedzialne i piękne, bo tym samym wykażecie społeczności, że odpowiada się nie tylko za małe zbrodnie, lecz także za wielkie. Jeżeli o zespole mówi się często w teorii jako o uwielokrotnionym człowieku, bo zdolny on jest do uwielokrotnienia swego działania, to Trybunał musi w wyroku stwierdzić, że uwielokrotniona możliwość działania to jednocześnie uwielokrotniona odpowiedzialność.

Jeszcze jedna ważna okoliczność. Zespoły tworzą niewątpliwie swoistą moralność. Każdemu kryminologowi znaną jest tzw. moralność złodziejska, która nie pozwala na okradanie złodziei, na oszukiwanie przy podziale łupów, na wydanie towarzysza. Zespoły stwarzają zatem często odrębny pogląd na dobro i zło. Kiedy jednak te zespoły wykazują tendencję do rozszerzenia się, wtedy owe odrębne zapatrywania na dobro i zło przenoszą się z tych zespołów na zewnątrz. Podczas gdy na początku działania zespołu społeczeństwo przeciwstawia się swoim systemem moralnym odrębnej moralności zespołu — to gdy pewna grupa zaczyna się rozrastać, pęcznieć, wpływać na życie społeczne — moralność tej grupy infiltruje dalej i przenosi się na społeczeństwo. Świadkami takiego zjawiska na ogromną skalę byliśmy w Niemczech, gdzie moralność zbrodniczego *gangu* stała się moralnością przeciętnego człowieka. Dlatego dziś tak trudno ustalić, gdzie kończy się odpowiedzialność partii narodowo-socjalistycznej, a gdzie zaczyna się odpowiedzialność narodu niemieckiego. I zdaje mi się, że w tym zlaniu się tych dwóch moralności, w recepcji — że użyję prawniczego wyrażenia — grupowej, narodowo-socjalistycznej moralności przez ogół, tkwi istota zbrodni narodu niemieckiego jako całości.

Wy, Panowie Sędziowie, ustalicie, że są pewne koncepcje moralności ogólnej, przyjętej przez wszystkie cywilizowane narody, które stoją na zawadzie przyjęciu moralności takich grup i że koncepcje te są tak silne, że stanowią wał, którego bezkarnie przerwać nie wolno.

W związku z tym, co dotychczas powiedziałem, zdaje mi się, że odpada kwestia rozkazu, na którą powoływał się oskarżony, jako na okoliczność wyłączająca ściganie. Jeżeli jednostka wstępuje do pewnego zespołu, który zobowiązuje do bezwzględnego posłuchu i dyscypliny, jeżeli godzi się na światopogląd zespołu z jego metodami, to tym samym przyjmuje z góry odpowiedzialność także za to, że będzie wypełniała rozkazy. Zdaje się więc, że problematyka rozkazu w związku z tym zupełnie odpada. Nie decyduje bowiem o odpowiedzialności chwila działania, ani chwila otrzymania rozkazu. Ważna jest wyłącznie chwila dobrowolnego wstąpienia do partii, wtedy bowiem jednostka przyjęła regułę zespołu, która zobowiązała do posłuszeństwa i wy-

pełnienia wszelkich rozkazów. Kwestia zatem, czy wydany rozkaz przełożonych był prawny czy bezprawny — jest zgoła obojętna i o rozkazie w związku z tym w ogóle mówić nie trzeba. Z tego założenia wychodziła prawdopodobnie ustawa polska o zbrodniarzach faszystowsko-hitlerowskich w art. 3 i to niewątpliwie stanowiło *ratio legis* art. 8 statutu Międzynarodowego Trybunału Wojennego w Norymberdze. Przepisy te odbierają możliwość powoływania się na rozkaz władzy wyższej jako na okoliczność, która może zwolnić od odpowiedzialności. Ustawa ta bowiem i statut przyjmują odpowiedzialność za działalność w zespole, dla której decydującą jest chwila godzenia się na regułę zespołu, moment przystąpienia do zespołu.

Pozostaje jednak do omówienia problem o wiele trudniejszy, o wiele bardziej brzemienny w skutki. Nie chciałbym, proszę Wysokiego Sądu, uchylić się od omówienia i tej kwestii. Problem jest następujący: co się dzieje, jeżeli pewien zespół czy pewna partia, związek czy stowarzyszenie obejmuje władzę w państwie i na ten zespół przechodzi suma uprawnień suwerenności państwowej? Przyjmijmy, że jest to jakiś zespół zbrodniczy, zespół złodziei czy morderców, który obejmuje władzę w państwie. I w następstwie zespół ten wydaje prawo, w którym ustanawia, iż pewne morderstwo jest w danym państwie prawem — nie tylko prawem, lecz obowiązkiem, że kradzież jest dopuszczalna. Ażeby uderzyć od razu w sedno rzeczy: stało się to niewątpliwie w Niemczech, gdzie pewna partia, partia narodowo-socjalistyczna, objęła władzę w państwie, zaczęła wydawać ustawy, które pokrywały się w pełni z jej światopoglądem. I dlatego nie ja miałem rację, o ile chodzi o wewnętrzne państwowe skutki, lecz świadek Jaeger, kiedy na moje pytanie, czy w świetle prawa niemieckiego obozy koncentracyjne są przestępstwem, odpowiedział bez wahania i stanowczo — nie! Bo naprawdę w tym państwie władzę objął zespół zbrodniczy i on stworzył z tego, co jest zbrodnią — prawo i obowiązek obywatelski. W tym kraju więc i w zasięgu władzy ustawodawczej zespołu narodowo-socjalistycznego nie mieliśmy prawa do życia już nie wedle woli poszczególnych jednostek, ale wedle obowiązującego wszystkich prawa. Co dzieje się w tym wypadku? Czy w tym wypadku można sądzić obywateli danego państwa, stojących pod rządami tego prawa za to, że działali zgodnie z tym prawem i zgodnie z obowiązkami przez to prawo narzuconymi?

*(Przewodniczący zarządza trzyminutową przerwę)*

Przerwałem w momencie, kiedy określiłem problem, sądzę, że najbardziej kapitalny w tej sprawie. Co dzieje się z chwilą, kiedy zespół zbrodniczy — mówię w tej chwili teoretycznie — opanuje państwo, aparat ustawodawczy i wydaje ustawy odpowiadające moralności zespołu. Twierdzę, że prawo takie nie obowiązuje i może być przedmiotem kontroli każdego cywilizowanego państwa, a to z następujących powodów:

Po pierwsze: narody są częścią spólnoty międzynarodowej, która posiada swoje moralne standardy. Można je nazwać — czynią to nowocześni prawnicy bardzo niechętnie — prawem natury, można je nazwać ogólnymi zasadami

prawnymi, przyjętymi przez cywilizowane narody. Wynika to z art. 38 Statutu Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej w Hadze, wedle którego źródłem prawa są też ogólne zasady przyjęte przez cywilizowane narody.

Żeby usunąć w tym miejscu wszelkie wątpliwości, chcę stwierdzić, że podporządkowały się im zarówno te narody, które opierają swoje współżycie na eschatologicznej, autonomicznej czy absolutnej moralności, jak również narody, które opierają swoje współżycie na moralności relatywnej czy historycznej.

Jest niezmiernie interesujące, że niedawno ukazało się dzieło wybitnego teoretyka prawa radzieckiego, więc reprezentanta społeczeństwa o światopoglądzie, który w nauce określa się jako materialistyczny, który standardy moralne czyni funkcją procesów ekonomicznych i historycznych. W książce swej pt. *Mieżdunarodnoje prawosudje i priestupniki wojny* prof. Poljański stwierdza, iż klasowe pojmowanie moralności i marksistowski światopogląd nie stanowią przeszkody do przyjęcia tezy o obowiązku pewnych „elementarnych, ustalonych wiekami prawideł współżycia społeczeństw" i do walki o to: „by proste prawidła moralności i sprawiedliwości, które obowiązują jednostki, stały się również normami obowiązującymi w stosunkach międzynarodowych". Obydwa ilustracyjne cytaty zaczerpnięte zostały przez autora z dzieł Marksa i Lenina.

Nie ma zatem dziś różnicy zdań pomiędzy cywilizowanymi narodami świata co do tego, że istnieją pewne podstawowe, elementarne przepisy moralności, które obowiązują wszystkie narody, które są ponad prawem, które bezkarnie naruszone być nie mogą.

To uprawnia nas do uznania norm wydanych przez zespół zbrodniczy, narodowo-socjalistyczny, jako nieistniejących, jako *vacuum iuris*. Historia prawa angielskiego zna koncepcję *vacuum iuris*. W r. 1837 uznano pewne zespoły Hindusów, Thugów i ich prawo za zbiór norm wydanych przez związek zbrodniczy — za *vacuum iuris*.

Drugi powód: Statut Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze, ustalony w porozumieniu londyńskim z dn. 8 sierpnia 1945, nie stworzył — wydaje mi się — nowego prawa. Stwierdził tylko, że pewne podstawowe moralne zasady są silniejsze od prawa stanowionego poszczególnych krajów. Mają one moc sprawdzianu, czy pewne normy, obowiązujące w określonym państwie, mogą być w ogóle uznane za prawo. Statut Trybunału ma zatem raczej charakter deklaratywny. Do takiego stanowiska uprawnia nas jeszcze jeden argument. Państwa, które zawarły konwencje haskie i genewską ustaliły, że pewne zachowanie się rządzącego okupanta w czasie wojny, jak stosowanie solidarnej odpowiedzialności, karanie bez sądu, niszczenie pewnych dóbr itp. są zabronione w czasie w o j n y. Czy te konwencje nie uprawniają do wniosku: jeżeli są to minimalne uprawnienia ludności, które obowiązują w czasie w o j n y, to tym bardziej te prawa powinny obowiązywać w czasie p o k o j u. Jeżeli państwa między sobą ustaliły, że nawet w czasie wojny, w najbardziej wyjątkowym okresie, nie wolno tych praw ludności

naruszać, to tym samym ustaliły, że to jest minimum gwarancji, które powinno obowiązywać także w czasie pokoju. Oczywiście tego wyraźnie nie powiedzieli, bo twórcy Konwencji Haskiej myśleli kategoriami normalnymi, logicznymi. To zaś, co stało się za czasów rządów partii narodowo-socjalistycznej, to jest wpływ mentalności chorej, to są kategorie nienormalne, patologiczne. Gdyby twórcy Konwencji Haskiej mogli coś podobnego przewidzieć — na pewno ustaliliby, że to co obowiązuje w czasie wojny, obowiązuje bezwarunkowo również w czasie pokoju. Sądzę, iż te podstawowe zasady, minimalne uprawnienia każdego społeczeństwa można sformułować. Nazwałem te gwarancje we wstępnym przemówieniu *magna charta dignitatis hominum*, a przestępstwo ich naruszenia, *crimen laesae humanitatis*.

Sądzę, że dadzą się one ująć w następujące punkty:

Nikt nie może być karany tylko za to, że jest członkiem pewnego narodu.

Nikt nie może być zniszczony tylko za to, że jest synem pewnej rasy.

Nikt nie może być pociągnięty do odpowiedzialności za to, że wyznaje pewną określoną religię.

Nikt nie może być pociągnięty do odpowiedzialności za wewnętrzną, nieaktywną swoją wiarę polityczną.

Wojna napastnicza jest przestępstwem.

To są te elementarne zasady, które wynikają z Wielkiej Karty Człowieka. Mają one stanowić gwarancję, że podobnego sponiewierania godności człowieka nie przeżyjemy ponownie.

Bylibyśmy zresztą w pełni uprawnieni sądzić takich jak oskarżony nawet bez prawa. Oni to powoływali się przy sądzeniu na *gesundes Volksempfinden* — zdrowe poczucie narodowe. Trybunał mógłby swój wyrok oprzeć na *gesundes Menschheitsempfinden* — na zdrowym poczuciu ludzkości. W ten sposób poczuciu jednego narodu, moralności jednego zespołu, przeciwstawiłby Sąd zdrowe poczucie ludzkości, ogólne standardy moralne.

Może powstać jeszcze jedno zastrzeżenie, czy przechodząc do porządku nad poszczególną ustawą krajową, w tym wypadku niemiecką, nie naruszamy podstaw suwerenności? Z tym w krótkości się rozprawię. Prawo publiczne zna od dawna tak zwane *détournement* lub *excès du pouvoir*. Francuski *Conseil d' Etat* przywiązywała wielką wagę w swych orzeczeniach do prawideł moralności we współżyciu społeczeństwa i w funkcjach komórek państwowych. Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości Międzynarodowej w Hadze ustalił w wyroku Nr 7, że istnieje nadużycie praw suwerenności. Tak jak nowoczesne prawo własności nie może być nadużyte, gdyż stanowi ono funkcję społeczną, tak samo prawo suwerenności nie może być nadużyte, gdyż stanowi ono tylko funkcję współżycia wielkiej rodziny cywilizowanych narodów. Gdzie ludność nie dojrzała do dysponowania swoją suwerennością, wprowadzono mandaty, względnie powiernictwa. Tam więc, gdzie nadużywa się prawa suwerenności, przestaje ono istnieć.

Chcę wreszcie zwrócić uwagę Najwyższego Trybunału na to, że system prawa polskiego uprawnia do badania każdego obcego ustawodawstwa, czy

st ono zgodne z moralnością i porządkiem publicznym. Według art. 38 prawa stosunkach międzynarodowych prywatnych z r. 1926, obce prawo może być znane i stosowane tylko wówczas, jeżeli nie sprzeciwia się dobrym obyczajom polskiemu porządkowi prawnemu. Nie można uznać w Polsce prawa hitlerowskiego niemieckiego jako prawa. Sprzeciwiłoby się to polskiemu porządkowi publicznemu, który jest porządkiem poszanowania człowieczeństwa. Wedle porządku polskiego — prawo powyższe jest bezprawiem. Nie może ono być zresztą uznane przez żadne państwo z rodziny narodów cywilizowanych, gdyż sprzeciwia się dobrym obyczajom. Odrzucenie tego prawa nie jest zatem ograniczeniem suwerenności. Wasz wyrok ustali, że granice suwerenności mieszczą się tylko w granicach obyczajności i przyjętych standardów moralnych. Suwerenność nie może być środkiem dokonywania zbrodni. Jest Waszym obowiązkiem poddać prawo hitlerowsko-niemieckie kontroli z punktu widzenia obyczajowości i tego, co nazwałbym porządkiem cywilizowanego świata.

Winien jestem wyjaśnienie, czy zespół, którego jednym z kierowników był oskarżony, jest zespołem przestępczym. Nie zabiorę Wysokiemu Sądowi wiele czasu, nie będę powtarzał tego, co udowodniono na tej sali i o czym dziś tak wyczerpująco mówił mój szanowny kolega. On to Wam wykazał, że działalność tego związku mieści się bez mała we wszystkich przepisach naszego kodeksu karnego. Przechodził on kolejno czyny partii, czyny oskarżonego, który był tej partii członkiem i z właściwym mu spokojem i dokładnością porównywał wszystko, czego dokonano, ze stanami faktycznymi naszego kodeksu. Ja chciałbym zwrócić uwagę tylko na jeden charakterystyczny rys tego zespołu.

Przez zespół zbrodniczy rozumiem zespół, którego cel lub metody z punktu widzenia standardów prawa i moralności świata cywilizowanego — wolno mi już teraz użyć tego określenia — uznane być muszą za przestępstwo. W partii narodowo-socjalistycznej fenomen użytej metody jest dla mnie bardziej charakterystyczny niż fenomen celu, do którego dążyła. Czy nie zwróciło to już uwagi Wielce Szanownych Sędziów, że oskarżony cały czas twierdzi, iż partia narodowo-socjalistyczna nie miała właściwie określonych celów. W pewnym sensie należy mu dać wiarę. Dlatego punkt ciężkości analizy powinien przesunąć się na metody działania tego zespołu. Ale dlatego też odpowiedzialność członków powinna być tym większa, że nie mając ściśle określonych celów, stosowali tak potworne metody. Mieli cel, lecz cel ich był płynny, wyłącznie negatywny. Niszczenie. Cel ten określa jeden z byłych wyznawców jako nihilizm powstały na tle opętania żądzą władzy. Dla zaspokojenia tej żądzy wszystkie metody zbrodnicze były dopuszczalne. Dobre było wszystko, co temu pędowi służyło. Ustawicznie w biegu, jak w amoku, niweczyli po drodze wszystko, co zdawało się być przeszkodą lub nią rzeczywiście było. Rzeczy i ludzi. Cel ich można określić tylko jako nihilizm, a metodę jako anarchię moralną. Dlatego niszczyli wszystko, co nam jest drogie, święte, co było pozytywnym rostem. Z żądzy władzy uczynili swą ideologię. Dlatego tak często w ich bibliach jest mowa o panach i niewolnikach, o wojnie i śmier-

ci, dlatego tak wielka u nich apoteoza niszczenia. Oskarżony miał więc rację o tyle, że partia narodowo-socjalistyczna rzeczywiście pozytywnego celu nie miała. Ona po pierwszej wojnie światowej wyszła z negacji i żyła tylko negacją. Dziś, po drugiej wojnie światowej, spotykamy niejednokrotnie podobne zjawiska społeczne, kiedy całe warstwy żyją tylko negacją. Hitleryzm wyrósł z zaprzeczenia — to była rewolucja patologiczna negatywizmu, dlatego, z konieczności, wszystko co było dotychczas pozytywne musiał uważać za przeszkodę dla siebie. Nie mając jasno wytyczonych celów, byli jednak hitlerowcy zgodni co do metody. Streszczała się ona w jednej zasadzie: każdy środek jest dobry, o ile prowadzi do zwycięstwa, każda droga słuszna, jeżeli daje końcowy efekt. Jasne, że takie zasady pozwalały na gazowanie, palenie, niszczenie całych narodów.

Dlatego ten związek nazywam podwójnie przestępczym, bo — nie mając ścisłego pozytywnego ideału jako celu działania — zezwalał na stosowanie wszystkich środków, jakie tylko chora wyobraźnia zespołowej, opętanej żądzą władzy masy może wymyśleć. W swym pędzie w nicość opasałby ten zespół cały świat drutem kolczastym i bez przerwy płonęłyby piece krematoryjne.

Było w tej przez nich użytej metodzie jeszcze coś — oszustwo, jedno z największych oszustw, jakie przeżywała ludzkość. Nadużyli, w celu wprowadzenia w błąd, nawet słów, które ludzkość wymyśliła na określenie największej równości na świecie, to jest słowa socjalizm, aby wprowadzić największą nierówność na świecie, bo władztwo jednej rasy nad całym światem. Ażeby maskować tę próżnię negacji, tak chętnie przemawiali językiem nabrzmiałym, napuszonym, pełnym patosu! We własnym gronie wzbraniali się używać słów, które by odpowiadały zwyczajnej ich treści. Zamiast mord, mówili — *Aktion*. Zamiast niewola, mówili — *Arbeitseinsatz*. W stosunkach między sobą nawet oszukańczo maskowali swój nihilizm, używając słów, którym nie odpowiadała zwyczajna treść. Tak cecha niemiecka, którą Karl Jaspers nazwał *Selbstbetrügerei*, doszła u nich do zenitu.

Również więc i wojna musiała być przez partię narodowo-socjalistyczną uznana za rzecz świętą. Wojna była w tym zespole tylko jedną z form niszczycielskiego działania. Rauschning twierdzi, iż według oświadczenia Hitlera należy dotrzymywać traktatów tylko tak długo, jak długo nakazują to faktyczne potrzeby partii. Stosunek do Polski i Gdańska określił Hitler w ten sposób: „Naturalnie rad jestem, że moją politykę wschodnią będę mógł robić jeszcze teraz z Polską, zamiast już ją robić przeciw Polsce". Odsunięcie sprawy granic na później potraktowano jedynie jako zasłonę kamuflażową ze względu na krytyczną sytuację polityczną, jako tymczasowe zamaskowanie prawdziwych zamiarów partii.

Po objęciu rządów przez partię narodowo-socjalistyczną musiało dojść do wojny. Taka była logika faktów. Niemiecka żądza panowania bowiem była bezgraniczna. Jeżeli ktoś mówi i wierzy, że jest czymś wyższym od innych — to może się uspokoić tylko wtedy, gdy wszystko co wokoło niego, będzie leżało u jego stóp, lub gdy sam będzie powalony.

Greiser odpowiada za działanie tego zespołu jako jeden z najwyższych dy-
nitarzy partii.

Kończąc tę część prawną mego przemówienia proszę Wysoki Sąd o ustalenie wyroku, że każda agresja, gdziekolwiek by ona nastąpiła i wobec jakiego-
olwiek narodu, stanowi agresję na Rzeczpospolitą. Żyjemy w jednym świecie. apalenie pochodni wojny w jakimkolwiek miejscu przerzuci niechybnie pożar na nas. Stanowimy jedną rodzinę narodów i razem ze wszystkimi narodami usimy stać na straży pokoju. Art. 99 naszego Kodeksu karze wejście w poro-
umienie w celu wywołania wojennych lub innych wrogich działań przeciwko aństwu Polskiemu. Chciałem prosić Wysoki Sąd o stwierdzenie, że wrogim ziałaniem przeciwko Państwu Polskiemu jest każdy akt agresji na jakiekol-
iek państwo na kuli ziemskiej. Państwo Polskie może budować swoją egzy-
encję, a naród swój byt biologiczny tylko na pokoju. Kto ten jedyny możli-
y w obecnych warunkach pokój łamie — ten niewątpliwie popełnia agresję a Polskę. Żyjemy w świecie, który określono jako *One world* — jeden wiat pokoju, albo — koniec tego świata.

Chcemy prosić również Wysoki Sąd o przyjęcie zasady, iż każde naruszenie zterech zasadniczych praw człowieka, które próbowałem określić, uprawnia ąd polski do wkroczenia na zasadzie art. 8 K. K. a więc niezależnie od przepi-
ów obowiązujących w miejscu popełnienia takiego przestępstwa. Sąd polski ia obowiązek karania za przestępstwa przeciwko bezpieczeństwu wewnętrz-
emu lub zewnętrznemu Państwa Polskiego. Uprawnienie do sądzenia mieści ę zatem w ramach art. 8 K. K., gdyż przestępstwa te są zamachem na podsta-
y naszej kultury, stanowią przekreślenie fundamentalnych praw współżycia. Należy zatem je uznać za zamach na bezpieczeństwo wewnętrzne naszego aństwa.

Litera prawa nie może stać na przeszkodzie takiej wykładni.

Jeden z najwybitniejszych prawników amerykańskich, Oliver Wendell Hol-
nes, zwany wśród Jankesów Olimpijczykiem, twierdzi, że prawem jest tylko o, co sąd uznaje za prawo. Wszystko, czego sąd nie uznaje, jest tylko martwą terą, jest dezyderatem pozbawionym żywotnej treści.

Jerome Frank w znanej książce pod tytułem *Law and the Modern Mind* — Prawo i duch nowoczesny" — ostrzega sędziów przed kompleksem mniej-
zej wartości wobec tablicy pisanego prawa. Życzenie sędziego, by najbardziej óżnorodne, w nowych warunkach powstałe zagadnienia znajdowały zawsze ozwiązanie bez reszty w dawno ogłoszonych tekstach prawnych lub starych ıdykatach, by system prawa pisanego stanowił kompletną, zamkniętą całość, ez jakichkolwiek luk — nazywa neurastenicznym kompleksem synowskim. Zbyt często się zapomina, że prawo wyrasta z potrzeb człowieka, korzeniem woim tkwi w życiu, uzasadnienie swoje ma tylko w swym celu, jakim jest regulowanie współżycia ludzi zgodnie z potrzebami cywilizacji.

Przestrzegam Was, Panowie Sędziowie, nie ulegajcie temu kompleksowi przy-
iązania do litery martwej i przyjmijcie nakreśloną przeze mnie wykładnię.

Olbrzymi wstrząs, który przeżyliśmy w czasie tej wojny, odsłonił korzenie

prawa, podstawy jego obowiązywania i jego źródła. Wskazał Wam, Panow Sędziowie, że prawo bez moralności jest niewątpliwie bezprawiem, że lite prawa nie idącego za poczuciem sprawiedliwości społeczeństw jest największ krzywdą.

Proszę Was, przebijcie zasłonę zespołu. Nikt nie może z zespołu stwarz sobie puklerza bezkarności. Każdy, kto w zespole pracuje, musi ponieść odp wiedzialność za działanie zespołu. W przeciwnym razie doprowadzi to do d minacji zespołu bez moralności, inaczej dacie tym zespołom broń, która z szczy naszą wolność i możliwość egzystencji.

Chcę na zakończenie poświęcić kilka słów oskarżonemu.

Mówił tu oskarżony o dwóch duszach, które w nim tkwią. Chcę mu w rzyć; niewątpliwie w nim są, bo nie podejrzewam, żeby ktoś mógł tak upa by duszę, którą wessał z miekiem matki, która przecież miała kształt ludz zatracił i zagubił. Ona w nim jest. Ale kto nam da gwarancję, że skoro będ wypuszczony na wolność, ta druga dusza, do której się przyznał, znowu weźmie góry ku naszej zgubie; ku zgubie pokolenia, które rośnie. Człowie który tej duszy złej nie potrafił w sobie przezwyciężyć, który pozwolił, że nad nim zapanowała na tak długi okres, nie może liczyć na to, że nabierze zaufania do jego drugiej, człowieczej duszy.

Mówił oskarżony — i chcę mu również wierzyć — że chciałby tu mię nami żyć, bo tu jest jego ziemia rodzinna. Dylemat ojczyzny stanowi obec jego wielką tragedię. Obywatele jego własnego kraju, Niemcy, mają obec dla tego typu ludzi, jak on, tylko pogardę, tylko żal i nienawiść, tylko po pienie z powodu klęski, którą na nich sprowadził. Mówił jeden ze współosk żonych w Norymberdze, Hans Frank, że „tysiące lat upłyną, zanim hań zostanie zmyta z Niemiec za to, czego dokonali na tych ziemiach".

Tak więc nie ma tam dla niego Ojczyzny w tej chwili — tu chciałby wol tego żyć; lecz ludzi tej ziemi niszczył, ludzi tej ziemi wygnał, ludzi tej zie palił. Ojczyzna, proszę Sądu — to zawsze ziemia i ludzie na niej żyjący. N ma Ojczyzny bez ludzi. Ziemia może być ojczyzną dla tego tylko, kto ch ziemię i ludzi żywych na niej. Dla człowieka, który ludzi niszczył, palił, k ry chciał mieć ziemię bez ludzi — ziemia może być tylko grobem — nig ojczyzną!

O co walczy ludzkość, czego po tylu latach okropności chce? Żeby dzi z uśmiechem mogły patrzeć na słońce, żeby człowiek do pracy mógł iść w sp koju, by możliwość zniknięcia, przez przypadek, możliwość okaleczenia i ut ty wolności bez winy znikła z tego świata.

Chcemy właściwie jednej wolności: wolności od lęku. Czy może być ta wolność bez gwarancji? Czy może bez lęku budzić się niemowlę, jeżeli ju znowu na podbój świata wyruszyć mogą tacy, jak oskarżony? Czy może sp kojnie matka rodzić, jeżeli jutro znowu będą dymić piece krematoryjne? C może spokojnie umrzeć starzec, jeżeli nie zobaczy za swojego życia ukarany gwałcicieli praw człowieka?

I czy nie wydaje się nam wobec tego proste i słuszne zawarte w Wielkiej
arcie Narodów Zjednoczonych oświadczenie, że państwa zdecydowane są
otwierdzić na nowo wiarę w zasadnicze prawa człowieka: godność i wartość
złowieka.

Potwierdzić wiarę w godność człowieka?! — Nie dziwi nas to, bo tak zo-
ała zachwiana ta wiara, że trzeba było nowej specjalnej deklaracji, by ją
oudzić.

Chciałbym Was prosić, Panowie Sędziowie, ażeby Wasz wyrok zwolnił nas
d koszmaru wojny i przywrócił tę zachwianą wiarę w człowieczeństwo.
V imię sponiewieranej godności ludzkiej wnoszę — o ukaranie oskarżonego!

# MATERIA POETICA

Estetycy, którzy z podejrzaną namiętnością trzymają się zasady autono sztuki, nie zaprzeczają, że żywioł artystyczny jest w życiu ściśle splecio z żywiołem praktyki, pokładają jednak swój tryumf w tym, że oni mi tego splecenia potrafią odróżnić jedno od drugiego i w widzeniu trzym obydwa składniki z daleka od siebie, w czystej niezmieszanej postaci. D pewnej fazy w postawach ducha ludzkiego wobec zjawisk może to wyst czyć: taka duma z instrumentu, jakim jest czyste pojęcie, oraz pewnego dzaju szkodnicza, złośliwa radostka wobec zagadkowego stanu rzeczy. jest właśnie faza naukowa, rojąca się od takich instrumentów, których inwe tarzem człowiek sam siebie olśniewa. Ale i to jest faza przejściowa, po któ wraca pytanie: po co?

Najstarsza poezja była dydaktyczna, ściślej biorąc: filozoficzna, miała celu ni mniej ni więcej jak cały kosmos. (Heraklit). Ten cel nie znikł, tyl że dąży się do niego bardziej pośrednio i cząstkami. Estetycy puryści, stoją na straży autonomii sztuki, mówią: Kto chce zgłosić jakąś prawdę filoz ficzną, niech będzie konsekwentny i napisze nie poemat, lecz od razu ja system czy rozprawę; kto chce swój naród pouczać, ganić lub zachęcać, nie to zrobi w broszurze publicystycznej lub niech się ograniczy do zakresu storii czy socjologii; kto coś przeżył, widział, doświadczył, niech pisze powieść, lecz pamiętnik, dziennik z podróży, kto chce zakomunikować jak myśl, niech napisze krótki aforyzm, a osiągnie swój cel lepiej i uczciwi (Patrz „Walkę o treść" str. 139 i nast.).

W wielu wypadkach jest to żądanie słuszne, gdy np. wyczuwa się, że aut posługuje się wspomnieniami z własnego życia, z podróży, wyjątkami swego dziennika, aby mieć czym wypchać tom powieści, która inaczej, byłal za chuda. Ale może być wypadek inny: że własne życie nie jest tylko dosta czycielem obojętnego materiału, lecz samo jest tematem, gdy autor nie un jeszcze być sprawozdawcą własnego życia, lecz szamocąc się w nim jeszcz chce się z nim jakoś uporać: wtedy nawet zrobienie z niego jakiegoś *docume humain*, czyli zimna relacja byłaby także formą poetycką.

Wyliczone przez estetyków-purystów (autonomistów) sposoby załatwien

się z treścią czy tendencją: broszura, rozprawa, traktat, czy pamiętnik, aforyzm, nie wyczerpują wszystkich potrzeb duszy i pozostawiają wciąż otwartą kwestię innych jeszcze sposobów, to jest tak jak dotychczas: przy pomocy środków literackich. Są mianowicie na mapie życia ludzkiego wielkie obszary spraw, które jako jeszcze nie ujęte przez naukę, muszą być, przynajmniej tymczasem, stwierdzone i przechowane przez sztukę. A tutaj nie chodzi mi już o ich prawo do symbiozy z literaturą, gdyż jest ono zdaje się bezsporne, chodzi mi o jakość tych spraw. Już nieraz (w „Pałubie") mówiłem o tym, jak to literatura wyprzedza naukę i dostarcza jej materiału; najświeższym przykładem jest psychologia, socjologia i charakterologia, które do niedawna tylko w literaturze miały gościnę. Ale takich logii może być jeszcze wiele. Ja te obszary, określane dziś mgławicowo jako humanistyka lub antropologia, nazywam: *materia poetica* i zaraz pokażę na przykładach, co tu rośnie i jak daleko się rozciąga.

Weźmy sztukę „Hamlet" i jej domniemany problemat, tak jak go określił Goethe: wielki czyn, włożony na duszę, która do tego czynu nie dorosła, dąb zasadzony w kosztownym naczyniu, które mogło pomieścić tylko miłe kwiaty. Korzenie się rozszerzają, naczynie pęka. Naokoło tej koncepcji Goethego, która nb. ku końcowi poprzedniego stulecia przybrała charakter wprost wrogi dla Hamleta, robiąc go reprezentantem dekadenctwa i niedowładu woli — krystalizowały się dalsze koncepcje, już np. biorące Hamleta w obronę, że nie mógł inaczej postępować niż postępował, a Wyspiański dodał jeszcze dalszą tezę: że człowiek wogóle może się mścić tylko za własne krzywdy a nie za cudze i teza ta, zresztą zupełnie błędna i dowolna, olśniła wielu w Polsce (m. in. Brzozowskiego).

Otóż czym jest w skarbcu kultury — powiedzmy więcej: w historii kultury ten dramat i jako całość wzięta razem ze szczegółami i jako idea, i jako ośrodek zapładniający wyobraźnię innych, i jako blok owych różnych koncepcji, które rozwijały się nie tylko jedna obok drugiej, lecz także jedna z drugiej lub jedna przeciw drugiej? Estetyk purystyczny powie, że jako dzieło sztuki jest „Hamlet" czymś izolowanym, jednorazowym, blokiem erratycznym, podarunkiem bogów i że tylko pod tym kątem widzenia rozważany być powinien. Będzie podkreślał, że tzw. idea „Hamleta", sama jego myśl, jest niczym bez realizacji, może być tylko szkolnym środkiem pomocniczym dla filologów. Kto patrzy inaczej, patrzy oczyma prozy, a nie poezji.

Bardzo dobrze, pozostańcie sobie tam po drugiej stronie ze swoją poezją. Nas tu obchodzi „Hamlet" jako blok prozaiczny, praktyczny, utylitarny, budzący i zaspakajający pewne potrzeby ludzkie, nowe odkrycie, instrument, pokarm i kłopot. Określa się nowy gatunek człowieka, dla jednych wzór snobistyczny, dla drugich przecież tylko gra umowna (będziemy sobie pewną linę z rąk wydzierali). Dotychczas uważało się, że zamiar i czyn zahaczają się o siebie bez błędu, teraz pokazało się, że tak dobrze nie jest i że, kto wie, może to nawet nie jest hańbą, i że bądź co bądź otwiera się tu alternatywa wyższa ponad zarzut zwykłego niedołęstwa. „Wahacz" zrobił karierę. A gdzie

to wszystko należy? do historii, do ekonomii, do medycyny, do psychologii lub psychiatrii? Socjologii, charakterologii? Tak, jest w tym nieco charakterologii, ale nie jednostkowej, raczej podchwytuje się na gorącym uczynku pewną możność ludzką, przysługującą wszystkim. Z psychologii mamy tu coś o woli, lecz raczej podpadałaby ta rzecz pod etykę. Jaką etykę, teoretyczną czy normatywną? z filozofii, z metafizyki nie znajdujemy tu wiele, lub chyba tyle tylko, ile jest jej wszędzie.

Więc jakaż tu jest wiedza? Powiedzmy: wiedza o sytuacjach, o stosunkach ludzi do ludzi, do losu, do swoich zadań i t. d., wiedza dotąd nie skodyfikowana i trudno skodyfikować się dająca, ale wiedza-królowa, wiedza-ocean, do którego wpadają inne wiedze, sens dopiero z niej otrzymując. To jest właśnie *materia poetica*, ponieważ taki obiekt naukowy można pokazać najlepiej przez dramat, przez opowiadanie, opowiadanie wypadków wymyślonych ale i rzeczywistych.

Idąc tym śladem, trzeba nam określać dalej charakter tej nowej wiedzy i umiejętności, która wyłania się przede wszystkim z literatury, chociaż i niejeden życiowy kombinator, gracz, znawca także ją posiada, nie jako literat, lecz jako autor lub reżyser życia. Sypię dalej przykładami. Perzyński chciał raz napisać komedię „Pierścień Polikratesa". Nie wiadomo co to być miało, ale ponieważ i ja miałem niegdyś taki sam zamiar, powiem, co by to być mogło. Temat wynika z obserwacji: zdarza się, że człowiekowi wszystko idzie jak z płatka, aż to zaczyna być niesamowite, i wtedy zamiast czekać, aż ta seria szczęścia sama się zepsuje, sam gotów jest złożyć coś na ofiarę bogom. Nie dowierzając szczęściu, chce wyręczyć nieszczęście, wtrącić się do jego interesów, wykupić się pewną porcyjką nieszczęścia, oczywiście małą, oczywiście sztuczną, nie taką, jaką ono samo przynosi. Jest to nie inna obawa i chytrość jak ta, która zrodziła instytucję asekuracji.

Czy teraz w danym wypadku los da się wyręczyć i przyjmie ofiarę, czy jak w wypadku autentycznego Polikratesa, odrzuci ją lub skieruje na innego tory, to jest już rzeczą dalszej fabuły — my zastanawiamy się tu nad punktem wyjścia. Nie mamy przed sobą zrealizowanego utworu, tylko temat czy schemat, ale ma on sam w sobie dość konsystencji, aby nad nim snuć rozważania. Oto mamy człowieka, który gra z losem. Samo wyobrażenie losu, jako czegoś spersonifikowanego, a przynajmniej ustalonego, jest poetyczne, poetyczne tą poetycznością, która już nawet skostniała i stała się powszechnie obowiązująca. Nasz utwór nienapisany wznawia narodziny losu, robi zeń partnera, partnera złośliwego, zaczajonego, którego trzeba przebłagać, oszukać. Taka komedia, choćby nawet była nowoczesna, wskrzeszała by poganizm, tak jak wskrzesza go przysłowie „parasol noś i przy pogodzie", *scilicet* ponieważ parasol sam przez się, jeśli go mamy przy sobie, zażegnywa deszcz. Jakaż to jest wiedza? Stosunek człowieka do losu. Jaka umiejętność? Człowiek jako gracz. I jedno i drugie może wybiec poza dowcip i doznać oświetlenia poważnego, filozoficznego, bo czy los jest, i czy można z nim igrać? Aby sprawę unowocześnić, można los zredukować do statystyki, powołać się

na obliczenia rulety w Monte Carlo. Przez poezję przewija się nauka o kształtach życia (etiudy).

W komedii Kryłowa „Pierwsza mucha" bohaterka robi odkrycie socjologiczne i korzysta zeń w celach matrymonialnych. Upatrzyła sobie mężczyznę, za którego rada by się wydać za mąż, ale on jest jakiś tępy, niemrawy, nie poznaje się na niej, tak że trzeba aż intrygi, aby zwrócił na nią uwagę. Bohaterka prosi tedy majora wuja, starego kawalera czy wdowca, aby się do niej zalecał; wtedy powiada — w ślad za tym pójdą i inni, a ja wybiorę wśród konkurentów. Bo jak na kawałku cukru musi usiąść najpierw jedna mucha, aby zleciały się inne, tak jest i z panną, która mimo zalet może nie mieć powodzenia, aż ją ktoś uczyni modną. Intryga się udaje, w sieci wpada nareszcie ta mucha upragniona, a pierwsza, to znaczy wujaszek, i inne dostają kosza.

Sztuka można by słusznie powiedzieć, prawie że pouczająca, ale przecież nie w znaczeniu popularyzowania jakiejś wiedzy. Wprowadzać kogoś czy coś w modę, robić reklamę — to jest wprawdzie stosowana socjologia czy nawet psychotechnika (Tarde plus Münsterberg) i dzisiaj nawet kierownicy państw się tym bawią. Ale tu się dzieje nieco inaczej, tu nie nauka osobno, a stosowanie jej osobno, lecz razem i nauka i zastosowanie jej, to znaczy zaaranżowanie eksperymentu jest u miłej bohaterki intuicją i improwizacją. Takim genialnym improwizatorem powinien być każdy klerk. Życie jest tak na wszystkie strony, we wszystkich przekrojach i komórkach naukowe, że wymaga wciąż nowych lotów intuicji — a kto ich nie ma, niechby się przynajmniej stosował do tego, co już jest odkryte i ustalone. Poezja? Poezja jest w radosnym patosie odkrycia, który udziela się także świadkom. Wujaszek bohaterski woła często: „a to oryginalne" i chociaż sam jest ofiarą, śmieje się z uciechy aż do rozpuku.

Powieść z tezą, że aby osiągnąć wolność trzeba się jej nieraz wyrzekać u siebie i pozbawiać jej drugich, czyli znana a wciąż aktualna kwestia: czy środki mogą się sprzeciwiać celom, czy może nawet same środki są ważniejsze itd. I to jest oczywiście wiedza także, ale *à priori* domaga się przykładu, ilustracji. Inna powieść, tym razem na temat wdzięczności: wykazać jej złe strony socjalne, fałszywy zatruty stosunek między tym, który komuś coś raz wyświadczył, a tym, który otrzymał przysługę i jest nią obciążony ponad godziwą miarę. Albo dalszy etap tego stosunku: obciążonym jest nie ten, który otrzymał, lecz ten, który wyświadczył, on jest delikatny, on się krępuje, on by chciał, aby się tamten nie krępował. Albo, dajmy na to, że A. uprzytamnia sobie raz, ile zawdzięcza B., porwany zapałem jedzie do B., aby pokazać, jak mu jest wdzięczny, jak w ogóle można być wdzięcznym i aby swą wdzięczność wyżyć. Lecz oto na każdym kroku dziwne przypadki życiowe jego zamiar udaremniają lub wykrzywiają. Ale sam zamiar jest klerkowski, niezwykły („a to oryginalne"), odważny, podyktowany wielkoduszności, tą klerkowską, w której szczere uczucie miesza się z ciekawością eksperymentu i z pociągiem do teatralizacji życia.

Komedia o mówieniu prawdy — zdaje się, że już ją ktoś napisał[1]), albo przynajmniej powinna była być napisana. Temat wiecznie aktualny, bo obejmuje pierwsze naturalne — i naiwne — wysiłki klerkowskie u ludzi, którzy mają trochę, ale nie za dużo inteligencji i troszkę dobrej woli. Mówmy prawdę! Postanówmy sobie od dzisiaj, że mówimy prawdę! Jak to prawdę? Komu prawdę? Sobie wzajemnie, czy wszystkim? Zanim się napisze tę komedię, trzeba najpierw napisać o tym rozprawę. Zwłaszcza w Polsce, gdzie istnieją pewne ascetyczne wyobrażenia o prawdzie: że prawda już jest gotowa, tylko niestety bywa zatajana, z tchórzostwa, ze złośliwości, z chęci jakiegoś zysku, i trzeba tylko dobrej woli, przezwyciężenia się, przełomu wewnętrznego, aby tę prawdę, wiedzianą, wypowiedzieć.

Niestety, sprawa jest — jak niektórym wiadomo — bardziej skomplikowana. Tamta prawda, gotowa, statyczna, jest tym typem prawdy, który najlepiej się uwydatnia przy konfesjonale albo w kryminalistyce: zamordowałem, ukradłem, i trzeba albo księdza albo przewodu sądowego lub tortur, aby się przyznał. To jest prawda łatwa. Ale istnieje też prawda trudna, przez to, że ją trudno sformułować, ba, już aby wyczuć, że tu a tu jest miejsce, pora i sposobność do wydobycia na jaw jakiejś prawdy, to wymaga pewnej genialności. Czyżby można takiej genialności żądać od każdego? Opierając się np. na założeniu, że każdy taką prawdę podświadomie posiada, a tylko niektórzy odważają się, czy mają tę dziwną moc przeprowadzenia jej w dziedzinę świadomości, — czy można podświadomych kłamców potępić? Jak później zobaczymy, mówienie prawdy nie może być tylko chwilową grą towarzyską na sposób reduty karnawałowej, lecz jest wiedzą, sztuką, umiejętnością. A już nie mówimy tutaj o prawdach zwykłych, przy których potrzeba wykształcenia, znajomości rzeczy — przy których też odpada wszelki moment etyczny.

Wracam do sztuki: grono ludzi postanowiło sobie mówić prawdę, kręcą się około nastręczających się tutaj trudności amatorzy, dyletanci i partacze prawdy, początkujące klerki. Oczywiście, że się im nie udaje, ale nieudawanie się eksperymentu nie jest wcale hańbą, podobnie jak śmierć bohatera tragicznego nie jest dowodem przeciw wielkości i sensowi przedsięwzięcia, którego się podjął — śmierć, nieudanie się („w Pierwszej musze" udanie się) jest tu tylko pewną konwencją literacką. Mamy w tej nienapisanej komedii szarpnięcie się na wyżyny pewnego eksperymentu, chwilowy lot nad ziemią, pierwsze miłosne poznanie się z tajemnicami tutaj nawisłymi, poczucie pewnej swoistej zgrozy, odpowiedzialności i samotności; mamy śmieszne i rozczulające sytuacje między ludźmi, sytuacje, w których dusze niesłychanie się rozwijają i pogłębiają. Między nimi kręci się sceptyk, który ich wyśmiewa, krytykuje niski poziom, demaskuje, sam na wzór Wilde'a chce kłamstwu powrócić jego prawa — w końcu zostaje zdemaskowany, albo sam się odsłania jako król prawdy. Jest też figura, która przeciw prawdzie występuje, w imię estetyki i pięknych pozorów — Królowa

[1]) Owszem, napisał psując temat autor amerykański Montgomery *(Dzień bez kłamstwa)*. Jako komedię muzyczną grają ją obecnie teatry polskie (np. Teatr Powszechny w Krakowie). (Dopisek redakcji).

obłudy. Wszystko razem — żywa wiedza o prawdzie. I proszę bardzo panów od ciasnej estetyki: utwór jest tym lepszy, mocniejszy, głębszy, tym większe robi wrażenie, im więcej tej wiedzy zawiera, im subtelniejsze ewentualności i okoliczności uwzględnia. Nie chodzi o zwycięstwo, ale o życie w klerkowskiej atmosferze.

Wybitną rzecz w tym zakresie napisał Poseł Prawdy Aleksander Świętochowski. Mam na myśli nowelę „Klub szachistów". Pod tą nazwą założyło grono inteligentnych ludzi klub, mający na celu nie tyle mówienie prawdy, ile zbieranie dokumentów ludzkich (charakterystyczne dla epoki około r. 1880). Kto chce do niego należeć, musi napisać swoją biografię i złożyć ją do skarbca klubu, członkowie zaś słowem honoru zobowiązują się do dyskrecji i do niekorzystania z powierzonego sekretu. Trafia się, że niejaki p. Urban, bogacz, członek Klubu, człowiek o przeszłości i charakterze według własnego opowiadania niepięknych, chce poślubić córkę prezesa klubu i oświadcza się o nią; ojciec wykręca się i odmawia, córka, która już zainteresowała się konkurentem, zdziwiona wykrada z sekretnej kasetki klubowej życiorys Urbana i po przeczytaniu odwraca serce od niego. Wkrótce wychodzi za mąż za łotra, który wprawdzie nie pisał autobiografii, lecz „którędy przechodził, wszystkie gałęzie pochylały się, aby go przyjąć na wisielca". Oprócz tego, że w noweli chodzi tylko o prawdę statyczną, ma ona ten minus, że jest jakby tylko naszkicowana, urwana w tym miejscu, gdzieby się właściwie okazać powinno, np. że Urban pomimo swych wad jest człowiekiem etycznie cenniejszym od tego, którego córka prezesa ostatecznie wybrała. Dalej okazać by się mogło, np. że już z samym mówieniem prawdy wiązać się może pewne nadpęknięcie charakteru itd. Lecz, jako szkic, nowela Świętochowskiego może wywołać u chętnego czytelnika grę myśli na ten temat, że klub szachistów, który wtedy rozwiązał się, mógłby się odnowić i pod jakimi warunkami. Z nowych okoliczności nowela podkreśla silnie sprawę dyskrecji: mówienie prawdy, zwłaszcza o sobie, ma tę stronę praktyczną, która się mści, czyli że prawda wymaga pewnej atmosfery do swego życia i pewnych kwalifikacji, intelektualnych czy moralnych, u swoich odbiorców.

Inny klub: Klub wzajemnej admiracji. Komedia pod tym tytułem wystąpiłaby przede wszystkim przeciw niesłusznemu frazesowi, jakoby ludzie tak tak bardzo sobie wzajemnie pochlebiali. Raczej chytrze żrą się wzajemnie, *bellum omnium contra omnes*, zwłaszcza w literaturze. Skąpstwo, małoduszność, złośliwość nawet (czyli: zwłaszcza) wśród najserdeczniejszych, zrywają mosty między ludźmi, kopią doły i przepaście. Jeżeli się czasem mówi o klubie wzajemnej admiracji, ma się na myśli klikę, opartą na wspólności interesów, działającą doraźnie bez umowy i rękojmi, a nie uświadomioną i z całym wyrafinowaniem psychologicznym pracującą instytucję. Jak jeden człowiek może oddziałać na drugiego, aby podbić jego duszę i czyny na stopień wyższy, jak pochlebiać nie grubą metodą francuską (pochlebiaj choćby przesadnie, *semper aliquid haeret*), lecz subtelnie i twórczo, np. przez sam rodzaj i poziom wymagań i nagan, jak pochlebiać, aby nie krępować, nie przeszkadzać, nie zobowiązywać zbytnio partnera. A w grę weszłaby tu nie tylko wiedza o praw-

dzie, bo także wiedza o ambicji (sprawy znane pod nazwą alderyzmu). Ale o klubach, szkołach (ulubiony typ komedii „Szkoła...", dotychczas tylko w sensie ujemnym) będzie jeszcze mowa w rozdziale o teatrze, jako laboratorium klerkowskim. Eksperymentatorem może być jednak także jeden czowiek. Oto komedia o markizie Ooaa, który co roku zmienia zupełnie swój charakter, genialny autor i aktor transformacyjny. Oto podobna komedia o człowieku, który ogłasza, że postanowił się poprawić: proszę sobie wyobrazić, jaką to sensację budzi wśród jego znajomych, jak się gapią, uśmiechają, plotkują, zazdroszczą, czyhają na poślizgnięcie się. Oczywiście w obu wypadkach chodzi o żywą wiedzę charakterologii.

Naturalnie nie tylko powieść i dramat, także i liryka krystalizuje i gromadzi rozrzuconą w świecie *materia poetica* i zawiera odnośną wiedzę. Wszak sławiono ją za to, że daje ludzkości pewne „typy" i pierwowzory doznawania, czucia i myślenia, pewne „powszechne normy" (Ostap Ortwin w tomie „Próby przekrojów"). Czyli — odważmy się na to słowo — liryk uczy, zawiera wiedzę, wzory zachowania się i to bezpośrednio jako monologi, podczas gdy w dramacie i powieści konkretyzacja wiedzy może być odsunięta na dalszy plan, może być szkicowana, rozważana, omawiana, marzona, obmyślana. Liryka uczy np. jak należy kochać — kochankę, ojczyznę, matkę i od razu ten stan podaje już gotowy w słowach tak, że jest wielu ludzi, którym np. znajomość kilku utworów, zwłaszcza w połączeniu z muzyką, wystarcza jako zapas na całe życie, zapas, który sobie wciąż z zamiłowaniem reprodukują, nie dbając zresztą o jego powiększenie. Jeszcze raz: słowa nie są tu tylko przekazem, lecz samą rzeczą, gdyż od razu wywołują odpowiednie uczucie, prócz słowa i uczucia nic tam już więcej nie ma; określmy to prozaicznym porównaniem: nie recepta, lecz już gotowy lek, apteka. Uczy liryka, co się czuje, czy co należy czuć wobec zbliżenia się wiosny, wobec burzy, nocy, wojny, niewoli — a ileż jest jeszcze uczuć i sytuacji przez lirykę nie dotkniętych! Nienawiść np. dopiero podczas tamtej wojny doczekała się piewcy (Lissauer: *Hassegesang gegen England*), co prawda zapomniano o pieśniach Kleista przeciw Francuzom sprzed lat stu, o wspaniałych pieśniach polskich „Gdy naród do boju...", „Czerwony Sztandar". Dziecinni poeci mniemają, że ponieważ poetyzują o kwiatach i gwiazdach, nie mają nic wspólnego z tak prozaicznymi i aktualnymi sprawami jak polityka, socjalizm. Ależ gwiazdy i kwiaty są również sprawami praktycznymi, aktualnymi, nie w znaczeniu astronomicznym i botanicznym, lecz właśnie wrażeniowym, uczuciowym i przeto należą te ogródeczki również do tego samego powszechnego gospodarstwa ludzkiej duszy. (Temat do pracy seminaryjnej: Stosunek uczuciowy człowieka do kwiatu w historycznym rozwoju liryki). Za to liryka w ostatnich czasach dokonała wielkiej aneksji: spostrzegła i uznała świat artefaktów (maszyn, kominów, narzędzi, rzemiosła).

Biorąc za podstawę podział Schillera na poezję naiwną (bezpośrednią) i sentymentalną (refleksyjną), spostrzeżemy łatwo, że pierwsza ma więcej dramatyczności (monolog), za to jest bardziej rozproszkowana i nieuchwytna, druga

jest bardziej określona, za to jest bardziej oschła, programowa, zbliża się do aforyzmu, do epigramatu, do gnomu, a przeto łatwiej da się zinwentaryzować. Przypomnijmy sobie wiersz Jana Kasprowicza z „Księgi Ubogich". Wierszyk ten, a raczej nawet tylko jedna jego strofka, zwrócił na siebie w Polsce uwagę, jako pierwszy bodaj poetycki protest przeciw patriotycznej tromtadratyczności, przeciw natręctwu uczucia. Potem poeci polscy — pod wpływami zresztą innymi — przeszli nawet szkołę pośredniości, zatajania (Awangarda przeciw Skamandrytom, patrz „Walka o treść"), popadając w przeciwne ostateczności i snobizmy.

Z wierszem Kasprowicza zestawić by się dało sonet Hebbla pt. „Mój pean" również zwrócony ostrzem przeciw niewstydliwości uczucia, jakiej przykład dawali niektórzy ówcześni poeci polityczni lewicy: „I ja chciałbym raz zaśpiewać o wolności... lecz to będzie wtedy, kiedy przyjdzie czas na wywinięcie orężem... a i wtedy będę walczył bezgłośnie... aż gdy wreszcie moja krew zabarwi ziemię, wtedy zabrzmi mój pean wolności, bo na tyle słów mogę sobie pozwolić, ile pozostanie oddechu między padnięciem a skonem". Zachodzi kwestia, czy bez aktualnego protestu literackiego na początku, oba te wiersze miałyby ten walor pedagogiczny, jaki mają. Zdaje się, że nie, ludzie są niepojętni i leniwi; jeżeli się im palcem nie wskaże, sami nie pomyślą.

Wymieniłem tyle razy wyraz „uczucie", jak gdyby ono było warunkiem liryki, ale nie przywiązuję wagi do ścisłej terminologii — wszak sama ważność, ważność i wieczna aktualność, niezwykłość, trafność myśli czy obserwacji może być tyle warta co uczucie, a nawet jest tym samym, bo nie ma trafności myśli czy obserwacji bez tego, żeby ją nie poprzedziło zaniepokojenie uczucia, jego stałe wrzenie. Po tej uwadze może będzie można docenić wartość wiersza Hebbla (z cyklu „Cierpieniu jego prawo"). „Wszystkie rany kiedyś przestają krwawić, wszystkie cierpienia kiedyś przestają palić.... i człowiek sam siebie nie poznaje, zapomniana jest głębia przepaści, jest mu tak, jakby nic nie stracił, ale i tak, jakby był nic nie posiadał... Tak, jest ból, którego by się wytrzymać nie mogło, gdyby sam nie łamał własnej miary... zapominając w swej wewnętrznej pustce, że tam kiedyś świeżo serce biło, człowiek jest podobny pokrzywie, która haniebnie zarasta jego własny grób". Innymi słowy: rozpacz, ból, na ostateczną miarę, to jeszcze nie wszystko, najokropniejsze jest, że te stany przecież mijają i pokrywają się obojętnością (żal za intensywnością wrażenia? czy żal za tym, że mimo kosztownej zapłaty zagadka chwili znowu nie została rozwiązana?). Stan obojętności, w zasadzie nieliryczny, został tu zliryzowany, zdemaskowany lirycznie, wspólna tajemnica wielu ludzi została odkryta.

A wszelkie odkrycie ma swój patos. Jego ważność intelektualna może być dla odbiorcy tak wielka, takie w nim zapadają wieże i powstają inne, gasną jedne światła, a zapalają się inne, że równa się chwili szczęścia. Pod warunkiem, że nie chodzi o doraźną aktualność, np. gdy uchylając wieka od kufra, widzimy wyskakującego stamtąd węża. Po drugie, że nasze władze umysłowe są przy tym całkowicie zatrudnione, tak że chwila szczęścia jest zarazem chwilą ziszczenia nagrody.

Ponieważ poprzednio przytaczaliśmy dzieła literackie w streszczeniu, w szkicach, lub wymienialiśmy tylko ich problemy lub sytuacje, zdawać by się mogło, że żądamy, aby taka tabletka, ziarnko, szkic, jedna myśl zasadnicza, (tzw. idea), aforyzm, wystarczał nam za całe dzieło. Tak jednak nie jest. Wprawdzie w zasadzie podobnie jak dzieło obszerne, w celu objęcia go, zgęszcza się w ziarnko, tak samo i ziarnko może wystarczyć, jeżeli kto ma dość bogatą wyobraźnię, aby przeczuć i antycypować zawarte w nim życie, — ale to się dzieje tylko w wypadkach, gdy w kim już struny są odpowiednio nastrojone oczekiwaniami i własne doświadczenia życiowe dają oparcie do snucia wizji na własną rękę. Od tabletki, szkicu lub aforyzmu do całego, konkretnego dzieła jest dość szeroka skala realizacji. Jeżeli aforyzm jest rozwinięty w sceny, w akty, w rozdziały, w strofy, to oczywiście idea się tym silniej uwydatnia, wyobraźnia otrzymuje właściwe bodźce, a właśnie pełne dzieło jest nie po to, żeby wyobraźnię potrącać, jak się wydaje awangardzistom, lecz po to, żeby ją podniecać i funkcję jej ułatwiać. Przy czym także wiedzieć i uwzględnić trzeba z praktyki literackiej, że dzieło literackie jest zawsze wieloznaczne i wielolite i tzw. idea naczelna niekoniecznie musi się wybijać na pierwszy plan „w sensie ostrza włóczni", lecz może pojawiać się skromniej, w ubocznej scenie, w jakimś przypadkowym oświetleniu, w jakimś nieznacznym obrocie rzeczy, tak jak to i w życiu bywa.

Więc nie chodzi tu o alternatywę, czego żądać: czy ziarnka, czy kłosu, bo w ogóle nie o sprawę estetyczną chodzi, lecz o wiedzę. Tę wiedzę o *materia poetica* niniejszym ustalamy. Zjawiska tu należące są wprawdzie bardzo rozproszone i niejednolite, niemniej wiążą się one jakoś ze sobą na mapie gospodarki ducha ludzkiego, przy dobrej woli i bystrości umysłu można mimo luk ujrzeć ich ławicowe wspólne życie, są jak wysepki i półwyspy od jakiejś zaginionej Atlantydy. Estetycy twierdzą, że świat dzieł literackich — to świat wartości subiektywnych, ponieważ niby *de gustibus non est disputandum*, świat, w którym nie ma i nie może być żadnego rozwoju, a Croce dodaje, że w historii były tylko wielkie bloki sztuki, które się zapadały i ginęły bezpowrotnie. Z mojego punktu widzenia oglądany, jest to także świat wartości obiektywnych, który się rozradza, kombinuje i sumuje w sposób niemal dialektyczny, a części jego nawet nie bywają wieczne, a jeżeli są wieczne, to dlatego, że ich jeszcze nikt nie zdystansował.

Może lepiej będę zrozumiany, jeżeli powiem: w szkole należy uczyć motywów (motywologia) literackich nie jako części literatury polskiej, francuskiej, niemieckiej, na godzinach obcych języków, — lecz osobno, jako osobnego przedmiotu. Motywy, postawy, zachowania się, sytuacje towarzyskie i socjalne, nauka o dialogu takim, jakim jest i takim, jaki by być powinien, jakiś inwentarz czy encyklopedia tych rzeczy powinna być napisana, powinno się urządzać odpowiednie ćwiczenia. Po drugie: nie wszystek materiał, znajdujący się w literaturze, nadaje się jako *materia poetica* w stopniu takim samym. Powieść, w której nacisk jest położony na wiadomości z geografii, przyrody, podróży, historii, ekonomii („Wilk Fenrir", „Radium") nie bardzo nadaje się

jako *materia poetica*, natomiast chodzi o sprawy człowiekowi bliższe. To jest moja odpowiedź na tezę Chwistka z „Wielości rzeczywistości". Nie przeczę jednak, że np. ktoś zamiłowany w ekonomii potrafi i w niej znaleźć *materia poetica*, czyli klerkowski punkt widzenia — za takie dzieło uważam Simmla „Filozofię pieniądza". A przyroda — mania opisów przyrody i sentymentalna ucieczka na jej „łono", to jest klerkowskie *in minus*.

CZESŁAW MIŁOSZ

# LIST PÓŁ-PRYWATNY O POEZJI

Każdy autor powinien być wrażliwy na krytykę, długo się nad nią zastanawiać i wyciągać z niej wnioski. To zdanie nie jest wcale tak oczywiste, jakby się wydawało. Były okresy w historii literatury, kiedy do rynsztunku pisarza należało lekceważenie krytyki i postęp dokonywał się wbrew niej. Krytycy nieraz bardziej ulegają modnym a czysto koniunkturalnym hasłom niż omawiani przez nich autorzy i młócąc swoje „izmy", budują ciężką maszynę, która posuwa się z opóźnieniem. Wreszcie młodzi pisarze, ulegając zanadto krytyce, więcej tracą niż zyskują, bo silnie odczuwana a niedołężnie przez nich wypowiedziana wizja ściąga na nich gromy, które łatwo mogą odnieść do samej wizji, a nie do złego jej wykonania.

Mimo tych wszystkich odchyleń, są — jak mi się wydaje — w tej chwili szczególne warunki, które sprawiają, że odpowiedzialność za ustawienie głosu polskiej literatury spada na równi na krytyków i autorów. Trudno, w pojedynkę nie podnosi się ciężkiego, żelaznego bloku. Z pewną obawą należy dlatego patrzeć na brak krytyki literackiej w Polsce i na to szare miejsce, jakie w tygodnikach zajmują recenzje z książek i z teatru. I to w okresie, kiedy są — jak powiedziałem — warunki, aby autorzy liczyli się z krytykami, a krytycy z autorami.

Podnietę do tego listu dała mi poważna i pochlebna recenzja z mojej książki „Ocalenie", napisana przez jednego z nielicznych polskich krytyków, Kazimierza Wykę, a drukowana w majowym numerze „Twórczości".

Numer ten dotarł do mnie do Nowego Jorku z dwumiesięcznym opóźnieniem i odległością tłumaczy się to moje powracanie wstecz. Są jednak sprawy stale aktualne.

## CZY POEZJA PUBLICYSTYCZNA JEST MOŻLIWA?

Zadaję to pytanie, pamiętając o niemiłych dreszczach, jakie u ludzi dobrego smaku wywołuje poetyckie dziennikarstwo. Wiem też, że na to pytanie wielokrotnie odpowiadano: tak, cytując Whitmana i Heinego i wielokrotnie odpowiadano: nie, cytując dobrych poetów, którzy gubili swój talent, zaprzęgając go w służbę problemów wypowiadanych *expressis verbis*. Każde jednak pytanie

rzmi nieco inaczej wśród nowych doświadczeń i okoliczności i nowi ludzie owtarzają stare, ale tylko z pozoru stare słowa.

Byłem przeciwnikiem wszelkiej publicystyki w poezji i nie byłem w tym dosobniony. Wielokrotne próby wykrzyczenia się wprost (a powodów było osyć) pozostawiały uczucie przykrości, wstydu i zdrady wobec przepisów dorego rzemiosła. Jakże więc się stało, że w książce „Ocalenie" znalazły się równeż i wiersze pełne inwektyw, pisane metodą pamfletu, persyflażu a nawet aktatu filozoficznego? Jak się też stało, że wbrew opinii Wyki nie uważam h tylko za „rymowany dokument aktualności", ani za odejście od najwłaiwszej drogi?

Możliwe są dwa rozwiązania: albo autor, napisawszy wiersze, przywiązał się o nich dzięki szczególnym zdarzeniom towarzyszącym ich pisaniu — co częo się zdarza — i ocenia je subiektywnie. Albo wrażliwy i mądry krytyk ma ałę wrażliwości, która pewnych układów nie chwyta, słysząc zamiast muzyki grzyty, gwizdy i nieartykułowane hałasy. Oba tłumaczenia są możliwe, ktokoliek jednak ma rację, samo zagadnienie dwóch różnych ocen, dwóch różnych tunków argumentów w stosunku do tego samego utworu, jakim jest chociażby kl „Głosy biednych ludzi" — pozostaje.

Zacznijmy od pieca. Głównym utrapieniem współczesnej poezji jest to, co toś nazwał *„peu de réalite"*, czyli przebywanie w kredowym kole ściśle okreonych sposobów reagowania na świat. Nie trzeba tego mieszać z „przebywaem w wieży z kości słoniowej", „sztuką dla sztuki" itp., bo problem tutaj jest czej techniczny. Obejmując spadek po poezji europejskiej ostatnich stu lat, eta, podobnie jak dzisiejszy malarz, został zobowiązany do lakoniczności, rótów i troski o nowe wynalazki w przedstawieniu proporcyj obserwowanego ateriału. Wyrażając się w przenośni: jeżeli opisanie źdźbła trawy stało się roblemem, to czy pozostało miejsce na panoramę z ludźmi, zwierzętami, wschoami i zachodami słońca? Ten stan jednak jest odczuwany jako nieznośne zczuplenie terenu poezji i próby wydostania się poza kredowe koło są istotną chą okresu, w którym żyjemy.

Podobnie jest w malarstwie, przy zachowaniu różnic, jakie istnieją pomiędzy mi dwiema gałęziami sztuki. Wystawa Picassa w Londynie, która pozwoliła poznać się z jego twórczością z czasu wojny, może służyć za przykład. Tym ojennym Picasso, znów dalekim od klasycyzowania, znów operującym najskrawszą deformacją, można się zachwycać, albo można go krytykować imię wymogów socjalnego i estetycznego purytanizmu, który nie zezwala na nieszczanie na głowie kobiety talerza ze śledziem zamiast kapelusza. Trzeba dnak zdać sobie sprawę z ładunku namiętności, które przemawiają z tych ócien. Ironia, obrzydzenie, kpina, wściekłość są tutaj zbyt wyraźnie obecne, yt wyraźnie usiłują krzyczeć krzykiem protestu poprzez bryłę i kolor, aby ożna było je pominąć. Jest to próba zwiększenia możliwości malarskiego jęka, próba wyśpiewania nowej tragedii Sofoklesa językiem Hotentotów.

Ubiegłej zimy spędziłem sporo chwil w pracowni Feliksa Topolskiego w Lonnie. Zarówno oglądając albumy jego rysunków *Great Britain in War,*

*Russia in War,* jak płótna, na których kłębi się masa ludzi wszystkich r poruszana rytmem wydarzeń, które nawiedziły pięć kontynentów — pomyśl łem, że ta droga powrotu malarstwa ku uczuciom i namiętnościom ludzki jest słuszna i że artyści mają przed sobą nadzieję, której zdawało się już z braknąć.

Nie łudźmy się. Jest to okres pokus. Ukaże się dosyć płynnych, patriotyc nych i ideologicznych wierszy, których słowa dźwięczą, szeleszczą i odurzaj Już są zapewne gotowi malarze, którzy powołując się na mgliste rozmow o realizmie będą upamiętniać, prezentować i uwieczniać. Zostawmy jednak i własnemu losowi te pobielane groby. Prawdziwa rozprawa odbędzie się wśr ludzi, którzy rozumieją, że od romantyzmu dzieli nas nie tylko wzbogacen poezji w asonanse i że nie maluje się tak, jakby nigdy nie istniał Cézanne.

Niektóre rewolucje, mimo że używają haseł zwróconych przeciwko prz szłości, są bardziej wierne tej przeszłości, niż to można by przypuścić sądz z ich przysiąg, że zaczynają od nowa. Tak zwana awangarda poetycka uczyni z poety stwór o głowie pokrytej guzami matematycznymi i o nadmiernie wie kich soczewkach oczu, przy atrofii serca i wątroby. Taka poezja polega prze wszystkim na notowaniu wrażeń zmysłowych, w pierwszym rzędzie wzrok wych, a intelekt spełnia rolę inżyniera wrażeń, a więc przedmiotem jego zai teresowań jest raczej sam utwór poetycki niż szeroki świat. Rodzicami chrzes nymi tej metody są teoretycy poezji czystej, którzy, jak Edgar Poe, twierdzi że poezja nie powinna zapuszczać się w dziedzinę namiętności i w dziedzi cnoty.

Być może, że w bardzo burzliwej epoce taka poezja najlepiej się osta gdyż pewien stopień nieczułości pomaga w utrzymaniu spokoju i równowag Może ona wylegitymować się wobec napastników swoim dobrym wpływe pedagogicznym, jaki wywierają kształcąc zmysł racjonalnej budowy. Jednak p krzywdzone serce i wątroba i pokrzywdzony umysł, który niechętnie godzi s na spełnianie tylko matematycznych posług, domagają się swoich praw i bezpieczna „komórka do wynajęcia" staje się za ciasna.

Kiedy po wielu latach zerwanego kontaktu z poezją francuską wpadły r w ręce pierwsze książki Eluarda i Aragona, poczułem i zadowolenie i zażen wanie. Zadowolony byłem, że sprawdziły się moje przepowiednie dotyczą rozszerzenia zakresów tematów. Moje zażenowanie było zażenowaniem Polak do licha, mogliśmy przecież w czasie wojny pisać tak samo. Ale nie przyszło nam do głowy. Wstydziliśmy się — oni rzucają się w tematykę patriotyczn z łapczywością, na którą nas nie stać. My w takich wypadkach cytujem Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego czy Norwida. Mamy tradycję cierpi nia. Ich nie straszy cień Victora Hugo i są neoficko zachłanni.

Sądzę, że w Polsce przecenia się poezję Aragona. Cięgi, jakie dostaje w Francji za to właśnie, co nas żenuje, są często słuszne. Mimo to jego próba z stosowania stylu balladowego do walk i nadziei Francji jest tak samo inter sująca *(toute proportion gardée),* jak furia upotworniania świata u Picass

albo przemiany Eluarda, o którym trudno było powiedzieć, że stać się może poetą martyrologii narodu.

Inaczej ten proces przebiega w krajach anglosaskich. Jeżeli jednak weźmiemy tylko książki T. S. Eliota i W. H. Audena, znajdziemy w ich wierszach mikrodramat, satyrę, traktat filozoficzny, arystofanesową komedię. W tej chwili leży przede mną książka młodego, dobrego poety amerykańskiego Karla Shapiro *Essay on rime*. Jest to wierszowany traktat poetyki. Nie lekceważyłbym tego drążenia przez poezję nowych tuneli, tego jej powracania poza wiek XIX w poszukiwaniu form wypowiedzi, które są już tak osiadłe i zrównoważone, że zmuszają współczesnego artystę do zupełnej świeżości i czujności.

Czym jest tak pogardzana publicystyka? Publicysta jest to człowiek, który piórem walczy przeciwko czemuś, czy przeciwko komuś. Znamy przynajmniej kilka tysięcy dobrych dzieł literackich, które były pisane przeciwko komuś i może nawet to jest przyczyną ich dobroci i trwałości. Nawet Dante czerpał wielką przyjemność z umieszczania swoich wrogów w piekle. Element publicystyczny jest w każdym niemal dziele literackim w mniejszym albo większym stopniu i usunąć go może tylko pisarz, który by zanik serca i wątroby doprowadził u siebie do doskonałości.

Może więc potępiając publicystykę w literaturze ma się na myśli niektóre jej odmiany, te, które są najbliżej nas, wyhodowane w ciągu — powiedzmy — ostatnich stu lat? Czujemy, że nowe środki artystyczne, które powstały w laboratoriach zwolenników sztuki czystej, są w sprzeczności z potokiem słów płynącym swobodnie w utworach romantyków.

Język poezji stał się tak obrazowy, jak język ludów pierwotnych i wprowadzenie do niego pojęć bez pozbawienia go zwięzłości jest prawdziwą łamigłówką. Z potępieniem publicystyki w imię tych racji łatwo się zgodzę. Dlaczego jednak nie mielibyśmy uznać, że używamy słowa „publicystyka" w sensie nadmiernie zwężonym? Pomiędzy publicystyczną „Odprawą posłów greckich" i romantyczną tyradą są znaczne różnice. Nikt nam nie każe trzymać się tej ostatniej jako wzorca. Trzeba raczej ubolewać, że w Polsce, ile razy ktoś chce przemawiać na tzw. wielkie tematy, tyle razy wpada w romantyczną manierę, co rzekomo jest wiernością dla tradycji, ale tradycji obciętej o sporo stuleci.

Myślę, że klucz do przyszłości znalazłoby się w rozważaniach o ironii artystycznej, o persyflażu, o dramatycznych formach poezji. Jeżeli ma mnie spotkać zarzut, że nawołuję do kpiarstwa i lekkiego tonu, to właściwie szkoda dalej mówić. Ironia artystyczna, tak jak ją rozumiem, polega przede wszystkim na zdolności autora do przybierania skóry różnych ludzi i kiedy pisze w pierwszej osobie do przemawiania tak, jakby przemawiał nie on sam, ale osoba przez niego stworzona. Istotny sens utworu zawiera się wtedy w sferze stosunku autora do postaci. Ten stosunek może się wahać od aprobaty, od aprobaty z zastrzeżeniem, do negacji serdecznej, do negacji zjadliwej — możliwe są tysiące odcieni i to, co zaatakowane wprost wymyka się, w ten sposób jest nieraz możliwe do uchwycenia. Jest to stary przepis dobrych majstrów, ale zdaje się niemal zupełnie zapomniany. Czysta maniera romantyczna odnosi się do niego

z lekceważeniem: tam przemawiający i autor identyfikują się. Byron czuł się w obowiązku opowiadać co myśli o swoich bohaterach, wtrącać całe ustępy osobistych wynurzeń lirycznych, ani na chwilę nie oddzielając się od siebie. Tylko kiedy romantycy sięgali do dramatu, musieli czynić ustępstwa na rzecz przepisów, bez których dramat w ogóle jest niemożliwy.

Mam szczególny pogląd na „Ballady i romanse" i „Sonety krymskie". Wolno mi chyba. Każdy Polak ma prywatne rozrachunki z Mickiewiczem, tak jak Anglik ma prywatne rozrachunki z Biblią. „Ballad i romansów" nie uważam za dzieło tak romantyczne, jak chociażby wiersze Lamartine'a. Gdybym czytał „Ballady i romanse" jak się czyta je w szkole, musiałbym dojść do wniosku, że autor „Zimy miejskiej" jest w nich co najmniej infantylny i nie umiałbym wytłumaczyć ich miejsca w całości jego dzieła. Kocham je za wszystkie odcienie dystansu jaki miał Mickiewicz do pieśni i baśni Nowogródczyzny, dystansu pełnego czułej aprobaty, za jego wcielenia w postaci strzelców i dziewczyn, za umiejętność przekreślenia komplikacji, których mu nie brakło i użycia prostego języka. Jest to utwór ironii artystycznej (nie ironii w znaczeniu potocznym) i kiedy tak się nań patrzy, łatwiej zrozumieć jak przyszło do napisania „Pana Tadeusza". Nieraz recytuję sobie „Tukaja" i rozmyślam, na czym polega skończona piękność przemówienia Tukaja przed śmiercią. Czy nie właśnie na tym, że jest to persyflaż?

„Sonety krymskie" są dla mnie nie tyle zbiorem wynurzeń lirycznych, ile pieśnią na bas-solo, gdzie wykonawca wcale nie jest tożsamy z całym, że się tak wyrażę, Mickiewiczem. Podobnie jak „Treny" Kochanowskiego są *extemporale* na temat śmierci, ze świadomym dobraniem wzorów, jakie istnieją w literaturze, tak w „Sonetach" osoba mówiąca jest w specjalny sposób upozowana, niby na portrecie Wańkowicza. Tylko to daje im przejrzystość i pojedynczość wątków, czyni z nich jednym słowem wiersze klasyczne, wbrew napaściom pseudoklasyków.

Dopóki poetyckie *métier* jest sprowadzone, jak dzisiaj, do zestawiania słów i pomija odcienie stosunku autora do tego, co wypowiada on rzekomo „z głębi duszy" — trudno wierzyć w możliwość wyjścia z kredowego koła i ci, co nie lubią tonu publicystycznego, mają pełną słuszność. Poezja jest podzielona na czystą lirykę i czystą satyrę i oczywiście nie może pokusić się o dotknięcie tych spraw ludzkich (a zdaje się, że jest ich znaczna ilość), które nie nadają się ani do lirycznego ani do satyrycznego traktowania. To już wolę „Myszeis" Krasickiego, gdzie zwrotka: „Święta miłości kochanej ojczyzny" pojawia się z okazji wojny szczurów z myszami.

Mieszanina liryki i satyry — porcja liryki i porcja satyry (ironia romantyczna) też niczego nie rozwiąże. Gdyby polscy krytycy i poeci poważnie traktowali swoje obowiązki, zwołaliby jakąś wielką naradę poświęconą klasycznemu wychowaniu młodzieży, bo tylko dobry program klasyczny mógłby sprawić, że powiedzenie Norwida „Nie tarcz, nie miecz są bronią narodu, lecz arcydzieła" nabrałoby prawdy. Dzisiejszym pozytywistom od nauczania nie trzeba dowierzać. Są to, biorąc rzecz z literackiego punktu widzenia, roman-

tyczni podżegacze. W głębi serca są mocno przekonani, że cywilizacja datuje się od XIX wieku, a reszta jest zawracaniem głowy.

Przy obecnym stanie zainteresowań czytelnika i obciążeń u samych poetów, ambicja zrobienia bardzo dużego kroku poza kredowe koło byłaby zarozumialstwem. Mimo to trzeba próbować, narażając się na dość dziwaczne interpretacje. Dzisiejszy czytelnik, i to dobry czytelnik poezji, jest wrażliwy na tzw. walory formalne i lubi łapać autora za słowa, dając upust swoim skłonnościom psychoanalitycznym. Uchwyt za całość utworu, koncept użyty przez poetę, wymyka się jego uwadze. Jeżeli poeta wyraźnie daje znaki przeczące głową i przymruża oko — to ostatecznie jego wiersz zostanie zaliczony do rzędu utworów satyrycznych czy komicznych. Aprobata albo satyra. Nic poza tym.

Modnym obecnie słowem jest „obiektywizacja". Czy wolno go używać nie przedyskutowawszy całej złożoności stosunku autora do napisanej przez niego linii wiersza? Jeżeli jest wykształcenie romantyczne, nie klasyczne — to nie ma złożoności. Jeżeli nie ma złożoności, to nie ma obiektywizacji — tak bym to postawił. Kiedy ukazał się „Podfilipski" Weyssenhoffa, krytyka nie wiedziała co o książce sądzić: czy jest to pochwała Podfilipskiego czy satyra na Podfilipskiego. Zdaje się, że po prostu Weyssenhoff był dobrym pisarzem i miał złożony dystans do swojej postaci. Pamiętamy też spory o to, czy bohaterowie „Pana Tadeusza" to świntuchy, czy też wzory cnót obywatelskich.

Nie przynosi mi ujmy, że mając dobrych poprzedników próbowałem we własnym skromnym zakresie wprowadzić do poezji niektóre stare, ale dzisiaj niemal rewolucyjne zasady i że natrafiłem na nieporozumienia. Napisałem „Świat", „Głosy biednych ludzi" i szereg innych wierszy podobnego gatunku, po czym byłem operowany metodą psychoanalityczno-socjalną (chce, czy nie chce, poeta powiada, że ...Przecie to jest wyraźnie powiedziane). Mógłbym przytoczyć wiele przykładów z paru recenzji. Zatrzymam się na jednym. Wiersz „Walc" jest bardzo prosty: damie tańczącej walca w r. 1910 ukazuje się, a raczej mogłaby się ukazać, wizja lat drugiej wojny światowej. Dwie epoki: jedna, w której dojrzewa to co obali istniejący ład i druga, w której obalenie się dokonuje. Tragedia niewiedzy o przyszłości. Kiedy pod koniec wiersza mówię do niej:

*Zapomnij. Nic nie ma prócz jasnej tej sali*
*I walca i kwiatów i świateł i ech*

to moja litościwa ironia kładzie jej na oczy opaskę. Bardzo mi jej żal, bo ja wiem, jak się to skończy.

Kazimierz Wyka w swojej recenzji twierdzi, że wyraża się w tym wezwaniu „szukanie odrębności w imię piękna". Ciekawe. Czy dlatego, że każę jej dalej tańczyć walca? Tańczenie walca ma niewątpliwie w sobie więcej piękna niż widok obozów koncentracyjnych. Ale gdyby w swojej rozkosznej niewiedzy nie tańczyła walca, nie byłoby dramatycznego zderzenia, nie byłoby

wiersza. Czy naprawdę byłem obowiązany dodać komentarz tej mniej więcej treści: „Ach, ty płocha istoto, poczekaj, dostaniesz za swoje"? Nie dodałbym takiego komentarza, bo wyrażałby on zaledwie drobną część moich uczuć w stosunku do tej osoby.

To nie jest zresztą może wiersz publicystyczny. Prawdziwa trudność zaczyna się tam, gdzie zdarza mi się rysować pewne typy czy indywidualności i przemawiać w ich imieniu, jak w „Głosach biednych ludzi". Podejrzewam, że z chwilą, gdy potraktuje się „Biednego poetę" czy Adriana Zielińskiego jako moje własne przebrania (nawet nie role), wiersze te wydadzą się zbyt proste, nawet prymitywne i tym tłumaczę fakt, że Wyka nazywa je „publicystyką" i „rymowanym dokumentem". Ja uważam je za jedne z najbardziej skomplikowanych wierszy, jakie napisałem, w każdym razie skomplikowanych w okresie, kiedy poeta rzadko tworzy sytuacje i charaktery.

Recenzja Wyki dała mi tyle korzyści, że nie czułbym się w porządku, gdybym nie napisał szczerze o zjawisku, które mnie zastanowiło — a mianowicie o granicy wytyczonej przez krytyków, za którą zaczyna się zabronione królestwo publicystyki. Sądzę, że ta granica nie jest bardziej rzeczywista niż południk albo równoleżnik.

## MIT ARKADYJSKI W POEZJI

Kiedy ktoś mówi o micie arkadyjskim w poezji, skłaniam głowę, bo mówi on o niczym innym tylko o poezji samej, nawet więcej, o świętych jej źródłach. Słyszę wtedy horacjańskie:

*Iam Cyterea choros ducit Venus imminente luna*

i nawiedza mnie myśl o moim nauczycielu łaciny, Alfredzie Rożku. Jeżeli żyje on, niech przyjmie mój hołd. Jeżeli nie ma go pośród żywych, nie wątpię, że Owidiusz i Horacy wkładają mu wieniec na głowę.

*I żółte z zielonego dębu sączyły się miody*

tłumaczyła klasa, czytając o wieku wiecznej wiosny, gdy lud nie bał się oblicza sędziego.

Mit arkadyjski czy też cyterejski jest bardzo stary. Nie ma potrzeby szukać go tylko u hellenistycznych poetów czy u pisarzy i malarzy rokoka. Jakkolwiek go nazwiemy, powtarza się od setek pokoleń. Jest marzeniem o szczęśliwym życiu ludzkiego gatunku. Czasem ta szczęśliwość jest przenoszona wstecz, ku bajecznemu wiekowi złotemu jak u starożytnych. Czasem, jak w chrześcijaństwie, odkładana do wypełnienia się czasów i przyjścia Zbawiciela, albo do chwili śmierci. U naszego Sarbiewskiego jest tęsknotą do „niebieskiej ojczyzny", w którą przenika on za życia, wznosząc się pod obłoki na pegazie (nikt nie napisał o obsesji lotu u Sarbiewskiego, o jego oglądaniu ziemi z góry). U Szekspira mieści się w lesie w letnią noc czy w lesie Ardeń-

kim. Dla fałszywych pasterek czytających „Pawła i Wirginię" krainą szczęiwości były puszcze Ameryki. Socjalizm rzucił szczęście w przyszłość, oczeując go od nowych społeczeństw.

Wyznawanie mitu arkadyjskiego nie jest więc bynajmniej przestępstwem. dyby zabrakło poetów, którzy ciągle powtarzają, że ludzkość powinna tak yć, żeby można było napisać:

*Nec suplex turba timebat*
*Iudicis ora sui. Sed erant sine vindice tuti.*

mienilibyśmy się w gatunek płazów.

Kazimierz Wyka w przywiązaniu poetów do mitu arkadyjskiego widzi rzech estetyzmu. Nie przypuszczam, żeby miał rację. Można wprawdzie rzytoczyć okresy, kiedy ta dążność transponowała się w upodobanie do sieanek, do tworzenia zamkniętego i urojonego państwa czarów. Do takiej Arkadii zdaje się odnosić jego potępienie. Ale nawet szczęśliwość ludów pierwotnych u Rousseau miała w sobie dynamikę kontrastu, godziła w zepsute społeczeństwo XVIII wieku. Może więc „prywatne zbawienie" wielkich patronów poezji czystej tak go razi? Tutaj jednak też, jeżeli przytoczymy chociażby wypadek Rimbauda, okaże się, że jego prywatna rozgrywka w imię szczęścia była właściwie rozgrywką o szczęście ludzkiego rodzaju. Prawdziwy mit arkadyjski, jeżeli jest dość silnie nasycony, wykracza poza osobisty błogostan i nie może inaczej szczęścia wyobrazić, niż jako stan wspólny — narodu czy wszystkich ludzi na ziemi. I oto ostrożnie z mitem arkadyjskim, gdyż przeistacza się on w mit prometejski.

Wdzięczny jestem Wyce za zwrócenie uwagi na niebezpieczeństwa, jakimi grozi pierwiastek arkadyjski w mojej poezji. Dowód jednak był za słaby, aby mógł mnie przekonać. Biorę zakończenie wiersza „W Warszawie":

*Czy na to jestem stworzony*
*By zostać płaczką żałobną?*
*Ja chcę opiewać festyny,*
*Radosne gaje, do których*
*Wprowadzał mnie Szekspir. Zostawcie*
*Poetom chwilę radości,*
*Bo zginie wasz świat.*

Krytyk widzi w tym „szukanie nieprzystosowania w imię kontemplacji estetycznej, w imię piękna rzeczywistości". Pytam:

1) Czy w każdym mieszkańcu Warszawy nie budzi się protest przeciwko ruinom, czy dla każdego mieszkańca Warszawy widok zburzonej stolicy nie jest tym, z czym wewnętrznie nie może się pogodzić?

2) Czy fakt, że każde niemal pokolenie poetów polskich musi wykonywać funkcje płaczek żałobnych nie jest potworny i czy spokojne zgodzenie się

z tym faktem nie byłoby sankcjonowaniem wszelkich naszych narodowyc obłędów, dających stale takie rezultaty?

3) Czy myśl o takich warunkach w Polsce, w których poeci byliby pi śniarzami radości, jest nienormalna i niemoralna?

4) Czy krytyk nie dostrzega ironii artystycznej polegającej na przeciwst wieniu: poeta nie chce zostać płaczką żałobną, ale tą płaczką żałobną zostaj

Wiersz „Ranek" jest według Wyki programowy. Chętnie czy niechętni zgódźmy się, że tak jest. Cóż on zawiera? Po pierwsze — opis ranka we wsi po skiej pod okupacją. Po wtóre — stwierdzenie, że pieśń się łamie, gdy na ni ciąży rozpacz ludzka. Po trzecie — pragnienie utrzymania pieśni. Po czwa te — wizję Polski szczęśliwej, co jest usymbolizowane przez sztukę i to szt kę masową: teatr i muzykę (Grecja). Po piąte — potępienie skarg. Nie wie gdzie tu jest marzenie o wyspach szczęśliwych. Chyba to:

*Na nic italskie wspominać winnice*
*I zieleń Anglii i połyski mórz*

Ale właśnie na nic. Gdyby ludziom było dobrze pod okupacją niemiecką, n skarżyliby się. Gdyby się nie skarżyli, nie potrzebowaliby się łamać ze sob i tłumić w sobie skarg, pocieszając się wizją piękniejszego świata przyszłoś Wtedy zapewne nie powstawałyby takie wiersze.

Ludzie w Polsce w czasie wojny marzyli: o podróżach, o przyszłej pięk Warszawie, o smaku wolności, o jadłach i napojach. Bardzo to były ludzk marzenia i jeżeli dawałem im wyraz tworząc obrazy miast, gdzie publiczn wolno dysputować o rzeczypospolitej (poeci mitów arkadyjskich kochają st rożytną Grecję), czy marmurowej Warszawy przyszłości pełnej pieśni, rzeź jadła i napojów — to dowodzi raczej, że żyłem w rytmie wspólnoty, niż się od niej oddzielałem.

Czasem świat traci twarz. Staje się zbyt podły. Zadaniem poetów jest n tę twarz przywrócić, bo inaczej człowiek gubi się w zwątpieniu i rozpacz Jest to wskazanie, że świat nie zawsze musi być taki: że może być i inny. *N suplex turba timebat iudicis ora sui.*

Czy pierwiastki arkadyjskie prowadzą do nieprzystosowania? Rozróżnijm Są dwa rodzaje nieprzystosowania. Jedno — to nieprzystosowanie do życ społecznego, wytrącenie jednostki z jej więzi ze zbiorowością, czyli zarzucen obowiązków, jakie poszczególny człowiek jest społeczeństwu winien. Pr obecnym prądzie żywego zainteresowania życiem publicznym, po doświadcz niach wojny, małe jest prawdopodobieństwo, aby pisarzom to groziło.

Drugi natomiast rodzaj nieprzystosowania — a jest nim nieudzielanie m ralnej aprobaty złu — stanowi przywilej każdego poety. Znam Europę, z mi siąca na miesiąc poznaję coraz lepiej Amerykę i nie widzę żadnych powodó dla których musiałbym przystosowywać się i wołać, że wszystko idzie na lepiej na tym najlepszym ze światów. Mam na to zbyt wiele serca i wątrob Kiedy we wstępie do „Ocalenia" napisałem, że pojąłem wybawczy cel poez

to właśnie miałem na myśli i nadal wierzę, że poezja może albo narody ocalać, albo gubić.

Na zakończenie zwracam się z apelem do Kazimierza Wyki. Napisał on, że jestem artystą samotnym. To jest prawda, ale to jest źle, bo wydaje mi się, że dostrzegam właściwą drogę lepiej, niż mi na to pozwalają moje literackie zdolności. Ze smutkiem stwierdzam, że w tej chwili literatura polska wkracza w renesans romantyzmu. Lewicowi krytycy, podający się za humanistów, robią co mogą, aby pisarzy w tym kierunku podniecić. Nie są to żadni humaniści, tylko przebrani romantycy, wilki w owczej skórze, a mają tupet, jakby każdy z nich był Erazmem z Rotterdamu.

Kazimierzu Wyko! jeżeli Ty i kilku ludzi dobrej woli i głowy nie położycie temu tamy, będzie za późno. Nie jest czas poruszać się w obrębie kredowego koła. To koło już pęka.

*Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię,*
*Czy ćma wypadnie, brudne nocy plemię?*

Zdaje się, że romantyczna ćma. Dla Polaków to co romantyczne to już ładne, już wielkie, już patriotyczne, już narodowe, już ogólnoludzkie. Jeszcze chwila, załgają się jak emigranci, na trochę inną, lewicowo-krajową modłę, co jest ostatecznie wszystko jedno. Kazimierzu Wyko, to jest ostatnia chwila.

New York, w sierpniu 1946.

BOLESŁAW MICIŃSKI

# ODPOWIEDŹ NA LIST FRANCESCA, OBYWATELA RZYMSKIEGO

## I

Kochany Francesco! Trudno, doprawdy, powiedzieć jak bardzo ucieszył mnie Twój list[1]). Masz dopiero sześć lat i umiesz już pisać tak ładnie. Kiedy byłem w twoim wieku — mały barbarzyńca — nie znałem jeszcze liter. Pomyśl jak bardzo jestem spóźniony w kulturalnym rozwoju! Musisz być dla mnie wyrozumiały. Nie krzyw się więc, jeśli w tym liście znajdziesz zniekształcone łacińskie cytaty, wyjęte z dzieł twych znakomitych rodaków. Cytowałem z pamięci! Książki, które zbierałem z taką miłością, strawił ogień. Myślę, że raczej ja zasłużyłem na ten los niż one. Została tylko pamięć, nie zawsze wierna. Słowem: skarby mieczowi spustoszyli złodzieje, i nawet pieśń cało nie uszła.

O ile ty jesteś szczęśliwszy! Ja uczyłem się łaciny w brzydkim północnym mieście, a stronice „Eneidy" zaciemniały mi czarne chmury płynące znad Bałtyku. Ty możesz czytać „Eneidę" na grobie Wergilego, pod niebem, które nie jest „jak zmarzła woda", pod niebem, do którego tak blisko z twojej ziemi. Możesz czytać „Eneidę" na grobie tego, który kochał *pascua, rura, duces.*

Tym bardziej cieszy mnie, że napisałeś twój list w barbarzyńskim języku „zlikwidowanego" kraju — po polsku. Możesz powiedzieć teraz o sobie jak Owidiusz: *didici sarmatique loqui...* Podziwiam twoje zdolności językowe, bo nie wątpię, że skreśliłeś ten list *ipsa manu.* Gdyby list twój był tylko przekładem, gdyby jakiś barbarzyński skryba, który *profugus Laviniaque venit,* przełożył twoją wytworną łacinę na język polski, dodałbyś przecie wzorem Owidiusza: *si casu miraris epistula quare alterius digitis scripta sit.* Cieszę się więc tym listem pisanym po polsku i oceniam delikatność twoich uczuć: jako potomek Eneasza, fundatora Imperium Rzymskiego i trojańskiego emigranta, rozumiesz cierpienia uchodźców i współczujesz z nimi.

---

[1]) List Francesca:

„Kohany bolku hcę zobaczyć tfoją cureczke. Byłem w parku zoologicznym ia mam 40 liróf zbieram na globus. Byłem u Papieża. Chodzę do szkoły i tam jest kino i teatr. Umiem pisać piurem wzeszycie. — Całuję fszystkich. — francesco — Rzym".

## II

Teraz, kiedy piszę te słowa, jest noc. *Et iam nox umida coelo praecipitat,* schodzące gwiazdy skłaniają do snu. Nikt nie umiał pisać o nocy piękniej niż Wergiliusz: *Nox erat et placidum carpebant fessa soporem,* cisza zeszła na asy i fale — o tej godzinie gwiazdy dobiegają połowy swej drogi, nieme są pola, stada, i barwne ptactwo, które ma swój dom w krzewach i stawach przejrzystych, śpi teraz w cieniu, w milczeniu, niepomne trosk...

„Ale serce i oczy nie radują się spokojem nocy". Bo noc jest duszna, pełna niepokoju i oczekiwania. Nie zdziwiłbym się, gdyby ptactwo różnobarwne zatrzepotało się niespokojnie w gęstwinie krzewów i zmąciło lśniącą powierzchnię wód, nie zdziwiłbym się, gdyby za oknem zamajaczył skrwawiony cień Hektora, którego widziałem w Warszawie.

„Była to godzina, w której sen, słodki dar bogów, spowija nasze zmysły, by ulżyć cierpieniu. Warszawa spała *sub nocte.* Zdawało mi się, że sczerniały nawet zielone krzaki bzu przed moim oknem na Saskiej Kępie i czarny był most Poniatowskiego, przerzucony nad połyskującym zuchwale Skamandrem".

Ach! nie. Tego nie ma w „Eneidzie". Słowa mi się plączą. W „Eneidzie" jest tak:

„Była to godzina, w której sen, słodki dar bogów, spowija nasze zmysły, by ulżyć cierpieniu. Wydało mi się nagle, że widzę smutnego Hektora z oczami pełnymi łez, Hektora takiego, jakim go widziano ongi, z czołem we krwi umazanym i kurzu, z obrzękłymi od więzów nogami. Jakże zmieniony. Jakże niepodobny temu Hektorowi, który rzuciwszy ogień na flotę Greków, powracał okryty zbroją Achilla. Teraz okryty śladami chlubnych ran, które odniósł walcząc pod murami swego grodu, brodę miał zmierzwioną i włosy zlepione krwią. Wydało mi się, że tak jak i on w łzach tonąc, zwracam do niego swe smutne skargi: „O chlubo Pergamu! opoko Trojan, z jakich to wybrzeży przybywasz, Hektorze z dawna oczekiwany. Po tylu pogrzebach, po zawodach tak gorzkich Troi i jej obrońców — w jakimże stanie Ciebie oglądam? Jakaż to ręka barbarzyńska znieważyła Twoje boskie oblicze i skąd pochodzą te rany?" „Ach, — westchnęło widziadło na próżne żale nieczułe, — uciekaj z kręgu płomieni, synu Syreny[2]). Wróg jest w murach!"...

Kochany Francesco! Jako potomek Eneasza wiesz, jak trudno jest mówić o klęsce. Nie każ mi, jak Dido ciekawa, *renovare dolorem.* Pozwól nie mówić o ostatnich dniach tego królestwa godnego pożałowania *(lamentabile regnum). Animus meminisse horet,* serce drży na samą myśl, i gwiazdy schodzące skłaniają do snu...

*...suadent cadentia sidera somnos sed si tantus amor casus cognescere nostros* — weź do ręki „Eneidę" i czytaj:

„Miasto, to istny obraz przerażenia i rozpaczy, a choć dom Anchisa na uboczu stoi i drzewami otoczony — hałas staje się coraz bardziej przeraźliwy

[2]) W oryginale jest „synu bogini", ale Syrena jest w herbie Warszawy.

i słychać już straszny szczęk broni. Że snu wyrwany, biegnę na szczyt pałac
i tam nasłuchuję uważnie. Tak — gdy pożar rozpętany przez wichry, pastwi
ska ogarnia, lub gdy potok wartki, spływając z gór, pola zalewa, pustosz
plony, niszczy nadzieje rolnika i lasy w swych nurtach gwałtownych unosi —
pasterz na szczycie skały nasłuchuje ze zdziwieniem i przyczyny hałasu do
ciec jeszcze nie może. Któż potrafi odmalować potworność tej straszliwej no
cy? Któż skargi swoje z klęskami naszymi porówna? Runął gród prastary
Tysiące trupów piętrzą się wzdłuż ulic, na progach domów i świątyń. Żałob
wszędzie, przerażenie wszędzie i widmo śmierci. Żelazo dzieła ognia dopełnia
Ogień żarłoczny wiatrem gnany wznosi się ku szczytom pałaców i grąży j
w ponurych swych wirach".

## III

Oto słowa Eneasza-uchodźcy. Rozumiesz, kochany Francesco, cierpieni
emigrantów i współczujesz z nimi.

Chciałbym Ci przypomnieć piękną eklogę Wergilego — czy pozwolisz?

„Meliboeus: — O szczęśliwy Titirusie, spoczywając pod wiązem cienistym
wygrywasz sielskie melodie na twej piszczałce — my, wygnańcy z ziemi ojców
opuszczamy nasze słodkie sioła, opuszczamy ojczyznę! — ty spokojny, po
gęstwiną liści uczysz lasy powtarzać imię pięknej Amarillis. Nie zazdroszcz
Ci twego szczęścia. Raczej mnie twoje szczęście zdumiewa, gdy mam prze
oczami obraz owych klęsk, które spadły na naszą ziemię.

„— O jakże byłem ślepy! jakże często dąb rażony piorunem przepowiada
mi owo nieszczęście; nieraz z głębi spróchniałego pnia mówiła mi o nich wro
na złowróżbna.

„— Pójdziemy. Jedni do Afryki skwarnej, drudzy do kraju Scytów, n
Kretę lub do Bretanii na krańce świata. Czyż będzie mi wolno kiedyś p
długim wygnaniu powitać w uniesieniu rodzinne pola, ubogą strzechę moj
chaty ukrytej wśród kłosów, które były moim królestwem? Żołdak nieludzk
dzierżyć będzie tę żyzną rolę! Barbarzyńca zbierze plon! Dla niego obsiałe
moje ziemie! Idź teraz szczepić twoje grusze, o Melitocusie, idź podcinać win
nice. Idźcie kozy, idź moja trzodo ongi szczęśliwa! Spoczywając pod zielony
sklepieniem nie będę was — zawieszonych na zboczu krzewami porosłej g
ry — gonił oczami. Odtąd już koniec pieśniom.

„Titirus: — Możesz tu przecie spędzić jedną noc na zielonym listowiu. Po
dostatkiem mam owoców dojrzałych, kasztanów i mleka"[3]).

Dziękuję Ci, gościnny Titirusie.

Dziękuję Ci, uprzejmy Francesco, za Twój list.

---

[3]) Nie szukaj tu aluzyj politycznych. Meliboeus nie jest Niemcem wygnanym z Tyrol
Jest to albo Żyd — wieczny tułacz, albo Polak — wieczny emigrant.

## IV

„Umiem pisać piurem wzeszycie" — donosisz mi w twoim liście. Oto piękna umiejętność! Pielęgnuj ją, kochany Francesco. Sztuka pisania coraz to rzadsza nieżyczliwy czas grozi jej upadkiem. Pisz piórem, kochany Francesco. Słowa pisane mieczem nie są trwałe. Pióro i zeszyt to prawdziwe fundamenty prawdziwego mocarstwa. Czy nie sądzisz, że na szczytach „mocarstwowości" stanęła twoja ojczyzna wtedy, kiedy pod panowaniem mądrego władcy Wergili sławił pokój, *pascua, rura,* nie szczędząc pochwał pobożnym wodzom? Czyż dzieło św. Augustyna nie jest najpotężniejszą „ekspansją kolonialną"? Nie śmiej się. Rdza strawiła miecze, ale ani wiatr nie zniszczył pomnika Horacego, ani bezsilne strugi deszczu. Oto rzetelne świadectwa mocarstwowości i ekspansji imperialnego dynamizmu. Były i wówczas dyplomatyczne i ekonomiczne wybiegi, a ziemia drżała, deptana żelaznymi stopami rzymskich legionów. Zszarzały dzieje dyplomatycznych podstępów, zatarły się w pamięci zbiorowej, a sławę swoją zawdzięcza Cezar nie czynom wojennym, ale składni. Wielu było wodzów rzymskich, wielu zdobywców, któż potrafiłby wyliczyć ich nazwiska? Toną w niepamięci! Ile wojen było, ilu wodzów w latach ciemności i upadku, kiedy św. Augustyn zamknął oczy. Nikt nie zna ich nazwisk, bo żaden z nich nie umiał pisać tak pięknie jak Cezar. Nietrwałe są dzieje wojen — trwała jest składnia łacińska. Więc cieszę się, że piszesz piórem w zeszycie.

Przed paru laty, w Paryżu, otrzymałem list pisany przez jednego z mych przyjaciół. „Niech się Pan nie troszczy o przyszłość kultury — pisał — kultura zawsze zwycięży, bo ludzkość nie może znaleźć szczęścia bez znajomości łacińskiej gramatyki. Przyjdzie taki czas, gdy westchną władcy: „tylu ludzi zabiliśmy, tylu ludzi zamknęliśmy w obozach koncentracyjnych, a nie smakuje nam kawa po obiedzie, bo nie znamy łacińskiej gramatyki".

Jeśli więc i tobą, jak wszelkim stworzeniem, kochany Francesco, rządzi pragnienie szczęścia, powtarzaj: *rana, ranae, ranam, rana, rana.* Poznaj zawiłość zdań czasowych: *ubi, ut, ubi primum, ut primum, simul, simulac, simulaque, dum, donec, quoad, antequam, priusquam, cum...* A przede wszystkim zapoznaj się ze strukturą zdań warunkowych, aby w nich nie było miejsca na oszustwa, na szantaż, na kłamstwo.

## V

Gramatyka łacińska istnieje poza czasem. Można wrócić do gramatyki łacińskiej nie mijając wieków, które ubiegły. Gramatyka łacińska jako przedmiot idealny istnieje zawsze.

Nie ma drogi powrotnej do Imperium Rzymskiego. Idąc przez wieki wstecz do cesarstwa, które było, nie można ominąć św. Pawła — nie spojrzeć w strzaskaną twarz skazańca. Struga krwi, która ścieka z jego odciętej głowy, wy-

znaczyła nieprzekraczalną granicę w dziejach twojej ojczyzny. Gdybyś chciał lekkomyślnie przekroczyć tę kałużę krwi, zastanów się: droga, na którą byś wstąpił, prowadzi do piekła. Twój rodak, Francesco, cesarz Julian Apostata, który w drodze powrotnej idąc do zmarłego imperium ośmielił się przekroczyć tę granicę, upadł przebity włócznią św. Merkurego. Jego krew wsiąkła bez śladu w jałowy piasek wschodniej pustyni. Tragedia diabła leży w tym, że diabeł nie tworzy — diabeł tylko naśladuje. To on, zagrożony osamotnieniem w swojej bezsile twórczej, chce ludzkość prowadzić wstecz przez wieki do stanu grzechu. To on zaludnia wyobraźnię zbiorową wizjami brodatych germańskich bogów, to on wciska między palce władców miedziany pieniążek z zatartym profilem rzymskiego cesarza — mówi: „Spójrz! spójrz w pieniążek miedziany jak w lustro... jakże jesteś do niego podobny... twój zarys nosa... twój mocny podbródek... twoje czoło... To Ty. Bądź tym, który był. Chodź! zakryję Ci oczy, abyś nie patrzył w twarz rzymskiego skazańca, św. Pawła. Naprzód... dwa są sposoby walki — prawem lub siłą. Pierwszy właściwy jest ludziom, drugi — zwierzętom; ponieważ pierwszy nie zawsze wystarcza, musimy uciec się do drugiego"

„Działaj jak zwierzę!... władca musi działać wbrew uczuciom ludzkim, wbrew litości, wbrew religii"...

„Idź! idź krokiem rzymskim przez kałużę krwi, która przedzieliła historię twego narodu!"

Diabeł ma zapadłe policzki, smutne niespokojne oczy i zmierzwioną brodę. Czy wiesz, kochany Francesco, że byli ludzie wcale roztropni, którzy nazywali Machiavela prawdziwym diabłem?

Ach! Kochany Francesco — jeśli ci każą na lekcjach gimnastyki maszerować krokiem rzymskim — zmyl krok! Stwórz nowy ruch! Jeśli potrafisz przezwyciężyć łatwość naśladowania, jeśli potrafisz stworzyć nowy, twój, ruch ręki, nowy, twój, ruch nogi, będziesz twórcą godnym tych, którzy podpatrzyli ruch Hermesa zapinającego swój sandał. Bądź twórcą, Francesco, nie naśladuj kroków rzymskich wojowników na lekcjach gimnastyki, bądź sobą i chodź własnymi ścieżkami — na tych drogach nie spotkasz kałuży krwi wylanej za prawdę i „dla odnowienia umysłu waszego", jak pisał św. Paweł do Rzymian.

Piszę o piekle i diable bez obawy, że odpowiesz mi wzruszeniem ramion: jesteś dzieckiem i dlatego jeszcze umiesz myśleć poważnie o rzeczach ostatecznych. Ale w twojej dziecinnej wyobraźni diabeł ma, jak sądzę, postać rogatego, koźlonogiego potwora. To popularne i sugestywne wyobrażenie dalekie jest od ohydnego pierwowzoru. Spójrz na papugę, Francesco, spójrz w jej starczą, smutną, niemal ludzką twarz. Czy nie przejmuje cię zgrozą to monotonne zgrzytliwe echo twoich słów, czy nie przeraża cię ten żywy automat, który umie tylko naśladować? To on! To jego karykatura. To obraz tego tworu, który umie tylko odtwarzać. Jego ponury gwizd znaczy rytmy „rzymskiego kroku", który prowadzi w przeszłość, w nicość, między zapadłe groby dawnych wojowników, między stosy żelaziwa, mieczy strawionych rdzą i strzaskanych hełmów.

Powtarzam: nie ma drogi powrotnej do cesarstwa rzymskiego. Struga krwi, która spłynęła ze ściętej głowy obywatela rzymskiego św. Pawła, wyznaczyła nieprzekraczalną granicę w dziejach twojej ojczyzny.

## VI

Nie ma powrotu w historycznym rozwoju narodów, podobnie jak nie ma powrotu w rozwoju jednostki. Cena, którą Faust zapłacił za powtórną młodość, była — nie wątpisz chyba o tym — stanowczo za wysoka. „Nie chciałbym ponownie zaczynać życia — mówi rozważnie stary Kato, — podobnie jak szybkobiegacz, który z mety z trudem osiągniętej nie chce być odwołany na start".

Młodość, to *Primavera*, to świeżość róż włoskich prymitywów, to zieleń wzgórz, które patrzyły na męczeńską śmierć Kosmy i Damiana. Tylko raz kwitną kwiatki św. Franciszka, twego patrona. Ale szczęśliwy kraj, który miał taką młodość, taką wiosnę — może teraz oczekiwać w spokoju wizyty niebian, którzy nawiedzili dom sędziwego Philemona i czcigodnej Baucis.

Czy pamiętasz tę legendę ateńską Owidiusza:

*Dicite juste senex, et femina conjuge justo*
*Digna quid optetis? Cum Baucide pauca locutus*
*Iudicium Superis aperit commune Philemon:*
*Esse sacerdotes, delubraque vestra tueri*
*Poscimus...*

Szczęśliwy Philemon! Szczęśliwa Baucis! Szczęśliwi starcy, którym Bóg powierzył straż swej świątyni. Oto nagroda za piękną starość: kapłaństwo zamiast smutnej „posady" kościelnego dziadka.

Czy nie myślisz, że starość jest czymś pięknym i godnym szacunku? Ile piękna, ile godności w spokojnej dumie starca! Trzeba tylko cenić swój wiek i umieć go nosić. Jakże wstrętny byłby w oczach Katona starzec, który by dla upozorowania młodości włożył krótkie majtki i naśladując niesforność zielonych lat — zza rogu ulicy wybijał z procy szyby sąsiadom. Nie wierz tym, którzy mówią o „dynamizmie", kochany Francesco. Czy nie widzisz w tym „dynamizmie" czegoś sztucznego, papierowego naśladowania młodości, czy nie widzisz strachu i pośpiechu bezbożnego starca, który zna granice ludzkiego życia a nie widzi innego życia poza tym, jakie prowadził na ziemi? Oto zachłanna łapczywość weneckiego kupca i przewrotność złośliwego Volpone, rozmiłowanego w ziemskich radościach. Czy nie myślisz, że w starczym niepokoju, w gorączkowym szukaniu minionej młodości jest coś z przerażenia tego wiekowego filozofa-ateusza, o którym nierozsądni kaznodzieje opowiadają, że w chwili zgonu wypił zawartość nocnika? Nie wątpię, kochany Francesco,

że wolałbyć cykutę, którą Sokrates wychylił z takim spokojem, myśląc już o tych, których spotka w zaświatach. Więc nie wierz tym, którzy mówią o „dynamizmie" i schlebiają grzechom twej młodości: jest to fałszywy pieniądz — nawet Charon go nie przyjmie za przewóz duszy na tamten brzeg.

## VII

O ile cieszy mnie twoja umiejętność pisania piórem w zeszycie, o tyle — przyznam — niepokoi mnie twoje zainteresowanie globusem. „...mam 40 liróf zbieram na globus" — piszesz. Czyżbyś myślał o nowych podbojach, synu Marsa? Nie znajdziesz przecie na kulistej mapie mrocznych dróg, którymi sunie łódź Charona. Wracam, jak widzisz, uporczywie do tego ponurego żeglarza, bo żywa wyobraźnia eschatologiczna twego narodu tli się zapewne i w tobie i każe ci myśleć nieustannie o rzeczach ostatecznych.

Ale — skoro taka już wola — spójrz: oto twoja ojczyzna! W tym bucie ogromnym Eneasz wkroczył śmiało do państwa cieni — jego to zasługą jest spirytualizacja zaświatów, które Homer pojmował jeszcze empirycznie. Jest to magiczny but i Dante spacerował w nim po piekle, czyśćcu i niebie. Jakże blisko do nieba z twojej ojczyzny! Twój rodak, Kolumb Genueńczyk, odkrył Amerykę, ale szukał... raju i dlatego butem siedmiomilowym umiał przekroczyć ciemne wody Atlantyku. Spójrz na twoją ojczyznę, Francesco! Jej wielkość nie da się zmierzyć sumą kilometrów kwadratowych, które obejmuje Imperium. Wielkość bowiem prawdziwa nie jest natury empirycznej, wymiernej — wielkość wymierna jest zawsze mała.

Spójrz na twoją ojczyznę, Francesco, spójrz na magiczny but: diabeł ostrogi przypina do zielonych, w morskiej pianie skąpanych obcasów — diabeł obcasami trzaska, kurz bitewny wzbija nad ziemią, ziemię rzymskim krokiem depcze, hałasuje po zaświatach i płoszy cienie twoich przodków. Diabeł w magicznym bucie idzie do bram niebieskich i rozdziera ostrogą błękitne sklepienie.

*1940*

KAZIMIERZ WYKA

# „WĘDROWNY SZTUKMISTRZ"

## I

Otwarta w warszawskim Muzeum Narodowym wystawa prac artystycznych, rękopisów i pamiątek norwidowskich jest pierwszym tego rodzaju aktem szacunku wobec pamięci wielkiego poety. Sposobność dała do niej 125 rocznica urodzin Norwida (24. IX. 1821), ale sądzę, że nie tylko ona daje prawo rozejrzeć się pośród ocalonej puścizny poety. Prawo takie daje również fakt, że z pogromu Warszawy najcenniejsze norwidiana, te które posiadał i przechowywał Miriam, ocalały doprawdy cudem i mogą być udostępnione badaczom i miłośnikom poety. Jak zaś ocalały, przypomniał to niedawno Stanisław P. Koczorowski („Norwid ocalony", *Warszawa*, nr 4). Wystawa ta wreszcie pozwala rozpatrzeć dorobek Norwida jako malarza i rysownika i nie wątpię, że znajdą się kompetentni historycy sztuki, którzy ostatecznie ustalą miejsce Norwida na mapie sztuki polskiej i obcej, czyniąc to w sposób daleki od bałwochwalstwa, bo niewątpliwie dorobek malarski Norwida nie może się równać z jego dorobkiem poetyckim, ale daleki też od lekceważenia, bo równie niewątpliwie Norwid swoisty talent i program plastyczny posiadał.

Cel niniejszych uwag jest skromniejszy i ograniczony tylko do jednego zagadnienia związanego z wielością uprawianych przez Norwida sztuk. Norwid był najbardziej złożonym artystą polskim. Jeden Wyspiański może iść z nim w porównanie, nie dotrzymując wszakże miejsca, gdy chodzi o rozmaitość uzdolnień i zainteresowań artystycznych, o ich systematyczne praktykowanie, wyniki myślowe w poglądach estetycznych poety, udział w obrazowaniu poetyckim oraz wpływ na jego losy życiowe. Łatwo dostrzec, że poza obrębem tego zadania pozostaje ocena jakości owego dorobku, że zdanie to nie stawia osiągnięć plastycznych Norwida wyżej od Wyspiańskiego, lecz jedynie w sposób opisowy stwierdza praktyczne oraz teoretyczne bogactwo zainteresowań artystycznych Norwida, niewątpliwie najbardziej rozległe w sztuce polskiej.

Norwid tym najbardziej złożonym artystą polskim był w sposób wieloraki i znów nie wszystko, co należy do tego tematu, mam zamiar poruszyć tutaj. Nie będziemy mówić o udziale sztuk w obrazowaniu poetyckim Norwida —

problem ów z trudnością daje się zamknąć w ramach obszernej rozprawy, tak obfite i różnorakie jest odbicie sztuk w jego dziele poetyckim. Nie będziemy też mówić o roli sztuk w systemie estetycznym twórcy „Promethidiona". Chcemy jedynie rozpatrzeć, jak przedstawiały się w życiu Norwida jego marzenia, zawody i prace artystyczne, chcemy przypomnieć procentem od jakich to trosk są pożółkłe kartony rysunków poety...

Przewodnikiem będzie nam korespondencja pisarza. Wydanie przez Miriama prawie całej odnalezionej po dzisiaj puścizny listowej Norwida ułatwia niezmiernie to zadanie, zwłaszcza że dopiero w tym wydaniu zostały udostępnione liczne listy, bardzo ważne dla poruszonego tutaj tematu. Wszelkie cytaty odnoszą się przeto do I lub II tomu „Listów" w Norwida „Pismach po dziś odszukanych" (Warszawa 1937).

Rozmaitość swoich talentów i zainteresowań plastycznych najlepiej nakreślił sam Norwid w prospekcie rozsyłanym przyjaciołom w 1868 roku. Oto gotów był uczyć: „1. L'enseignement ou la pratique de l'art du dessin en commençant par le style monumental religieux et en embrassant jusqu' au paysage. — 2. La *peinture* à l'huile, l'aquarelle etc... — 3. La *sculpture* en ce qui concerne seulement le *médaillon*. — 4. La *gravure*, tout ce qui concerne l'eau-forte" (II, 127).

Był więc Norwid w swoim słusznym pojęciu malarzem, rzeźbiarzem, rysownikiem i rytownikiem, nic więc z zakresu sztuk plastycznych nie było mu w praktyce obce. Najmniej z tych czterech działów znajdziemy śladów zajmowania się rzeźbą. Paszport jego głosił wprawdzie, że wyjeżdża celem „doskonalenia się we Włoszech w sztuce rzeźbiarskiej" („Pisma", VI, s. V.), studiował wprawdzie w latach 1843-1844 rzeźbę we Florencji pod kierunkiem Bartoliniego i Pampaloniego, nauczycielom swoim złożył rychło hołd w rozprawce „O rzeźbiarzach florenckich" (*Biblioteka Warszawska* 1846), chętnie powoływał się w potrzebie na te swoje studia, jako świadectwo fachowej znajomości rzeźby, ale o tym, by sam rzeźbił, wspomina bardzo rzadko. Prawdę mówiąc raz tylko (nie licząc modelowania dla kogoś innego): — pracował w roku 1857, ale nie wiadomo czy ją wykonał, nad statuą przydrożną, kolorowaną Kordeckiego do Częstochowy (I, 255). Cel prácy był nie tylko czysto rzeźbiarski: miał być również dydaktyczny, nawiązujący do poglądów głoszonych w „Promethidionie". Norwid, wbrew współczesnej praktyce rzeźbiarskiej, pragnął tę statuę również wymalować. Nie dlatego to czynił, że malowaną była rzeźba klasyczna, a tego uzasadnienia można się było spodziewać u samodzielnego i oryginalnego wielbiciela starożytności, lecz dlatego (oddajemy głos poecie) „bo tak chciałem, aby była z przydrożnych figur naszych wyprowadzona w stopniu wyższym sztuki". Chodziło zatem o związki z sztuką ludową jako podstawą wszelkiej sztuki.

Wiadomo ponadto od zachwyconego Dziekońskiego, że pracował nad projektem pomnika dla Jana Kochanowskiego i na tym szczególe zamyka się udział rzeźby w życiu Norwida. Nie widzimy z listów, by zabiegał o sprzedaż swoich rzeźb, jak zabiegał o sprzedaż rysunków czy obrazów. Być może — musimy

oprzestać na hipotezie, pozbawionej sprawdzalnych dowodów — nie posiadał pecjalnych uzdolnień rzeźbiarskich, chociaż tę sztukę przede wszystkim pragnął udiować. Znajomość fachowa i estetyczna rzeźby pozostała jednak u Norwida ardzo silna i najobficiej ze wszystkich sztuk wyraziła się w jego poezji i poglą-ach estetycznych. Odblask rzeźby w poezji Norwida pozostawia daleko poza obą odbicie innych sztuk.

W podanym programie Norwid specjalnie podkreśla jako swoje ulubione oddziały sztuki m e d a l i o n i a k w a f o r t ę. Rzeczywiście o tych dwóch ajęciach najwięcej się w listach jego czyta. Oto Norwid projektuje (tylko słow-ie) medalion dla Cieszkowskiego (I, 61), po śmierci Krasińskiego wykonuje brązu i znajomym rozsyła — jedyny znany — medalion jego (I, 338), rojektuje medal na rocznicę Unii Lubelskiej (II, 161, 188), medalem wreszcie hciałby uczcić męczeństwo unitów podlaskich (II, 316). Raz tylko odmówił ykonania projektu medalu ku czci Kościuszki (II, 352) — później zobaczymy, o nim kierowało w tej odmowie, jak i w całym ciekawym zainteresowaniu dla edalierstwa. Akwaforta, jako temat prac własnych poety, gości na kartach ego listów niemniej często (np. II, 241—242, 262—263, 271). Znów za chwilę oznamy, skąd ta predylekcja.

Wszystkie te zajęcia artystyczne mając w pamięci, możemy obecnie przyglą-nąć się, jak one wpływały na sądy Norwida o samym sobie. Otóż Norwid igdy nie uważał siebie wyłącznie za poetę. Rzecz to zrozumiała, był bowiem rzecież więcej niż poetą, ale w rozmaitości uprawianych zawodów nigdy poe-ji nie wysuwał na miejsce pierwsze, a swych zajęć plastycznych na miejsca alsze. Podkreślał za to stale w listach równą wartość swoich prac. Nie był swoim przekonaniu poetą, który także maluje, rysuje i rzeźbi, ani malarzem, tóry także pisze, rzeźbi etc., ale powiadał: „jak rzeźbiarz, malarz, pisarz sta-ałem" (I, 58). W roku 1858 w liście do Karola Krasińskiego pierwszy raz żył miana, które odtąd zawsze do siebie będzie stosować: nazwał się s z t u k-i s t r z e m.

Czasem, ale to wyjątkowo, nazwie siebie „pisarzem i sztukmistrzem" (I, 334), zy jak w II-giej „Deotymie odpowiedzi" „poetą i sztukmistrzem", zresztą amo miano sztukmistrz stale mu wystarczy na określenie wszystkich zajęć ar-ystycznych uprawianych przez siebie. Przeciw zburzeniu kolumny Vendôme rotestuje jako „Emigrant-katolik-sztukmistrz" (II, 243). Odtąd też to pow-zechne w listach nazwanie powtórzy się kilkakrotnie w liryce i prozie epic-iej jako oznaczenie najwyższego typu artysty. „Wędrowny sztukmistrz" to ytuł całego zamierzonego poematu, w którym najpełniej miał się odzwierciedl-ć Norwida krąg sztuki w jego związkach z życiem historycznym ludzkości. ztukmistrz występuje w tym poemacie jako malarz, rzeźbiarz i architekt, zapewne miał wystąpić również w innych dostępnych Norwidowi wcieleniach. W „Rzeczy o wolności słowa" dla archeologa, który według poety wi-ien się kierować natchnieniem, najwyższą pochwałę stanowi to, iż wówczas „po-zyna być sztukmistrzem, a nie fotografem" (pieśń II). Wyjątkowo największy isarz zostaje nazwany sztukmistrzem („List do Walentego Pomiana Z."); nadto

spotykamy to miano pochlebne w „Stygmacie", w wierszu „Piękno czasu" oraz w mniejszych pismach estetycznych.

Powody, dla których Norwid zwał siebie ustawicznie sztukmistrzem, odsłoni on — jak często mu się to przydarzało — w rozdrażnieniu, protestując przeciwko niesłusznej krytyce. Kiedy w *Dzienniku Poznańskim* (13. X. 1868) nazwany został „akwafortystą i malarzem", w liście do Lenartowicza ostro zareplikował, że jest kimś więcej: „akwafortystą jest ten, co robi wszystko akwafortą" (II, 140) — wszystko, czyli nic więcej poza akwafortą robić nie umie „Cyprian Norwid robi dziś swoje utwory akwafortą — jutro je może robi pędzlem, a pojutrze dłutem, jak medalion śp. Krasińskiego. Jest rzeźbiarzem malarzem, sztycharzem s w o i c h d z i e ł... to się nazywało przez sześćset la i nazywa się: być *sztukmistrzem*." (II, 141).

Powodem była zatem duma z jakiejś renesansowej rozpiętości uzdolnień duma oparta jednakże o poglądy Norwida na pracę i jej udział w dziele artystycznym. Jak sztuka miała uszlachetniać pracę, wiązać ją węzłami uczuci i miłości z życiem człowieka, tak tutaj, w konsekwencji tego samego poglądu wartość sztukmistrzostwa jest w tym, iż artysta uprawia rodzaje sztuk zmu szające do niejakiej pracy fizycznej, do rzemieślniczej sprawności dłoni. Słowem, związek sztuki z pracą, tak doniosły w estetyce Norwida, zostaje po twierdzony przez praktykę życiową „sztukmistrza". On sam realizuje swo ją ideę, albowiem według Norwida głosić nie wystarczy. Dlatego to ta uparcie upomina się, że on nie tylko daje kompozycję rysunkową do akwaforty a kto inny ją ryje na blasze, lecz że sam rylcem włada, albowiem jest t umiejętność wymagająca wysokiej sprawności technicznej i wkładu pracy rze mieślniczej w najlepszym, prawdziwym znaczeniu tego określenia.

Zapowiadał przeto z drażliwością, że innych zamówień na akwafortę ni przyjmuje: dostarczyć może tylko blachę gotową — „on peut me donner l t e x t e e t l a g r a n d e u r — voilà ce que j'accepte" (II, 256). „Mes eaux fortes sont des pages des mes oeuvres faites au moyen d'eau-forte par moi-même selon la vieille tradition des Maîtres" (II, 262) — pisze do księcia Wład. Czartoryskiego, przesyłając mu dwie swoje ryciny, a na myśli mając zapewne Dürera Callota czy Rembrandta. Ta sprawność jest więc i hołdem dla Wielkich, powoływaniem się na ich przykład, tak często dokonywanym przez Norwida w okolicznościach własnego życia. Te dwie grupy przyczyn tłumaczą (naturalnie oprócz uzdolnień w tym kierunku) upodobanie Norwida w akwaforcie: z kultem wielkich przodowników artystycznych, z tradycjonalizmem Norwida równie obowiązującym w jego poglądach politycznych co estetycznych, łączy się tutaj przekonanie, że uprawiając ten dział równocześnie świadczy sztukmistrz o praktycznej żywotności swych nauk, wiążących ściśle sztukę z pracą.

Innego rodzaju kult wyjaśnia wspominaną już predylekcję Norwida dla medalierstwa. W jej powody dobrze wprowadza jedyny wypadek, kiedy Norwid odmówił projektowania medalu. Chodziło o Kościuszkę. Odmowę swoją Norwid tak uzasadnił: „dla Kościuszki to wtedy tylko służyłbym, gdyby na medalu napisane było, i ż, b ę d ą c k i j e m w y b i t y m i w y p c h n i ę t y m z

drzwi przez rodaka, popłynął do Ameryki, która od razu poznała się na nim" (II, 352). Dlatego więc Norwid odmawia, ponieważ medal winien służyć prawdziwemu, szczeremu wyrazowi uznania społecznego dla danej osoby i medalierstwo jest dla niego jednym z głównych znamion kultu, jakim społeczeństwo winno otaczać swoich wielkich artystów i przywódców.

Ten pogląd na zadania medalu nie jest naturalnie szczególnie oryginalny; oryginalniejsze natomiast i ważniejsze są jego związki z innymi poglądami poety na konieczność szacunku społecznego dla twórców każdej dziedziny oraz związki ze sposobami wyrażania tego szacunku przez sztukę. Oto dla Norwida wszelka sztuka plastyczna, kiedy jej tematem staje się wielki współczesny, winna być świadectwem zbiorowego szacunku. Najwyraźniej tę sprawę stawia rozprawka „Kwestia popiersia Goszczyńskiego": „Sztuka plastyczna i monumentalna jest publicznym aktem uznania, choćby nie szło o posąg, ale o kamee w pierścieniu, ale o medal biblioteczny" („Pisma", VI, 211). Pod to zadanie podciągał również Norwid czasami portret („O portrecie i przeznaczeniu jego"), czy rzucał w tej samej rozprawie projekt monety, jaka winna być co roku nowa, bita jako medale na cześć wybitnych i zasłużonych ludzi. „I byłaby z tego historia popularna, w rękach ludzi bieżąca medalami bitymi, mającymi effigies z jednej strony, a z drugiej te napisy finansowe i administracyjne, które upieniężniają medal" („Pisma", VI, 224).

Skoro zaś tych żądanych przez poetę form kultu brakowało, skoro dostrzegał, że społeczeństwo nie pojmuje swoich obowiązków, on sam przynajmniej pragnął im zadośćuczynić. Dlatego to zapewne jedynym zachowanym medalem Norwida jest medal ku pamięci Krasińskiego, albowiem po jego śmierci Norwid najbardziej był wstrząśnięty lekkomyślnością i obojętnością społeczeństwa na ten zgon i zapragnął najpewniej we własnym zakresie niedbalstwo ogółu wyrównać. Wreszcie, i to jest ostatni powód zainteresowania dla medalu, w kulcie podobnym widział Norwid normalny objaw życia społecznego, widział trybut wielkiemu człowiekowi należny od ogółu z tą samą słusznością co na przykład samodzielność finasowa artysty. Ta zależność zrozumienia społecznego i wyrazu plastyczno-chwalebnego jest całkiem dwustronna: kiedy społeczeństwa nie stać na cześć prawdziwą, nie może powstać dla niej prawdziwy wyraz plastyczny, udany zaś kult plastyczny nie nadrobi, jak w wypadku Kościuszki, braku zrozumienia dla wielkich ludzi. Tak to brzmi w rozważaniach nad popiersiem Goszczyńskiego:

„— jeżeli wszyscy tej Epoki pisarze polscy, bez wyjątku prawie żadnego, nie mogli nigdy żyć z prac swoich i są pensjonowani żołdem nie polskim lecz francuskim — tak, jak zeszłej Epoki wielu żołdem rosyjskim — i jeżeli to społeczeństwo żadnych im nawet ułatwień wydawnictwa nie pomyślało nigdy zrobić i żadnego banku, jak ma każdy szewc i kramarz w Niemczech... TEDY: wewnętrzne, niewysłowione poczucie jest w człowieku, które każe mu unikać oblicza — nie mieć

potrzeby patrzenia twarzą w twarz — nie obcować plastycznie z postacią cza sów" („Pisma", VI, 211).

Tak więc niepozorna na pierwszy rzut oka sprawa medalierstwa Norwid pozwala wejrzeć głęboko w jego pojęcia o związkach między sztukami pla stycznymi a kultem społecznym. Obecność żywa tych związków w medalier stwie Norwida tłumaczy jego zainteresowanie dla tej rzadko uprawianej gałęz sztuki.

## II

Wśród takich powodów i rozmyślań krążył wędrowny sztukmistrz, kied do swoich przemawiał. Inaczej wobec obcych. Inne pobudki nakazywały Nor widowi mówić im przede wszystkim o swych talentach plastycznych, a ni o pisarstwie. Zwróćmy uwagę na ten charakterystyczny szczegół, że we fran cuskich adresach listów każe pisywać do siebie *peintre, dessinateur*. Bo istotni dla Francuzów był to jedynie „malarz", „rysownik", dziwak-cudzoziemiec wynajmujący tanie pracownie. Sztuka poetycka Norwida zamknięta była prze nimi niedostępnością języka, inne jego talenty nie znały tej przeszkody.

Dlatego to w chwilach zniechęcenia około 1868 roku, kiedy zapowiadał, ż po polsku przestaje w ogóle pisać, talenty dalsze miały być dla niego życiow rekompensatą za niewdzięczność rodaków. U kresu tej przemiany miał za stanąć tryumf na szerokim, uznawanym przez tych rodaków jako jedyny auto rytet, gruncie europejskim. — „Przestałem pisać i w drugiej połowie mej wła sności w obliczu Europy wystąpiłem, a Francja dała mi au moins u escalier et une porte d'honneur au palais des Champ Elysées. I krytyka francuska po raz pierwszy postawiła nazwisko Polak w jednym wierszu z Leonardem da Vinci, Dürerem i Rembrandtem, to zaś ni za pieniądze!!! — ...muszę skonkludować, iż... jestem na przejściu między dwom publicznościami." (II, 128—129; por. także II, 134—135).

Nie pierwszy to raz wówczas Norwid pragnął całkowicie zerwać z piórem niosącym mu same zawody i katusze. Już w roku 1852, przed katastrofą amo rykańską, z podobną ostrością zapowiada, że pisma wówczas pisane są jego dziełami ostatnimi. Jest znamię prawdziwie tragiczne, że dedykację z tak zapowiedzią nosi jeden z najwspanialszych jego poematów — *Salem*. (Po „Reszta wierszy odszukanych po dziś", Warszawa, 1933, s. 10). Ostatnie zaś li sty przed samym wyjazdem, to lakoniczne pisma do Bohdana Zaleskiego i Kon stancji Górskiej z prośbą o spalenie posiadanych jego rękopisów. „Proszę spali wszystko, co imię moje nosi, niech świat zapomni o mnie, kiedy tak się ni umiem ze światem porozumieć." (I, 135). Wobec rozmiaru tej goryczy zapo wiedzi roku 1868 są względnie łagodne.

To przejście, należy to od razu powiedzieć, nie udało się Norwidowi. Zbudo wane było jedynie z dziwnej pewności siebie poety, opartej i na naiwności i n wierze w pełny dźwięk francuskiego komplementu, tak łaskawie rozrzucaneg w tym kraju. Były, zdaje się, lata lepszej koniunktury, jak świadczyłaby o tym ilość dzieł malarskich Norwida rozrzuconych wśród zbieraczy francuskich, lec

drugiej publiczności, przeznaczonej wyłącznie dla swojej plastyki, Norwid nie zdobył na stałe. Dowód mamy na to jeden, lecz wystarczający: jego losy życiowe.

W tym niepowodzeniu mieści się najważniejsza bodaj przyczyna katastrofy życiowej Norwida. Wyobcowany z własnego społeczeństwa, potargawszy kontakty z krajowymi niedobitkami własnego pokolenia, nie wszedł w cudzoziemskie środowisko artystyczne. Wejść nie mógł, albowiem jako plastyk był już zjawiskiem zapóźnionym. Na pociechę pozostały mu tylko pochwały Ary Scheffera i Pawła Delaroche. Powtarzał je Norwid często w listach i nie zaniedbywał zapewne posługiwać się w obcowaniu codziennym. Nie przeczuwał chyba, że skutki musiały być wprost przeciwne od zamierzonych. Należy pamiętać bezlitosne sądy Baudelaire'a o Schefferze, by wiedzieć, co elita artystyczna Trzeciego Cesarstwa myślała o malarstwie tego typu; należy widzieć przepaść pomiędzy gładką i sztuczną literackością Delaroche'a a dążeniami początków impresjonizmu czy nawet szkoły barbizońskiej, — na bojową zaś dobę tych prądów przypadają zabiegi Norwida o wciśnięcie się w środowisko francuskie — należy to wszystko mieć na uwadze, by dostrzec, że pochwały pochodzące z takich ust musiały być najgorszą rekomendacją. Norwid specjalnym wierszem dawał wyraz zachwytowi nad „Portretem Dembińskiego" Rodakowskiego, ale sam nie posiadał dostatecznie wielkiego talentu, by jak Rodakowski mógł się narzucić uwadze samego Teofila Gautier. Zresztą religijna w znacznej większości swych tematów sztuka Norwida nie była sztuką, która by mogła przemówić do coraz bardziej laicyzującego się społeczeństwa francuskiego. Nikt z tworzących opinię artystyczną nie mógł przeto Norwida szczerze lansować, a jego własna sztuka była zbyt nikła i wtórna, by mogła się narzucić sama, stwarzając dlań podstawy egzystencji materialnej. A w tym był przecież węzeł sprawy...

W tym podkreślaniu nieliterackich talentów, skutecznych rzekomo wobec obcych, działały czynniki całkiem prozaiczne i dotkliwe dla poety. Wiadomo, że Norwid sam się utrzymywał na emigracji. W pierwszych latach podróżowania przychodziły pieniądze z kraju, od rodziny, otrzymywał później zasiłki od przyjaciół, za sprawą Kleczkowskiego przez jakiś czas pobierał niewielką chyba, bo nie rozbijałby się równocześnie za pożyczkami, pensyjkę z francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, utraconą po śmierci Kleczkowskiego, ale zasadniczo pragnął polegać na własnych zarobkach. Wspomina wprawdzie już po katastrofie ze stycznia 1877 roku, że posiada jeszcze „pensyjkę moją szczupłą, miesięczną, ale na którą ostatecznego aresztu prawo nie pozwala położyć, ‚invendable et insaisissable'" (II, 370), ale co to była za pensyjka — nowa, czy może udało mu się uzyskać wznowienie zasiłku straconego przed laty dziesięciu, o tym nie znajdujemy śladów w korespondencji. Nawiasem mówiąc, te dwa wyznania w sposób oczywisty zaprzeczają arcyczęstym oświadczeniom poety, że nigdy od obcych żadnej pensji nie pobierał.

Mimo to punkt ambicji Norwida, pomnożony obserwacją społeczeństw zachodnich, gdzie nie trzeba było jałmużny ani odczepnego od kapryśnych mece-

nasów, by artysta mógł zapracować na dostatnie życie, stanowiła ta właśnie samodzielność życiowa artysty. Pisał, że wprawdzie Wergiliusz był na dzisiejsze pojęcia milionerem, a jednak brał honoraria od Augusta za wiersze, i twierdził, że to była sytuacja normalna, że tak być powinno. Ten motyw ustawicznie się przewija, nie zliczyć listów pełnych sarkazmu i oburzenia, że artysta polski nie może żyć jak Europejczyk. Bolało go, że „ludzie chrześcijańscy są niepraktyczne osły, a ludzie praktyczni są szarlatany pogańskie" (II, 16). Pragnął, by zaniknęło to przeciwieństwo. I znów w myśl przekonania o realizacji osobistej zamierzał własnym przykładem dowieść samodzielności artysty.

Nie było to łatwe. Najpierw Paryż jest drogi, pracownia kosztuje, obrazy i rysunki są kapitałem trudnym do uruchomienia. „Moje płócienko sprzeda się przyzwoicie, i wszystkie, które robię, sprzedadzą się, tylko p o w o l i, i ten to wyraz „powoli" jest przyczyną nieskończonych kłopotów" (II, 362). Obrazy nie wiadomo kiedy pójdą, potrzeby tymczasem nie czekają. „J a z p r a c y r ą k m y c h n a u s t r o n i u ż u p e ł n y m ż y j ę... tak że wyznam Ci, że zaledwo mam czas pisać Ci, tyle Paryż kosztuje, a sam to rękami zarabiam" (I, 273) — skarży się Kleczkowskiemu w roku 1857, kiedy było jeszcze niezgorzej, kiedy miało się własną pracownię. „Alboż nie wiesz, co kosztuje zachodów i trudu te parę tysięcy franków, które rocznie wydawać muszę" (I, 357) — w trzy lata później napisze Lenartowiczowi. Wreszcie do Cieszkowskiego: „Co ja sam mogę? — widzę jasno: mogę nie przerwać być pisarzem polskim dla sumienia i czasów, które po sobie idąc, oddadzą każdemu sprawiedliwość, i mogę lub muszę współcześnie zniszczyć siły albo być niezwykłym artystą f r a n c u s k i m l u b E u r o p e j s k i m, a b y m i e ć z c z e g o ż y ć. Te dwie rzeczy razem stoją przede mną i przed każdym poczciwym człowiekiem, który umaczał pióro polskie" (I, 511).

Oto problem główny, oto punkt w którym najwznioślej wyglądające powołanie artysty przecina się z prozą codzienną jego życia. By na emigracji coraz rzedniejącej, nie zasilanej dopływem nowych sił z kraju, tracąc coraz dotkliwiej kontakt z krajem, po odrzuceniu amnestii, tworzyć swobodnie w oczekiwaniu na „przyszłość, korektorkę wieczną", tworzyć ze swobodą niemożliwą w kraju, trzeba sobie zapewnić warunki finansowe. Trzeba zostać artystą według wymagań zachodnich, zarobkującym, zapobiegliwym wokół własnych interesów. Ideał i posłannictwo domagają się ...kupieckiej przezorności. Zadanie trudne, zadanie, które grozi kompromisem z własnym sumieniem artystycznym: by naprawdę zarabiać, należałoby się nagiąć do wymagań rynku. Tego Norwid nie nauczy się nigdy. W swoim losie przypomina tych ludzi niepraktycznych, którzy ciągle tracą, ciągle się wikłają w jakichś fantastycznych interesach, ale w zanadrzu ustawicznie noszą jakiś jeden wielki i wspaniały pomysł finansowy, który ich dopiero postawi na nogi. Zadanie zostaje niespełnione, samodzielność po roku 1870 coraz bardziej okazuje się fikcją. Zresztą zadanie nawet wówczas, kiedy jako tako udawało mu się podołać, deklasowało poetę, bywalca salonów, rzekomego potomka Sobieskich... „ale żyłem z pracy mojej i dla moich prac umysłowych i w odosobnieniu: przeto — naturalnie — skazany bywam żyć

v sferze ubogiej, która też naturalnie iż sprzeczność widzi i nie pojmuje qu'est-ce qu'est-ce que ‚le déclassement'" (II, 228).

Od święta salon kosmopolityczny, o którym wyobrażenie dać może samo — za Krakowskim (*La société parisienne cosmopolite au XIX-e siècle et C. K. Norwid*) — wyliczenie stałych gości: Chopin, Gautier, Heine, Músset, Wagner, Liszt, Delacroix, Turgieniew, Thiers, Cavaignac — na codzień bytowanie w warunkach, o których słabe już tylko wyobrażenie powziąć pozwala dzisiaj w Paryżu na przykład *Quartier St. Séverin.* Do czasu mogło się wydawać Norwidowi, że omijając niebezpieczeństwa kompromisu zdoła zrealizować plan życiowy, w którym się pomieszczą te dwa bieguny. Im bardziej w lata, im bardziej Paryż z romantycznego stawał się bankierski, w stylu Offenbacha, Halévy'ego i lekkich muz Trzeciego Cesarstwa, tym się dosadniej ujawniało, że i w tej dziedzinie pomiędzy artystą a rzeczywistością pogłębia się rozdźwięk i nieporozumienie. Sprzedaż szła coraz trudniej, a przekonanie Norwida o wartości jego malarstwa, szczególnie religijnego, w miarę upływu lat rosło. — „W całej Europie dziś nie ma ani jednego artysty, który by był w stanie tak dwa razy piórem pociągnąć, jako jest w tych rysunkach pociągane... I tak ceniąc takie rzeczy i natury takiej sprzedaży, mówi się upada sztuka! upada sztuka religijna! materializm!! etc. etc." (II, 269—270). Pisze to Norwid w roku 1872.

Nadzieje na powodzenie i zamiast nich następujące upadki zarobkowe Norwida jako plastyka dobrze się dają prześledzić na jego staraniach o własną pracownię. Listy mówią nieraz, w jakich kolejno pracowniach przychodziło mu tworzyć i o jakich bezskutecznie marzył. Dla plastyka zabiegi takie nie były sprawą drugorzędną. Wszak własny warsztat pracy to dla niego kwestia podstawowa, a nie zastąpi go w biedzie, jak zastępywał niejednemu poecie, blat kawiarnianego stołu. Przebieg więc tych starań w listach Norwida to coś jak wykres jego powodzenia i niepowodzenia czysto pieniężnego.

Przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych, gdy z pieniędzmi bardzo krucho: „myślę, marzę — żeby atelier sobie choćby mierne urobić — kilka kwiatów pięknych mieć w oknie" (I, 130). Wskazówką poprawy finansowej za oceanem jest podany Marii Trębickiej opis „izdebki" poety, „której wnętrze sam sobie wymalowałem i opisałem *bareliefem en grisaille* przedstawiającym różne sceny ze starożytnej i nowożytnej historii — dodałem także medaliony mężów wielkich, ale podług znajomych i przyjaciół. August Cieszkowski jak Sokrates, kto inny jak Plato, kto inny jak Aleksander, kto inny jak Safo" (I, 156). Jakiż zarazem niespodziewany nawrót i wyzyskanie medalionowego kultu wielkich ludzi!

Po powrocie do Paryża opisuje w roku 1856 tej samej korespondentce „moje małe atelier... w pałacyku letnim hr. Choiseul" (I, 215). Nie jest jednakże z niego zadowolony: „na lepsze atelier zapracować trzeba, bo liche mam na teraz" (I, 226). To marzenie o lepszej pracowni nie jest tylko jakąś troską reprezentacyjną. Jest to przede wszystkim kwestia zarobkowa: „żebym piękne atelier mógł mieć i spokojnie coś większego dokonać, toby mi pomogło — coś

historycznego na wymiary szersze" (I, 290). Kto wie, czy marzenie to nie kiełkowało pod wpływem pierwszych wielkich płócien Matejki, widzianych równocześnie przez Norwida.

Na ten pracowniany temat ukuł on nawet zabawny, choć poetycko nieporadny, czterowiersz francuski:

*Ci-gît l'artiste religieux*
*Qui s'était bien crotté*
*A la recherche de l'atelier*
*Dans un lieu-athée...*

Artysta religijny i ateistyczne środowisko — wszak to on i Paryż.

Około roku 1865 pracownię ma zdaje się upragnioną, albowiem w tych latach skargi cichną, a gdzieś mimochodem wspomina, że nocą otwiera „okno wielkie jak ściana cała, (by) widzieć pół firmamentu pełnego gwiazd" (I, 509). Później wzmianki milkną, mieszkańcowi zakładu św. Kazimierza nie marzyło było o własnej pracowni, ale jest coś wzruszającego, że w jednym z ostatnich znanych listów poety — z marca 1883 roku — powraca dawne, teraz o ileż skromniejsze, marzenie: „ażeby wyjść z błota i mieć coś maleńko do atelier podobnego, bez czego traci się niezmiernie" (II, 467).

## III

Pośród znacznie większych rozpiętości waha się wykres inny, odzwierciedlający, czego się Norwid podejmował, by utrzymać zamierzoną linię życia. Nie wszystko zapewne z tych przerozmaitych prac i zajęć jego jest nam wiadome zobaczymy zresztą, że nie do wszystkiego sam się przyznawał. Konieczność życiowa popychała go do zajęć, jakich się wstydził. Nie była to zapewne prosta praca fizyczna, albowiem tej Norwid nie skrywał przed drugimi, ale jakieś prace bardziej kłopotliwe, wciągające jego sumienie artystyczne. Dlatego to z zajęć podejmowanych celem utrzymania swojej samodzielności przypomnimy jedynie te, które wiążą się z różnorakimi jego talentami jako „sztukmistrza".

Już jeden z najstarszych jego listów, pochodzący z roku 1841 (do Augusta Wilkońskiego), dowodzi, że niezależnie od zamawianych przez Wilkońskiego rysunków i karykatur, Norwid w sposób czysto praktyczny wyzyskuje swój talent: wykonuje „wzorek na pieczątkę,... bocian z gałązką w dziobie, bo doprawdy nie wiem, co by innego zrobić" (I, 2). Bywało tak więc już przed wyjazdem za granicę, a w latach późniejszych Norwid stara się jak może na drodze ubocznej praktyki wyzyskać swe talenty. Zabiegi o pozbycie własnych dzieł pomijamy, ponieważ tych dokonuje każdy artysta. Pomijamy, aczkolwiek niejednym zaparciem się siebie musiała je opłacać drażliwa natura Norwida.

Kiedy napisze „Promethidiona" z jego pochwałą praktyczności sztuki, donosi, że — „wskutek Promethidiona mam polecenie dać plany na chałupy i karczmy i domy dla leśników do Krakowskiego... życzą sobie, ażebym ze

zwykłej chałupy polskiej i karczmy żydowskiej wyprowadził coś idealnego" (I, 92. Por. nadto I, 94). Zamówienie przeznaczone było dla dóbr tenczyńskich Adama hr. Potockiego. Żadna budowla w tych dobrach nie świadczy, by wyszło poza stadium zamysłu lub gotowego projektu. Wchodził zatem Norwid w praktyczne obowiązki architekta. Kiedyindziej wchodził w takież obowiązki... złotnika. „Robię kompozycję dla Froment Meurice, pierwszego na świecie dziś rzeźbiarza-złotnika, aby tym sposobem i ze strony rzeźby rzecz moją w Europejską sztukę przeprowadzić" (I, 94). Wspomnienie tak przez siebie czczonego Benvenuta Cellini kazało zapewne Norwidowi w ten górny sposób ocenić ową współpracę.

Znalazłszy się w Stanach Zjednoczonych, żadnej roboty się nie powstydził. Malował „dla kapitana okrętu Czarny Rycerz *(black-warrior)* część do kajuty okrętu, który chodzi z New-Yorku do Hawanny", modelował płaskorzeźby dla jakiegoś rzeźbiarza, przez którego został oszukany, zdobił za ładne pieniądze Almanach Ekspozycji Uniwersalnej (I, 176). Po powrocie do Paryża najbardziej nieoczekiwana z robót: „modeluję z wosku dla dentysty szczękę odartą" (I, 177). Z księciem Napoleonem miał do Szwecji odpłynąć jako rysownik, na pewno nie rysownik-artysta, lecz zastępca ząbkującej dopiero sztuki fotograficznej. Wśród projektów poprawienia swojej doli, przesyłanych Kleczkowskiemu, jest i ten, by pozostać rysownikiem w jakimś bogatym angielskim lub francuskim dzienniku (I, 350). Był autorem projektów na zbiorowe grobowce i wspominając o tym przepowiedział swoje miejsce pośmiertne: „na 3-ch cmentarzach wokoło Paryża są groby robione według rysunków moich" (II, 47) — „przyjdzie tu liczyć na grób w grobach zbiorowych, które na cmentarzu postawiłem — bo postawiłem grobów kilka polskich!" (I, 361). Rad był, kiedy nawet za darmo mógł dla zakonnic polskich w Juvisy wykonać „wielkie ołtarzowe płótno" (II, 81). (Miało przedstawiać wizję św. Stanisława Kostki i mieć 6 metrów długości — zachowały się tylko szkice, które widział czy też posiada Krakowski, por. op. cit. 195).

Kiedy bieda go przycisnęła, rozsyłał przyjaciołom, celem rozpowszechnienia, przytoczony już program umiejętności artystycznych, w których gotów był udzielać lekcji. Kleczkowskiego o poparcie prosił, czy nie dałoby się za jego wstawiennictwem uzyskać posadę urzędnika bibliotecznego czy muzealnego, bo przecież istnieje „une grande quantité d'employés secondaires qui d'un côté ont affaire à des choses d'art, de l'autre ne sont quelquefois occupés que 5 heures par jour, ce qui donnerait la possibilité de continuer à pratiquer l'art" (II, 136). Nawet z przytułku jeszcze się chwytał podobnych robót: jakiemuś „gryfowi B" — z r o b i ł e m p r a w i e kompozycję na plafon do jego salonu — gdybym mógł, wyjechałbym dziś i zaczął w Nice tę dużą pracę" (II, 420). Zapowiadał w styczniu 1883 roku, że lekcji akwareli chciałby udzielać w domach angielskich, „albowiem ten rodzaj jest poszukiwany przez turystów i amatorów" (II, 464). Tłumaczył wreszcie z angielskiego na... francuski język — kiedy i kogo, nie podaje.

Podejmował się ponadto Norwid jakichś prac, których sam dokładnie okre-

ślić nie chce — tyle, że były wyczerpujące. „Już tydzień temu jak podjąłem się pracy bardzo niewytwornie płatnej, a która — lubo mię widuje od szóstej rano do szóstej wieczór zatrudnionym — daje możność istnienia w tym drogim mieście i zarazem niemożność przedsięwzięcia czegokolwiekbądź innego przynajmniej pod tę porę i zapadłą umowę". (II, 215 — rok 1870). — „Mam indziej pracę na półtora tysiąca franków, ale tę dokonywam w warunkach takich, że co parę tygodni absolutnie bez grosza bywam". (II, 399 — rok 1878).

Do takich rozmaitych zajęć sam się przyznawał, a ileż pomijał na pewno milczeniem, bo były zbyt żenujące. Przegląd tych zajęć wskazuje, że nie ma przesady w powiedzeniu, że Norwid żadnej dosłownie pracy się nie powstydził, byle upraktycznić swoje talenta i własnym wysiłkiem utrzymać się na wytkniętej linii życiowej. Od modelowania szczęk do tłumaczenia z jednego obcego języka na drugi, to doprawdy skala niespotykana u artystów utrzymujących się z pracy własnych rąk, kiedy wydajność praktyczna samego talentu przestaje im wystarczać jako podstawa życiowa. Norwid nie był naturalnie zadowolony, że tak rozmienia na drobne swoje umiejętności. Widział w tym przykrą konieczność, która, zamiast wybawić go od trosk codziennych i dać miejsce na swobodną twórczość, wpycha go na samo dno troski. Uważał wprawdzie, że „jest pewna proporcja utylitarności, która jest warunkiem piękna" (II, 173), ale tutaj z piękna pozostawała sama jedynie utylitarność. Tłumaczył się przeto przed Cieszkowskim „jeżeli musiałem wejść na (bolesną, bo nie wystarczającą położeniem) drogę przemysłu, to Bóg widzi, że nie moja wina" (II, 130).

Ten dopiero najdalszy i wstydliwy zasięg życiowej wędrówki sztukmistrza pozwala ostatecznie odpowiedzieć, czym to pojęcie i praktyka były w jego życiu. Norwid widział w sobie sztukmistrza, albowiem w ten sposób wcielał pożądany przez siebie ideał pełni i sprawności artyzmu, ideał będący odpowiednikiem życiowym tak jego specjalnego obrazowania poetyckiego, jak przede wszystkim głównych założeń jego estetyki. To był szlak najwyższy. W rejonach niższych praktyka sztukmistrza schodzi w jego ciężką dolę życiową, jest jednym z najbardziej przejmujących świadectw tej doli. Przejmującym, ponieważ najbliższym temu, co uważał w sobie za najcenniejsze — bogactwo i powszechność uprawianych talentów artystycznych. „Wędrowny sztukmistrz", nie z poematu, lecz z życia Norwida, prowadził go zaiste po drogach „zarosłych w piołun, mech i szalej..."

Norwid jako pisarz nigdy nie poszedł na kompromisy z własnym sumieniem literackim. Poprzez niezrozumienie i zapomnienie trwał do swoich ostatnich dni wierny przekonaniu, że przyszłość oceni jego sztukę poetycką. Norwid jako sztukmistrz na kompromisy takie musiał chodzić. Jakie konkretnie, trudno określić na podstawie samych listów, ale ton usprawiedliwienia, którym pisze do Cieszkowskiego, ton wielu innych, ogólnikowych skarg świadczy, że był świadomy, jak bardzo, powodowany pragnieniem całkowitej samodzielności,

popada jednak w sprzeczność ze swoimi zasadami. Ta rozbieżność, ledwie widoczna w listach jego, przesłania jednak w końcu obrazy nadziei i rzadkich radości Norwida jako sztukmistrza i posępnym rysem przewija się przez jego życie, aż wreszcie w ostatecznym załamaniu się planu życiowego Norwida rozewrze się w sposób już zupełnie tragiczny. I zapowiedź spoczynku w grobie zbiorowym, w chwili zniechęcenia losowi rzucona, brzmi jak wyzwanie potwierdzone przez tragiczną ironię losu.

***OTWARCIE WYSTAWY NORWIDOWSKIEJ W WARSZAWSKIM MUZEUM NARODOWYM ZOSTAŁO ODŁOŻONE NA MIESIĄC GRUDZIEŃ B. R.***

## SPOTKANIE Z PADEREWSKIM

Od kilku dni matka moja gościła swą przyjaciółkę, znaną pianistkę rosyjską, panią Annę Esipow, zamężną ze sławnym muzykiem wiedeńskim, Leszetyckim. Pani owa poprosiła moją matkę o pozwolenie przedstawienia jej swego znajomego młodego pianisty, z zachwytem wyrażając się o jego młodzieńczym talencie, inteligencji i wdzięku. Tak więc przyszedł on do nas pewnego kwietniowego dnia około czwartej godziny. Gdy wchodził poważnie po kilku schodach prowadzących do niebieskiego, obitego pluszem salonu, słońce wdarło się przez okno i musnęło je swymi promieniami. Siostra moja i ja, uprzednio już powiadomione o tej sensacyjnej wizycie, czekałyśmy na niego ukryte wraz z guwernantką za grubą portierą, zawieszoną w przejściu z pierwszej terasy schodowej ku dalszej części pałacu. Zjawisko to było przelotne, lecz głębokie na nas wywarło wrażenie. Paderewski przychodził odtąd często, a potem i codziennie. Wreszcie razu pewnego pan Dessus wziął za ręce moją siostrę i mnie i poprowadził nas do cudownego gościa.

Zobaczyłam jak gdyby archanioła z włosami ognistymi, o oczach barwy niebieskiej, czystych i surowych, badawczych i wyzywających, — uduchowionych. Szyja krzepka i ogorzała była szeroko odsłonięta przez wykładany kołnierzyk, pod którym znaczyły się matowo białe motylki fularowego krawatu, niby blade kwiecie drzew owocowych.

Smukłość wysokiej postaci podkreślał ubiór: czarna „jaskółka" z materiału tak skromnego, iż w żywej pozostawał sprzeczności z niezmierną dumą malującą się na twarzy, przegrodzonej rumianymi wąsikami, których żywy odcień udzielał się również kapryśnej brodzie. Można by było uwierzyć we wrodzoną melancholię młodego artysty, gdyby nie to, iż często ni stąd ni zowąd zachwycające rysy twarzy wygładzały się i rozkwitały uśmiechem; szczególnie podczas opowiadania anegdot to błyskotliwych i przepełnionych erudycją, to znów zgryźliwych i szyderczych. Towarzyszył im perlisty śmiech młodzieńczy i wesołość — aż dech zapierało.

Uścisk ręki Ignacego Paderewskiego był tak gwałtowny, tak ognisty, bogata dusza udzielała się w nim z siłą tak szczerą i namiętną, że nie podobna było znieść bez okrzyku bólu tego przyjacielskiego i długiego umartwienia. Dziecięca moja dłoń, wyrobiona palcówkami, z których wypływają źródła wszelkiej muzyki i dzięki którym potrafiłam odtwarzać owe burzliwe oktawy w rapsodiach Liszta, — była na tyle wytrzymała, że podnosiłam na winowajcę wzrok bez urazy, a zaraz potem — pełen olśnienia. Jakże zachwycało mnie to zachowanie się włóczęgi ze szlachetnej i dumnej rasy, z tej Polski królów, gdzie wszystko, co jest oznaczone stygmatem nieprzeciętności, przywłaszcza sobie dobrodusznie i z prostotą prawo do najwyższej dumy. Zdawało mi się, że młody cudzoziemiec przeczuł naszą tkliwość i przybył ku nam drogami Podola i Litwy, w ciepłym piasku lub po drętwej grudzie zimy zużywszy swoje ciżmy podobne tym, które kształtują stopę greckiego pasterza (tak, jak ją wyobraża Akademia Sztuk Pięknych). Zjawił się u nas, niby czarodziej w świetlistej peruce (jak mawiał Ronsard) i o oczach na kształt gwiazd; kochałyśmy go bardzo.

Od tego czasu życie w pałacu przy alei Hoche pozbyło się dawnej monotonii; wstrząśnięte do głębi przeżyłyśmy wraz z odczuciem wieczności (jest ono udziałem dobrobytu) radość, której użyczyły gościny marzenia, radość, kosztowaną na szczytach owych marzeń; było tak, jak gdyby wysokość, dobrowolnie opadłszy w dół, pozwoliła, by szczęśliwe miasto rzuciło na szczyty swe fundamenty.

Nie ma w domu nikogo, kto by nie był wdzięczny za obecność tego młodego człowieka, rażliwego i szalonego. Rozrzutna ruchliwość ducha, który go ożywiał, wzbogacała swymi obrami wszystko, co zostało wyróżnione jego spojrzeniem. Przekraczając próg domu, podrawiał on uśmiechem oczu i dystyngowanym ukłonem pana i panią Philibert, którzy byli nu za to bardzo wdzięczni, i wchodził do obszernego turkusowego salonu, ukwieconego oszami białych azalii, przysłanych przez niego mojej matce.

Kiedy, kończąc naszą dzienną naukę, usłyszałyśmy płynące do naszego na uboczu położonego pokoju niewyraźne dźwięki fortepianu, co potężniały i wznosiły się końcowym uraganem wspaniałego utworu Liszta lub mozartowską pieśnią Don Juana, porwaną we ściekły i zdobywczy taniec i w nim stratowaną i ukamieniowaną — śpieszyłyśmy natychniast do mistrza. Nasza nauczycielka Francuzka, brat mój i jego wychowawca, wreszcie ary Bawarczyk, zarządca pałacu, wynajdujący wszelkie możliwe preteksty, aby się tylko ślizgnąć do salonu muzycznego — wszyscy byliśmy pod władzą tego złotego promienia, który wniknął mistycznie duch klasztoru, a także symboliczna lilia z obrazów przedstaiających Zwiastowanie.

W pobliżu Ignacego Paderewskiego byliśmy wszyscy podobni do owych spacerowiczów, którzy doznają zachwytu, gdy wyszedłszy nagle z cienia na światło słoneczne uczują lekki palący ucisk ciepła zawieszonego w powietrzu. O, rozkoszy światła, które przenika do dzenia kości i olśniewa nagle swą obecnością! Któż nie wspomni tych chwil, kiedy człowiek, akby nagle wyzbyty całego ciężaru, wstrzymuje się w ciepłej przestrzeni przed liryczną asnością muru, uderzonego piorunem słońca o zachodzie. Czyż nie widać wówczas, jak nuśne jaszczurki podejmują naraz ruchy podpatrzone u strumyczka wijącego się wśród pól, odczas gdy trawy, bruk drogi i krzaki kolczaste otrzymują migotliwie skrzące się błogotawieństwo, a zielony chrząszczyk błyska na dnie kielichów różanych.

Przez harmonię powabów łączył w sobie Paderewski te dary ożywiające, które, gdyby je rzenieść w dziedzinę uprawy ziemi, pozwoliłyby roślinom rozwijać się najpomyślniej — ten uprzywilejowany klimat służyłby równie dobrze winnej latorośli i pszenicy jak wzrostowi ozdobnej kamelii czy delikatnej mimozy; lato bez duszących upałów, dobroć agodnej zimy — wzmacniałyby je z roku na rok. Równocześnie narwany i rozsądny, nieszek i uroczysty, stawał się też nieraz młody Polak okazały (podobny w tym swojej Ojczyźnie, którą przedstawia się ubraną w ciężkie i drogocenne futro): gdy w szamerowanej urtce, odrzuconej na barki, zdawał się ujarzmiać jakiegoś znarowionego ogiera w rytmie zysto wybijanego krakowiaka, albo gdy czuły i braterski aż do uniżonej pokory stawał się ym sposobem podobny do owych Wacławów i Jadwig, którzy — choć na królewskim tronie — dawali świadectwo bezmiernych zasług świętości.

Dusza religijna kazała Paderewskiemu przystępować do fortepianu jak kapłanowi łączącemu się z ołtarzem. Z początku wspierał w milczeniu muskularne ręce na kolanach. Skromny skupiony oczekiwał. Twarz, oczy wzniesione w górę zdawały się wyczekiwać jakiegoś ozkazu tajemnego, jakiejś pomocy i kierownika. Po tym wzruszającym wstępie, jak gdyby owziął jakieś nagłe postanowienie, atakował klawiaturę z nieposkromioną siłą: wydawało ię, że uległy rozkazowi jakiegoś groźnego anioła chce powalić i zmiażdżyć Chimerę. Pokramiając lub podcinając rącze konie przechodził kolejno z furii do spokoju i pogodnej łodyczy. Muzyka śpiewała pod jego palcami jakiś hymn prawie że boski, rozsiewając z zaumaną obfitością łzy Nioby i krew niewidomych herosów. Ona użyczała tęsknocie, wynaniu, wzniosłym pragnieniom i wszystkiemu, co błąka się i żebrze, dachu wspaniałego litościwego. Gdy się przyglądało temu natchnionemu czołu, można było uwierzyć, że da się jrzeć pomost łączący je z obłokami.

Całe dwa lata żyła moja matka w melancholii żałoby, która stała się zwolna konwencjonalna i ciemiężyła nas swoim cieniem. Słuchając melodyj drogich dla niej, a uduchowionych eszcze przez tę wspaniałą żałobę, wyrwała się z ociężałości serca i powróciła w dziedzinę zczęśliwej wolności jaźni. Zauważyłyśmy, że wokół niej i w niej samej odżyła radosna ustota młodości. Na powrót zaczęły gromadzić się w jej pokoju liczne jasne i osobliwie olorowe suknie i perfumy przeznaczone na wyparowanie (wśród nich perfumy fiołkowe Persji, wywołujące u mnie początki migreny z halucynacjami, w których zwiewnie rysowały ię upajające ogrody); sprowadził się też do nas znowu sławny fryzjer, pan Doudel, który lo swych dyskursów mieszał słowo „uwłosienie" równie często, jak mężowie stanu wymaviają słowo „rząd". Tak więc matka, strojna i wyperfumowana, zjawiała się teraz pełna adowolenia i uśmiechów, jakby spowita w niewidoczne girlandy kwiatów, a w jej jasnym pójrzeniu przebijał się wesoły wyraz panienki.

Pan Dessus, którego serce można było muzyką pozyskać, interesował się po ojcowsku młodym geniuszem, jakim już wówczas był Paderewski. Na jego troskliwość o młodego mistrza składały się różne odcienie sentymentu, aż do oburzenia, jakie wzbudzał w nim zawsze rozbiór Polski. Zresztą niesprawiedliwość tego czynu także i my odczuwałyśmy głęboko. Pan Dessus był starym wielbicielem matki, toteż po śmierci ojca przyjął na siebie rolę trwożliwego opiekuna (przedstawia takiego Beaumarchais...) — i czuwał, aby żadna piękność męska nie zbliżyła się zbytnio do naszego domu. Byłyśmy świadkami licznych ostracyzmów. Każdego mężczyznę młodego czy znakomitego, którego matka moja chętnie przyjmowała, traktował z waszecia, ostro, jako niepożądanego zalotnika. Słyszałyśmy jak czeptał pani Philibert poufne zlecenia, aby tę lub ową znaczniejszą osobistość, której wizyty wydały mu się zbyt częste, odsunąć od domu.

Tym razem jednak oczarowany geniuszem Paderewskiego przyzwolił na platoniczne zespolenie się dusz muzykalnych.

Dzięki muzyce mistrza Paderewskiego pan Dessus zmieniał się widocznie: co wieczór rozsiadłszy się w głębokim i miękkim fotelu — marzył. Czuł, jak opada w jego sercu zrzędny gniew przeciw ludowi Izraela, reformom Lutra i Kalwina, karygodnym występkom masonów i dziełom Taine'a i Renána. Przy dźwiękach fortepianu, skąd często unosiły się w niebo melodyjne dymy kadzideł, przechadzał się po matecznikach Szuberta, uśmiechał się do swego ulubionego Mozarta, podążał za Szopenem w jego niepokojach i dumnych samowyrzeczeniach. Kiedy milkło drganie strun, pan Dessus, którego żwawość — mimo wieku podeszły — przenosiła na nowo w czasy młodości, zaczynał gorączkową rozmowę z Paderewskim o poecie Adamie Mickiewiczu, którego z lat młodych pamiętał jako postać bohaterską i rycerską, znał też i bardzo poważał jego rodzinę. Pan Dessus do tego stopnia związał swe uczucia z wszystkimi katuszami Polski i z ustawicznym a daremnym spiskowaniem organizowanym w tajemnicy, że przeżywał to tak, jakby o jego własny naród chodziło. Zaprzyjaźniony z najbliższymi krewnymi Mickiewicza, stworzył w Paryżu jedną z tych przystani skrzywdzonego narodu, gdzie podczas obchodów w ścisłym gronie rodzinnym wspomina się chwałę, ofiary i klęski utraconej ojczyzny.

Mimo, że w naszym pałacu podawano obiad późno, to jednak i my byłyśmy do stołu dopuszczane. Kawior, ostrygi i przystawki zaprawione korzeniami poprzedzały długi posiłek w czasie którego wysuszano liczne butelki bladoróżowego szampana. Nadawał on nakryciu i obiadowi blask ogni bengalskich i znaczenie uczty. — Paderewski — pielgrzym, asceta i poszczący, o ile tylko mógł tym wyrzeczeniem oddać swemu rodzinnemu miastu najmniejszą bodaj usługę — stawał się nagle w owej godzinie posiłku młodym władcą północnym, takim, jakim go sobie wyobrażamy: wyłaniającym się z pomroki wieków mocarzem rozmownym biesiadnikiem, nie troszczącym się o jutro książęciem, które przejmuje władzę nad swym krajem przed stosem dziczyzny dostarczonej mu przez cieniste lasy, nagnane zgiełkiem trąb — trzymając w jednej przygarści wspaniały puchar.

Byłam dzieckiem o sercu zawiędłym, dzieckiem, które obijało się o ciasne ściany istnienia i oto sprowadzono mnie na ziemię wśród śpiewu niebiańskiego, bym na niej zamieszkała. poczułam się szczęśliwą. Ignacemu Paderewskiemu zawdzięczam nie tylko uzdrowienie życia zranionego przez żałobę po ojcu i nie tylko zwolnienie z udręki marzycielstwa, lecz także powrót ufności w świat ducha, ograniczony wprawdzie przez sam byt, lecz nieskończony pod względem powabów przekonywujących i władczych. Ten czarodziej potężny i poważny posiadał szlachetny przymiot: nie gardził niczym. Wszystkiego ciekawy — otwarty i uważny życzliwy, działający uparcie a w prostocie ducha — należał do ziemi i czuł, że ona mu matką. Nigdy nie zwrócił się do niej z bluźnierstwem boskim, które zerwało się z warg świętych „Nie jestem z tego świata". Oto zasada: przyjąć za niezbędne, aby znikome, mało znaczące i nieprzychylne życie miało wyznawców, którzy by weń wierzyli.

Właśnie przez swój szacunek dla świata, do którego nie przywykłam, uratował mnie Paderewski. Nawet dziecko, kiedy zbyt szybko nakarmi się zdarzeniami i smutną rozwropnością i kiedy przeczuje i stwierdzi obojętność przeznaczenia, może wybrać pochyłą drogę ku śmierci, która wyda mu się bardziej prawidłową i szlachetniejszą. Od chwili, gdy umysł po raz pierwszy zadziwi się losem ludzkim, gdy wzrok zaniepokojony przez zwidy nocne obaczy osobliwość daru inteligencji i poczuje się zwyciężonym przez wyzywającą zagadkę wiecznego spokoju — od tej chwili człowiek staje się ogołoconym z dóbr i wątłym synem przypadkowej cywilizacji, w której prawa, zwyczaje i konwenanse nie znaczą więcej od śpiewu ptaka lub kicania zająca po miedzy. Głos tajemniczy i wszechobecny mówi do dziecka, które myśli: „Zdobądź się na wysiłek, gdyż tego żąda ślepa moc twej młodej krwi i ten jedyny cel radości, ku któremu nieświadomie porywasz się i dążysz, ale ty nie spełnisz

lachetnych porywów serca i szczerych zapałów. Ponieważ żyjesz — starasz się na wszelki osób dopiąć swego, liczysz na to, że siły przyjazne tchnące z nieba i zrodzone z ziemi odadzą odwagi do nieustraszonego wzlotu. Wierzysz, żeś niezbędny dla nieszczęśliwej wzgardy godnej planety; jeśliś nagle zachorował — walczysz wszelkimi siłami duszy i ciała, by się ostać przy życiu — ponieważ rodząc się z zarozumiałym przeczuciem odegrania ybitnej roli i zajęcia stanowiska wyjątkowego, boisz się, byś śmiercią nie zadał kłamu j nadziei. Skądże przychodzi ci, biedny, mały człowieku, ta ufna pewność tajnej opieki? Vokół ciebie żadnej pewności, żadnej rękojmi. Patrz, jak przemija wszystko, co ma znaenie, co cię olśniewa. Atleta dostaje gorączki, z początku walczy i buntuje się, ale wreszcie lega i gaśnie. Silny staje się chorym, chory kona, a śmierć jest śmiercią. A jakążeś to yobraził sobie wieczność, że uważałeś za warte powzięcie tak drobiazgowych starań swój wygląd i zabiegów o swoją sławę? Kiedy wyszedłeś z odwiecznych kniej przodków, dzie co najmniej podświadomie słuchałeś gwałtownej natury, ochroniony na przyszłe dnie rzed surowością żywiołów, uzbrojony do walki z rywalami przez pomysłowość i rozum radziadów — otóż, wyszedłszy stamtąd uczułeś, że twoja intuicja i twój pierwotny instynkt arleją, a za to rozwija się w tobie delikatność i pragnienie rzeczy boskich. Wierzysz nieomnie, że to pomniejszenie natury zwierzęcej stanowi całą twoją powagę. A przecież ochasz, odczuwasz pragnienia, usiłujesz utwierdzić się mocno: tak więc będziesz strazliwy i zabójczy w ambicji i w miłości. Wywołujesz wojnę człowieka z człowiekiem, rsięcy ludzi z tysiącami. Lgniesz do tego, co cię wywyższa, nienawidzisz tego, co cię omniejsza i w cień usuwa, nudzisz się tam, gdzie twoja osoba nie jest ośrodkiem zainteresowania i względów. Jakkolwiekby potężne było twe marzenie, jakkolwiek pełny będzie wój sukces, nie dowiedziesz cenności twej osoby inaczej ani gdzie indziej, jak tylko wśród ędnego ludu śmiertelnych. Prochu żyjący i niespokojny! przeznaczenie twoje — stać się ezwładnym popiołem. Trzeba, abyś się wyrzekł wszystkiego, co drażni twój umysł: rozwiązanych zagadek świata i towarzystwa konstelacyj. A iżbyś się pocieszył i wzmocnił przez ęstwo i rezygnację — możesz słuchać skarg Hioba żałośnie wyrzekającego na wszystko o żyje, albo podzielać pogardę Diogenesa, owego „psa niebieskiego", uwielbionego przez reków i uczczonego tysiącami epigramów wotywnych. — Sama jednak radość jest wrozona i zbawienna. Dwie natury boskie mówią ci o niej i udzielają jej: namiętność i muyka. W chwilach, gdy jesteś pod władzą jednej lub drugiej — możesz zaznać szczęścia; ożesz wówczas przekroczyć granicę zmysłów i ducha, wejść w kraj bez granic i odwrócić ę od tego rozpaczliwego zdania Pascala: „Pyrrhus nie mógł być szczęśliwy ani przed, ni po podbiciu świata..."

Takie to były rozważania, których nie mogłam wprawdzie, dzieckiem będąc, sprecyzować ownie, ale których szept tajemny ścigał mnie jak głos króla Olch w balladzie Goethego, ażący małemu chłopcu drżeć z przerażenia i umierać w objęciach ojcowskich podczas nonej eskapady konnej. Ale właśnie przestały mnie one nawiedzać. Dzięki czarom kojącej uzyki, pod promieniejącym wpływem artysty, zwróciłam ziemi moję ku niej przywiązanie. także i miejscowość Amfion, w której przebywaliśmy, pozwoliła mi na nowo poznać we uroki. Nie zamieszkiwaliśmy już wówczas uroczego domku szwajcarskiego o dachu ochyłym, ozdobionym kwiatami jak kapelusz pasterski. Matka bowiem, wyrzekając się rspomnień szczęśliwych lat małżeństwa, przeniosła się wraz z nami do drugiej siedziby wanej „zameczkiem". Umieszczony w ogrodzie nad romantycznym stawem, służył on iegdyś za schronienie licznym naszym gościom i użyczał swych obszernych sal na przyjęcia, ługo przez nas wspominane. Ten dziwaczny budynek koloru białego i różowego był spority u podstaw w kaliny i ligustry, cieniste krzewy o mlecznym kwieciu; po drewnianych ratach przy murze pięły się w górę aż do balkonów nasturcje; złote słońce południa zlewało potokami braterskiego światła ich ruchome kielichy o gardełkach jasnożółtych, łożone na płaskich talerzykach żywozielonych liści. Zameczek zawdzięczał swą pretensjonalną nazwę wieżyczce skromnej ale z blankami; wieżyczka ta poruszała wyobraźnię jak omantyczna fanfara. Jezioro w tej części ogrodu podchodziło blisko budowli: ponad ogarbionym drzewem zwanym *katalpa* widziałem jak wzdyma się i drży nieznacznie en świeży obszar płynnego lazuru; w cichym zapatrzeniu piłam jego woń wilgotną, prostą łaskawą.

W samotnym pokoiku na wieżyczce Paderewski, odosobniony i zamknięty, wprawiał się rzez długie godziny w grze gam, twardo wybijanych w tercjach, sekstach i oktawach. Tymzasem w olbrzymiej, oszklonej komnacie, zwanej holem, gromadzili się inni nasi goście. Luiłam ten hol bez określonego stylu, zbudowany na życzenie ojca właśnie tak niedbale, jak

stawia się namiot; był on tak obszerny, że nawet palmy w drewnianych skrzyniach, bilard, dwa fortepiany, lampy podtrzymywane przez czerwone ibisy i liczne meble wiejskie nie pomniejszały bynajmniej jego pojemności. Olbrzymie okna o szerokich, często otwartych skrzydłach nie oddzielały nas wcale od przyrody. W godzinach, gdy świat gorzał pod świetlistymi promieniami słońca, pszczoły i szerszenie przylatywały do holu, aby odnaleźć kwiaty zebrane rano przez ogrodników — i bzykały zdumione wokół tych bukietów bez życia, chylących się smutnie ku ziemi; w okrutnej atmosferze naszych przyjemności traciły one liście i omdlewały.

Hol, sala ciekawa i wspaniała był tak mało zamknięty, że — o ile sobie przypominam — widziałam latające u sufitu i obijające się o ściany ważki; ich ciała suche i mocne sprawiały wrażenie drogocennej broszki z zielonych i błękitnych pręcików, z misternymi zawiaskami, — a przeźroczyste skrzydełka zdawały się być dziełem jakiegoś wrzeciona powietrznego. Po zachodzie słońca, kiedy czyste jak łza, nabożne niebiosa sabaudzkie tonęły w natchnionej modlitwie, zjawiały się nietoperze. Nie wzbudzały w nas lęku. Nie obawiałam się tych zwiastunów zmroku, oderwanych cząstek wieczoru, które śmigały po platynowym niebie z ostrożną łagodnością; ich miękki, pilśniowy taniec oddawał hołd ciszy — milczeniem. Nie poruszało to naszych zebrań, gdy jeden z nich wpadał do holu i nagłym znieruchomieniem i chęcią ukrycia się dawał poznać, iż zdaje sobie sprawę, że pobłądził. Jedynie nierozważne najście jaskółki martwiło nas; to zmieszanie i bezładne wirowanie sprowadzonego z drogi stworzenia wzbudzało niepokój i litość. Wysilano się, aby wypuścić ją z dobrowolnego więzienia, zwrócić czystemu bezmiarowi.

Od dzieciństwa nauczono nas szanować tę żywą strzałę, która przecina wesoło przestrzeń poruszeniem czarno-białego skrzydła, łowiąc złotą mgłę drobniutkich muszek, kreśląc łuki na niebie wśród krzyków żałosnych i melodyjnych: jaskółkę, duszę prasiego narodu. Szczególnie szarą godziną ogród Amphionu dawał widok zbliżony do krajobrazu japońskiego w dwu odcieniach blado-lśniącego srebra. W aromatycznie pachnącej ciszy słychać było lekki, modlitewny śpiew jeziora, który zdawał się zapytywać o nieśmiertelność, — i to nie tylko dorosłych, ale i dzieci, ciekawe choć milczące.

Paderewski, zażywając spokoju zamkniętego klawikordu, pewny do jutra biegłości palców, dla której poświęcił opływający blaskami dzień, dumał z oczyma skierowanymi ku poświacie księżycowej, której tchnienie podpowiadało mu melodię sonat; głosem uczonego, a więcej jeszcze poety, opierając się na licznych książkach filozoficznych a przede wszystkim na potędze swego serca, zaręczał istnienie Opatrzności. Nigdy niesyty harmonii odpychał myśl o nicości, tak jak gdyby przy rozpoczęciu koncertu odrzucał myśl o bezwładności stawów i głuchocie. — Pan Dessus inaczej: ten chrześcijanin nieświadomie szkodliwy, kontynuując w umyśle pracę popołudnia wypełnionego namiętnym wertowaniem różnych przewrotnych pismideł, wobec tej samej poświaty księżycowej — niebiańskiej ozdoby, odbijającej arabeskę platanów, bambusów i krzewów różanych, wywoływał boga jakiegoś tak jak i on gniewnego i zaczepnego — można by rzec: boga prenumerującego gazetę, w której nasz przyjaciel zamieszczał swe ziejące nienawiścią artykuły.

Matka moja, należąca do duchowej rasy dziedziców Platona, kierowanej smakiem oczywistości i logiki, chłonęła poetyckie manifesty wieczorne duszą, która łatwo niepokoi się i wzrusza — aż do płaczu. Szukała skrupulatnie drogi, która by doprowadziła ją do pewności. Gdy słuchała, co mówił, przekonana przez samo wzruszenie — skłaniała się ku metampsychozie. W ten sposób, nie odrzucając przyzwoitych rozkoszy wiary ani nie wyrzekając się powątpiewań, doszła przez misternie obmyśloną, okrężną drogę — do przekonania o nieskończoności. Te szlachetne istoty miały odwagę spraw wiecznych. Związani nieuchronnie własnym istnieniem, wolni byli jednak od ciężaru zgryzoty, od zmęczenia, których brak stanowi istotę naszych wyobrażeń o pośmiertnym wypoczynku. Pod wejrzeniem gwiazd, które badałam z płonącym zapałem i pragnieniem wdarcia się w ich dziedziny, wśród żywego kadzidła roślin, z dziecięcą powagą uczułam się przywiedzioną do chrztu poezji. Ale wciąż niezadowolona, bo przeczuwająca tajemnicę, dokąd wylewa się serce olbrzymie i ograniczone, zgadywałam, że pewnego dnia nie będę już stworzeniem samotnym. Wiedziałam, że na szczyty smutku i rzeczy trudnych do poznania pociągnę towarzyszy, dla których dzięki trwożliwie odbitemu wszechświatowi stanę się jedną z niezliczonych i nienazwanych zagadek.

tłum. *Witold Truszkowski*

# TRAGICZNY LOS KAZIMIERZA TETMAJERA

*(Wspomnienia osobiste wraz z kilkoma listami poety)*

Niebywale tragiczny los Kazimierza Tetmajera ujawnia się w całej swej grozie dopiero na podstawie mało komu znanych okoliczności jego zgonu oraz stwierdzonego przy sekcji zwłok przerażającego faktu.

Umarł biedny męczennik w początku 1940 roku w jednym z szpitali warszawskich i zostałby zapewne pochowany wspólnie z innymi nieboszczykami tego zakładu, gdyby nie przypadek. Wśród zatrudnionych w tym szpitalu młodych medyków był także syn redaktora *Dnia*, Lewestana, który, ujrzawszy na stole sekcyjnym obok jednego z ciał kartkę z napisem: „Kazimierz Przerwa Tetmajer", pobiegł do ojca, aby stwierdził, „czy to czasem nie ten sławny poeta"! Dopiero na skutek interwencji redaktora Olchowicza, ówczesnego prezesa Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy, wydano nam ciało i urządziliśmy pogrzeb. Od lekarza zaś, który dokonał sekcji zwłok, otrzymaliśmy wiadomość, że w mózgu poety był t u m o r wielkości k u r z e g o j a j a! Tak to kilkudziesięcioletnia martyrologia Tetmajera ujawniła nam się dopiero w całej swej grozie!

Dzięki długoletniej przyjaźni, jaka mnie z poetą łączyła, znane mi są dokładnie początki choroby jego, która miała mu tak okrutnie tragiczny zgotować los. Przyjechawszy mianowicie w 1909 r. z Wiednia, stałej mojej od lat siedzibie, jak często, znowu raz na niedzielę do Krakowa, dowiedziałem się od wspólnego przyjaciela naszego, Ferdynanda Hoesicka, że Tetmajer od pewnego czasu leży chory w Zakładzie Helclów. Udałem się bezzwłocznie do niego i usłyszałem z ust jego bolesne skargi na lekarzy, którzy nie mogą w żaden sposób stwierdzić, co mu dolega. Od pewnego czasu mianowicie nawiedzają go zaburzenia mózgowe, utrata pamięci, jakieś zabójcze myśli prześladowcze itp. „A oni (lekarze) molestują mnie ciągle" — biadał — czy nie chorowałem kiedyś na... lues? Przecież, do licha! — gdyby mi się to było przytrafiło, nie miałbym absolutnie powodu zatajać to wstydliwie"! Niestety, to fatalne „niepoznanie się" na jego chorobie oznaczać miało tragedię jego życia! Gdyby bowiem lekarze Zakładu Helclów byli wówczas stwierdzili tumor w jego stadium początkowym, mogliby dokonać trepanacji czaszki i uratować poetę. Po przytoczonej zaś tu „diagnozie pośmiertnej" nie trudno zrozumieć owe straszliwe postępy tego tumoru, których wstrząsanymi do głębi świadkami byliśmy w Warszawie przez dwadzieścia lat!

Gdy rzucam dziś okiem wstecz na rozwój mojej kilkudziesięcioletniej przyjaźni z Tetmajerem, widzę go najpierw u mnie w Wiedniu. Zwrócił się wtedy p. Kazimierz do mnie z prośbą, o przetłumaczenie na niemiecki kilku z jego wierszy, które miały być komponowane przez Władysława Żeleńskiego dla nakładcy w Niemczech. Odtąd pozostawał ze mną w korespondencji, a ilekroć w przejeździe za granicę zatrzymywał się w Wiedniu, był zawsze moim gościem. Z czasem przetłumaczyłem także kilka jego nowel z cyklu *Na skalnym Podhalu* i ogłosiłem je w wiedeńskim czasopiśmie literackim *Die Zeit*. Udały mi się, widocznie, te przekłady, bo Tetmajer był nimi zachwycony, a miały one także w wiedeńskim światku literackim wielkie powodzenie. Przekonał się o tym Tetmajer podczas jednego ze swych pobytów w Wiedniu, kiedy był ze mną razem na balu Towarzystwa literatów i dziennikarzy „Concordia". Schnitzler, Wassermann, Salten, Altenberg i inni wyrażali mu swój podziw, zaznaczając, iż te jego utwory nie mają sobie równych w literaturze światowej. W szczególności uznali nowelę *On* (o olbrzymim niedźwiedziu) za jedyne w swoim rodzaju arcydzieło. Nawiasem wspomnę, że nowelę tę znany literat wiedeński, Paweł Zifferer, w 1915 roku przetłumaczył z mego przekładu niemieckiego na francuski i ogłosił ją w wydawanym wówczas pod jego redakcją przez rząd austriacki czasopiśmie propagandowym w języku francuskim. Niemniejszym powodzeniem cieszył się *Zwyrtala mużyka*, a Tetmajer „oblewał" ze mną w „Bodedze" wiedeńskiej to moje tłumaczenie, w szczególności w uznaniu przekładu piosenki Zwyrtali:

*„Góral ja se, góral*
*Spopod samych Tater,*
*Obkąpał mnie deszczyk,*
*Wykołysał wiater".*

*(„Ein Gorale bin ich,*
*Bin der Tatra Kind,*
*Vom Regen gebadet,*
*Grossgewiegt vom Wind").*

Podobnego uznania doznał mój przekład wiersza *Mów do mnie jeszcze:*

*„Sprich zu mir immerfort, kein Mensch kann uns hören,*
*Gar seltsam deine Worte einwiegen und betören,*
*Wie mit Blumen kos' ich mit jedem deinen Wort,*
*Sprich zu mir immerfort, sprich immerfort".*

*Sprich zu mir immerfort, nach solchem Geplauder*
*Sehnt' ich mich jahrlang, in sonderbarem Schauder*
*Erhebt mein Herz bei jedem deinem Wort,*
*Sprich zu mir immerfort, sprich immerfort".*

Tak to z biegiem lat pod znakiem Muzy zacieśniał się nasz stosunek przyjaźni i miałem przeto sposobność poznać gruntownie istotę wielkiego poety.

Był Tetmajer w tych latach jako człowiek prawdziwie czarujący. „Dobry Europejczyk" w każdym calu, posiadał w dodatku jeszcze „swojską" przymieszkę wielkopańską. Ubrany zawsze jak spod igły, wytworny i szarmancki w obejściu, cieszył się szczególnie nadzwyczajnym powodzeniem u płci pięknej. W towarzystwie ceniony był bardzo jako wspaniały kozer. Subtelny smakosz pod względem duchowym, był nim także i w dziedzinie kulinarno-trunkowej. Rozkochany w teatrze, umiał, jak mało kto, delektować się grą artystów. Wspólnie ze mną spędzone wieczory w teatrach wiedeńskich były dla niego prawdziwą biesiadą. A czuł się wprost szczęśliwy, gdy po przedstawieniu miał w restauracji sposobność spędzenia kilku godzin z artystami i artystkami, którymi się przedtem zachwycał.

Jeśli chodzi o jego upodobania literackie, to obok Francuzów istniał dla niego tylko jeden poeta niemiecki: Heine. Kiedy pewnego razu w przejeździe do Paryża zatrzymał się u mnie w Wiedniu, zdziwiony byłem niemało, gdy pomagając mu przy rozpakowywaniu walizki ujrzałem w niej kilka tomów Heinego. „To jest mój nieodłączny towarzysz!" — objaśnił mnie p. Kazimierz.

Nie było w Tetmajerze ani szczypty „wyniosłej dumy sławnego człowieka". Odznaczał się, przeciwnie, prostotą i skromnością, właściwą prawdziwym geniuszom. Może „słabą stroną" jego było, że uważał się także za talent powieściopisarski, o czym jednak u niego, niestety, mowy nie było. Ta „pięta achillesowa" dużo przyczyniała się do zatruwania mu życia. Irytowało go niezmiernie, że go w tej dziedzinie „nie rozumiano". W licznych jego rozmowach ze mną na ten temat miałem pozycję bardzo trudną. Nie mogąc bowiem żadną miarą wyjawić nagiej prawdy, musiałem „lawirować", kładąc niepowodzenie na karb — fabuły i pocieszając go, że znajdzie na pewno jakiś szczególnie interesujący temat. Musiałem to raz wypowiedzieć w „złej godzinie". Bo oto, przyjechawszy kiedyś znowu do Wiednia, Tetmajer rozpromieniony wręczył mi maszynopis swej najnowszej, „prawdziwie sensacyjnej" powieści. Miałem z nią później istny krzyż Pański. Chodziło o *Króla Andrzeja.* — W owym czasie — rok 1908 — czasopismo niemieckie *Universum,* z którym utrzymywałem stosunki, ogłosiło konkurs na powieść. Tetmajer, który ciężko borykał się z życiem, zapalił się do tego konkursu i w licznych listach do mnie starał się namówić mnie do przekładu *Andrzeja.* Oto niektóre z nich:

„Kochany Panie! Przychodzę do przekonania, że mowy być nie może o tym, żebym ja przy moim obecnym stanie sił potrafił napisać powieść i to jeszcze na czas tak, aby ją Pan zdążył przetłumaczyć. Natomiast, czyby nie można tak zrobić? Mego *Króla Andrzeja,* który wcale nie jest taką złą powieścią i ma być podobno z moich powieści najlepszą, nikt w Niemczech nie zna, nikt nie wie nawet, że się drukuje. Otóż gdyby się przerobiło początek, całą rzecz przystosowało odpowiednio, nazwy geograficzne etc. odpowiednio zmieniło, jednym słowem zrobiło, co trzeba, czyby z tym nie próbować szczęścia? A Pan miałby czas przetłumaczyć. Proszę mi tylko odpisać, co Pan myśli, a w maju przyślę Panu trzy czwarte powieści opracowane, ostatnią zaś część bardzo wkrótce potem. To jest jedyny sposób, w jaki próbować można. Czwartej części, ostatniej, jeszcze nie zacząłem, — zajmie mi ona maj i czerwiec — zostaje nam więc dwa miesiące na napisanie nowej i przetłumaczenie... gdybym nawet był maszyną — nie podobna.

Czekam odpowiedzi Pańskiej i łączę serdeczne uściski i wyrazy szczerego szacunku

Kaz. Tetmajer".

Kraków 30. IV 08.
Zgoda 1

Innym znowu razem przysłał mi z Krakowa maszynopis powieści, którą w liście sam już nazwał po niemiecku *Princessin Therese*. Tłumaczenie również nie mogło dojść do skutku, nad czym bardzo bolałem, bo z duszy pragnąłem przyjść kochanemu poecie z pomocą, wiedząc, w jak ciężkich znajduje się warunkach materialnych. Było z nim w owym czasie tak źle, że za swej ponownej bytności w Wiedniu prosił mnie, bym przez moje stosunki urzędowe wystarał się dla niego o — posadę bibliotekarza. Tak się złożyło, że właśnie wtedy jeden z najdroższych moich przyjaciół, kolega po urzędzie i po piórze, Ludwik Janikowski, o którym sławny Karl Kraus w swym czasopiśmie *Die Fackel* nie wahał się napisać, „że ten genialny Polak nauczył jego, Krausa, dopiero pisać po niemiecku!" — tak ciężko zachorował, że stan jego był beznadziejny. A że piastował on przez szereg lat urząd dyrektora biblioteki w ministerstwie komunikacji, sam z łoża boleści napisał do swego ministra list z poleceniem Tetmajera jako swego następcy. O nim to właśnie wspomina Tetmajer w liście, z którego przytaczam tu pewną część:

„Jakże z Janikowskim? Dojdzie rzecz do skutku z biblioteką? Nie ma Pan pojęcia, jak tu przykro dla mnie! Gdyby nie matka moja, to bym wolał żyć w — Paragwaju, niż w Polsce. A — tamto, drogi Panie, wydaje mi się coraz mniej możliwe — zresztą tu od razu wszelką wiarę w siebie m u s z ę stracić!".

W innym znowuż liście z marca 1909 r. tak pisał m. in.:

„Muszę się przed Panem pochwalić, że mnie profesor uniwersytetu petersburskiego, Jacimirskij, w swojej literaturze (po rosyjsku) ochrzcił „poetą nad poetami" i „królem poetów" — lepiej niż u nas w kraju... A propos „humoru"? — zachwycał się ktoś przede mną humorem *Diabła* i *Zwyrtali* w *IV Podhalu*. A ja, pisząc te nowele, chory byłem i zjedzony po prostu smutkiem! Wykrzesić te 10 000 koron rocznie, to jest dla mnie, który nie jest bardzo czytany, a za to, jak obecnie, wskutek stosunku z księgarnią Himmelblaua bojkotowany przez cały ogół księgarzy polskich, trudno bardzo".

Ironia losu zrządziła, że właśnie w tym tak ciężkim dla niego okresie otrzymał on z okazji 60-letniego jubileuszu rządów Franciszka Józefa wysokie odznaczenie: order Franciszka Józefa z tytułem „Ritter" (rycerz). Według „przepisu" musiał zjawić się u cesarza na audiencji, by mu podziękować za odznaczenie. Korzystając ze sposobności, Tetmajer przedstawił monarsze prośbę o pozwolenie na — adoptację swego naturalnego z góralki syna i otrzymał je. Pamiętam, jak prosto z zamku cesarskiego przyszedł do kawiarni Puchera i rozpromieniony zakomunikował mi tę radosną nowinę. Nie przeczuwał wtedy, że ten synalek miał później najfatalniejszą w jego tak tragicznym żywocie odegrać rolę. Będzie o nim tu jeszcze mowa.

Kiedy w 1919 r. przeniosłem się z Wiednia na stałe do Warszawy, wspólny nasz długoletni przyjaciel, Ferdynand Hoesick, pragnąc mnie, „Wiedeńczykowi", dać pewną rekompensatę za naszą „polską kawiarnię" Puchera w grodzie naddunajskim, stworzył w cukierni Semadiniego na placu Teatralnym „Stammtisch", przy którym codziennie zasiadało do „czarnej" małe grono przyjacielskie, składające się z Rabskiego, Tetmajera, profesora Niewiadomskiego, Smarzewskiego i Konara. Tetmajer był wówczas wprawdzie już chory, ale jeszcze w pełni sił duchowych. Pewnego razu wszakże zląkłem się niemało, kiedy Tetmajer, wziąwszy mnie na stronę, prosił mnie, jako „starego druha", bym z nim poszedł do — cyrku! Skądże bowiem on — no i ja — do cyrku? Dopiero kiedy mi wyjawił, o co chodzi, ochłonąłem z lęku. Oto synalek jego, wówczas już 19-letni dryblas, zakochał się w jakiejś cyrkówce i spędzał z nią całe wieczory, oczywiście na koszt nieszczęśliwego ojca. Wiedząc, że sam nie zdoła latorośli swej nakłonić, by poszedł z nim do domu, prosił mnie o „asystę". Jakoż udało mi się namówić amanta cyrkówki, by poszedł razem z nami na kolację. Nie da się po prostu opisać, ile Tetmajer nacierpiał się przez tego adoptowanego dzięki Franciszkowi Józefowi synalka. Zwierzył mi się poeta raz, że ten gagatek go — bije, jeśli mu nie daje tyle pieniędzy, ile żąda, wykrada mu je, chodzi do księgarzy warszawskich o „pożyczkę" dla chorego ojca itp. Szczytem zaś tej jedynej może w swoim rodzaju tragedii ojcowskiej był przedwczesny zgon tego syna, który pozostawał, oczywiście, w związku z jego rozwiązłym życiem. Tetmajer zaś, którego choroba była wówczas już zniszczyła prawie zupełnie poczytalność, urządził niebywałą scenę, kiedy miano ciało syna włożyć do trumny. Rzucił się na nieboszczyka i żadną miarą nie chciał dopuścić do pogrzebu, twierdząc, że syn żyje... Dopiero interwencja policji umożliwiła wyniesienie zwłok.

Odwiedzając od czasu do czasu nieszczęśliwego poetę w jego pokoiku hotelowym przy Marszałkowskiej, natrafiłem raz na „jasne chwile", innym znowu razem na stan rozpaczliwy. Manią prześladowczą było u niego przekonanie, że rodzony brat jego, malarz Włodzimierz, chce go otruć... Kiedy odwiedziłem go znowu raz, pokazywał mi wielkie pudło cukrów, które

pocztą otrzymał z Krakowa i twierdził stanowczo, że są zatrute i przesłane przez brata. Przypuszczając, że przysłała je zapewne jakaś „zachwycona adoratorka" poety, bez namysłu wyjąłem pomadkę i zjadłem ją. Ta *demonstratio ad oculos* wystarczyła też, by biedny Kazimierz się uśmiechnął i uwierzył, że cukry nie są zatrute.

Kiedy przyznano Tetmajerowi nagrodę Miasta Warszawy, przyszedł do mnie z prośbą, bym mu wyjednał u Gebethnera i Wolffa pożyczkę na czarne ubranie, potrzebne mu na uroczystość wręczenia tej nagrody. Jan Gebethner, któremu sprawę przedstawiłem, oświadczył natychmiast gotowość przyjścia Tetmajerowi z pomocą. Wiedząc wszakże, że gotówkę zabiera mu synalek, zaproponował, że da poecie u swego krawca uszyć ubranie i oczywiście za nie zapłaci bez zwrotu tej kwoty ze strony Tetmajera. Ucieszony tym tak świetnym załatwieniem sprawy, zakomunikowałem je poecie. Tetmajer wpadł w istny szał, krzyczał, że Gebethner to złodziej, że chce na jego ubraniu jeszcze zarobić itd. A trzeba wiedzieć, że firma ta, chcąc mu pomóc, zrzekła się nabytych od niego wyłącznych praw do jego dzieł, aby mógł je na nowo wydać u innego nakładcy.

Nader bolesne było dla nas zachowanie się Tetmajera podczas obchodu 60-lecia jego twórczości w Towarzystwie Literatów i Dziennikarzy. Zjawił się wprawdzie tam, ale żadną miarą nie dał się namówić, by szedł na przepełnioną gośćmi salę, lecz przez cały czas siedział w przyległym sekretariacie, rozmawiając z ś. p. panią Kotarbińską i z moją żoną. Znamienne dla jego choroby było, że w rozmowie z moją żoną przypominał jej z niesłychaną precyzją czasy wiedeńskie, kiedy u nas bywał, natomiast z całym spokojem dopytywał się o dawno nie żyjące osobistości polskie w Wiedniu, jak Dzieduszyckiego, Chłędowskiego, Bilińskiego itd.

Najokropniej ujawnił się jego stan, kiedy przyjechał nasz delegat w Genewie, p. Najman, by pertraktować z Tetmajerem o wydanie po francusku tomu jego poezji kosztem Ligi. Gebethner i Wolff, do których p. Najman się zwrócił o interwencję, wskazali mu mnie, jako dawnego przyjaciela poety. Udało mi się nakłonić Tetmajera do spotkania z tym panem w Hotelu Europejskim. Byłem uszczęśliwiony, że akuratnie wtedy miał swoje *lucidum intervallum*. Przy herbacie rozmawiał z dawną swoją szarmanckością, wręczył delegatowi nawet mały kajecik, w którym zapisał, jak życzy sobie przetłumaczenia niektórych wierszy na francuski, przyjął w końcu od delegata dość wysokie honorarium we frankach szwajcarskich i pożegnał go bardzo serdecznie. W godzinę zaś później delegat zjawił się u mnie w mieszkaniu mocno zdenerwowany i powiedział mi, że przed pół godziną Tetmajer wrócił do hotelu, wpadł do jego pokoju z podniesioną laską i krzyczał: „Żydy, złodzieje, chcą mnie oszukać!" I rzuciwszy na podłogę sumę frankową, zażądał zwrotu swego kajetu. Uspokoiłem wtedy delegata słowami Poloniusza w *Hamlecie:* „Jakiż szlachetny umysł został tu zniszczony!".

*Bernard Szarlitt*

## GABRIELA ZAPOLSKA

Miałem lat dwadzieścia jeden i wydałem pierwszą moją książkę. Nazwałem ją po prostu *Dramat, akt wierszowany*. Była to ujęta w formę sceniczną opowieść o Pierrocie i Kolombinie (do tych symbolów lekkomyślnej i melancholijnej miłości powróciłem w szereg lat później w książce *Historie o pajacach*), opowieść o księżycowej nocy, o zdradzonym mężu i bladym kochanku, o niewiernej żonie, gitarze i sztylecie. Nie odważyłbym się może na wydanie drukiem tego młodzieńczego dziełka, gdyby nie oceniła go przychylnie wybitna w owych czasach poetka, Maryla Wolska, ogłaszająca swe utwory pod pseudonimem D-Mol, wielce ceniona w lwowskich sferach literackich. W bardzo miłym liście przyznawała mi talent, podkreślała płynność i muzykalność wiersza. Tymże listem uzbrojony jak tarczą, poszedłem do wydawcy. Najpoważniejszą była wtedy we Lwowie księgarnia wydawnicza H. Altenberga. Przyjęto tam nieznanego adepta literatury oczywiście niechętnie i nieufnie. Po długich wahaniach zgodzono się na wydanie, przy czym, rzecz jasna, o żadnym honorarium nie mogło być mowy. W niczym to nie umniejszyło mojej zrozumiałej radości. Ujrzałem mój pierwszy utwór na półkach księgarskich! Student „prawa i umiejętności politycznych" na Uniwersytecie lwowskim miał zmienić się w pisarza! Radość trwała dość krótko. Wnet pojawiła się w lwowskim *Słowie Polskim* recenzja niemiłosiernie szydercza i złośliwa, starająca się zdruzgotać wszelkie ambicje debiutanta. Cel ten w zupełności osiągnęła.

W parę tygodni potem, bardzo przybity i struty, przechodziłem pewnego dnia obok księgarni Altenberga. Jakby ze wstydem szukałem w oknie mojej książki. W szarym kącie tam

się chowała, też jakby bardzo zawstydzona. Dojrzał mnie, stojącego przed wystawą, księgarz i wezwał mnie ruchem dłoni, abym przyszedł do niego. Pewnie będzie mi czynił gorzkie i zjadliwe wyrzuty...! — „Mamy tu list do pana". — List do mnie? Zdumiałem się i zaniepokoiłem. Któż mógłby do mnie pisać pod adresem księgarza? Może jakieś anonimowe wymysły? Księgarz wręczył mi małą liliową kopertę: „Wielmożny Juliusz German, autor *Dramatu*". Pismo najwyraźniej kobiece. Rozerwałem kopertę, spojrzałem najpierw na podpis: Zapolska!

Nazwisko głośne i sławne w całym kraju! Nazwisko-rękawica, rzucane z hardym wyzwaniem wszelkiemu burżujstwu i zakłamaniu, wszelkiej płaskiej pruderii i hipokryzji, nazwisko znakomitej pisarki i słynnej aktorki dramatycznej, nazwisko wokoło którego wre i burzy się i huczy! Zapolska skądś z daleka, z Krakowa czy z Warszawy, pisze do mnie nie znając mnie i nic o mnie nie wiedząc!

Uciekłem do pobliskiego parku i po dziesięć razy czytałem:

„Przeczytałam Pana *Dramat* i znalazłam w nim dużo rzeczy pięknych. Proszę więc, żeby Pan zechciał pozwolić mi wystawić ten utwór na scence, którą mieć będę przy mojej szkole dramatycznej w Krakowie. Scena to będzie wykwintna, niewielka i przyniesie Panu to, czego Pan po swojej sztuce się spodziewa. Przed podniesieniem zasłony ja uprzedzę publiczność, co zobaczy i jak powinna wysłuchać Pana dzieła. Uniknie się w ten sposób nieporozumienia, które zdarzy się stanowczo, gdy na dużej scenie zagrają Pana utwór fachowi aktorzy, a przeciętna publiczność wysłucha go i nasi „znawcy" po swojemu ocenią. Dlatego proszę Pana o załączenie mi w liście zobowiązania, że nigdzie przedtem nie pozwoli Pan grać swojej sztuki, a premierę czy to w Krakowie czy we Lwowie rezerwuje Pan dla mnie, gdyż trupa moja przyjedzie w marcu dać kilka przedstawień we Lwowie. Może Pan napisać w którymś piśmie, że zwróciłam się do Pana o wyłączne prawo przedstawienia Pańskiego *Dramatu*. Będzie Pan w towarzystwie Maeterlincka i Hauptmanna. Oczekując natychmiastowej odpowiedzi, aby móc rozdać role i zacząć próby i studia, które będą trwać co najmniej dwa miesiące, łączę wyrazy najszczerszej życzliwości i najgorętszą zachętę, aby pan pisał i tworzył dalej w tym kierunku. Zapolska".

Nie wierzyłem swoim własnym oczom... Wyłączne prawo przedstawienia... Zobowiązanie, że nigdzie przedtem nie pozwolę grać mojej sztuki... A któż by chciał ją grać, o Boże? Przede wszystkim pobiegłem do redakcji *Słowa Polskiego*, w którym mnie tak nielitościwie wyszydzono. Koniecznie muszę widzieć się z naczelnym redaktorem... Uśmiechnął się do rozgorączkowanego, wpół przytomnego młodzianka redaktor Zygmunt Wasilewski. — „Umieszczę tę wzmiankę, umieszczę". — A potem w domu zabrałem się do listu. Nie pamiętam, com wtedy do niej napisał. Był to hymn dziękczynny i burzliwy entuzjazmem pierwszej młodości, był to radosny okrzyk duszy, wysłany do nieznanego przyjaciela.

Po tygodniu otrzymałem odpowiedź: „Kraków, 10 sierpnia 1902. Przeczytałam po raz drugi *Dramat*, odkrywam w nim coraz więcej rzeczy pięknych. Dziś rozdałam najzdolniejszym moim uczniom role. Wyuczę ich *Dramatu* i sądzę, że zrozumieją wybornie nastrój tej sztuki. Grać będziemy publicznie w styczniu w Krakowie i wtedy dam Panu znać, a Pan może na ostatnie próby przybędzie. Życząc Panu najserdeczniej dalszego rozwoju, radzę Panu, jeśli Pan zna język francuski, sprowadzić sobie tom poezji Juliusza Laforgue i wczytywać się w te niezwykłe utwory. Znajduję dużo pokrewieństwa pomiędzy Panem a tym przedwcześnie zgasłym poetą. Pozostaję z prawdziwym szacunkiem i uznaniem wysokim dla Pańskiego talentu, pełnego prawdziwej poezji, życzliwa Zapolska".

Po tym liście na długi szereg miesięcy przerwała się nasza korespondencja. Z początkiem zimy zapowiedziano we Lwowie koncert i wieczór literacki z udziałem różnych znakomitości, między innymi także i Gabrieli Zapolskiej. „Poznam ją nareszcie i zobaczę!" — ucieszyłem się ale i strwożyłem trochę w bardzo młodzieńczej niepewności.

W wielkiej sali lwowskiej Filharmonii tłumy. Ledwie zdołałem się umieścić i to tak daleko od estrady, że, wzrok mając krótki, w mglistych zarysach widziałem występujące tam postacie. Kończył się wieczór. Przedarłem się ku pierwszym rzędom krzeseł. Wśród publiczności tworzyły się grupy i grupki. Zacząłem pytać na lewo i na prawo: — „Przepraszam, czy nie ma tu gdzie pani Zapolskiej?" Ktoś mi wskazał wysoką panią w białej sukni, wokoło której czerń uroczystych fraków. Przystąpiłem, zaczerwieniony, zmieszany. — Pani pozwoli, że przedwi się pani autor *Dramatu*.

Pod ślicznie ufryzowanymi czarnymi włosami twarz lekko uszminkowana, nieco zmięta, niemłoda. Twarz kobiety przeszło czterdziestoletniej. Lecz jakże przepysznie młode oczy, jakże świetnie palące się niepokojem, dumą, tęsknotą... Niczym przy nich brylanty, które połyskiwały w jej uszach. To było i pierwsze i nigdy niezapomniane wrażenie: te oczy wspaniałe, bijące blask brylantów... W nerwowej, subtelnej a zmęczonej twarzy uśmiech

też trochę zmęczony: — „Bardzo mi miło pana poznać. Niestety już jutro muszę wracać do Krakowa. Zobaczymy się na dłużej, gdy w marcu przyjadę tu z moją artystyczną gromadką. — Tyle było jej słów. Wróciła do przerwanej rozmowy z otaczającymi, ja zaś wycofałem się, pełen zawodu i odrobinę zgorzkniały. Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie to spotkanie.

Nie zobaczyłem jej w marcu. Nie przyjechała wcale do Lwowa z projektowanym przedstawieniem. Rozbiły się, nie udały te projekty, jak wiele innych w jej życiu, burzliwym i gorączkowym. I nigdy nie widziałem na scenie mego *Dramatu*. Grała go w Krakowie i w Zakopanem, podobno nawet z powodzeniem. Doskonałym Pierrotem był, jak się później dowiedziałem, Julian Krzewiński-Maszyński, wtedy młodzik, a potem po latach zaszczytnie znany artysta dramatyczny, dzisiaj już nieżyjący. Nie pojechałem na żadne z tych przedstawień. Dziś już nie wiem, czy zapomniano powiadomić mnie o ich terminie, czy też powiadomiono a wyjechać z jakichś względów nie mogłem. Wydaje mi się, że w tych względach duże miały znaczenie pustki w studenckiej kieszeni. W każdym razie listu od Zapolskiej żadnego już nie dostałem. Niemniej jednak wspominałem wtedy, jak i dzisiaj wspominam, z najżywszą wdzięcznością piękny gest wielkiej pisarki, która do nieznanego wyciągnęła z daleka dłoń dobrą i życzliwą, niosąc mu otuchę i pokrzepienie na samym, bardzo trudnym początku bardzo trudnej drogi do sztuki. Poza tym byłem pewny, że o swoim spontanicznym entuzjazmie do mego pierwszego utworu szybko już zapomniała.

Spotkałem się z nią najzupełniej przypadkowo dopiero po paru latach. Było to już po wystawieniu mojej *Lilith* w teatrze lwowskim za dyrekcji Tadeusza Pawlikowskiego. Chodziłem często do teatru, mając wolny wstęp na widownię i za kulisy. Pewnego wieczoru zobaczyłem w loży Zapolską. Przywitała się ze mną, jakbyśmy się rozstali wczoraj. Rozmawiała ze mną jak ze starym znajomym, chociaż nasze pierwsze i jedyne spotkanie nie trwało ani dwóch minut. Była to czarująca swoboda prawdziwej damy. Przegadaliśmy ze dwa antrakty. Mówiła mi, że nosi się z zamiarem przeniesienia się na stały pobyt do Lwowa. Ma już dosyć „tego zatęchłego i klerykalnego Krakowa", a w Warszawie nie lubią jej i ciągle jej dokuczają. Zresztą nie mogłaby osiedlać się w Warszawie, bo niedawno wystawiła w teatrze krakowskim sztukę *Tamten*, osnutą na tle tamtejszych stosunków, rewizji, aresztowań, żandarmów i wolnościowego ruchu młodzieży. Wystawiła ją wprawdzie z łatwo zrozumiałych względów pod pseudonimem Józefa Maskoffa, ale rosyjska żandarmeria nie da się tym pseudonimem na dłuższy czas oszukać. Więc skończy się prawdopodobnie na Lwowie, chociaż i z tego poczciwego miasta wydaliły ją przed kilku laty austriackie władze policyjne jako „uciążliwą cudzoziemkę" i „poddaną rosyjską"! Stało się to wskutek interwencji pewnego dygnitarza z polskiej arystokracji, który w powieści Zapolskiej *Wodzirej* dopatrzył się drastycznej aluzji do swego nazwiska (Maleni) i do swoich małżeńskich niepowodzeń. Ale chyba lwowska policja już o tej dawno przebrzmiałej sprawie zapomniała. Uśmiechała się pani Gabriela: przecież i jej należy się nareszcie, aby jakiś kąt swój znalazła i w czym „podobnym do domu" się zagnieździła. Czarne, brylantowe oczy oświecały pożarnymi iskrami twarz niemłodą, falującą nerwowym podnieceniem.

Po tej długiej rozmowie w antraktach teatralnego przedstawienia minęły ze dwa lata, nim znowu z nią się spotkałem. Tym razem spełniły się jej zamiary. Zjechała do Lwowa na stałe i już go nie opuściła aż do śmierci — z końcem pierwszej wojny światowej.

Lwów ówczesny (lata 1907—1914) był stolicą „królestwa Galicji i Lodomerii wraz z wielkim księstwem krakowskim", siedzibą cesarsko-królewskiego austriackiego namiestnika, który to urząd z reguły i stale spoczywał w rękach Polaka, przedstawiciela arystokratycznej rodziny. Najzupełniej polską była też administracja tego „kraju koronnego", więc w przeciwieństwie do rosyjskiego i niemieckiego zaboru stosunkowo nieskrępowanym torem toczyło się tu życie polityczne, a już całkiem swobodnie rozwijały się i kwitły umiejętności i sztuki. Uniwersytet Jana Kazimierza chlubił się uczonymi tej miary, co Oswald Balzer, Edward Porębowicz, Roman Pilat, Jan Bołoz-Antoniewicz, Stanisław Zakrzewski, że tylko te nazwiska dla krótkości tu wspomnę. Przebywał we Lwowie Jan Kasprowicz, Karol Irzykowski, Jerzy Żuławski, Leopold Staff, Ostap Ortwin, Władysław Kozicki, wszyscy dalsi lub bliżsi przyjaciele. Poza tą wcale liczną i świetną „duchową elitą" był Lwów miastem z natury rzeczy urzędniczo-mieszczańskim, w którym niepoślednią rolę odgrywała też wschodniogalicyjska a więc nieco pośledniejszego gatunku arystokracja, wraz z całym snobistycznym gronem krążących wokoło niej satelitów.

Tam to właśnie najbardziej oburzano się na Zapolską, „wulgarną naturalistkę", „brutalną naśladowczynię Zoli", rozszerzano najpotworniejsze i najśmieszniejsze plotki o jej życiu prywatnym, lecz wyrywano sobie jej książki i tłumnie chodzono na jej sztuki do teatru. Nie brakło tych oburzeń i w środowisku mieszczańskim, genialnie schłostanym przez panią Ga-

rielę w *Moralności pani Dulskiej*, *Żabusi* i *Pannie Maliczewskiej*. Oburzano się, a ona iezmordowanie pisała i chłostała, piętnując wszelką małość, płaskość, podłość ludzką, gdzie- olwiek ją tylko dostrzegła. Oburzonym a zakłamanym ciskała w twarze coraz nowe a coraz mielsze wyzwania. Oto w powieści *O czym się nie mówi* przedstawia codzienną tragedię dziewczyny ulicznej, w drugiej pod dużo mówiącym tytułem *O czym się nawet myśleć nie hce* porusza najodważniej (na owe czasy!) sprawę chorób wenerycznych w „dobrze wycho- vanym małżeństwie". A poza tym dwa razy w tygodniu drukuje w lwowskim *Słowie Pol- kim* felietony pod ogólnym tytułem *Przez moje okno*, pierwszorzędne pod względem litera- kim i dziennikarskim, żywe, bujne i cięte i wytworne. A poza tym od czasu do czasu vystępuje jeszcze na scenie, dawna gwiazda paryskiego teatru Antoine'a.

W takim trybie jej życia i pracy nie mogłem oczywiście zbyt często z nią się widywać. Rzadko kiedy ją odwiedzałem, częściej spotykaliśmy się w teatrze. I nieraz słyszałem od niej powtarzane z serdeczną prostotą zapewnienie, że mam w niej szczerą przyjaciółkę.

Niesłychana jej, niezmordowana pracowitość musiała czasem wpływać szkodliwie na nerwy ej i zdrowie. Grając *Imaginację* w *Kordianie*, z najgorętszym przejęciem mówiąc wiersze łowackiego, pod koniec swej sceny, gdy powinna była zniknąć przy wejściu cara, pozostała ieruchoma na miejscu, wpadłszy w dziwne jakieś odrętwienie. Nie zorientowała się w tym ubliczność, lecz zaniepokoili się koledzy-aktorzy na scenie i czuwający za kulisami reżyser. Podeszli do niej po spuszczeniu kurtyny i spostrzegli z przestrachem, że stoi nieporuszenie, akby nie słysząc nikogo i nie widząc, jakby martwa zupełnie i stężała, nieczuła na żadne lotknięcie. Przywołano teatralnego lekarza, który nie bardzo umiał z tym wypadkiem sobie oradzić, przebąkując coś o katalepsji. Zaniesiono sztywną i nieprzytomną do garderoby, ozcierano, cucono ją i trzeźwiono dość długo. Gdy wreszcie się ocknęła, gdy jej powie- dziano, co się z nią stało, uśmiechnęła się swoim czarującym a zmęczonym uśmiechem i sze- pnęła: — „To był triumf poezji nad aktorką. Uniosła mnie na chwilę w zaświaty. Mignęły mi się tam cuda. Niestety tylko się mignęły..."

Niedługo potem miałem od niej nowy dowód łaskawej i uczynnej przyjaźni. Złożyłem v dyrekcji lwowskiego teatru *Kobietę z perłą*, jednoaktowy utwór dramatyczny, pisany wierszem. Dyrekcja ówczesna (już nie Tadeusz Pawlikowski) ociągała się, zwlekała, nie dawała mi wyraźnej odpowiedzi. Nie umiałem nigdy wydeptywać przedpokojów dyrekcyj- nych. Toteż machnąłem ręką. Nie — to nie. Poszedłem z odwiedzinami do Zapolskiej. Zapytała mnie o losy tego utworu. Rzekłem, że już się tym nie interesuję. — Więc ja się tym zajmę! — zawołała. — Jutro pojadę do dyrekcji! (Mieszkała daleko od teatru, na krańcach miasta). W dwa dni później dostałem od niej list: — „Mój Lilith! Bardzo jestem zmartwiona. Zimno, zaspy, jadę i co? Potykam się o skałę, o to, że aż 2000 koron trzeba wydać „na raz" na o przedstawienie. Czy Pan wie, co to jest mówić w pustkę? Tak ja mówiłam. Aż zamilkłam. wróciłam. Przyślij mi jeszcze raz *Damę z perłą*. Moją mi ukradli. Pomyślimy. Może nam ię uda własnymi siłami dać jakieś niebywałe przedstawienie w Filharmonii. Mam do tego wielki pęd. Przyślij i nie martw się. To może i lepiej, że nie zobaczysz zepsutego piękna. Może nam się uda. A więc przyślij. Toute Votre Zapolska".

Nie doszedł ten jej przyjacielski i szlachetny projekt do skutku. Dopiero w szereg lat później, w roku 1913, gdy Zapolska, złożona ciężką niemocą i zagrożona rozpoczynającą się ślepotą, zupełnie już wycofała się ze świata i zerwała z wszystkimi przyjaciółmi i znajo- nymi, wystawił *Kobietę z perłą* Teatr Niezależny Czesława Krzyżanowskiego we Lwowie z Kazimierą Rychterówną w roli głównej. Ale i wówczas Zapolska nie dała całkiem za wygraną, znów najwyraźniej stwierdzając prawdę swych słów, że mam w niej prawdziwą przyjaciółkę. *Kobieta z perłą* wydrukowana była w zbiorze moich opowiadań *W gospodzie pod trzema zbójami*. Na wspomniane wyżej życzenie Zapolskiej posłałem jej powtórnie tę książkę. Po tygodniu ukazał się w *Słowie Polskim* duży felieton Gabrieli Zapolskiej pod tytułem *Un poète joli*, poświęcony z okazji tej ostatniej mojej książki ocenie całej mojej dotychczasowej twórczości. Ocena to była niezwyczajnie dla mnie pochlebna, podkreślająca (co najgłębiej mnie ujęło) stałość i konsekwencję, z jakimi idę w swojej pisarskiej drodze, wysuwająca jako cechy zasadnicze tych pierwszych kilku moich książek „bolesną ładność" i ironiczną romantyczność. Była to raczej impresja niż krytyka, kreślona krótkimi, nerwo- wymi rzutami pióra, ujmująca rzecz ze ściśle indywidualnego punktu widzenia, oświetlająca ją przez pryzmat własnych upodobań, a odznaczająca się przy tym wnikliwą subtelnością i wielkim wdziękiem, umiejącym zarówno odczuwać jak i rozumieć intencje pisarza i ich szczerość. Kończyła się ta recenzja, jak pamiętam, takim ustępem: „Gdybym miała teatr, pomiędzy *Akselem* Villiers de l'Isle Adama, *Annabellą* Forda, *Maskaradą* Lermontowa

i tylu innymi dziełami, o których u nas tak beznadziejnie głucho, grałabym *Więźniów* Germana...".

Ten felieton Zapolskiej wielką był dla mnie wówczas i oczywiście bardzo radosną niespodzianką, zwłaszcza że niedawno, półtora roku temu, rozpętała się przeciw mnie w prasie i w publicznej opinii znaczna burza z powodu mego dramatu *Mściciel*, wystawionego w teatrze krakowskim, i znowu, jak niejednokrotnie w moim zawodzie pisarskim, przedtem i potem, strącany byłem przez krytyków, mniej lub więcej do tego powołanych, z wyżyn „uznania" i pochwał na dno najciemniejszych i najzgryźliwszych potępień.

Dziwiono się, że Zapolska tak entuzjastycznie pisze o Juliuszu Germanie, którego książki nieraz z bardzo surowym spotykają się osądem. Dawał wyraz temu zdziwieniu nawet po kilkunastu latach Kornel Makuszyński (z którym zresztą jeszcze z tych dawnych lwowskich czasów zawsze w zażyłych byłem stosunkach), pisząc o mojej sztuce *Cherubin z piekła*, wystawionej w r. 1926 w Warszawie. Wspomniał o tym felietonie w swej ostrej dla mnie, ale bardzo słusznej recenzji, (bo sztuka była słaba i nieudana) i zastanawiał się, skąd Zapolska, w chwaleniu innych pisarzy nader wstrzemięźliwa i chłodna, objawiła tyle szczerego zapału w nakreśleniu mojej artystycznej sylwetki? Przecież najbardziej zasadnicze i jaskrawe przeciwieństwa zaznaczały się pomiędzy jej indywidualnością pisarską a moim literackim obliczem, przecież ta wspaniała i twarda realistka nie może mieć żadnych pokrewnych węzłów z marzycielem i romantykiem, uciekającym nieraz od realności życia w mgliste i mętne regiony rojeń o dziwacznych zaświatach.

Dziwił się Kornel. Może i ja się dziwiłem, chociaż zdawało mi się wówczas, a teraz jeszcze wyraźniej mi się zdaje, że tym łącznikiem między mną a wielką realistyczną pisarką, łącznikiem, który zjednał mi jej zaszczytną i nigdy niezapomnianą przyjaźń, była najszczersza tęsknota do spraw i przeżyć, nieosiągalnych na tej ziemi i w tym istnieniu, spraw i przeżyć, które pojawiają się tutaj tylko jako początek i zapowiedź czegoś doskonalszego i wyższego. Odczuła ją Zapolska w tych kilku moich książkach, ja zaś odczuwałem ją w jej życiu.

Rzeczą było naturalną i nieuniknioną w środowisku mieszczańsko-urzędniczo-arystokratycznym ówczesnego Lwowa, że w następstwie owego felietonu zaczęły zaraz kursować plotki, przypisujące mi romans z Zapolską. Najłatwiejsze to było dla pań Dulskich różnego autoramentu wytłumaczenie niezwyczajnego faktu, że świetna i sławna autorka wystąpiła z pochwałą młodego autora, rozpoczynającego swą pracę i często potępianego przez zbyt „moralną" krytykę i sfery „dobrze wychowane". Postarano się najgorliwiej, żeby te plotki dotarły prędko do mnie i do Zapolskiej. Nie mówiliśmy o nich nigdy. Głęboko jestem przekonany, że Zapolska miała dla tych jarmarcznych, płasko mieszczańskich, zaślinionych zawiścią opowiastek taki sam uśmiech lekceważący i taką samą nieco zmęczoną i wytworną pogardę, z jakimi przyjmowała wiele dokuczliwości ludzkich, których jej wciąż nie szczędzono.

W tych zresztą czasach zaręczyła się pani Gabriela z artystą-malarzem Stanisławem Janowskim i wnet wyszła za niego za mąż. Krótkotrwałe i nie bardzo szczęśliwe było to małżeństwo. Znowu jeden z zawodów, jedna z pomyłek, w których ta kobieta bujnej i renesansowej śmiałości burzliwie rzucała się w życie, szukając mirażu osobistego szczęścia z ciągle nieuleknioną tęsknotą, ciągle walczącą o prawo do młodości. A tej tęsknocie towarzyszył zawsze ów dostojnie piękny gest wewnętrzny, który w kochaniu szuka niekończącej się nigdy tajemnicy.

A w pracy twórczej, gorączkowej, można powiedzieć zaciekłej, wciąż nie ustawała. Pisała zaś przeważnie leżąc w łóżku. Twierdziła, że „tak najlepiej jej się pracuje". Organizowała też na własną rękę wystawianie swoich sztuk na prowincji (nie było wtedy prawie stałych prowincjonalnych teatrów w Galicji), jeździła z dorywczo zebraną trupą po różnych miastach i miasteczkach, z niespożytą energią zajmując się i reżyserią i administracją tych przedstawień. Przy jej „fantastycznym" i bujnym trybie życia wciąż jej było potrzeba pieniędzy, choć, jak na ówczesne stosunki, zarabiała sumy dość znaczne. Zdołała przecież ze swych teatralnych i literackich dochodów kupić willę na peryferiach Lwowa, którą nazwała *Skiz* według tytułu jednej ze swych głośnych komedii. Spełniło się więc przynajmniej jedno z jej marzeń: miała nareszcie własny dach nad głową.

W tej willi „Skiz" bywałem gościem dość rzadkim, bo to i daleko od miasta i pani Gabriela często wyjeżdżała ze Lwowa na owe wspomniane wyżej teatralne wędrówki. Niezmiennie spotykałem się w „Skizie" z przyjęciem jak najżyczliwszym, pełnym prostoty i ujmującej serdeczności. Przychodziło tam czasem kilka młodych aktorek (starszych, będących już w jej wieku, Zapolska nie lubiła), zjawiali się malarze, literaci. Lecz w nastroju tych zebrań nie było nic z cyganerii. Był to salon.

Dokuczała mi nieraz żartobliwie Zapolska, że „marnuję się w biurokracji". Służyłem bowiem, ukończywszy wydział prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza, w Namiestnictwie lwowskim, a czyniłem to zarówno na życzenie mego ojca jak i ze względów „chlebodajnych", gdyż żaden prawie z młodych pisarzy nie mógł w owych czasach bodaj najskromniej wyżyć ze swego pióra. Rozumiała dobrze pani Gabriela tę smutną konieczność, to też żarty jej były tylko miłym ubolewaniem nad niewesołą dolą literata „wciągniętego w jarzmo urzędu".

Już to nie mieli ze mnie wiele pociechy jako z urzędnika moi przełożeni. Ale tak się złożyło, że właśnie dzięki tej mojej „urzędowej pozycji" mogłem raz wyświadczyć Zapolskiej pewną przysługę, którą z uśmiechem wspominam. Pracowałem wówczas w sekretariacie namiestnika Galicji Michała Bobrzyńskiego, znakomitego historyka, który objął to stanowisko po Andrzeju Potockim, zamordowanym z politycznych względów przez Ukraińca Siczyńskiego. Bobrzyński, w przeciwieństwie do swego poprzednika prowadził wobec Ukraińców łagodniejszą politykę kompromisową, co znowu powodowało ostre nań ataki ze strony polskiej partii narodowo-demokratycznej, której głównym i bojowym organem było *Słowo Polskie*. Ataki te doprowadziły raz nawet do tego, że na inauguracji roku akademickiego studenci obrzucili Bobrzyńskiego zgniłymi jajami, protestując w ten niewybredny sposób przeciw jego „ukraińskiemu kursowi", który ich zdaniem zagrażał polskości Uniwersytetu.

W tym sekretariacie, zwanym szumnie „Prezydium Namiestnictwa", pełniłem obowiązki referenta prasowego, kolegując z różnymi kandydatami na przyszłych namiestników, Skrzyńskimi, Gołuchowskimi i Potockimi. Pewnego dnia przynosi mi woźny bilet wizytowy Gabrieli Zapolskiej. Rzucam się czym prędzej na jej przywitanie. Wita się ze mną zarumieniona, wzburzona, z groźnie błyszczącymi oczami: — Muszę natychmiast widzieć się z tym twoim namiestnikiem... — (Mówiła do mnie i nieraz pisała „ty", w tej poufałości zaznaczając dyskretnie różnicę lat, jaka mnie od niej dzieliła, i podkreślając przemiło szczerą dla mnie a tak mi drogą swoją sympatię). — Pani Gabrielo, trudno będzie, dziś nie jest dzień audiencji... cóż to za sprawa taka nagła? — I nagła i niesłychana! Wyobraź sobie — mówi rozgorączkowana, gniewna, niezwykle podniecona — zjawił się nadzwyczajny człowiek, musisz koniecznie go poznać! Nazywa się Radwan-Pragłowski, jest lekarzem, stokroć więcej niż lekarzem! Leczy za pomocą hipnozy i sugestii, cudowne ma rezultaty! Działa bezpośrednio wprost na duszę, daje jej nowe, zupełnie nieznane siły! Budzi je potężne, głęboko ukryte w naszej podświadomości... Zaopiekował się moimi rozbitymi nerwami, jestem odrodzona, zmartwychwstała!

Płomiennym entuzjazmem gorzały jej piękne oczy, entuzjazm bił z każdego słowa, młodym uśmiechem rozchylały się jej usta. — Przyjechał z Ameryki, gdzie zyskał sobie wielką sławę, chce wygłosić w Polsce szereg odczytów, w których będzie propagował swoje idee... — Zaoponowałem trochę niepewnie, że amerykańscy doktorzy, jeżdżący z odczytami po Polsce, nie wzbudzają we mnie zbytniego zaufania. — To nie lekarz, to cudotwórca! — zawołała z przejęciem. — I takiemu człowiekowi robią tutaj trudności, zamiast ułatwiać mu wszystko i jak najchętniej go przyjmować! — w jej wspaniałych oczach zaczęły migotać iskry gwałtownego gniewu, głos szarpał się i rwał wzburzeniem. — Te wasze przysłowiowo głupie galicyjskie władze! Jutro ma mieć odczyt w Zakopanem, afisze rozlepione, wszyskie bilety wysprzedane, a jakiś osioł starosta w Nowym Targu zakazał tego odczytu! To hańba ponad hańby! Radwan telegrafował do mnie z prośbą o ratunek... Musicie to w tej chwili odrobić! Twój namiestnik musi telegraficznie zmyć głowę staroście i na odczyt pozwolić! Prowadź mnie zaraz do tego starego Bobra...

— Niestety, nie da się tak od razu... Pani wie, biurokracja... Muszę go uprzedzić, kto i w jakiej sprawie... I nie wiem, czy zechce panią przyjąć... — Niechby tylko nie zechciał! — najgroźniejsze błyskawice miała w spojrzeniu. Potrząsnęła trzymaną w ręku parasolką. — Taką bym tu urządziła awanturę, żebyście ją długo popamiętali! Wy mnie jeszcze nie znacie! — Znałem ją, więc usadowiwszy rozgniewaną w sali przylegającej do gabinetu namiestnika, pospieszyłem do mego szefa.

— Zapolska? — skrzywił się Ekscelencja po wysłuchaniu mojej relacji. Minę miał wielce niechętną i nieufną. — A, niech mi pan da z nią święty spokój! Na oczy nie chcę widzieć tej baby! Zapolska, która wypisywała paszkwile na Badenich... To prosta awanturnica! Dość nasłyszałem się o niej różnych skandalicznych historii. Nie przyjmę.

Rozpocząłem tłumaczyć namiestnikowi, że jednak powinien ją przyjąć a nawet musi. Jest to bądź co bądź jedno z nagłośniejszych i najpoważniejszych nazwisk w polskim piśmiennictwie Przy tym pani Zapolska ma bardzo duże wpływy w prasie, (umyślnie ugodziłem tu mego szefa w najczulszą strunę), należy do redakcji pisma narodowo-demokratycznego, a więc nieprzyjaznego... Wobec wrogów obowiązuje uprzejmość...

Wpłynął na wahania Bobrzyńskiego ten argument. — Niech pan ją poprosi — mruknął, bardzo nachmurzony.

Niedługo trwała ta rozmowa męża stanu z artystką. Po kilku minutach usłyszałem podniesione i pełne gniewu głosy obojga. Dominował wyniosły i dźwięczny głos Zapolskiej, przerywany coraz mrukliwszym basem galicyjskiego wielkorządcy. Wnet zaczęli oboje po prostu krzyczeć na całe gardło. Z trzaskiem otwarły się drzwi gabinetu i z jeszcze większym trzaskiem się zamknęły. Z mocą zaś trzasnęła je za sobą pani Gabriela, piorunowa we wzroku, w szkarłatnych rumieńcach oburzenia.

— Ten twój namiestnik to skończony brutal i barbarzyńca! Wystaw sobie, ośmielił się na mnie wrzeszczeć! — Wydaje mi się — wtrąciłem — że i pani odpłacała mu pięknym za nadobne. — A cóż ty myślisz? Ani jego ani nikogo na świecie się nie boję!

Uśmiechnęła się, ścisnęła mnie mocno za rękę i odeszła w szumie jedwabnych spódnic, w woni paryskich perfum, wzgardliwa i obrażona wielka dama. Zawołał mnie zaraz Bobrzyński. I on był purpurowy na licach, trzęsły mu się ręce, gdy zapalał swoje wieczne cygaro.

— Ta pańska Zapolska to wściekła i zwariowana baba! Myślałem już, że z pazurami skoczy mi do oczu! Te jej impertynencje, ta bezczelność... I pan nastawałeś, żeby ją przyjąć! Popamiętam to panu! — spod gęstych siwych brwi miotał we mnie wzrokiem pełnym najszczerszej pasji. Sapał, dyszał, palił cygaro. Czekałem. Po chwili skłoniłem się, chciałem odejść. Zatrzymał mnie ruchem ręki.

— Wpakowałeś mi pan niezwykłą arogantkę. Niezwykłą bo niezwykłą... Cóż to za temperament szalony! Ma już swoje latka, a żywy ogień z niej tryska, niczym z dwudziestoletniej dziewczyny! — W zirytowaniu i w zamyśleniu gładził i szarpał siwą brodę.

— Telegrafuj pan do starostwa w Nowym Targu — rzekł ponuro. — Niech pozwolą na ten tam jakiś odczyt o hipnotyzmie... I daj pan babie o tym znać. Ale niech mi się już nigdy na oczy nie pokazuje. Pierwszy i ostatni raz ją widziałem i najzupełniej mi to wystarczy.

W tym incydencie była cała Zapolska. Cała, z gorączkowym swym entuzjazmem, z burzliwym swoim niepokojem, z zapałem, który za nic sobie miał wszelkie metryki. Z entuzjazmem płynącym z najrdzenniejszej głębi serdecznej, zawsze skorym do nagłego i niespodziewanego wybuchu, rwącym się niepowstrzymanie do wszystkiego, co nowe i nieznane, szukającym wciąż „krajów nieodkrytych". Z niepokojem, który nieraz rzucał nią i ciskał ku przygodom, dalekim od tych dróg utartych, którymi chadzała ckliwa i nudna powszedniość dnia codziennego. Z zapałem ciągłej a często tragicznej walki o młodość... Walczyła z nieubłaganym czasem, śmiała, świetnie uparta, nigdy nie poddająca się, nigdy nie zrezygnowana.

Spalała się w tych ognistych swoich dążeniach. Miała w sobie odwagę mężczyzny i urok najprawdziwszej kobiety. Pracowała i żyła zaiste bez wytchnienia.

Aż przyszła nieunikniona klęska ostatecznego zwiędnięcia, niemoc, długa choroba i samotność. Nie było mnie już wtedy we Lwowie. Rozpoczęła się pierwsza wielka wojna światowa, służyłem w drugiej brygadzie legionów polskich, pożegnawszy się na zawsze z prezydium lwowskiego namiestnictwa.

O tych ostatnich, najsmutniejszych latach życia Zapolskiej dotarły później do mnie wiadomości dość niedokładne i niejasne. Dowiedziałem się z nich jednak, że w osamotnieniu i w chorobie okazywała spokój i męstwo, nie pozbawione ironii, a pełne wielkiej godności.

*Juliusz German*

## TADEUSZ PAWLIKOWSKI

W dwa lata po napisaniu *Dramatu* ukończyłem baśń dramatyczną w trzech aktach, pisaną wierszem, którą nazwałem *Lilith*. Asumpt do tej rzeczy dało mi tych kilka wierszy, które Mefistofeles mówi do Fausta w *Nocy Walpurgii* na sabacie czarownic, pokazując mu Lilith, pierwszą żonę Adama, osłoniętą jedynie cudnymi włosami i w sieć ich łowiącą kochanków na nieuniknioną zgubę. Pracowałem nad tym utworem rok przeszło, mając równocześnie na głowie egzamina prawnicze i zarobkowe zajęcia. Przycichł już dawno ten rozgłos, zresztą bardzo wątły i niewielki, który na chwilę dotknął mego nazwiska, kiedy Zapolska zajęła się moją pierwszą sceniczną próbą. Znowu znalazłem się w bezimiennej rzeszy „nieznanych".

W tymże czasie galicyjski Wydział Krajowy (od rządu zupełnie niezależny) ogłosił konkurs dramatyczny, jak to zdarzało się co lat kilka. Posłałem *Lilith* na ten konkurs, rezygnując na razie z wszelkich bezowocnych starań wydania jej w książce. Jakże zabiło mi serce, gdy, śle-

zując pilnie obrady sądu konkursowego, których wyniki podawano w prasie codziennej, prze-
zytałem, że *Lilith* przeznaczono do wspólnego czytania. Więc jednak jest jakaś szansa! Może
alecą tę sztukę do grania, może uczynią o niej wzmiankę chwalebną... Lękałem się snuć bar-
ziej śmiałe nadzieje.

Grałem spokojnie w bilard jakiegoś popołudnia w odwiedzanej przez znanych i nieznanych literatów lwowskiej kawiarni Szneidra, gdy wtem chwyta mnie za rękę jakiś przygodny znajomy: — Wziął pan pierwszą nagrodę na konkursie dramatycznym! Niech pan czyta, jest już w *Słowie Polskim*. — W pierwszej chwili więcej byłem oszołomiony niżeli uradowany. Zamroczył mnie ten niespodziewany uśmiech losu. Wydało mi się to dziwnie nierzeczywiste. Potem przez dwie czy trzy noce wcale spać nie mogłem. Ze szczęścia! I tak czasem też bywa.

Po kilku dniach dowiedziałem się ku jeszcze większej mej radości, w jakich to warunkach *Lilith* zdobyła pierwszą nagrodę. Miał ją w referacie profesor literatury polskiej na Uniwersytecie Jana Kazimierza, Roman Pilat. Oznajmił na posiedzeniu sędziów, że czuje się zobowiązany zalecić rzecz tę do wspólnego czytania, chociaż jest to utwór dość rozwichrzony i zbyt fantastyczny. Odczytano na tym posiedzeniu akt pierwszy. W dniu następnym, gdy znowu zebrali się sędziowie, zastał profesor Pilat na stole przed swoim krzesłem koszyk róż z biletem wizytowym: „Tadeusz Pawlikowski odkrywcy *Lilith*". Znaczne to uczyniło wrażenie na całym zespole sędziów, wśród których znajdował się oczywiście i tenże ówczesny dyrektor lwowskiej sceny, i pewnie przyczyniło się w dużym stopniu do przyznania mi nagrody.

Tadeusz Pawlikowski... Już wówczas (r. 1904) zapisało się to nazwisko najzaszczytniejszymi głoskami w historii polskiego teatru, trwa w niej niespożycie i chlubnie i trwać będzie jeszcze coraz jaśniej, gdy odrodzi się w pełnym blasku polska kultura, przyćmiona dziś straszliwym dziejowym kataklizmem. Był on tej prawdziwie polskiej kultury jednym z najwybitniejszych przedstawicieli. Wyniósł już z rodzinnego domu jej tradycje. Ojcem jego był Mieczysław Pawlikowski, pisarz walczący w swoim czasie z zacofaniem sfer reakcyjnych, popierający piórem i czynem myśl postępową, właściciel magnackiej fortuny, z której hojnie żył na cele publiczne, przyjaciel Norwida, proponowany przez tegoż na prezesa imaginacyjnego „Towarzystwa uszanowania człowieka", (Pism Norwida tom dziewiąty, listów część druga, poz. 702). Tadeusz, od najwcześniejszej młodości namiętnie rozmiłowany w teatrze, studiował jego rozwój, technikę i możliwości, zwiedzając i badając wszystkie sceny Europy, szereg lat poświęcając tym studiom gruntownym i gorliwym. O nim to pisał Sewer (Ignacy Maciejowski), pokazując w swej powieści *U progu sztuki* typ niezwykle wytwornego młodego entuzjasty teatru. Miał w sobie Pawlikowski właśnie tę niesłychaną wytworność wrodzoną, wytworność szlachetną i subtelną, która umiała zawsze znaleźć drogę do głębokiego i czystego piękna. Nikt bardziej od niego nie gardził wszelką sztuczną „teatralnością", wszelkim blichtrem i szychem tanich scenicznych świecidełek. Nikt też przed nim nie wzniósł tak wysoko, jak on, sztandaru prawdziwej sztuki na polskiej scenie. On zgromadził przy sobie najznakomitszych polskich aktorów, on otworzył szeroko wrota teatru najzdolniejszym młodym pisarzom dramatycznym, prowadząc przez sześć lat (1894—1900) teatr w Krakowie, postawił tę scenę na niebywałych nigdy wyżynach, uczynił ją niedoścignionym wzorem dla innych polskich teatrów. Nie szczędził w tym celu we wspaniałym geście znacznego osobistego majątku. Nieraz za jego dyrekcji dawane były przedstawienia przed na pół pustą widownią, bo nie chciała na nie chodzić „przeciętna" publiczność. Lecz nauczył ją i zmusił, by przychodziła. Tak było w Krakowie, tak później także i we Lwowie, gdy w roku 1900 objął dyrekcję nowo wybudowanego tam teatru. Skupiało się przy jego nazwisku wszystko, co w Polsce ówczesnej było najszczerzej i najpiękniej młode i szukające helleńskiej w sztuce jasności. I on był pierwszym w Polsce dyrektorem teatru, który na przedstawieniu danym dla dobrotników we Lwowie rzekł te słowa: — Witam dziś najczcigodniejszą publiczność, która kiedykolwiek zjawiła się w teatrze.

Pawlikowski... Zachwycony byłem i równocześnie zażenowany i onieśmielony, że taki człowiek w tak ujmujący sposób mnie wyróżnił. Nie znałem go, rzecz naturalna, bo i skądże? Gdzież mnie, maluczkiemu, dostęp do takiej artystycznej wielkości? Onieśmielenie nie ustępowało pomimo rodzącej się koło mnie pierwszej sławy. Namawiano mnie: „Idźże do niego. Podziękuj, przedstaw się. Przecież tak się należy". Może się i należało. Czekałem. Wypłacono mi z Wydziału Krajowego nagrodę konkursową, tysiąc czterysta koron. Nigdy jeszcze nie miałem w ręku takiej sumy! Czekałem. Miałem po prostu niesłychaną tremę przed spotkaniem się z Pawlikowskim. Po dwóch tygodniach otrzymałem uprzejmy list od sekretarza dyrekcji lwowskiego teatru, donoszący, że dyrektor Pawlikowski zaprasza mnie na kon-

ferencję w dniu jutrzejszym o godzinie siódmej wieczorem. Poszedłem, ubrawszy się uroczyście i najbardziej odświętnie, ucieszony, ale wciąż niepewny i niespokojny. Powstał na moje przyjęcie od biurka w teatralnej kancelarii mężczyzna w długim czarnym surducie (zawsze tak się nosił), z szeroko odkrytym czołem, z niewielką popielato-siwą brodą i małym wąsem, o twarzy rzymskiego senatora. Tak, była to najpiękniej patrycjuszowska twarz, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem. Łączyła się w niej dostojność z najgłębszym uduchowieniem. Rozmarzenie i melancholia lśniły w oczach błękitnych, które czasem nabierały połysków twardej zadumy. Głos powolny, zmiększający brzmienie litery „r", pełen nieco ironicznego wdzięku:

— Gorąco pana oczekiwałem. Nie mogłem się doczekać, więc musiałem ściągnąć pana do siebie. Lilith pańską już pokochałem.

W momencie odczuł wielkie moje zakłopotanie. Zaczął zaraz z wykwintną, trochę niedbałą uprzejmością mówić o terminie przedstawienia. Nie chciałby grać tej sztuki w najbliższych miesiącach, bo już niedaleko do lata a zatem do „martwego sezonu", nie byłoby już czasu na próby i dokładne przygotowania. Da ją z początkiem jesieni, pewnie w październiku. Przeprowadzić musi korespondencję z Michałem Tarasiewiczem, którego chce zaangażować do roli „Studenta", bo on „najładniej z wszystkich aktorów mówi wiersze". Rozpoczęła się dyskusja o obsadzie. „Królewicza z bajki" mogą grać tylko Kazimierz Kamiński albo Ludwik Solski. Zaś co do głównej i tak trudnej i odpowiedzialnej roli kobiecej wchodzą w rachubę jedynie dwie aktorki: Irena Solska i Konstancja Bednarzewska. Mój udział w tej dyskusji był nader skromny. Przeważnie słuchałem. Zachwycały mnie te wszystkie wielkie aktorskie nazwiska, które podziwiałem i wielbiłem, wydawało mi się po prostu zuchwalstwem, żebym ja mógł tu decydować. A Pawlikowski tłumaczył mi dobrotliwie, że Bednarzewska ma wprawdzie dużo szczerego liryzmu i wiele bujnej kobiecości, ale może zabraknie jej demonicznej, żywiołowej siły, jaka tu jest potrzebna, zaś znowu Solska „zbyt jest misterna i zbyt prerafaelicka ma sylwetę". Oświadczyłem, że wcale nie chcę zabierać tutaj głosu, bo jestem pewny, że najlepiej będzie dla mojej sztuki, gdy on według swego zdania ją obsadzi.

Zakończył przemiłym zaproszeniem: — Będzie mnie pan często odwiedzał, niejeden wieczór musimy razem przepędzić. Proszę pamiętać, że w teatrze moim jest pan u siebie.

Z jakąż skwapliwością skorzystałem z tych zaprosin! Chodziłem teraz do teatru kilka razy na tydzień, najchętniej wcale bym z niego nie wychodził. Nieraz zapraszał mnie dyrektor do swojej loży, (młodzik, czerwieniłem się z dumy), często szliśmy potem na kolację w towarzystwie kilku aktorów i aktorek. Rozwlóczyłem się trochę, a właściwie to nawet bardzo, lecz coraz więcej czarował mnie Pawlikowski. Zdawało mi się też, że mnie polubił.

W tym czasie dał teatr lwowski premierę *Skarbu* Leopolda Staffa. Był to prawdziwy ewenement literacki, a sukces teatralny dość niewielki, chociaż Ludwik Solski w roli „Strażnika niezłomnego" stworzył jedno z arcydzieł swych scenicznych. Pawlikowski wysoko cenił talent Staffa, pieczołowicie zajął się tym jego pięknym poetyckim utworem, ujętym w formę tragedii przesiąkniętej wzniosłymi symbolami, ale, jak mówił, „nie porwała go ta rzecz, przeszkadzał tam kryształowej poezji chłód zbytniej refleksyjności".

Przyszedł nareszcie wrzesień, z nim pierwsze próby. Fatalnie mi się wtedy złożyło, że właśnie w pierwszych dniach września powołany zostałem do wojska austriackiego jako tak zwany „jednoroczny ochotnik". Byłem w rozpaczy. Nie tylko stracę rok życia najgłupiej i najmarniej, ale przede wszystkim nie będę mógł bywać na próbach mojej pierwszej sztuki, która będzie grana na dużej scenie. Zaczęto ratować mnie z tej biedy. Ojciec mój, dr Ludomił German, który wówczas był posłem do parlamentu wiedeńskiego z ziemi nowosądeckiej, dokładał wszelkich starań, żeby mnie od tej znienawidzonej służby wojskowej uwolnić (co mu też po kilku tygodniach się udało), zaś Pawlikowski ujmującą okazał dla mnie życzliwość, wysyłając uroczych posłów z kobiecych sfer teatralnych do mego srogiego pułkownika (był nim późniejszy komendant legionów polskich generał Trzaska-Durski) i uzyskując dla mnie dwutygodniowy urlop od zajęć i ćwiczeń koszarowych. Przedłużył się ten urlop aż do ostatecznego zwolnienia z 11 regimentu artylerii konnej, bo łaski byli na grosz kancelaryjni podoficerowie i w książkach meldunkowych zawsze figurowałem jako „obecny", chociaż w koszarach nikt by mnie i ze świecą nie znalazł. Wbrew surowemu rozkazowi dowódcy szkoły jednorocznych, kapitana Dzierżanowskiego (też późniejszego polskiego generała), nie chodziłem podczas urlopu w mundurze, choć groziło to ciężkim aresztem.

Zgłosiło się do mnie Polskie Towarzystwo Nakładowe we Lwowie i wydało tę baśń dramatyczną bardzo ładnie, na grubym, czerpanym papierze, pięknymi czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie.

W ówczesnych warunkach, gdy scena obrotowa i późniejsze udoskonalenia techniczne nie były jeszcze w użyciu, uczynił Pawlikowski wszystko możliwe, aby przedstawieniu dać ramy

najświetniejsze. Sporo wyłożył na dekoracje i kostiumy (dość powiedzieć, że na „olbrzymi aszcz czerwonych włosów okrywający Lilith" sprowadził zamówioną specjalnie w wiedeń- ich pracowniach teatralnych odpowiednią perukę), wystawę dał olśniewającą, sam najsta- nniej dopilnował reżyserii, tchnął „ducha sceny" w moje wiersze.

Dekoracje... Widzę to wyczarowane przez Pawlikowskiego uplastycznienie sceniczne moich zji: wpół rozwalona gospoda w borze, ongi kaplica, z której widać ostępy puszczy... Po- m grota w Tatrach, zmieniająca się w grecką kolumnadę nad morzem... I w końcu u pod- ża drzew stosy nieprzebrane liści jesiennych, w których wszystkimi barwami gra blask świ- i wschodzącego słońca. A na tym tle bajka o czerwonowłosej, ściganej przez żądze pie- elnicy, o odkupieniu jej przez czyste miłowanie, o starym królewiczu z bajki, wiecznym po- ukiwaczu złotostrunnej harfy, marzenia rozbijającego się o skały życia o klątwie niespeł- eń, ciążącej ponad człowieczą miłością, o tej białej cichej postaci, która do każdego żyją- go przyjść musi jako „dzień w dniu nigdy niewidziany", która „ślepcom źrenice otwiera rozświeca", która „daremne sny rozpaczliwe zbiera we fałdy swoich białych szat i czyni nad ami sąd, nad braćmi brat"...

Konstancja Bednarzewska grała „Lilith", Irena Solska „Postać". (Po przedstawieniu po- iedział do niej Pawlikowski: „Gdy będę umierał, chciałbym koniecznie, żeby właśnie taka downa śmierć po mnie przyszła, jaką pani dziś była w swojej roli"). Grali Ludwik Solski, ichał Tarasiewicz, Józef Chmieliński i jeszcze dziesięciu innych zdolnych aktorów i sześć łodych utalentowanych aktorek. Wszyscy trwają w mojej wdzięcznej i zawsze zachwyconej mi pamięci. Pod egidą Pawlikowskiego „Lilith" odniosła w teatrze pełne zwycięstwo. Jak owe czasy powodzenie było niepowszednie, bo kilkanaście przedstawień wysprzedanych dno po drugim, a i potem grano jeszcze tę sztukę szereg razy. A zazwyczaj co tydzień mu- no dawać premierę.

W osiemnaście dni po premierze *Lilith* spadło na mnie ciężkie osobiste nieszczęście. To pierw- e przedstawienie odbyło się 21 października 1904, a w dniu 9 listopada zastrzelił się mój jmłodszy brat, Adam. Był to cios tym bardziej tragiczny dla rodziców moich i dla mnie, w lipcu tegoż roku w zupełnie niewyjaśnionych okolicznościach utonął podczas prze- dżki łodzią po zatoce Fiumeńskiej brat mój bliźni, Adolf, wraz ze swoją narzeczoną. Po- dłem wtedy w stan wielkiej depresji nerwowej, zamknąłem się w domu, przez długi sze- g dni na krok się z niego nie ruszałem, pogrążony w najsmutniejszych zadumach. Gnębiąc w samotnych kontemplacjach, z nikim nie chciałem się widywać.

Któregoś dość późnego wieczoru zjawił się u mnie najniespodziewaniej Pawlikowski. iękkim, łagodnym ale równocześnie bardzo stanowczym tonem oświadczył, że musi zabrać nie na kolację. Nie do siebie, bo nigdy żadnego „domu" nie prowadził, lecz w takie miejsce, którym obcych i obojętnych ludzi nie spotkam i nie zobaczę. Będziemy tylko w trójkę, on i Lilith-Bednarzewska. Protestowałem usilnie, upierałem się w sprzeciwach. I on się arł. Nic ustąpił. Zabrał mnie prawie gwałtem. Gdy ujrzałem, że dorożka zatrzymała się zed „Bristolem" (pierwszorzędną lwowską restauracją), chciałem uciekać. Pawlikowski ujął nie mocno pod rękę, nie puścił. Niechże mu ufam, przecież obiecał, że nikt obcy nie nawi- e mi się na oczy. Zaprowadził mnie na jakieś boczne wąskie schody, otworzył kluczem kieś drzwi na pierwszym piętrze. Weszliśmy do dwóch pustych pokoi, całkiem niezamiesz- ałych, bez śladu mebli i jakiegokolwiek urządzenia. Wyjął drugi klucz, otworzył drugie rzwi, jakby całkiem świeżo i na nowo zrobione, i znaleźliśmy się w oddzielnym restaura- yjnym gabinecie, w którym przy pięknie nakrytym stole czekała pani Konstancja. I zaraz yjaśniła mi wszystko:

— Dyrektor postanowił sobie bezapelacyjnie, że koniecznie musi mieć pana tutaj dziś ieczorem, bo zanadto mu pan się zasmęca. Jak się uprze, nikt nie da rady. Wiedział, że łoby panu przykro przechodzić przez restauracyjną salę, więc wynajął wczoraj na miesiąc wa puste pokoje, przylegające do tego gabinetu, i kazał nowe drzwi w ścianie wybić, żeby an mógł tu przyjść swobodnie i nie krępując się ludźmi.

Bez słów podziękowałem mu za ten gest wspaniałej przyjaźni. Któż inny, jak nie Tadeusz awlikowski, mógł zdobyć się na taką najdelikatniejszą wytworność serca, na taki czyn dny najprawdziwszego patrycjusza, na takie przesubtelne wyczucie czyichś nerwów, na ką mądrą i współczującą życzliwość w trosce o kogoś mu miłego...

W kilka miesięcy później poznałem w jego teatralnej kancelarii Stanisława Wyspiańskiego. utor *Wesela*, granego już przed paru laty na scenie lwowskiej, przyjechał, żeby przeczytać awlikowskiemu *Noc Listopadową*. Ukończył właśnie lekturę, wyszliśmy we dwójkę z teatru. atrzyłem na niego z podziwem i z czcią głęboką. Należałem i zawsze należę do fanatycz- ych wyznawców i wielbicieli jego poetyckiego geniuszu. Patrzyłem. To jest Wyspiański?

Drobny, wątły, zapięty ciasno w czarny anglez, blady, jasnowłosy, z jasną rozwichrzoną brodą, z cudownymi niebieskimi oczami, które patrzą w koło wciąż jakby w zadziwieniu. Oczy dziecka i świętego. Będąc pewny, że zrobię mu przyjemność, zaproponowałem, żeby poszedł ze mną do słynnej kawiarni Szneidra, gdzie schodzi się cała lwowska literatura. „Będzie Kasprowicz" — dodałem, myśląc, że najwięcej tym go zachęcę. — „Kasprowicz, tak?" — spojrzał na mnie prawie z przerażeniem, podał mi rękę i w milczeniu ze mną się pożegnał. Nie wiedziałem wtedy, że miał do Kasprowicza nienawiść tak wielkiej miary, jaką należy oceniać wielkość ich obu. Nienawiść to była nieubłagana. W listach Wyspiańskiego do Adamą Chmiela, które krakowski *Miesięcznik Literacki i Artystyczny* drukował przed pierwszą wojną, musiała redakcja wykropkować szereg ustępów o Kasprowiczu, bo niesposób było ich drukować. Już nie żył wówczas Wyspiański, ale żył Jan Kasprowicz, który zresztą, mówiąc o Wyspiańskim, też nigdy dlań nie miał jednego dobrego słowa.

To były sprawy „dwóch na przeciwnych swoich słońcach bogów", lecz martwiło mnie, że Pawlikowski nie przejawiał do twórczości Wyspiańskiego tych zapałów, jakich się po nim spodziewałem. Przyznawał, że jest to poeta o najwyższej skali duchowej, wywodzący się w prostej linii od Mickiewicza i Słowackiego, że niektóre jego dzieła można śmiało nazwać objawieniami, że jest w nich i najczystsze greckie „dobro i piękno" i najrdzenniejszy a nieśmiertelny mit polskości. Przyznawał, ale właśnie odnosiło się to tylko do dzieł „niektórych", bynajmniej zaś nie do wszystkich Były takie, które mu się nie podobały. Jeszcze za krakowskiej dyrekcji nie wystawił *Warszawianki*. (Cierpko o tym fakcie napisał Żeromski w *Snobizmie i postępie:* „Opowiadają, że najbieglejszy z biegłych, Tadeusz Pawlikowski, latami trzymał w biurku *Warszawiankę* Wyspiańskiego, nie decydując się na jej wystawienie"). Nie zdecydował się. Raz mi powiedział, że w *Warszawiance* pieśń nie jest utworem Wyspiańskiego a grają tam właściwie tylko strofy tej pieśni, reszta jest małego znaczenia. To nie był dla niego „prawdziwy Wyspiański". „Prawdziwego" odnalazł natomiast w *Legendzie*, którą wystawił we Lwowie z wielkim pietyzmem.

Było to wybitną cechą organizacji artystycznej Pawlikowskiego, że nie dozwalał narzucać sobie żadnych zachwytów, choćby szło za nimi najżarliwsze uznanie innych. Te zachwyty musiał zdobyć sam w sobie, w zupełnej niezależności ducha.

W jesieni 1905 musiałem prawie na rok wyjechać ze Lwowa, Zdarzyła mi się afera pojedynkowa, która narobiła nieco hałasu w mieszczańsko-urzędniczym mieście. Po powrocie nie zastałem już Pawlikowskiego na stanowisku dyrektora teatru. Ustąpił z dyrekcji, zniechęcony trudnościami, które mu czyniła tamtejsza sławetna rada miejska, zupełnie nie umiejąca ocenić niepomiernych jego zasług dla tej sceny. Według kontraktu kazano mu prowadzić oprócz dramatu także operę i operetkę, i to w tym samym gmachu. Przez sześć lat borykał się z tym i walczył, w końcu zbrakło mu już cierpliwości i nerwów. Poniósł też przez ten czas wielkie szczerby w osobistym majątku, którym hojnie szafował na rzecz teatru, nie mógł już pozwalać sobie na wielkopański rozmach w wystawianiu sztuk, które miały szczere poetyczne i artystyczne walory, nie gwarantowały jednak finansowego powodzenia. Zaś z całej duszy nie cierpiał „przedsiębiorstwa teatralnego" i „sztuk kasowych". Więcej, niż nie cierpiał. Nienawidził.

Wprost odwrotnie miała się rzecz z jego następcą, Ludwikiem Hellerem. Był to przede wszystkim człowiek interesu, więc faworyzujący operetkę i „lekki repertuar", umiejący schlebiać gustom najprzeciętniejszej mieszczańskiej publiczności. Miał jednak tyle sprytu, że ofiarował Pawlikowskiemu dość nieokreślone stanowisko „doradcy", który by czuwał nad artystycznym poziomem komedii i dramatu.

Z ciężkim sercem zdecydował się Pawlikowski na przyjęcie tej propozycji. Dla jego najpiękniej arystokratycznej i szlachetnie dumnej natury wielkim i dotkliwym było upokorzeniem, że w teatrze, którym dotychczas kierował, ma być teraz kimś podrzędnym, zależnym od cudzych humorów i poleceń. Ale przemógł się i przezwyciężył. Kochał teatr ponad wszystko, chciał mu służyć do ostatniego tchnienia, uczynił więc dlań największe z ambicji poświęcenie, największą z godności ofiarę. Oczywiście nie mogła trwać długo współpraca między dwoma ludźmi, z których jeden był prawdziwym artystą a drugi najpospolitszym zbieraczem grosza. Pomimo wszelkich wysiłków, pomimo wszelkiego zaparcia się i hartu, musiał Pawlikowski po kilku miesiącach zrezygnować z „doradzania" nowemu teatralnemu samowładcy. Rad jego nigdy nie słuchano, nie liczono się z jego zdaniem i z jego przestrogami, teatr staczał się niepowstrzymanie na mieliznę płaskiej banalności i tanich operetkowych powodzeń. W tych warunkach nie wolno było Pawlikowskiemu pokrywać swoim nazwiskiem tego smętnego upadku. Wycofał się i przyszły dla niego długie czasy bolesnej, daremnej tęsknoty do umiłowanego ideału: tworzenia nowej promiennej polskiej sceny, która

naprawdę, bez frazesów, była świątynią Sztuki. Wiele w tych czasach przecierpiał, wielu poznawał zgryzot bardzo głębokich. Dostojnego spokoju nie traciła twarz patrycjusza, jeszcze bardziej rzeźbiły się jej rysy.

Pracowałem wtedy nad nowym dramatem *Mściciel*. Dawno już marzyła mi się bohaterska postać poety Mieczysława Romanowskiego, który w roku 1863 zginął w bitwie pod Józefowem. Dawno już krążyły moje myśli wokoło tego roku, pełnego świętej krwi polskiej, najsmutniejszej chwały i mogił niepomszczonych. W miarę pisania czytałem Pawlikowskiemu sceny już gotowe. Czułem z radością, że mu się podobają. Gdy już byłem w połowie najsłudniejszego aktu trzeciego, powiedział mi Pawlikowski, że należałoby dać premierę nie we lwowskim teatrze, ale w Krakowie, gdzie Solski jest teraz dyrektorem. — „Niech pan do Solskiego napisze, że chętnie podejmę się u niego reżyserii *Mściciela*. Palę się do tego". — Propozycja okazała się jasno prawdziwa jego przyjaźń. Natychmiast napisałem do Krakowa. Solski zgodził się, ucieszył, dziękował.

Przyjechałem do Krakowa na ostatnie próby, jesienią 1907. Szło wszystko doskonale, niespokojny tylko byłem o akt trzeci, w którym z całą śmiałością lecz i z całym pietyzmem przedstawiłem tragizm klęski powstańców i zdziczałą brutalność zwycięzców. Wydawało mi się, że jedna z najsilniejszych scen, biczowanie kurierki oddziału przez żołdaków rosyjskich i jej pożegnanie z kochankiem, powinna być traktowana drugoplanowo, cofnięta w głąb, stonowana, nieco zamglona. Niech będzie tylko widać z dali niewyraźną twarz kobiecą i jej białe ręce do góry podniesione, niech tylko głos jej, dumny i nie zwalczony męką, góruje nad obojowiskiem i tłumem żołnierskich szyneli. Chciałem tu jedynie słów, a nie gestów. Przeciwnego zdania był Pawlikowski:

Widz jest od tego, żeby widział. Właśnie trzeba dzisiejszym ludziom, zbyt zadomowionym w spokoju, zadowolonym i przyziemnym, pokazać, jakie to były czasy tragiczne i wstrząsające, niechże zobaczą prawdę, podaną im odważnie. Niech zobaczą nie tylko bohaterstwo, ale i męczarnię. Niech zobaczą nagie plecy polskiej kobiety, ociekające krwią, niech usłyszą nie tylko dźwięk wierszy, ale i świst rózg. Tę scenę wysunie się na plan pierwszy.

Skłoniłem głowę. Niepokoju nie mogłem jakoś się pozbyć. I wolałem podczas premiery siedzieć samotnie w kancelarii Solskiego, która mu równocześnie służyła za garderobę. Grał Romanowskiego, wpadł, rozpromieniony, po pierwszym akcie: — Wywołują cię! Duże oklaski! Wzięła ich sztuka! Chodźże w tej chwili ze mną, musisz wyjść na scenę, publiczność chce widzieć autora!

Wywołano mnie także i po drugim akcie. Wręczono mi kwiaty. Zacząłem się uspokajać, byłem już zupełnie dobrej myśli.

Wpadł znów Solski, pod szminką spocony, drżący z przejęcia i wzburzenia: — Niebywała rzecz, straszna awantura! O mało co publiczność nie zerwała przedstawienia. Krzyczeli, głośno protestowali, część już wychodziła, panie uciekały z lóż... Niesłychane, nigdym się nie spodziewał!

Opowiadał mi zdyszanym głosem, że w ostatniej chwili aktor Mielewski, grający rolę rosyjskiego kapitana Woroncowa, zdołał jeszcze uratować sytuację. Przynajmniej o tyle, że tylko tako zakończono ten nieszczęśliwy akt trzeci. W momencie, gdy nerwy widzów już nie mogły wytrzymać sceny katowania kurierki, gdy napięcie pękło i zamieniło się w burzę, Mielewski z dobytą szpadą przyskoczył do żołnierzy-katów z okrzykiem: „Dosyć, psy! Zabiję!". Tak mu zresztą wypadało z roli, lecz miał to krzyknąć dopiero w dwie czy trzy minuty później. Wiadomo, że minuty na scenie są czasem dłuższe niż godziny. Zawołał zaś tak gromko i potężnie, że osadził na miejscu wychodzących już z teatru, oburzonych i rozgniewanych widzów.

Zapowiadający się tryumf tej sztuki przerodził się w klęskę bardzo dotkliwą. Pawlikowski, zrozpaczony i zmartwiony, wyjechał nazajutrz z Krakowa. Ja musiałem zostać. Trudno, to był mój obowiązek nie uciekać, stawić czoło wszystkim atakom i napaściom, bronić mego dzieła swoją przy nim obecnością.

Rano następnego dnia wezwano mnie z Solskim do dyrekcji policji. Powiedziano nam, że sztuka będzie bezwzględnie zakazana, o ile nie poczyni się zmian zasadniczych w trzecim akcie, który wywołał ogromne publiczne zgorszenie. Cóż było robić, skreśliliśmy połowę akcji. Otrzymałem również od dyrektora policji poufne ostrzeżenie, żebym nie pokazywał się na dalszych przedstawieniach *Mściciela*, bo mogę „mieć duże nieprzyjemności".

Wobec czego zasiadłem na tym drugim przedstawieniu w parterowej loży, sam jeden. Teatr był wypełniony. Jakże, skandal na cały Kraków! Trzeba to koniecznie zobaczyć! „Nieprzyjemności" ograniczyły się do wielu uwag złośliwych, niby półgłośnych, do jeszcze złośliwszych spojrzeń, do krzyżowego ognia lornetek, skierowanych na samotnika w loży. Gorsze

przyszły, gdy zacząłem czytać recenzje. Czegom tam nie wyczytał! „Kalanie narodowych świętości", „wybujały i bluźnierczy erotyzm, przechodzący już w brutalny sadyzm", „talent całkiem zwyrodniały", „umyślne nurzanie się w okropnościach"... Ktoś niepodpisany (naturalnie) a z górnym przemawiający namaszczeniem gromił mnie, że „nie tak to łatwo zamienić jedwabny trzewik Pierrota na twardy but powstańczy..."

W następstwie tych krytyk krakowska rada miejska na interpelację któregoś z radnych, że w *Mścicielu* tylko „gwałcą, mordują i męczą", nakazała dyrekcji teatru zdjąć tę sztukę z afisza.

Napisałem po powrocie do Lwowa *Mściciela epilog*, poświęcony publiczności krakowskiej i reprezentantom jej opinii. Na ich oburzenie odpowiedziałem wierszami. Pochwalił mnie za to Pawlikowski.

Gdy w dalszym ciągu znów zamknięta dlań była działalność w umiłowanym teatrze, przyjął ofiarowaną mu redakcję tygodnika literackiego *Nasz Kraj* we Lwowie. Wnet zgromadziły się tam co najprzedniejsze pióra: Wacław Sieroszewski, Stanisław Przybyszewski, Stanisław Miłaszewski, Jan Lemański, a z lwowskich pisarzy Karol Irzykowski, Henryk Zbierzchowski, Stanisław Womela.

Ja zaś wyjechałem wtedy na kilka miesięcy do Włoch, otrzymawszy stypendium literackie. Stamtąd na życzenie Pawlikowskiego przysyłałem do *Naszego Kraju* różne moje prace, między innymi artykuł, pisany we Florencji, o mieszkającym tam słynnym reformatorze teatru, Angliku, Gordonie Craigu. Prosił mnie specjalnie Pawlikowski, abym go odszukał, odbył z nim dłuższą rozmowę i obszerną zdał z niej relację.

Poznałem Craiga we florenckiej winiarni Lappiego, gdzie był punkt zborny wszystkich artystycznych wędrowców z całej Europy. Zbierali się tam przeważnie Szwedzi, Norwegowie i Anglicy. Craig był tam znaną i popularną osobistością, toteż zaraz mi go pokazano. Dosyć dziwnie wyglądał. W dużych fioletowych okularach, z twarzy jeszcze młody, a na ramiona spadały mu długie siwe włosy. Był synem jednej z najwybitniejszych aktorek angielskich, Ellen Tery, uczniem i wychowańcem wspaniałego aktora, Henryka Irvinga.

Odwiedzałem go w jego florenckiej pracowni na Lungarno i przekonałem się, że słyszał już dużo o Tadeuszu Pawlikowskim i że uważa go za artystę teatru, który w zupełności odpowiada wymarzonemu przez Craiga typowi „idealnego reżysera". A ów „idealny reżyser" winien być tym, który opanuje w sposób właściwy użycie składników dzieła dramatycznego, a więc ruchu, słów, rytmu, barw i linii, który w przedstawieniu scenicznym uzyska jedność tych wszystkich czynników, jedność, stanowiącą cechę każdego istotnego dzieła sztuki. Przeto ten „reżyser przyszłości" musi nie tylko obznajomić się doskonale z utworem, który chce przedstawić, musi nie tylko jak najwierniej w myśl intencji autora wżyć się w jego dzieło, złożyć w duchu przysięgę na jak najdokładniejsze przełożenie na scenę tekstu napisanego, wywołać najpierw we własnym umyśle jasne wrażenie obrazu, który chce w teatrze pokazać, lecz obowiązkiem jego jest również naszkicować przy pomocy fachowych współpracowników zarysy teatralnych dekoracji, kierując się przy tym myślą i nastrojem danego dzieła dramatycznego (na plan pierwszy powinno tu wystąpić zindywidualizowanie ram scenicznych), dobrać najstaranniej kostiumy dla aktorów, w końcu uczyć ich, albowiem on posiędzie wszystkie tajemnice ich kunsztu, chociaż jemu samemu aktorem być nie wolno. „Idealny reżyser" ma być i poetą i malarzem, znakomitym technikiem teatralnym i mistrzem wszelkiego aktorstwa.

Dużośmy o Pawlikowskim mówili. Craig coraz silniej utwierdzał się w przekonaniu, że jest to prawdziwie twórczy estetа, odkrywający nowe horyzonty w sztuce scenicznej, jeden z odrodzicieli jej piękna. Toteż zaraz na honorowym miejscu umieścił jego nazwisko w liście współpracowników miesięcznika *The Mask*, który wydawał we Florencji.

Nastąpiła później przyjazna wymiana korespondencji między nim a Pawlikowskim ku wielkiej obustronnej satysfakcji.

Jeszcze podczas mojej włoskiej podróży dotarły do mnie wiadomości, że teatr lwowski wystawił *Mściciela*. Budowano widocznie na tym, że krakowska burza, której echa wciąż były żywe, ściągnie dużo widzów „żądnych sensacji". Rachuby te zawiodły. Odbyło się tylko parę przedstawień. Za to w szereg lat potem, w czasie pierwszej wojny światowej, gdy wojska rosyjskie opuściły Królestwo, jeden z polskich teatrów objazdowych grał *Mściciela* w różnych tamtejszych miastach przeszło 150 razy. (Żadnego z tych przedstawień nie widziałem, służyłem wtedy w legionach, wieść o tym doszła do mnie dopiero po wojnie). Więc jednak nie pomylił się Pawlikowski, gdy przepowiadał, że kiedyś trafi ten utwór do serc szczerych, nie zmanierowanych intelektualnym mieszczaństwem.

Wkrótce po powrocie moim do Lwowa przeżywać musiał Pawlikowski ciężką osobistą

tragedię, w której znowu okazał wielką wytworność ducha i gest szlachetny, wzbijający się wysoko ponad płaską codzienność. Porzuciła go ukochana kobieta, z którą złączył się w wolnym związku, rozstawszy się dla niej z żoną, jeszcze za czasów krakowskiej swojej dyrekcji, ku pełnemu hipokryzji oburzeniu tamtejszej zakłamanej świętoszkowatej opinii. Porzuciła go, też już niemłoda, chociaż wciąż jeszcze bardzo urocza i ponętna, idąc czy to za porywem niespodziewanej namiętności, czy też kierowana niespokojną fantazją artystki, szukającą burzliwych przygód w nieznanych dalekich krajach. Bo uciekła Konstancja Bednarzewska z młodym aktorem aż do Syrii. Dotknęło to Pawlikowskiego najokrutniej. Żył z nią od lat kilkunastu, wiele dla niej poświęcił, przywiązał się do niej całym sercem, ona jedna umiała rozpraszać i koić samotność jego wewnętrzną, nieraz bardzo bolesną.

W głęboką wpadł wówczas melancholię. A ci wszyscy, którzy garnęli się do niego zbyt pochopnie i często natrętnie, gdy „dobre miał czasy", zaczęli teraz nagle stronić od ponurego i osmętniałego melancholika. Może byłem wtedy jedynym, który stale i wiernie dotrzymywał mu towarzystwa. Schodziliśmy się prawie codziennie wieczorami. Nabrał wtedy dziwacznego gustu, aby spędzać te wieczory w zapadłych jakichś knajpach, z dala od „eleganckich" dzielnic miasta. Siedzieliśmy długo w noc, milcząc. Nie odzywał się ani słowem, a gdy ja próbowałem zacząć rozmowę, uciszał mnie zaraz delikatnym ruchem dłoni. Piliśmy włoskie wino, jeżeliśmy je tam znaleźli, a w braku wina wódkę i czarną kawę. On palił cygaro za cygarem, ja wielką ilość papierosów. Patrzyliśmy na siebie i widziałem, jak zwolna rozwiewał się smutek na tej subtelnej, uduchowionej twarzy, jak w oczach budził się uśmiech marzycielski. Po kilku godzinach tego milczenia szliśmy do domu. Żegnając się ze mną, nareszcie otwierał usta i mówił nieodmiennie: — Dziękuję ci za ten wieczór. Bardzo był miły.

Niewierna powróciła. Szły za nią od niego depesze hen aż do Damaszku, depesze, w których przebaczał i tylko domagał się powrotu. Znowu wielu takich się znalazło, którzy za złe mu wzięli i to przebaczenie i przygarnięcie jej do dalszego wspólnego życia. Prezes galicyjskiego Wydziału Krajowego, marszałek Badeni, mający zwierzchność nad teatrami, ukarał „awanturniczą aktorkę", oddalając ją na cały rok od sceny. Znowu zaczęli różni najgorszego gatunku „moraliści" od niego się odsuwać.

A mało kto umiał zrozumieć, że zwalczył po bohatersku upokorzenie męskiej ambicji wielką miłością, godną najwyższego poszanowania. Mało kto umiał schylić głowę przed potężną mocą uczucia, które za ból płaciło tkliwym i najdelikatniejszym pobłażaniem. Mnie wtedy wyraźnie stanęła przed oczami cała suwerenna dostojność tej wyjątkowej duszy.

Przyszła dla Pawlikowskiego nareszcie po długim, bezdennie męczącym oderwaniu od teatru znów możliwość umiłowanej pracy. W połowie roku 1914 zaproszono go do ponownego objęcia dyrekcji teatru miejskiego w Krakowie. Zaraz zaczął rozwijać ożywioną, gorączkową działalność przygotowawczą. Zwrócił się do mnie, abym mu śpiesznie przetłumaczył *Sonatę upiorną* Strindberga. Bardzo był zadowolony, gdy przed paru laty na jego życzenie przełożyłem *Jak łabędź białą* tegoż Augusta Strindberga i wielce mnie chwalił za ten przekład. A dodać tu trzeba, że tę dwuaktową baśń dramatyczną o królewnie „jak łabędź białej" (po szwedzku *Svanevith)* napisał przeszło sześćdziesięcioletni Strindberg dla czwartej swojej żony, osiemnastoletniej aktorki, która w Teatrze Kameralnym w Sztokholmie grała ową „Svanevith" trzysta kilkadziesiąt razy z rzędu.

Wybuchła wojna. Ubrałem się w mundur legionisty. A Pawlikowski umarł nagle w pierwszych miesiącach tej wojny. Umarł, jak żył, wytwornie. Siedział w krześle, z cichym jękiem uchwycił się za serce. Miał je pełne przepięknych marzeń, których tylko część mała się spełniła. Zbyt były szczytne i wielkie, nie mogły się zmieścić w jednym tylko krótkim ludzkim życiu. Poszły więc dalej.

Powiedział mi kiedyś: — Właściwie to ja jestem, jak ten twój stary królewicz z bajki, któremu w *Lilith* złośliwe karły pokazują szydercze ruiny jego bajkowego królestwa. Wymarzonym moim królestwem był teatr i jakże częstych i przykrych doznawałem tam zawodów, nieraz musząc patrzeć na lalki, gdy pragnąłem widzieć aniołów.

Wierzę, że rozwidnią się oczy szczerze tęskniących.

Na koniec niech mi wolno będzie zacytować, co napisał Antoni Potocki w swej cennej *Polskiej Literaturze Współczesnej:* „Juliusz German wszedł do literatury, otoczony opieką i wpływem Tadeusza Pawlikowskiego".

Bądź pozdrowiony, przyjacielu, na dawne i przyszłe czasy.

*Juliusz German*

# SPRAWOZDANIA

## CZAS ODNALEZIONY MIECZYSŁAWA JASTRUNA

MIECZYSŁAW JASTRUN: *Rzecz ludzka.* Poezje. Łódź, 1946. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", str. 193+3 nlb.

Nie ma poety, w którego twórczości motyw czasu grałby taką rolę, jaką gra w poezji Mieczysława Jastruna. Stefan Kołaczkowski w studium o *Ironii Norwida,* rzucając na marginesie uwagę o metodzie badań, pisał, że najbardziej zbliżyć się można do ujęcia i wytłumaczenia zjawiska twórczego przez wyodrębnienie cechy, która wyraźna lub utajona spełnia rolę jak gdyby zasady określającej. Niewątpliwie u Jastruna znaczenie takiej określającej dominanty przypada jego stosunkowi do motywu czasu. Uwidacznia się to nawet swojego rodzaju obsesją, której wyrazem są frazy pojedynczych wierszy, a nawet tytuły utworów czy poszczególnych książek, związane z pojęciem czasu. Nigdzie jednak ten charakterystyczny stosunek do czasu nie znalazł takiego pełnego wygłosu, jak w ostatniej publikacji poety.

Tom *Rzecz ludzka,* obejmujący wiersze z czasokresu 1938 do 1945, nie tylko ukazuje twórczość Jastruna w kształcie dojrzałym i wśród przeobrażeń, jakim uległa, ale zarazem uwyraźnia dobitnie czynniki, które zmiany te uwarunkowały. Zmiana jednak, jeżeli już o niej trzeba mówić, a wrażenie jej narzuca się po lekturze ostatniej książki, nie dokonała się w tym sensie, żeby poezja ta w dzisiejszej postaci stała się niepodobna do tego charakteru, w jakim objawiała się dotychczas. Nie, materia poetica *Rzeczy ludzkiej* jest, jak to już słusznie podkreślano, ta sama co w pięciu poprzednich zbiorach. W tym względzie Jastrun należy do zadziwiającego typu poetów jednorodnych. Zaszły jedynie przesunięcia i, co najmocniej zadecydowało, dopełnienia akcentów. Chronologiczny układ utworów, zachowany przez autora, pozwala dojrzeć to z tym większą wyrazistością.

Typowym i szczególnie charakterystycznym dla śledzenia motywu czasu u Jastruna wydaje mi się poemat *Cienie wędrówki,* napisany u progu okupacji i zachowany niestety w luźnych fragmentach. Utwór ten jest właściwie jeszcze jednym wcieleniem tej zasady twórczej, która cechowała poezję Jastruna w okresie przedwojennym, zasady, która prowadziła do oglądania i ukazywania rzeczywistości w kształtach oderwanych od jej bezpośredniej wymowy, przetransponowanej już na wymowę widm i fantomów z świata, w którym rzeczywistość wysadzona została z normalnych zawiasów, w którym rządzą inne prawa i inny czas. Właśnie: inny czas. On to bowiem jest prawodawcą i czynnikiem przemieniającym rzeczywistość.

Jaki to czas? — Jedna fraza wspomnianego poematu mówi o „zmierzchu pozahistorycznym". Określenia dawane przez poetów bywają często samookreśleniami. U Jastruna, którego wyobraźnia, mimo że operuje obrazami, ma charakter intelektualny, samookreślenia są nierzadko sensem budowy utworów. Utworów, które dążą, jak tego wymaga główne zadanie liryki, — a Jastrun jest *sensu stricto* lirykiem, — do ustalenia sytuacji indywiduum w ramach rzeczywistości.

Czas „pozahistoryczny" Jastruna objawiał się właśnie w wynikach przezwyciężaniem aktualności. To, co dziejąc się w danej chwili, pobudzało poetę do wypowiedzi, przekraczało granice danej chwili. Aktualna rzeczywistość przemieniała się w wyobraźni poety w cienie, odbicia rzeczy, spraw i ludzi, w zwiewne fantomy, które poprzez czas miniony mogły podawać rękę fantomom przeszłości. Charakterystyczne były te damy i kawalerowie z gobelinów czy starych portretów, otrzymujące w oczach poety zdolność ożywania. Ożywały one przecież

w świecie, na którym przestały ciążyć prawa czasu minionego, zastąpione prawami „czasu pozahistorycznego", w którym nie istnieją granice epok, w którym to co minęło może, przywołane zaklęciem wyobraźni, łączyć swoją egzystencję z tym, co jeszcze trwa.

Wiersze Jastruna, będące wyrazem tej pozahistoryczności, czarowały — nie była to bowiem jedynie igraszka, ale istotne w przeżyciach przezwyciężenie granicy czasu. Postawa taka spokrewniała go z poetami symbolizmu. Guślarska jego poezja, odmienna wprawdzie w ostatecznym kształcie, wyrastała z tego samego podglebia. Szczególnie zapewne nie bez wpływów w umacnianiu tej przyrodzonej i objawionej od początku postawy były uroki Rilkego, dla którego *Elegij duinezyjskich* czy *Malte* możemy znaleźć odpowiedniki w takim urywku wspomnianego poematu *Cienie wędrówki*, jak to wspominanie przodków:

*Umierali, zmieniając pokrowce,*
*Dzierżawcy twarzy i rąk,*
*Które przekazywali potomnym*
*Z pokolenia na pokolenie,*
*Tasując rysy rodzinne jak karty.*
*W płuca, w serca chwytali powietrze to samo,*
*Które wdychałem chłopcem,*
*Aż dopełnił się i zamknął ogromny*
*Krąg.*

Życie w czasie pozahistorycznym wiedzie niejednokrotnie ku niebezpiecznym pokusom. Jastrun nawet przy swoim czujnym instynkcie artystycznym i czujnej kontroli intelektu nie zawsze zdołał się tym pokusom oprzeć. Stąd w wierszach *Rzeczy ludzkiej* wypływają jeszcze takie frazy:

*I cóż mi z gorzkiej wiedzy o tym, co jest,*
*Gdy wiele z tego, co nie istnieje,*
*Zawarło w sobie radość i nadzieję.*

Stąd także w utworach przedwojennych, kiedy wzrok poety odwracał się od ścigania fantomów ku sprawom aktualnym, kiedy brał w siebie tragiczne dysproporcje epoki, katastroficzny ton wierszy nie aktualizował się, operował natomiast nieokreślonymi, choćby nawet sugestywnie podanymi pojęciami „dziejów" i „pokoleń". Nie można bowiem z wyżyn pozahistorycznych mówić o sprawach umieszczonych w określonych, czy nawet ciasnych granicach czasu.

Wydany w Lublinie jesienią 1944 roku zbiorek *Godzina strzeżona*, obejmujący część wierszy z okresu okupacji, wymagał (jeżeli tak w ogóle można powiedzieć w odniesieniu do autonomicznych przecież zjawisk, do jakich należą przejawy twórczości) — tego dopełnienia, jakie znajdujemy w *Rzeczy ludzkiej*, czytając *Cienie wędrówki* i inne utwory, będące odbiciem postawy, jaka została nam w pamięci o twórczości Jastruna z okresu przedwojennego.

Te właśnie utwory tym wyraziściej pokazują, jak dokonało się w poecie przejście od patrzenia przez pryzmat perspektywy czasu pozahistorycznego do perspektyw czasu historycznego. Rzeczywistość wojny, która jeszcze w *Cieniach wędrówki* transponowała się w fantomy, pokazała się w miarę narastania wydarzeń w takich kształtach, które musiały przeniknąć na wskroś wyobraźnię poety i ujarzmić ją bez reszty. Nie udało mu się już dłużej, czy też nie chciał już dłużej wymijać praw czasu historycznego, w obliczu którego stanął, zobaczywszy go w całej przerażającej realności jako *Czas Morderców*, jak to w jednej frazie określa.

*O każdej chwili mógłbym wrócić wstecz*
*I wieść przerwane gdzieś tam życie,*
*Ale nad głową moją miecz*
*Zawisnął od westchnienia ciszej.*

I w tym tkwi sedno tego, co odczuwane bywa jako zmiana w twórczości Jastruna. W tym jest właśnie przesunięcie akcentu. Niezmieniona została *materia poetica*, utrwalająca wrażenie jednorodności tego poety, chociaż i ją „krew, ta proza dziejów" nasyciła nową treścią i to samo dominujące miejsce zatrzymał istotnie charakterystyczny motyw czasu. Przeobrażenie polega właśnie na zmienionym stosunku do czasu, który z bezkształtności pozahistorycznej wyłania się jako określony, konkretny, realny czas historyczny.

W tym sensie wiersze tomu *Rzecz ludzka*, jak i poprzednio wydanego *Godzina strzeżona*, są trybutem spłaconym aktualności. Ale aktualność ta wyrosła ponad normalną miarę i w jej zdarzeniach niósł się wiew spraw wielkich i nieodwołalnych, epokowych. Liryk, oddający własne wzruszenia i myśli w obliczu takiej właśnie rzeczywistości, która była jednakowa dla całego pokolenia, mówił i za siebie i za pokolenie. I dlatego te wiersze Jastruna, będące odbiciem jego postawy „czasu odnalezionego", stały się w naszej poezji jedynym w swoim rodzaju, jak dotąd, jeżeli chodzi o pełne osiągnięcie artystyczne, tragicznym i patetycznym, pełnym grozy i bohaterstwa obrazem okresu okupacyjnego.

Jest to tym bardziej znamienne, że autorem tego realnego obrazu jest poeta, którego twórczość wydawała się na zawsze zamknięta w kręgu guseł, wyczarowujących

cienie i fantomy. Dojście do tego nie było jednak bynajmniej przeskokiem, ale naturalnym przeobrażeniem.

Jastrun rozpoczął swoją twórczość w momencie, kiedy kończył się światoburczy okres Skamandra i kiedy nowa generacja poetów szukała nowych dróg — albo przez kontynuację i odświeżenie tradycyjnych wartości, albo świadome, nowatorskie przezwyciężenie tradycji i tworzenie nowych kanonów poetyckich. Jastrun, którego w zasadzie należało zaliczyć z uwzględnieniem jego odrębności do tradycjonalistów, próbował ze skutkiem częstokroć godnym podziwu wyciągnąć nowe możliwości z tej samej gleby, z której czerpali symboliści. Kierunek jego twórczości był równoległy do tych dążeń, jakie za granicą reprezentowali R. M. Rilke, B. Pasternak czy J. Supervielle. W wymienieniu tych nazwisk nie chodzi wcale o wykazywanie ewentualnych wpływów, bo parantele literackie Jastruna nie są bynajmniej tak proste, ale o znalezienie punktów stycznych w zaznaczeniu linii kierunkowych rozwoju, które u nas nie miały swoich odpowiedników i które dlatego poezję Jastruna już od pierwszego jego tomu *Spotkanie w czasie* stawiały w odosobnionej i wyjątkowej pozycji na tle międzywojennego dwudziestolecia.

Jedno wszakże łączyło Jastruna z współczesną mu generacją poetów polskich. Było to pragnienie nasilenia twórczości głębią, pragnienie znalezienia „wielkiej treści". Objawiało się to w rozmaitej postaci, ale stanowiło cechę charakterystyczną dla końcowych lat tamtego międzywojennego okresu naszej poezji. Wystarczy wspomnieć nazwiska takie jak Wł. Broniewski, Wł. Sebyła, M. Piechal, W. Bąk, J. Łobodowski, L. Szenwald czy Cz. Miłosz, aby uzmysłowić sobie różnorodność tego wspólnego dla wielu odrębnych indywidualności nurtu.

Jastrun tworzył również pod tymi samymi impulsami, chociaż w jego widmowej wówczas liryce były one mniej wyraziste. Dopiero w wierszach ostatnich lat wyzwolił się ten nurt z całą siłą. Zarówno *Godzina strzeżona*, jak i *Rzecz ludzka*, mówiące o strasznych zdarzeniach okupacji, o grozie wiszącej nad człowiekiem, o walce człowieka o to, co było dla niego najważniejsze, co było właśnie ową „rzeczą ludzką": wolność i godność, ukazują w swojej tematyce w sposób całkiem bezpośredni tamto charakterystyczne dla całej generacji poetów dążenie do nasycenia poezji głębią i wielkością.

Czy w tym należy widzieć, jak pragną niektórzy, nawrót do tradycji wielkiej naszej poezji romantycznej?

Na to pytanie niech będzie odpowiedzią drugie pytanie: czy sam taki zamierzony nawrót byłby wystarczający, aby zapłodnić poezję współczesną? Bo przecież to zjawisko poetyckie, jakie ukazały nam dwie ostatnie książki Jastruna, jest żywe, pulsujące gorącą i czerwoną krwią. Upatrywać w tym wolno raczej cechę rodzącego się stylu poezji nowej epoki, tym bardziej, że objawy zaobserwowane u Jastruna nie są wcale odosobnione.

Bez wątpienia, trudno jeszcze definiować ten nowy styl. Obok patosu i dramatyczności, które uderzają w stopniu szczególnie mocnym, mocniejszym, niżby wytrzymywało ucho krytyka i nawet czytelnika przed wojną, mają w nim miejsce cechy, wywodzące się z intelektu. Liryka Jastruna, nie wyrzekając się patetyczności i dramatycznego tonu, nasycona jest równocześnie intelektualizmem, widocznym w lapidarności określeń i dążności aforystycznych. Jest tutaj również i realizm. I w nim może najwyraźniej można śledzić linię przemian stylistycznych.

*Ktoś wychylił się ciałem nieostrożnym.*
*Ujrzałem: gwiazda pożarła mu głowę.*

*(Wspomnienie września*
*z Cieni wędrówek, 1940—41)*

*Dziewczyna zginie rozszarpana*
*Granatem w pierwszy dzień powstania.*

*(Pieśń gminna)*

Porównanie tych dwóch opisów śmierci świadczy o wyraźnym narastaniu tendencji realistycznych, przeobrażających styl Jastruna w sposób znamienny, tym bardziej widoczny i uderzający, jeżeli śledzić wiersze pomieszczone w zbiorze *Rzecz ludzka* zgodnie z chronologią ich powstawania.

Dla miłośników poezji Jastruna ostatnia publikacja nabiera szczególnej wagi. Ukazuje ona bowiem, jakimi drogami szła twórczość tego poety do zmian, których wyrazem była już poprzednia książka *Godzina strzeżona*. Zarysowane tutaj przejście od praw czasu pozahistorycznego do czasu historycznego, co miało, jak widzimy, takie znaczenie, że śmiało można mówić o czasie odnalezionym poety, — otwiera dalsze perspektywy rozwojowe, które nie pozostaną bez żywotnego znaczenia dla całej współczesnej poezji polskiej.

*Hieronim E. Michalski*

# NA NOWYM WYDANIU „GRANICY"

ZOFIA NAŁKOWSKA: *Granica*. Powieść. Wydanie 5. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1945; str. 274.

## I

*Granica* zajmuje specjalne miejsce zarówno w produkcji literackiej lat międzywojennych, jak i w twórczości jej autorki. Ze względu na temat i tło: sfery młodej biurokracji polskiej lat 1920—23 oraz charakter książki: satyryczne ujęcie najbliższej nam historii, powieść Nałkowskiej nie jest zjawiskiem odosobnionym (Kaden, Gojawiczyńska). Jednak z szeregu pokrewnych ujęć wyróżniła się (nie mówiąc o odrębnym, wybrednym artyzmie) specyficzną, właściwą Nałkowskiej problematyką. W szeregu natomiast książek Nałkowskiej znajdą się wyraźne antecedencje *Granicy* i kontynuacje jej kierunku. Miejsce *Granicy* jest gdzieś pomiędzy *Romansem Teresy Hennert* a *Węzłami życia*. Jeśli zaś chodzi o metodę artystyczną, książka ta stoi najbliżej *Niecierpliwych* i tychże *Węzłów życia*.

Znaczenie *Granicy*, uwagę, którą na siebie ściągnęła, tkwią w nadzwyczaj wyraźnym postawieniu czy raczej wyrażeniu problemu. Został on zademonstrowany z geometryczną oczywistością i dramatycznymi walorami kompozycji. Ten bardzo zdecydowany charakter przysłonił może nawet w powieści to, co ją łączy ze światem twórczości Nałkowskiej w ogóle, z jego ustaloną problematyką i światopoglądem, sprawiając, że na pierwszy plan wysunął się moment społeczny znacznie ostrzej aniżeli w pozostałych jej dziełach. Ten problem centralny ujęła Nałkowska w definicję: „co dla jednych jest podłogą, dla drugich staje się sufitem", analogię do klasowej budowy społeczeństwa znajdując w „warstwowej" konstrukcji czynszowej kamienicy. Pod kątem tych „nawarstwień" rozpatrywane jest również w książce zagadnienie „równouprawnienia erotycznego" klas. W *Granicy*, jak i wszędzie u Nałkowskiej, nie wychodzimy z kręgu zagadnień erotycznych. Ale tu zostały one ujęte w ścisłym związku z uwarunkowaniem socjologicznym.

Niemniej rzucającą się w oczy sprawą jest pewna maniera kompozycji, która w szeregu *Granica, Niecierpliwi, Węzły życia* — rozwija się *crescendo*. W narracji jest to dążenie do imitacji pewnego rodzaju rzeczywistości (w *Granicy* i *Węzłach* świat wyższych kół biurokratycznych). Rama narracyjna utrzymana jest w stylu ocen, poglądów i słownika nie autorki *Domu nad łąkami* czy *Choucas*, lecz tzw. opinii publicznej. Ma to stwarzać pozory pewnego obiektywizmu i dokumentaryzmu, pozory skromności autora, który się usuwa w cień „przed faktami". Imitacja ta jest bardzo zręczna a jednak nasuwa wrażenie niejakiej sztuczności.

Ta metoda artystyczna posiada w *Granicy* szczególne uzasadnienie w problematyce tej powieści: idzie tu o systematyczną konfrontację oblicza „obiektywnego" faktów z ich różnymi subiektywnymi aspektami. Niezależnie od tego, jak i niezależnie od doskonałej „roboty psychologicznej" powieści, jej prawdziwość znajduje się w pewnym swoistym wymiarze imitacji i pozoru. I to znowu wiąże się z tematyką utworu, gdzie cały świat przedstawiony jest światem pozorów. Pierwsze słowo książki — to „kariera". Słowo jakże znamienne. Styl Nałkowskiej podchwytuje tę „pozorną" naturę świata, którym się zajmuje, bawi się nią, wciąga w grę. Sztuczność jest w samym założeniu — i autorka jest wirtuozem i poetką sztuczności. Da się to powiedzieć o całej grupie wymienionych powieści z tym zastrzeżeniem, że w *Granicy* maniera ta jest najdyskretniejsza, w *Węzłach życia* zaś najbliższa przesady. Zawsze zaś pozostaje związana z metodą analizy psychologicznej, którą z zamiłowaniem uprawia Nałkowska, która jest decydująca dla jej zainteresowań twórczych.

Z tymi zainteresowaniami analitycznymi łączy się także kompozycja jej powieści. (Mówimy ciągle o wyodrębnionej na początku grupie: *Granica, Niecierpliwi, Węzły życia*). Ma ona charakter wybitnie intelektualistycznej, w *Granicy* aż geometrycznej konstrukcji. Z zamiłowaniem przedstawia autorka sprawę *ex post*. Niekiedy wprawdzie wydaje się, że taką ramę można zdjąć jak wieczko bez naruszenia reszty — np. w *Granicy* mimo wstępu i zakończenia przeważa jednak rozwojowy sposób przedstawiania akcji. Ale to tylko pozór. Kompozycja taka posiada swoje umotywowanie w światopoglądzie. Nałkowskiej i artystyczną celowość: zawsze idzie autorce o subtelne demaskowanie nawarstwień psychicznych. Dlatego kompozycja taka nie jest tylko łatwą do usunięcia ramą zewnętrzną, lecz istotnie przerasta od wewnątrz całe tworzywo. Zamiłowanie do przedstawiania sprawy *ex post*, jako materiału do odkryć i analizy (np. poza wymienioną grupą — z drugiego „szeregu artystycznego" tak sugestywnie podana historia państwa de St.-Albert w

*Choucas* — lub charakterystyczny pod względem kompozycji *Dom kobiet*) prowadzi w sposób naturalny do konstruowania, do przewagi czynnika logicznego w kompozycji powieści. Nie staje się to u Nałkowskiej wadą, jest tylko wybitną cechą tej grupy powieści. Z dobrym wynikiem artystycznym „doprowadza równanie do końca" w *Granicy*, w pełni osiąga efekt dziwności i zaniepokojenia w *Niecierpliwych*, a przeciąga strunę dopiero w *Węzłach życia*, gdzie kompozycja przesadą swego barokowego skomplikowania ciąży nad naturalnością i życiem postaci.

W *Granicy* zaś zasadą konstrukcyjną jest zupełna równoległość dwu początkowo niezależnych wątków: miłości Justyny i Zenona oraz Zenona i Elżbiety, ich coraz ściślejsze splatanie się — i wreszcie wspólne rozwiązanie. Te dwa wątki, to romans panicza z „prostą dziewczyną" i jego miłość do „panny z towarzystwa". Geometryczna równoległość tych wątków została przeprowadzona z upartą konsekwencją, przemyślana i wyzyskana do końca. Żaden efekt zestawienia nie zostaje darowany, żadna okazja naświetlenia pominięta, a wszystko to wdrożone jest tak dyskretnie i niby mimochodem, że można mówić o doskonałej celowości rozłożenia materiału. Wrażenie kolejnych „odkryć" i dramatycznego rozwoju akcji, wrażenie nieuchronności dramatu psychologicznego, który się rozgrywa, jest zupełne.

## II

Przypomnijmy, z jakich faktów powieściowych składają się te dwa dramatycznie splątane z sobą wątki.

Zenon Ziembiewicz, student Nauk Społecznych i Politycznych, syn niebogatych rodziców, wróciwszy na wakacje z paryskiego biedowania do schowanego z dala od „europejskich gwarów" dworku, który oszczędziły lata wojny, ulega pokusie lata — w postaci pięknej chłopki Justyny, pełnej wrodzonej wytworności i ufności. Justyna jest nieślubnym dzieckiem swej matki, wdowy Bogutowej, kucharki we dworze Ziembiewiczów. Zenon z brakiem wewnętrznego przyzwolenia i inicjatywy zawiązuje ten stosunek, by później odjechać bez jasnego określenia sprawy wobec dziewczyny i siebie. Przed wyjazdem na ostatni rok studiów odnawia „uczniowską" jeszcze miłość do panny Elżbiety Bieckiej i zawiera z nią narzeczeństwo, pozornie przekonany o zakończeniu sprawy z Justyną, przekonywujący o tym siebie i narzeczoną. Zarazem dla zrealizowania wyjazdu w trudnej swojej sytuacji finansowej czyni pewną koncesję z niezależności swoich przekonań (artykuły dla gazety Czechlińskiego). W dzień powrotu do kraju i do narzeczonej odnawia — „sam nie wiedząc jak" — swój romans z Justyną, która tymczasem straciła matkę i została zupełnie sama.

Historia tych nieporozumień, tej wiedzy i niewiedzy o postępkach własnych ciągnie się aż do końca, aż do samego tragicznego rozwiązania splątanych losów. Elżbieta pragnie iść drogą prostą, szukając „tylko" spokoju sumienia, próbuje się wyrzec narzeczonego z chwilą, gdy się dowiaduje o dalszym istnieniu sprawy Justyny. Justyna mianowicie, od której Zenon odsuwa się w chęci zakończenia przypadkowego, jak sądzi, związku — na rzecz jedynej miłości do Elżbiety — Justyna oznajmia mu, że ma zostać matką. Nie wie ona nic o istnieniu Elżbiety i kocha w nieskomplikowany i naiwny sposób „swego" panicza, więc pragnie tego macierzyństwa. Zenon jest niemile zaskoczony i zatrwożony po prostu tym faktem. Gorzko rozczarowana Justyna pozornie z własnej woli decyduje się wyrzec dziecka. Tym razem stosunki wyglądają na definitywnie zerwane, Zenon odzyskuje swoją narzeczoną i żeni się z nią.

„Kariera" jego posuwa się szybko, czemu towarzyszy coraz większe pogodzenie się z Bóg wie jakim obliczem rzeczywistości. Dzięki protekcji Czechlińskiego zostaje redaktorem gazety miejscowej, wreszcie prezydentem miasta. Ma syna i miłość żony. Tymczasem Justyna, której dogodny byt materialny zapewnili oboje, Zenon i Elżbieta, swoimi staraniami, popada w apatię i wreszcie chorobę umysłową wskutek wstrząsu, który spowodowało u niej pozbycie się nienarodzonego dziecka. Staje się to jej *idée fixe*, doprowadzającą do znienawidzenia dawnego kochanka. Zenon wraz z Elżbietą pragną zapobiec nieszczęściu dziewczyny, leczą ją i opiekują się. Do tych trosk Zenona przybywa niepowodzenie jego prac społecznych jako prezydenta miasta, wywołane przez cofnięcie kredytów. Lokaut i rozruchy dopełniają ciężaru tych dni, ciężaru odpowiedzialności, który inni starają się zrzucić na jego barki. Narastająca groźba obłąkania Justyny unicestwia jego szczęście rodzinne. Zenon dochodzi wreszcie do przekonania, że szczęście jego i Elżbiety wyrosło na podeptaniu Justyny. Mimo wysiłków Justyna nie może opanować wariackiej nienawiści do Zenona i któregoś dnia, zmyliwszy ochronę, dokonuje nań zamachu. Okaleczony, pozbawiony wzroku Zenon kończy samobójstwem.

Ta historia krzywdy dwu kobiet, krzywdy wywołanej postępowaniem słabego i nieszczerego mężczyzny, należy do zakresu częstych u Nałkowskiej problemów erotycznych. W *Granicy* jednak historia ta została obciążona zagadnieniem społecznym i w tym właśnie zawiera się waga tej powieści.

Widać to przede wszystkim w postaciach tych krzywdzonych kobiet. Elżbieta szuka swojej prawdy moralnej, buntuje się przeciw wszelkiej niewoli, kłamstwu i nieuczciwości, przeciw takiemu układowi życia, jaki stawia jej przed oczy ponura hierarchia pięter jej kamienicy, jaki stawia jej przed oczy rzeczywistość Polski odrodzonej, w której krzywda społeczna pozostała bez odkupienia i odrodzenia, w której rana społeczna gnije nadal i zatruwa atmosferę moralną. Elżbieta, obciążona kamienicą, ciotką należącą do tego układu — obciążona własną pozycją socjalną, chce wylczyć z tym ciężarem, bez względu na genealogię psychiczną i predestynację klasową. Pragnie walczyć o swoją osobistą uczciwą postawę wobec życia, chce przezwyciężyć nienawistne dziedzictwo. Ten problem moralny — czy jest możliwe wyzwolenie od dziedzictwa — stanowi drugie zasadnicze zagadnienie powieści zarówno dla Elżbiety, jak Zenona. Strony zagadnienia: etyczna, psychologiczna i społeczna splatają się ściśle. Elżbieta więc, od dzieciństwa dotkliwie doznając i rozumiejąc „socjologię" kamienicy ciotki, postanawia iść nieugiętą drogą uczciwości, tj. osiągnąć indywidualne rozwiązanie problemu społecznego. Czy jest to możliwe? „...Chcemy odłamać się od nich najgłębiej jak można. A później się okazuje, że to samo jest w nas. Bo nie jesteśmy tak bardzo inni, nie możemy się ich tak całkowicie wyrzec" (str. 65).

I tu, jak często w twórczości Nałkowskiej, o wiele więcej szczerego wysiłku moralnego okazała postać kobieca, niż męska. Mimo to rezultat nie zostaje osiągnięty: rozwiązanie powieści, ostatnia rozmowa Elżbiety z Zenonem, zostawiają czytelnika w przeświadczeniu, że jednak udziału w winie społecznej Elżbieta nie uniknęła. Oto ona, choć nie ma sobie nic do wyrzucenia w postępowaniu z Justyną, choć brała na siebie tyle razy ciężar naprawiania nieuczciwej słabości męża, dopomagania mu w niesieniu tej sprawy, w której tyle zawinił — słyszy od niego słowa, że jest winna. Jest winna, gdyż jest szczęśliwa, gdyż są oboje szczęśliwi, a tamta marnieje w obłąkaniu. Pokonana, tę winę wreszcie na siebie przyjmuje. Kara spada na nią, która jedyna wszystko zrobiła, by walczyć ze złem — jej życie zostaje rozbite. Pesymistyczny wniosek, niewiara w możność uniknięcia winy społecznej, choćby najszlachetniejszym indywidualnym wysiłkiem — nadaje powieści charakter jakiejś tragedii losu. Przez autorkę, ciążącą nieraz ku tragizmowi — wydźwięk na pewno zamierzony.

Droga do szczęścia Elżbiety staje się z konieczności drogą zguby Justyny. Nigdy nie zapomniała Elżbieta, chociaż uczynił to jej mąż, co leży po stronie jej ideałów, a co po stronie przeciwnej, nigdy nie przestała „boleć nad klasowym ustrojem społeczeństwa", nigdy nie pogodziła się z tym dla jakiejś wyższej rzekomo racji, a jednak i jej przeznaczenie społeczne kazało stanąć przeciw tym wszystkim „mieszkańcom piwnicy" jej domu. Elżbieta, tak współczująca i pomagająca każdemu z tamtego brzegu cienia i krzywdy, staje do walki przeciw jedynej pozostałej przy życiu reprezentantce piwnicy — Justynie. Dziecka swojego broni przed tamtą, którą pozbawiono dziecka, broni w sposób bezwzględny i wrogi. — Ten jedyny raz Elżbieta staje w szeregach klasy nieprzyjacielskiej. Staje dopiero pod koniec akcji, niewiele już miejsca w powieści zabiera — ale wystarczy tego, by i przez nią wyraziła się świadomość wrogiej klasy. Jest to bardzo subtelne i znamienne wyrażenie — losu społecznego. Elżbieta walczy o to swoje prawo w miłości, prawo do szczęścia macierzyńskiego, którego drugiej odmówiono, walczy, gdyż tak określiła je ich przynależność klasowa. Tak samo, jak ich przynależność klasowa określiła, że Zenon w stosunku z Justyną nie potrzebował „legitymować się żadnymi względami duchowego porozumienia, żadną psychiczną nadbudową. Wystarczała zgoda z naturą, prosta rozkosz ulegania jej prawom" (str. 61), — w stosunku do Elżbiety natomiast „nadbudowa" ta dostarczała mu tylu istotnych cierpień i gorzkiego szczęścia.

Tak się problem erotyczny splata w tej książce z problemem socjologicznym. Tak go widzi Nałkowska w *Granicy* i przez tę właśnie najściślejszą korelację nadaje tej powieści odrębny wyraz.

## III

Ale problem społeczny nie wyczerpuje się w *Granicy* na tej jedynie korelacji. Pod salonem Elżbiety, a właściwie jej ciotki, znajduje się w suterenie proletariackie mieszkanie — kąt piwnicy: „I teraz niech mi pan powie — mówi Elżbieta do narzeczonego — jak trzeba nazwać ten cały fenomen, jeśli ja sobie siedzę nad nimi na kanapie i słucham przez radio Strawińskiego albo zapalę lam-

pę i czytam, powiedzmy, Pascala... Czasami mi się wydaje, że to są szczury... Czy to nie szczególne, że ludzie zdecydowali się żyć na sobie warstwami. Co dla jednych jest podłogą, to dla innych staje się sufitem... Tam pod nami mieszka więcej ludzi, niż na wszystkich piętrach poza tym... I to wszystko ja w i e m... Nie ma żadnego sposobu, żeby się tego wyprzeć. Wszelka indywidualna niezależność, to jest złudzenie. Już przez sam fakt, że żyję, godzę się nieustannie, biorę w tym udział, przykładam do tego rękę" (str. 65—67).

Przekrój przez kamienicę czynszową pani Kolichowskiej jest symbolicznym, dramatycznie skondensowanym obrazem ustroju społecznego. Pod podłogą salonu Elżbiety, a raczej ściśle pod miejscem, zajętym przez jej kanapę, mieści się nora Gołąbskich, gdzie żyje i umiera babka, młoda matka, oślepła od ciemności córeczka, gdzie nocuje wyrzucony z fabryki za przekonania polityczne brat, niekiedy w krytycznych momentach swego życia znajduje schronienie znajoma — Justyna Bogutówna. W toku akcji całe to życie, które kłębi się pod Elżbietą i Zenonem: wszyscy mieszkańcy piwnicy — wymierają. Jedna tylko Justyna wznosi karzącą rękę nad Zenonem i z jego śmiercią krąg losu i sprawiedliwości zostaje zamknięty. Tragiczna równoległość dziejów pary z „salonu" — Zenona i Elżbiety — oraz Justyny z jej ludźmi piwnicy podkreślona jest z dramatycznym uporem i doprowadzona ze zwykłą umiejętnością Nałkowskiej do przewidzianego i nieuniknionego końca.

Z ludzkich praw tego „świata spod podłogi" interesuje najbardziej Nałkowską jedno: prawo do miłości. Rozpatrywana od tej strony *Granica* to jeden wielki przegląd patologii tego uczucia, patologii wywołanej warunkami społecznymi. Justyna, histeryczna Władziowa, nieszczęsnaGołąbska, wreszcie sama matka Justyny — to różne postaci upośledzenia, zniekształcenia tego ludzkiego prawa. Władziowa, której nie wolno kochać swojego dziecka tyle, ile pragnie, nie wolno go mieć przy sobie, gdyż nie może mu zapewnić jakichkolwiek warunków egzystencji; Jasia Gołąbska, którą tragiczny los nędzy doprowadza do przeciwnego naturze potępienia miłości i aprobowania śmierci swoich nieszczęsnych dzieci; Bogutowa, która uważa za naturalne pozbawienie ją jakiejkolwiek pomocy i opieki z chwilą, gdy wydała na świat „nieprawą" córkę; wreszcie Justyna, której miłości odebrano prawo do szczęścia macierzyństwa.

Z wyjątkiem Jasi Gołąbskiej jest to wszystko „tamta strona" — nieulegalizowana miłość — która, jak się okazuje, wbrew mniemaniu opinii pań Warkoniowych i Kolichowskich, nie jest tutaj łatwa i godna zazdrości, tylko bardzo pokrzywdzona i wymagająca równouprawnienia.

Ta „strona ludzi podziemnych" ilościowo nie zajmuje wiele miejsca. Raczej pozostaje ona ciemnym tłem, stale towarzyszącym złym sumieniem, cieniem szczęścia, groźbą i aluzją. Związane jest to z omawianą już techniką kompozycji powieści, gdzie jeden wątek stanowi cień drugiego, tragiczną, odwrotną stronę medalu, ponurą i groźną stałą przeszkodę nim stanie się wyrokiem. Nie wielkość obrazów, lecz trafność akcentu wywołuje to wrażenie przygnębiającej i głębokiej prawdy, odsłonięcia istoty sprawy we wszystkim, co się odnosi do zobrazowania życia i walki „ludzi z piwnicy".

Subtelne środki artystyczne mądrze służą tu ideologii powieści. Jakaś groteska, kontrast, inwersja uczucia: np. ów uciekający przed tłumem dygnitarz, co w szybie zwierciadlanej wygląda jak jego przywódca, litość maskująca się wstrętem — itp. (por. str. 30: „Ci ludzie podziemi... Elżbiecie wydawali się zupełnie odrębną rasą, jak Murzyni albo Chińczycy... Byli wszyscy mniejsi od ludzi nawierzchni, inaczej się trzymali i ruszali, innych używali słów, inny mieli głos, inną barwę twarzy, inne stopy i palce, inny zapach"). Owe wymowne przemilczenia nad losami Franka Borbockiego, Gołąbskiego, nad tym wreszcie, co się czyni z wrogiem politycznym gwoli racji stanu w więzieniu — tam, gdzie nie sięga moc dnia, etyki, wszystkich jasnych i normalnych pojęć ludzkich; niemniej wymowne *curriculum vitae* rodzin Borbockich, Gołąbskich, Chąsbów, — oto tło, z którego przemawia historia Justyny.

## IV

Te są dwa najważniejsze, ale nie jedyne zagadnienia *Granicy*. Nie jedyne, albowiem z równą konsekwencją przewija się przez wszystkie karty powieści sprawa, która tylko z pozoru dotyczy samego jedynie Zenona Ziembiewicza. W istocie zaś jest to sprawa, która pozwala głęboko sięgnąć w konstrukcję światopoglądu Nałkowskiej. Na imię jej problem możliwości lub też niemożliwości wyzwolenia się od dziedzictwa psychicznego swej przeszłości. Jak ta walka z dziedzictwem przebiega u Zenona?

Uraz jego dzieciństwa stanowi odkrycie małej wartości charakteru rodziców, niskiej ceny typu ich życia. Ojciec po roztrwonieniu majątku własnego i żony zarządzał jakimś mająteczkiem hrabiów Tczewskich. Je-

go sposób gospodarowania polegał na tym, że nic dosłownie nie robił: jeździł na polowania, od czasu do czasu bił parobków z gorliwości „o pańskie" i zadawał się z dziewczętami dworskimi. Ze swoich upadków spowiadał się matce, otrzymywał uroczyste wybaczenie i zaczynał to samo *da capo*. Matka z dziwną wyrozumiałością zapatrywała się na te wiejskie obyczaje i nie traciła nic z poczucia swej godności i uczciwości. Całe to próżniacze, bezmyślnie marnujące siły ludzkie, zbankrutowane i udające pańskość życie w Boleborzy — stanowiło przedmiot bolesnej pogardy dla syna i groźne ostrzeżenie, by za wszelką cenę uniknąć w swoim życiu tego, co tak jest bliskie i łatwe, tak godne pogardy i niebezpieczne.

Jako młody, zdolny i biedny uczeń, przebijający się o własnych siłach już w gimnazjum, postanawia Zenon, że życie jego będzie zupełnie inne. Podobnie jak Elżbieta, pragnie się wyrzec swego dziedzictwa psychicznego. Jest pracowity, ma swoje niezależne od prowincjonalnego partykularza poglądy, wydaje się, że innym torem potoczy się jego życie. Tymczasem nie. Bohater jest, jak podkreśla Nałkowska, człowiekiem przeciętnym, reprezentatywnym, mężczyzną, więc słabym. Sam nie wie, kiedy wkracza w tor podwójnej moralności boleborzańskiej. Jego postępowanie wydaje mu się skomplikowanym zrządzeniem przypadków, gdy autorka przedstawia to jako obiektywną nieuniknioną konieczność socjo-psychologiczną. „Zenon pragnął rzeczy bardzo prostej: żyć uczciwie. Jego program był naprawdę minimalny" (str. 40).

Cóż, kiedy nawet tego programu nie udało mu się zachować ani we własnym życiu prywatnym, ani w działalności społeczno-politycznej. Jego miłość ma stale przebieg dwutorowy, jemu tylko ciągle się wydaje, że można ją interpretować inaczej: intensywna myśl o Adeli, paryskiej miłości Zenona — i wieść o jej śmierci wywołuje początek romansu z Justyną; reminiscencje nad co dopiero przeżytym romansem z Justyną wywołują odnowienie miłości do Elżbiety, tęsknota do Elżbiety powoduje ponowne nawiązanie stosunku z Justyną — i tak ciągnie się w jego życiu szereg pozornie przypadkowych koincydencyj i następstw, które w rezultacie okazują konieczność takiego życia, jakim żył właśnie jego ojciec. Autorka podkreśla analogię do Boleborzy, powrót w jej koleje: Zenon praktykuje to samo spowiadanie się narzeczonej ze zdrad, co jego ojciec, i sam to wreszcie spostrzega.

Ostatecznie wypada tak, że czego innego rzekomo ten słaby człowiek chce, a co innego się dzieje. Jest w tym głęboka nieszczerość. Nieszczerość nie tylko jego życia, ale całego jego otoczenia, całego tego zatęchłego świata mieszczaństwa zeszłego wieku (mieszczaństwa niekoniecznie dosłownie — ale w szerszym sensie kulturalnym), pań Kolichowskich i Walerianów Ziembiewiczów, układu życiowego poprzedniego pokolenia, z którego oni, młodzi, którzy współbudowali Polskę odrodzoną, nie zdołali się wyzwolić.

W wyniku tej całej sprawy jednym z głównych problemów, które najsilniej wpłynęły na kompozycję powieści, staje się zagadnienie subiektywnej oceny i obiektywnej wartości postępowania. Zagadnienie bardzo bliskie w koncepcji *Granicy* — marksowskiego ujęcia stosunku świadomości do bytu. Przedstawiając różne wersje psychologiczne zdarzeń, analizując je i naświetlając w wielostronnych związkach — autorka często i z zamiłowaniem ucieka się do retrospekcji, przestawia plany chronologiczne, intryguje i niepokoi czytelnika, wciągając go tym głębiej w swoją problematykę.

Nieistotność własnych mniemań Zenona o jego sprawie demaskuje autorka już na wstępie: „Sprawę Justyny w swym życiu uważał za przekreśloną równie bezpowrotnie i ostatecznie, jak sprawę Adeli. W rzeczywistości zaś i to i tamto trwało jeszcze, tylko zakwalifikowane inaczej. Z tego samego materiału budowało się teraz nowe uczucie, karmione przezwyciężonym cierpieniem i przezwyciężoną radością (str. 80/81). I dalej: „I tak rzecz cała ułożyła się ściśle według wiadomego schematu: dziewczyna wiejska i panna z mieszczańskiej kamienicy, narzeczona i kochanka, miłość idealna i zmysły. — A przecież wyglądało to tak tylko z zewnątrz, jakby przez ironię losu, czysty zbieg okoliczności... Czemuż w takim razie bronił się przed uznaniem tego schematu, skoro rzecz ostatecznie miała się tak, jak u wszystkich w podobnej sytuacji. Czy że każda najpospolitsza sprawa od wewnątrz wydaje się jedyna i każdy schemat uczucia za każdym razem jest nowy. Czy że ujrzenie siebie samego oczami ludzi, pomyślenie siebie ich sądem — zawiera to niepokojące, czego nie możemy znieść" (str. 118/119).

Niedołężne próby Zenona usprawiedliwienia się wobec siebie zbiegiem okoliczności wywołują skutek przeciwny zamierzonemu. Wzmacniają w czytelniku przekonanie, że tkwiła w tym dla Zenona, takiego, jakim go „określił byt" — konieczność.

Wreszcie Zenon przestaje walczyć z opinią o sobie. Przyznaje na koniec rację jej a nie swoim subiektywnym mniemaniom — i to jest jego klęska. Wnioski, do których dochodzi Zenon w obliczu swojego bankructwa, są zupełnym uznaniem determinizmu: „Jest się takim, jak myślą ludzie, nie jak myślimy o sobie my, jest się takim, jak to miejsce, w którym się jest" (str. 272).

Można tu jednak uczynić zastrzeżenie, że ta obiektywna wartość postępków i ludzi nie jest skądinąd w przekonaniu Nałkowskiej tak pewna i murowana. Np. obok kapitalnej sprawy Zenona i Elżbiety, gdzie akcentowana jest wartościowość obiektywnej oceny, relatywizm dominuje w ujęciu pozostałych postaci. W ubocznej sprawie rejenta Kolichowskiego autorka z całą starannością demonstruje zmienność aspektów osób i wydarzeń: Rejent w oczach żony za życia, po śmierci, Rejent w oczach kuzyny Świętowskiej.

Ten relatywizm spojrzenia na świat jest niewątpliwie charakterystyczną cechą artyzmu Nałkowskiej i stoi w pewnej niezgodzie z problematyką powieści. Logicznie nie stałoby nic na przeszkodzie „interpretować" to w ten sposób, że własne i cudze opinie są relatywne, a wartość obiektywną posiadają jedynie te określenia, które wynikają z owego „miejsca, w którym człowiek jest", z jego uwarunkowań socjologicznych. Ale to nie byłoby przekonywujące, zważywszy tendencje, jakie przeważają w całokształcie twórczości Nałkowskiej. Ściera się tu kilka punktów widzenia i autorka nie widzi możliwości wyboru, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo skomplikowana jest poruszona tutaj problematyka. Dlatego też mimo tak wyraźnego momentu społecznego w *Granicy* nie można jej podciągnąć pod żadną ideologię.

Związane z tym problemem zagadnienie etyczne nie zostało przez Nałkowską postawione zupełnie wyraźnie. Z jednej strony dane, te czy inne istniejące systemy pojęć moralnych, uważa on za względne, zależne od formy socjalnej, która je wydała, a chęć posiadania czystego sumienia, indywidualnego rozwiązania szerszych problemów — za chęć pewnego komfortu osobistego i usiłowanie pozbawione szans powodzenia (por. klęska Elżbiety). Z drugiej zaś strony niewątpliwie jedno z naczelnych miejsc w jej twórczości zajmuje problem zła, traktowany absolutnie: *Ściany świata, Dzień jego powrotu, Granica.*

Moralność jest rzeczą wątpliwą, zło — niewątpliwą. Wywołuje ono takie czy inne reakcje ze strony świadomości ludzkiej, która łaknie jakiegoś uspokojenia. Jedni szukają go w kłamstwie, drudzy w cierpieniu — ale oba te, tak krańcowo odległe rozwiązania, są samozłudzeniem. („Usprawiedliwienia nie ma" — powiada Dominik w *Dniu jego powrotu).* Filozofia Nałkowskiej ma tu oblicze dość pesymistyczne. Cierpienie nie jest usprawiedliwieniem — mówi Zenon do żony; najtrudniejsza droga postępowania nie jest najwłaściwszą drogą — tylko zadośćuczynieniem „spokojowi sumienia". Samozłudzeniu ulega ks. Czerlon, poszukując cierpienia, jako jedynego rozwiązania i rozgrzeszenia zła, które go trapi w nim samym i nęka w świecie. Zło w ujęciu Nałkowskiej bywa nieuniknione i idzie tylko o to, kto jest predestynowany przez niewiadome moce do jego realizacji, kto weźmie je na siebie — za innych, aby oni mogli być dobrzy *(Ściany świata).* Zło wiąże się z niezbadanymi głębiami podświadomości. Stąd tak wielkie zainteresowanie u Nałkowskiej dla zbrodni, obłąkania, częstych motywów jej utworów. (W *Granicy* reprezentuje je Justyna, przypominająca pewnymi rysami Marcję ze *Ścian świata).*

Zło, cierpienie jest nieodłączne od życia, tylko, że równie naturalna, jak istnienie zła — jest też walka z nim. I bez względu na przekonanie o relatywizmie moralności — sądzi Nałkowska — jest taka granica bierności wobec zła, której przekroczyć nie wolno. I tutaj żadna „racja stanu" czy racja idei nie powinna się wznosić ponad tę ogólnoludzką rację etyczną, która mówi, że istnieje granica zamykania oczu na cierpienia bliźniego. Rzecznikiem tego przekonania Nałkowskiej jest w powieści Elżbieta, gdy mówi: „Zenonie, ty nie widzisz tego, ty zapomniałeś. Ale wszystko, czego nie chciałeś, jest teraz po tej samej stronie, co ty... Chodzi o to, że musi coś przecież istnieć, jakaś granica, za którą nie wolno przejść, za którą przestaje się być sobą" (str. 270).

Tę „granicę" Zenon przekroczył. Wspólne z Elżbietą ideały zdradził w toku kariery. Los zaś jego, los umieszczony w określonych warunkach społecznych i politycznych, jest reprezentatywny dla epoki i jej ludzi i w tym jest główna doniosłość *Granicy* jako dokumentu literackiego.

Pośród powieści Nałkowskiej *Granica* zajmuje osobne miejsce tak ze względu na oryginalne i szerokie ujęcie problemu erotycznego od strony społecznej, jak ze względu na samą ważkość myślową i artystyczną tej właśnie strony. *Granica* znakomicie do-

pełnia poprzedzające ją utwory Nałkowskiej, ich akcenty humanitaryzmu i humanizmu sprowadza do realnych wymiarów społecznych. Zwarta i skondensowana, uderza również rzadką umiejętnością pełnego wypowiedzenia się pisarza w klasycznych ramach powieści.

*Janina Pregerówna*

# NOTY

## SHELLEYANIN POLSKI SPRZED WIEKU

Przeczytawszy dwa wiersze Tadeusza Łada-Zabłockiego, przedrukowane w 3-im tegorocznym zeszycie *Twórczości* (str. 117—120), można by się zdziwić, że historia literatury tak mało temu pisarzowi poświęciła uwagi. Wiersze — mimo dziwactw (jak wyrazy z oznaczonymi akcentami) i śmieszności (jak ów „pieszczoszek" Harmonii, dystansujący najbardziej minoderyjne zdrobnienia naruszewiczowskie) — są ciekawe i przytakuje się Zawodzińskiemu, kiedy (w tymże zeszycie, str. 132) mówi w związku z nimi o poezji... „wzniosłych komunałów"... „a w łagodniejszym określeniu — wzniosłych prawd filozoficznych" i o służącym jej za wyraz słownictwie o silnym wydźwięku emocjonalnym".

Owszem, coś z tego wiersze owe posiadają i dlatego rzeczywiście warto je było wydobyć z *Gwiazdy* kijowskiej, w której zostały zatopione. Ale pochwały podzielić należy pomiędzy Zabłockiego i... Shelleya. Obydwa bowiem wiersze wiele poecie angielskiemu zawdzięczają.

Wiersz *Ozymund* jest, powiedzielibyśmy dzisiaj, swobodnym amplifikowanym przekładem 14-wierszowego utworu Shelleya pt.: *Ozymandias*. Utwór ten dość znany jest u nas, bo tłumaczył go (w blisko czterdzieści lat po Zabłockim) Asnyk. Przekład Asnyka jest dość wierny. Oto jego początek:

*Podróżnik wracający z starożytnej ziemi*
*Rzekł do mnie: Nóg olbrzymich z głazu dwoje sterczy*
*Wśród puszczy bez tułowia. W pobliżu za niemi*
*Tonie w piasku strzaskana twarz. Jej wzrok szyderczy,*
*Zacięte usta, wyraz zimnego rozkazu*
*Świadczą, iż rzeźbiarz dobrze na tej bryle głazu*
*Odtworzył skryte żądze, co, choć w poniewierce,*
*Przetrwały rękę mistrza i mocarza serce.*

W tych ośmiu wierszach 13-zgłoskowych zamknął Asnyk treść tyluż pięciostopowych jambów oryginału. Zabłocki zużył na ten cel cztery zwrotki czterowierszowe, składane z przeplatanych dwunasto- i dziewięciozgłoskowców amfibrachicznych. Ba, ale pierwsze dwie z tych zwrotek wypełnił materią, która żadnego odpowiednika u Shelleya nie ma:

*Pustynia na wszystkie rózciąga się strony,*
*Z niej leje się ocean blasków,*
*Ni duszy wokoło...*

I t. d. Dopiero trzecia zwrotka ukazuje obraz zniszczonego kolosa. („Wtem jakieś dwie nogi ciosane z kamienia Przed oko zdumione wybiegły", etc.). Ciąg dalszy podąża już bez większych dewiacyj za poetą angielskim — aż do końca zwrotki 6-ej. „Wzniosły komunał" ostatniej (bo z siedmiu zwrotek, tj. z 28 wierszy, składa się polska całość) jest już własnością (naturalnie względną, jak wszystkie komunały) naszego Łady:

*I tylko wśród zwalisk nieznanych od wieka*
*Gad jakiś przepełza plugawy; —*
*I westchnął wędrowiec nad głupstwem [człowieka,*
*Nad czczością potęgi i sławy.*

Dziś taki utwór — mimo swojego swobodnego stosunku do oryginału — byłby zaliczony do przekładów, albo opatrzony uwagą: „Myśl z Shelleya" lub t. p. Nie dziwmy się, że Łada-Zabłocki takiej uwagi poskąpił. Jego wychowanie literackie musiało być jeszcze w dużej mierze „ośmnastowieczne", a w XVIII-ym wieku sprawę własności w zakresie pomysłów literackich traktowano inaczej (tak samo, jak i w wieku XVII i XVI-ym). Naruszewicz w swojej *Dumie do Słowika* nie odszedł dalej od ody *A Philomèle* Jana Baptysty Rousseau, niż Zabłocki w *Ozymundzie* od *Ozymandiasa*, a przecież spokojnie wliczył ten wiersz między *Liryka* swoje własne.

Stosunek Zabłockiego do Shelleya w wierszu *Na śmierć Władysława Strzelnickiego* jest jeszcze swobodniejszy. W metodzie korzystania z angielskiego poety wiersz ten jest, można by powiedzieć, nawet biegunowym przeciwieństwem *Ozymunda:* tam Za-

błocki amplifikował, idąc zresztą ściśle za wątkiem oryginału; tu z obszernego epicedium, jakim jest *Adonais* Shelleya, wybiera tylko niektóre motywy, poddaje je wariacjom i splata po swojemu, prawie się nie licząc z kompozycją shelleyowską. Trochę przykładów. Shelley wzywa Godziny, by opłakiwały zmarłego poetę; Zabłocki zwraca się z tym wezwaniem realistyczniej: do przyjaciół. Słowa o „snach" zmarłego, „co ujęte w życie piórem skromnym Gwiazdą na niebie lśniłyby potomnym" to tylko ciche (i niezupełnie wydarzone) echo pewności poety angielskiego co do Adonaisa, że: *„his fate and fame shall be An echo and a light unto eternity"*. Oczywiście, różnica wynikała z odmiennych okoliczności: Zabłocki opłakiwał debiutanta z *Gwiazdy* kijowskiej, Shelley pisał tren na śmierć Keatsa, którego wielkość była dla niego oczywista. W zwrotce II (nawiasem mówiąc, zwrotki 6-wierszowe Zabłockiego mało mają wspólnego z 9-wierszowymi „stancami spenserowskimi" *Adonaisa)*, rozpoczyna wierszopis polski apostrofę do Harmonii: „Harmonijo! gdzie byłaś, w jakim kraju"; odpowiada ona znacznie obszerniejszemu wezwaniu poety angielskiego do Uranii *(„most musical of mourners"): „Where wert thou, mighty Mother"* itd. W innych związkach i w innej kolei odnajdujemy tu zresztą większość motywów polskiego wiersza. Trafiamy nawet na pierwowzór „pieszczoszka": *But now, thy youngest, dearest one, has perished — The nursling of thy widowhood..."* (w. 46—47). „Kwiatek od dziewicy smutnej czczony, Na którym wiszą miasto rosy — łzy" jest też wyhodowany w Anglii: *„Like a pale flower by some sad maiden cherished, And fed with true-love tears, instead of dew"* (w. 48—49). Itd. szczegół po szczególe można by przechodzić obydwa teksty, stwierdzając ich pokrewieństwo. Wdzięczne zadanie dla jakiejś pracy proseminaryjnej, której wyników nie chcę tu uprzedzać. Na razie, dla określenia charakteru podobieństw i (znacznie większych) różnic tych tekstów niech wystarczy zestawienie jakiejś jednej strofy polskiej (np. czwartej od końca) z odpowiadającą jej jedną angielską (XL, jedną z najpiękniejszych w *Adonaisie).*

Oto Zabłocki:

*Nie płaczmyż po nim więc, o przyjaciele!*
*Już znikła dlań burzliwa ziemi noc,*
*Już przed nim przestrzeń się bezdenna ściele,*
*Już wieczność go ujęła w swoją moc.*
*On zasnął z głową cichą, — z sercem ciepłym,*
*Śród biegunowych lodów nie zakrzepłym.*

Oto Shelley:

*He has outsoared the shadow of our night;*
*Envy and calumny and hate and pain,*
*And that unrest which men miscall delight,*
*Can touch him not and torture him again;*
*From the contagion of the world's slow* /*stain*
*He is secure, and now can never mourn*
*A heart grown cold, a head grown gray* /*in vain;*
*Nor, when the spirit's self has ceased* /*to burn,*
*With sparkless ashes load an unlamented* /*urn.*

Warto jeszcze może zauważyć, że szczęśliwą pomysłowość okazał Zabłocki w zastąpieniu serii młodo zmarłych poetów, którzy w zaświatach witają przybywającego Adonaisa. U Schelleya są to (str. XLV): Chatterton, Sidney i Lukan. Zabłocki dał serię wyłącznie polską: „Gorczyński, Zimorowicz i Malczewski" (str. V).

Od czasów Chmielowskiego wiedzieliśmy, że Tadeusz Łada-Zabłocki był czytelnikiem Shelleya. Z przypomnianych wierszy i z tego, co zauważył Zawodziński (str. 131), wiemy dziś, że był czymś więcej. Miło stwierdzić, że w okresie w którym nawet nasi najwięksi hołdowali naiwnemu bajronizmowi, i to tak uporczywie, mieliśmy przecie pisarza, który — acz potężnymi „skrzydłami" nie obdarzony — przecież widział horyzonty szersze i ujawnił gusty rozmaitsze.

Miło też stwierdzić, że Zawodziński, chcąc zachęcić do jego utworów, mimowiednie wyróżnił spośród nich właśnie te dwa, które są utworami... nie tylko jego, ale i Shelleya. Niezaprzeczony dowód możliwości sądu obiektywnego.

*Wacław Borowy*

## PADEREWSKI I ANNA DE NOAILLES

„Spotkania z Paderewskim" Anny de Noailles (1876—1933) stanowią fragment wybrany z tomu jej pamiętników pt. *Le livre de ma vie* (wyd. Paris, Hachette, 1932). Niedokończone, bo obejmujące zaledwie okres dzieciństwa i lat młodzieńczych dzieło zamyka dorobek pisarski jednej z najoryginalniejszych w literaturze francuskiej ostatniego półwiecza indywidualności twórczych. Stanowi ono cenne źródło poznania materialnych i duchowych warunków, wśród których zakiełkował, rósł i wykształcał swe odrębne zalety talent poetycki Anny de Noailles. Jej proza odsłania z nieporównaną szczerością

podstawowe cechy artystycznych upodobań poetki i daje o nich wyobrażenie bardziej wyraziste, niż zdyscyplinowana rygorami formy twórczość poetycka. Zamieszczony fragment pozwoli czytelnikowi rozpoznać je bez z góry narzuconych sugestyj i komentarzy.

Tym bardziej jednak tłumacz poczuwa się do obowiązku usprawiedliwienia pewnych dowolności przekładu, których dopuścił się świadomie, ograniczając je zresztą do przypadków najkonieczniejszych. Przekład, podjęty przede wszystkim z uwagi na interesujący polskiego czytelnika temat, nie ma tej ambicji, aby odtworzyć możliwie najwierniej stylistyczne właściwości oryginału. Istnieją bowiem powody, w tym stylu zawarte, dla których tłumacz pozwolił sobie na skróty i uproszczenia — w interesie „czytelności" tekstu.

Proza Anny de Noailles, poetycka i — jak określił ją jeden z krytyków — „wizjonerska", odbiega od klasycznego ideału prozy francuskiej, zwięzłej, akuratnej, przejrzystej. Burzliwa uczuciowość i bogata, lecz kapryśna „impresyjność" — pragnienie, aby na jeden raz wyrazić jak najpełniej i bogactwo chłoniętego wszystkimi zmysłami świata zewnętrznego i szeroko rozlany nurt refleksyj — sprawia, że niejednokrotnie obraz traci ostrość konturów. Pełno w tej prozie zawiłych, nadmiernie rozbudowanych okresów, w których myśli zaciemnione niecierpliwością elips i obrazy wiążące skojarzenia z najodleglejszych dziedzin tłoczą się w ciżbie zdań pobocznych (parokrotnie zazwyczaj uzależnionych), informacyj wtrąconych i nawiasowych uwag.

Wrażenie nadmiaru potęguje zmienność nastroju i emocjonalnej „barwy" słów: w jednym okresie podniosła, deklamacyjna emfaza sąsiaduje z potoczną, gładką konwersacją, salonową — artystowska stylizacja jakiegoś obrazu z realistyczną celnością szczegółu. W ornamentacyjnych szeregach przydawkowych przeplatają się przymiotniki określające przedmiot konkretnie z przymiotnikami o treści abstrakcyjnej, co prawda zawsze wyszukanymi i o dużej wartości ewokatywnej. „Lubiłam lub rozgrzeszałam — zwierza się poetka w jednym z utworów — złe ody, okropne stance czy przykre sonety; a gdy tylko znajdował się tam, niby klejnot wśród banalności i ekstrawagancyj, jakiś przymiotnik lśniący blaskiem pobudzających wyobraźnię sylab: szkarłatny, lazurowy, duszpasterski, wielkoduszny — autor znajdował pełne usprawiedliwienie w moich oczach".

„Spotkania z Paderewskim" interesują jednak przede wszystkim jako wyraz szczególnego znaczenia m u z y k i w życiu i twórczości Anny de Noailles. O muzyce mówi poetka często i z uniesieniem. Było nią przepełnione całe jej dzieciństwo; ona sama — jak wyznaje — „wyrosła całkowicie z fortepianu matczynego". Opanowawszy technikę gry pod kierownictwem wytrawnych nauczycieli, dość wcześnie poczęła, grając Bacha, Haydna czy Haendla, „spowiadać się z tajemnic własnego serca i pozwalać, by wir powietrzny porywał opadające liście elegijnego marzenia". Z trudem przychodziło jej ulegać intencjom mistrzów — grane utwory naginała więc do własnej, podyktowanej nastrojem chwili, interpretacji.

Próbowała ponadto komponować samodzielnie: „Z uchem otwartym ku nieskończoności odtwarzała śpiew ptaków, blady świt i oszałamiający blask dnia, wieś pasterską, rozgdakane i promienne podwórze, marzenia księżyca nad rozkwitłymi magnoliami, które obejmował mokry dech jeziora". — Z czasem muzyka stała się jednym z żywiołów jej poezji. „Dźwięczne działanie słowa" w dużej mierze zadecydowało o rozkołysanej, płynnej i szerokiej rytmice jej prozy. — Poetka próbowała nieraz „opowiadać" muzykę: zręcznym układem obrazowych słów i rytmem szeregów wyrazowych wyrażała nastroje, towarzyszące muzyce ukochanych mistrzów; takt artystyczny, głęboka wrażliwość, a wreszcie praktyczne znawstwo muzyki, uchroniło te próby od niebezpiecznej, dyletanckiej „literackości".

Wpływ Paderewskiego przedstawia Anna de Noailles jako szczególnie doniosły dla swego wewnętrznego rozwoju. Entuzjazm, z jakim wspomina wielkiego pianistę, pozwala w to wierzyć bez zastrzeżeń. Tłumaczony fragment, chociaż nie zarysowuje zbyt wyraziście sylwetki swego bohatera, spowitego w obłok egotycznych uniesień poetki, stanowi jednak najwdzięczniejsze chyba w całej literaturze o Paderewskim wspomnienie. Dlatego wart jest poznania.

*W. T. i W. M.*

* * *

W związku z drukowanym w niniejszym zeszycie poematem T. S. Eliota pt. *Jałowa ziemia* przypominamy studium Romana Dyboskiego *Odrodzenie poezji w Ameryce XX wieku*, *Twórczość*, 1945, nr 1, str. 122 (rozdział poświęcony Eliotowi na str. 140).

# WYKAZ TREŚCI


Str.

THOMAS SEARNS ELIOT: Jałowa ziemia . . . . . 5
„ „ „ Próżni ludzie . . . . . 20
STEFAN FLUKOWSKI: Chwila królewskiej niemocy . . . . . 23
STANISŁAW PIĘTAK: M. przeszła ulicą, Gwiazdy, Stare Miasto w Warszawie-1945 62
JAN BOLESŁAW OŻÓG: Wydumajcie, Wiosenna noc, Do ślubu . . . . . 64
STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI: Żelazny wiersz, Wiersz o jeżu . . . . . 66
KORNEL FILIPOWICZ: Krajobraz, który przeżył śmierć . . . . . 69
Przemówienie końcowe prokuratora JERZEGO SAWICKIEGO przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w sprawie przeciwko Arturowi Greiserowi . . . . . 83
KAROL IRZYKOWSKI: Materia poetica . . . . . 102
CZESŁAW MIŁOSZ: List półprywatny o poezji . . . . . 112
BOLESŁAW MICIŃSKI: Odpowiedź na list Francesca, obywatela rzymskiego . . 122
KAZIMIERZ WYKA: „Wędrowny sztukmistrz“ . . . . . 129

SPRAWY I TROSKI

ANNA DE NOAILLES: Spotkania z Paderewskim (tłum. Witold Truszkowski) . . . 142
BERNARD SZARLITT: Tragiczny los Kazimierza Tetmajera . . . . . 147
JULIUSZ GERMAN: Gabriela Zapolska . . . . . 150
„ „ Tadeusz Pawlikowski . . . . . 156

SPRAWOZDANIA

HIERONIM E. MICHALSKI: „Czas odnaleziony“ Mieczysława Jastruna . . . . 164
JANINA PREGERÓWNA: Na nowym wydaniu „Granicy“ . . . . . 167

NOTY

WACŁAW BOROWY: Shelleyanin polski sprzed wieku . . . . . 173
W. T. i W. M.: Paderewski i Anna de Noailles . . . . . 175



Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“, Warszawa—Łódź—Kraków.
Redaktor naczelny: Kazimierz Wyka. Sekretarz odpowiedzialny: Karol Kuryluk.
Kolegium redakcyjne: Leon Kruczkowski i Jan Wiktor.
Adres redakcji: Kraków, Basztowa 15, m. 8 Administracji: Wielopole 1.

**Cena zeszytu 65 zł + 5 zł (cegiełka na „Dom Słowa Polskiego“). Prenumerata kwartalna 210 zł, półroczna 420 zł.**

CZYTELNIK